

PORUSZAJĄCE WSPOMNIENIA KOBIETY, KTÓRA WYCHOWAŁA
SIĘ PODCZAS KAMBODŻAŃSKIEJ REWOLUCJI

W CIENIU
DRZEWA
BANIANU

Vaddey Ratner

Prószyński i S-ka

W cieniu drzewa banyanu

Vaddey Ratner

Prószyński i S-ka (2013)

Poruszające wspomnienia kobiety, która wychowała się podczas kambodżańskiej rewolucji.

Oto opowieść niezwykła – zanieśie was w otchłań rozpacz i ukaże potworności, które trudno ująć w słowa. Odsłoni przepych kultury walczącej o przetrwanie w ukradkowych gestach i skrawkach poezji wrytej w pamięć. Sprawí, że nigdy nie zapomnicie o zbrodniach popełnionych przez reżim Czerwonych Khmerów w Kambodży w latach 1975–79, kiedy wymordowano około dwóch milionów ludzi. Przywróci wam nadzieję i utwierdzi w przekonaniu, iż siłą literatury jest nie tylko dodawać otuchy, lecz także wynosić nas ponad cierpienie, akty okrucieństwa i to, co bezpowrotnie tracimy.

Dzieciństwo siedmioletniej księżniczki Raami dobiega końca, gdy wojna domowa dociera do Phnom Penh, stolicy Kambodży. Dostatnie życie legnie w gruzach pod naporem rewolucji. Przez następne cztery lata, kiedy Czerwoni Khmerzy bestialskim terrorem niszczą wszelkie przejawy starożytnej kultury, by pozbawić naród tożsamości, Raami pielęgnuje w sercu wspomnienia ojcowskich wierszy i opowieści – tam, gdzie pamięć o przeszłości prowadzi do zguby, Raami dzięki niej kurczowo trzyma się życia. „W cieniu drzewa banyanu” to rzecz o wielkim cierpieniu oraz nieprawdopodobnej woli przetrwania.

Vaddey Ratner

W CIENIU
DRZEWA
BANIANU

Przełożyła:

Magdalena Moltzan-Małkowska

Wydawnictwo Prószyński i S-ka

Mojej Matce

*

*Pamięci mojego Ojca,
Neaka Ang Mechas Sisowath Ayuravanna*

Wojna wtargnęła w świat mojego dzieciństwa nie hukami bomb i wystrzałami, lecz krokiem ojca, które minęły moje drzwi. Po cichu, żeby nie obudzić Radany, wstałam z łóżka i wymknęłam się z pokoju na ocienioną okiennicami zewnętrzną galerię. Przycisnęłam ucho do drzwi sypialni rodziców.

– Dobrze się czujesz? – W głosie mamy pobrzmiwała troska.

Dzień w dzień przed świtem papa wyruszał na samotny spacer i wracał po godzinie z głową pełną widoków i dźwięków przetapianych w wiersze, które potem czytał mi na głos. Jednak tego ranka zdawało się, że wrócił niemal natychmiast, bo świt dopiero nastał, a noc nie przebrzmiała do końca. Cisza snuła się za ojcem niczym wspomnienie snu na długo po przebudzeniu. Wyobraziłam sobie, jak papa leży obok mamy i z przymkniętymi oczami słucha jej głosu, czerpiąc z niego otuchę wśród zgiełku własnych myśli.

– Co się stało?

– Nic, kochanie – odpowiedział papa.

– O co chodzi? – nie ustępowała.

Długie, głębokie westchnienie.

– Na ulicach roi się od ludzi, Aano. Głodnych, bezdomnych, zdesperowanych... – Urwał; łóżko zaskrzypiało i w wyobraźni zobaczyłam, jak papa kładzie się twarzą do mamy i leżą na jednej długiej poduszce, jak to mieli w zwyczaju. – Tyle nieszczęścia...

– Nieważne, co się stanie – przerwała mu łagodnie. – Wiem, że możemy na ciebie liczyć.

Cisza bez tchu. Poczzerwieniałam na myśl o ich złączonych ustach.

– Patrz! – zawołała, na powrót z ożywieniem w głosie. Rozległ się trzask otwieranych okiennic niczym trzepot drewnianych ptaków, które nagle poderwały się do lotu. – Ależ świeci słońce! – dodała z zachwytem, płosząc smętny nastrój poranka i złowrogie „nic”, które legło cieniem na czole ojca.

Blask ogarnął front domu, rozlewając się na korytarz. Wyobraziłam sobie, że to niebiański kobierzec rzucony z nieba przez niedbałego *tevodę*, anioła. Pobiegłam do niego – bez zwykłego balastu metalowej klamry i butów korygujących.

Na zewnątrz słońce migotało wśród przepysznego listowia. Ziewało i przeciągało się niczym małe bóstwo, zagłębiając liczne ramiona wśród liści i konarów. Był kwiecień, koniec pory suchej; niebawem nadejdzie monsun, niosąc ze sobą deszcze oraz wytchnienie od żaru i wilgoci. Tymczasem w domu panował zaduch i skwar jak we wnętrzu balonu. Kleiłam się od potu. Ale nadchodził Nowy Rok i po długim wyczekiwaniu wreszcie będzie święto!

– Wstawać, wstawać, wstawać! – rozległ się okrzyk z pawilonu kuchennego. To wołała Om Bao, której głos dorównywał skalą obfitemu ciału, przypominającemu jutowy wór z ryżem wypchany po brzegi. – Wstawać, lenie! Szybko, szybko, szybko!

Znów wróciłam na galerię i zobaczyłam, jak się turla między domem dla służby i pawilonem kuchennym, niecierpliwie klapiąc sandałami.

– Myjcie twarze, szorujcie zęby! – komenderowała i klaszcząc w ręce, zaganiała zaspane służki do glinianych kadzi ustawionych pod ścianą pawilonu. – *Oey, oey, oey!* Słońce wstało, więc i na was pora! – Klepnęła jedną z dziewcząt w siedzenie. – Przegapicie ostatni ryk Tygrysa i pierwsze kicanie Zająca!

Tak w kalendarzu księżycowym nazywały się lata, z których pierwszy właśnie dobiegał końca, a drugi się rozpoczynał. W 1975 khmerski Nowy Rok przypadał siedemnastego kwietnia, czyli za parę dni. Na długo przed ceremoniami buddyjskimi i przyjęciami w ogrodach rozpoczynały się przygotowania w naszym domu. Tego roku, z powodu zamieszek, papa nie chciał, żebyśmy świętowali. Nowy Rok to czas oczyszczenia, przypominał nam, czas odnowy. Dopóki na wsiach toczy się wojna i na ulicach naszego miasta roi się od uciekinierów, nie wypada świętować. Na szczęście mama była innego zdania. A kiedy mamy świętować, jeśli nie teraz? – przekonywała. Przyjęcie z okazji Nowego Roku przegna wszystko co złe, otwierając drogę dobremu.

Odwróciwszy się, zobaczyłam mamę na galerii przed sypialnią; unosząc włosy, chłodziła kark. Z wolna pozwoliła im spłynąć kaskadą z powrotem na plecy. *Motyl, co skrzydła rozkłada.* To z wiersza papy. Zamrugałam. Znikła.

Pobiegłam do schowka na miotły na tyłach domu, gdzie ukryłam wczoraj klamrę i buty, udając, że je zgubiłam, żeby nie męczyć się w tym upale. Mama chyba coś podejrzewała, bo rzekła: „W takim razie jutro. Włóż je z samego rana. Do tego czasu na pewno znajdziesz”. Wyciągnęłam je ze schowka, szybciotko zapięłam klamrę i wsunęłam buty – prawy miał nieco grubszą podeszwę od lewego, aby moje nogi były równej długości.

Gdy mijalam uchylone drzwi mojej sypialni, Mleczna Matka, moja piastunka, zawołała:

– Raami, ty niesforne dziecko! Wracaj natychmiast!

Zastygłam w obawie, że wybiegnie i wciągnie mnie z powrotem do pokoju, ale tego nie zrobiła. Ponownie ruszyłam naprzód galerią opasującą dom. Gdzie jest mama? Minęłam biegiem pokój rodziców; drzwi były otwarte na oścież i zobaczyłam papę na ratanowym fotelu pod jednym z okien. Obojętny na wszystko, schylał się nad notesem. *Bóg snuje poemat z ciszy...* Tak napisał w pewnym wierszu, który moim zdaniem pasował do niego jak ulał. Gdy papa zasiadał do pisania, nie przeszkodziłoby mu nawet trzęsienie ziemi. Teraz wcale mnie nie zauważył.

Ani śladu mamy. Wychyliłam się przez balustradę, sprawdziłam na schodach i w oranżerii. Jakby

się pod ziemię zapadła. Wiedziałam: mama jest duchem! Świetlikiem, który lśni i migocze, a wtem nikt nie w mroku. Rozpływa się w powietrzu. Pstryk – i już.

– Słyszysz, co mówię, Raami?

Mleczna Matka, w przeciwieństwie do mamy, zawsze była w pobliżu, czuwając nade mną jak kura nad kurczęciem.

– Powiedziałam, wracaj!!! – wrzasnęła, aż zadrżało powietrze.

Ostro skręciłam w prawo, pędząc korytarzem biegnącym przez środek domu, po czym zatrzymałam się w tym samym miejscu na galerii, skąd wyruszyłam. Wciąż ani śladu mamy. Bawimy się w chowanego, pomyślałam, wdychając i wydechając gorące powietrze. Zabawa w chowanego z duchem to niełatwa sprawa.

Bum! Wybuch w oddali sprawił, że serce zabiło mi mocniej.

– Gdzie jesteś, ty niedobra? – ponownie zabrzmiał głos Mlecznej Matki.

Udałam, że nie słyszę, i oparłam podbródek na rzeźbionej balustradzie galerii. Z ogrodów wzbił się maleńki bladoróżowy motyl o skrzydłach delikatnych jak płatki bugenwilli i przysiadł obok mojej twarzy. Znieruchomiałam. Kołysał się, jakby wyczerpany długim lotem, na przemian rozchylając i tuląc skrzydła niczym dwa wachlarze dla ochłody. Mama? Teraz w takiej postaci? Nie, był tylko małym motylem, tak kruchym, jakby przed chwilą wyłonił się z kokonu. Może szuka swojej mamy, pomyślałam, tak jak ja szukam mojej.

– Nic się nie martw – szepnęłam. – Ona gdzieś jest. – Wysunęłam rękę, żeby go pocieszyć, pogłaskać, ale odfrunął.

Coś poruszyło się na dziedzińcu. Zobaczyłam, że Stary idzie podlać ogrody. Sunął jak cień, stąpając bezszelestnie. Podniósł wąż i napełnił staw lotosów, aż kwiaty wypłynęły ponad krawędzią. Zrosił gardenie i orchidee. Spryskał jaśmin. Przyciął etlingere, po czym zebrał bukiet jej płomiennych kwiatów, które związał pędem winorośli i odłożył na bok, nie przerywając podlewania roślin. Kolorowe motyle wirowały nad nim, jak gdyby był łodygą, a jego słomiany kapelusz wielkim pękiem żółtego kwiecia. Om Bao nagle pojawiła się wśród nich, płocha i kokieteryjna, całkiem nie jak nasza stateczna kucharka, tylko podlotek. Stary zerwał dla niej czerwoną plumerię i podając, musnął kwiatem jej policzek.

– Odpowiadaj! – huknęła Mleczna Matka.

Om Bao uciekła. Stary podniósł wzrok, ujrzał mnie i się zarumienił. Zaraz oprzytomniał, zerwał z głowy kapelusz i zgiął się wpół, ofiarowując mi *sampeah*, z rękami złożonymi jak lotos w geście pozdrowienia. Kłaniał się, ponieważ był sługą, a ja jego panią, chociaż miał swoje lata, a ja – jak mawiała Mleczna Matka – ledwo siedem. Odwzajemniłam pozdrowienie i, nie mogąc się powstrzymać, też się ukloniłam. Błysnął szczerbatym uśmiechem, wyczuwając chyba, że nie wydam jego tajemnicy.

Ktoś nadchodził. Stary zwrócił się w tamtą stronę.

Mama!

Szła ku niemu spokojnym krokiem, bez pośpiechu. Przypomniał mi się kolejny wers: *Tęcza sunie łką pełną kwiatów...* Nie byłam poetką, ale córką poety i często widziałam świat przez pryzmat słów papy.

– Pani. – Stary spuścił wzrok, stał nieruchomo z kapeluszem przyciśniętym do piersi.

– Taki upał, że znów się zamknęły – powiedziała, patrząc na lotosy. Westchnęła. Uwielbiała lotosy i chociaż były kwieciami bogów, co rano prosiła o ofiarę dla siebie. – Miałam nadzieję zastać choć jeden otwarty.

– I zastaniesz, pani – zapewnił Stary. – Zerwałem kilka przed świtem i włożyłem do lodowatej wody, żeby nie stuliły płatków. Kiedy Jego Wysokość skończy pisać, przyniosę wazon do państwa sypialni.

– Jesteś jak zawsze niezawodny! – Mama się rozpromieniła. – A zrobisz dla mnie bukiet z zamkniętych pąków, żebym mogła zanieść go do świątyni?

– Jak pani sobie życzy.

– Dziękuję.

Ponownie się skłonił, nie podnosząc wzroku, dopóki go nie minęła. Weszła po schodach, przyciskając dłonią skraj jedwabnej *sampot*. Poruszała się drobnym krokiem, jakby płynęła w powietrzu. Na górze stanęła i uśmiechnęła się do mnie.

– Świetnie, znalazłaś klamrę i buty!

– Ćwiczę powolne chodzenie.

Roześmiała się.

– Tak?

– Chcę kiedyś chodzić jak ty!

Spoważniała.

– Nie dbam o to, jak chodzisz, kochanie.

– Nie?

Najwięcej bólu sprawiała mi nie klamra, ucisk bucików ani własne odbicie w lustrze, tylko smutek w oczach mamy na wzmiankę o mojej nodze. Dlatego rzadko poruszałam ten temat.

– Nie, wcale... cieszę się, że w ogóle możesz chodzić.

I znów rozjaśniła twarz w uśmiechu.

Znieruchomiałam ze wstrzymanym oddechem i myślą, że wystarczy podmuch, by znikła. Pocałowała mnie w czubek głowy, a jej włosy spłynęły na mnie jak monsunowy deszcz. Skorzystałam z okazji i zanurzyłam się w jej woni – tajemniczy, którą pachniała jak perfumami.

– Chyba tylko tobie nie przeszkadza ta duchota – roze śmiała się, jakby moja osobliwość była dla niej równie zagadkowa jak jej uroda dla mnie. Zamrugałam. Odeszła, a jej postać raziała mnie jak słońce.

Taka jest poezja, mówił papa. Nachodzi cię w oddechu, znika w mgnieniu oka i pozostawia tylko:

Wers utkany w myślach

Niczym latawca ogon

Nieskrępowany rymem i logiką.

Potem, dodawał, zastyga. Latawiec, opowieść. Scala się.

– Oey, oey, oey, nie ma czasu do stracenia! – krzyknęła z dołu Om Bao. – Trzeba umyć i nawoskować podłogę, wytrzepać i przewietrzyć dywany, ułożyć zastawę, wypolerować srebra, wygładzić i uperfumować jedwab. Oey, oey, oey, tyle roboty!

Zadrzały gałęzie drzewa banianu pośrodku dziedzińca, zatańczyły liście. Niektóre konary sięgały aż do galerii, a cień liści osłaniał mnie jak płachty jedwabiu. Zakręciłam się w kółko i zanuciłam, przywołując *tevody*: „Chuda, Gruba...”.

– Co ty wyprawiasz?

Mleczna Matka stała w progu z Radaną na biodrze. Radana zsunęła się na podłogę i poczęła deptać cienie pulchnymi nóżkami, a maleńkie, wysadzone diamentami platynowe bransoletki na jej kostkach zadzwoniły jak szalone. Kambodżańskie dzieci często nosiły drogą biżuterię, a moją rozpieszczaną siostrzyczkę obwieszono ponad miarę. To nie dziecko, tylko bazar, pomyślałam.

Gdy dreptała wokół, wyobrażałam sobie, że ma polio i kuleje jak ja. Wiedziałam, że nie powinnam jej tego życzyć, ale czasem nie mogłam się opanować. Było jasne, że wyrośnie na wierną kopię mamy.

Właśnie zobaczyła ją w którychś drzwiach i nim piastunka zdążyła ją powstrzymać, popędziła z piskiem.

Mleczna Matka odwróciła się z powrotem do mnie i z irytacją powtórzyła pytanie:

– Co ty wyprawiasz?

– Wzywam *tevody* – odrzekłam z uśmiechem od ucha do ucha.

– Wzywasz?

– Tak, chciałabym je poznać w tym roku.

Oczywiście to niemożliwe. Są duchami i jak wszystkie istoty bezcielesne, mieszkają w naszej wyobraźni. *Tevody* Mlecznej Matki zdawały się podejrzanie znajome, tak przynajmniej wynikało z jej opisu. Rzekłabym, iż pod przydomkami Chuda, Gruba i Mroczna kryła się ona sama, Om Bao i Stary. Dla odmiany moje *tevody* wcale nie były do mnie podobne, tylko śliczne jak tancerki,

w najdroższych jedwabiach i diademach z iglicami aż do nieba.

Mleczna Matka nie słuchała, skupiona na czymś innym. Bum! Wybuch znów wstrząsnął światem. Eksplozje przybrały na sile. Bum, bum, bum! Cała seria, jak w nocy.

– Nie łudziłabym się, że przyjdą w tym roku, kochanie – powiedziała Mleczna Matka.

– Dlaczego?

Nabrała tchu, żeby odpowiedzieć, ale zaraz zmieniła zdanie.

– Umyłaś się?

– Nie... właśnie miałam zamiar!

Posłała mi karcące spojrzenie, wskazując łaźnię.

– To na co czekasz?

– Ale...

– Bez przekomarzania. Królowa Babka przyjdzie na śniadanie, więc nie możesz się spóźnić, robaczku.

– O nie, Królowa Babka! Czemu mi nie powiedziałaś?

– Próbowałam, ale uciekłaś.

– Bo nie wiedziałam! Mogłaś mi powiedzieć!

– Właśnie po to cię wołałam. – Westchnęła ze zniecierpliwieniem. – Dosyć marudzenia. Idź, przygotuj się. Spróbuj wyglądać i zachowywać się jak księżniczce przystało.

Ruszyłam z miejsca i zawróciłam.

– Mleczna Matko...

– Co znowu?

– Czy ty wierzysz w *tevody*?

Milczała dłuższą chwilę.

– Czemu miałabym nie wierzyć? – odparła w końcu.

Zeszłam po schodach. Tylko to chciałam usłyszeć, resztę łatwo rozgryźć, byle móc zobaczyć i dotknąć – lotosy rozchylające płatki, pająki snujące srebrzyste hamaki na cienkich gałązkach, ślimaki na mokrej trawie...

– Raami, na co czekasz? – Poczułam na sobie wzrok wychylonej przez balustradę Mlecznej Matki.

Postawiłam jedną stopę przed drugą, delikatnie kołysząc biodrami.

– Ćwiczę chód.

– Na co, konkurs dżdżownic?

– Żeby być damą... jak mama!

Z pobliskiego krzaka urwałam gałązkę jaśminu i zatknęłam sobie za ucho, wyobrażając sobie, że nie ustępuję urodą mamie. Radana podbiegła, popatrzyła na mnie, po czym – jakby uznała, że wcale

nie jestem podobna do mamy – uciekła w podskokach.

– Gdzie jesteś? – usłyszałam śpiewny głos mamy. – Idę do ciebie...

Radana pisnęła. Bawiły się w chowanego. Kiedy miałam rok, zachorowałam na polio i nie chodziłam, dopóki nie skończyłam trzech lat. Mama na pewno nie bawiła się ze mną w chowanego.

Z góry dobiegło zniecierpliwione westchnienie.

– Rusz się, na miłość boską!

Później tego samego ranka, wśród jaskrawych jedwabi, które zawstydzały okoliczne motyle i ptaki, zebraliśmy się na dziedzińcu w pawilonie jadalnym, otwartym domu tekowym z drewnianą podłogą i dachem jak pagoda, pośród drzew owocowych i kwitnących krzewów. Mama znów się przeobraziła, tym razem z motyla w ogród, rozkwitając pąkami kwiatów. Miała na sobie białą koronkową bluzkę i szafirową spódnicę *phamuong* w drobne białe kwiatki. Włosy upięła w kok ozdobiony pękiem jaśminu. Kok, gładki niczym z kości słoniowej, wisiał nisko nad karkiem; ilekroć się poruszała, kołysał się łagodnie.

W metalowej klamrze, ciężkich butach i niebieskiej sukience z falbaną czułam się przy niej jak kloc, jak manekin na kiju, byle jak owinięty tkaniną. Jakby tego było mało, kompromitująco burczało mi w brzuchu. Ile jeszcze mamy czekać?

Wreszcie Królowa Babka – Sdechya, jak nazywaliśmy ją po khmersku – stanęła na galerii, ciężko wsparta na ramieniu papy. Powoli zeszła po schodach, a my rzuciliśmy się ją powitać, ustawiając się w kolejkę zgodnie z obowiązującą hierarchią, ze zgiętymi kolanami, pochylonymi głowami, dłońmi złożonymi na piersi, podbródkami wspartymi na czubkach palców. Zatrzymała się na jednym z niższych schodków, my zaś, jedna po drugiej, wysuwałyśmy się naprzód, aby dotknąć czołem jej stóp. Następnie podreptałyśmy za nią do stołu i zajęłyśmy nasze miejsca.

Miałam przed sobą obfitość potraw – kleik z nasion lotosu słodzony cukrem palmowym, lepki ryż z prażonym sezamem i wiórkami kokosa, rosół z wołowiny z liśćmi kolendry i gwiazdkami anyżu, omlety grzybowe oraz pokrojone bagietki – każdy znalazłby tu coś dla siebie. Pośrodku stołu ustawiono srebrny półmisek z owocami mango i papai, zebranymi przez Starego z drzew za domem, oraz jagodzianami i mangostanami, które Om Bao przyniosła z porannej wyprawy na targ. Kiedy Królowa Babka miała ochotę jeść z nami, śniadanie zawsze robiło wrażenie. Była księżną, o czym nieustannie mi przypominano, żebym pamiętała, jak zachowywać się w obecności własnej babki.

Odczekałam, aż weźmie pierwszy łyk do ust, po czym uniosłam pokrywkę znad miski z zupą i para połaskotała mnie w nos. Ostrożnie nabrałam gorący bulion na łyżkę.

– Uważaj – ostrzegła zza stołu mama, rozkładając na kolanach serwetkę. – Bo oparzysz język. – Uśmiechnęła się.

Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Może jednak widziałam noworocznego *tevodę*.

– Po śniadaniu wybiorę się do świątyni w Toul Tumpong – oznajmiła. – Moja siostra przyśle szofera. Pojadę z nią, więc nasz samochód będzie wolny, gdybyś miał ochotę gdzieś się wybrać – mówiła do papy.

Ale on był zatopiony w lekturze gazety. W swoim zwykłym stroju w odcieniach beżu, w przeciwieństwie do roziskrzanej mamy, emanował powagą. Sięgnął po filiżankę i zaczął popijać gorącą kawę ze skondensowanym mlekiem. Pochłonięty gazetą zapomniał o reszcie śniadania; nawet nie słyszał, co mama mówi.

Z westchnieniem dała za wygraną, żeby sobie nie psuć humoru.

– Wyjście z domu dobrze ci zrobi – wtrąciła Tata z końca stołu. Była starszą siostrą papy; siostrą przyrodnią, z pierwszego małżeństwa babki z księciem Norodomem. Oczywiście nie miała na imię Tata, lecz podobno tak zwracałam się do niej w dzieciństwie. Określenie przyłgnęło i teraz wszyscy tak ją nazywali, nawet Królowa Babka, która teraz królowała na drugim końcu stołu w błogich odmętach sklerozy i zdziecinnienia. Ponieważ była księżną – Preah Ang Mechas Ksatrey – zdawała mi się bardziej niematerialna od *tevody*. Jako władczyni rządząca naszą rodziną była na pewno nietykalna.

– Długo nie zabawię – dodała mama. – Odmówię modlitwę i zaraz wracam. Nie wypada rozpoczynać Nowego Roku bez modlitwy.

Tata kiwnęła głową.

– Doskonały pomysł, Aano. – Rozejrzała się dokoła, wyraźnie usatysfakcjonowana, że tradycji stanie się zadość.

W pawilonie kuchennym Om Bao przystąpiła do gotowania na parze pierwszej partii tradycyjnych noworocznych *num ansom*, lepkich ciastek ryżowych w liściach bananowca. Mieliśmy je rozdawać sąsiadom i znajomym. Na galerii głównego budynku służące na czworakach woskowały podłogę i balustrady. Kapały woskiem z zapalonych świec i wcierały go w drewno tekowe. W dole Stary zamiatał chodnik. Odkurzył już i przetarł kapliczkę, która świeciła na złotym cokole pod banianem jak miniaturowa świątynia buddyjska. Kolumnienki wraz z iglicą na dachu przystrojono długimi gałązkami jaśminu, przed wejściem zaś ustawiono wypełnioną surowym ryżem glinianą misę z trzema kadzidełkami, na ofiarę trzem filarom opieki – przodkom, *tevodom* i duchom opiekuńczym. Czuwali nad nami, chroniąc od złego. Nie mamy się czego obawiać, powtarzała zawsze Mleczna Matka. Dopóki zostaniemy w tych ścianach, dopóty nie dotknie nas wojna.

– Nie zmrużyłam oka – oznajmiła Tata, posypując brązowym cukrem swoją porcję ryżu. – Upała nie do wytrzymania, a do tego kanonada...

Mama starannie odłożyła widelec, usiłując nie dać po sobie poznać irytacji. Ale ja wiedziałam, że myśli: Nie możemy porozmawiać o czymś innym? Jednakże jako bratowa, osoba z pospólstwa

wśród członków królewskiego rodu, nie mogła narzucać szwagierce tematu rozmowy. Nie, to byłoby niemile widziane. „Nasza rodzina, Raami, jest jak bukiet, każda łodyga i pąk na swoim miejscu”, mawiała, a ja rozumiałam, że nasze konwenanse to nie sztywny rytuał, tylko rodzaj sztuki.

Tata zwróciła się do Królowej Babki, usadowionej po przeciwnej stronie stołu.

– Nie uważasz, Mechas Mae? – zapytała, przemawiając królewskim językiem.

– He? – odparła Królowa Babka, na pół zadumana, na pół głucha jak pień.

– Kanonada! – powtórzyła Tata, unosząc głos prawie do krzyku. – Nie uważasz, że była okropna?

– Jaka kanonada?

Słumiłam śmiech. Rozmowa z Królową Babką przypominała gadanie przez tunel. Cokolwiek ktoś powiedział, odpowiadało mu jedynie echo własnych słów.

Papa podniósł wzrok znad gazety i chciał coś dodać, kiedy weszła Om Bao ze srebrną tacą zastawioną szklankami schłodzonego napoju z nasion bazylii, który przyrządzała dla nas co rano. Postawiła przed każdym szklankę, a ja, z czubkiem nosa opartym o szkło, zaciągnęłam się słodkim zapachem. Om Bao nazywała ten napój – mieszankę namoczonych nasion bazylii oraz cukru trzcinowego w lodowatej wodzie aromatyzowanej jaśminem – „małymi poszukiwaczkami ikry”. Rzeczywiście, stulone dotąd ciasno płatki jaśminu rozchyliły się jak spódniczki dziewcząt z głowami zanurzonymi w wodzie! Dotąd na to nie wpadłam, lecz nasionka bazylii faktycznie przypominały przezroczyste rybie jajeczka. Byłam zachwycona tym odkryciem.

– Usiądź prosto – upomniała surowo mama.

Wyprostowałam plecy, wyjmując nos ze szklanki. Rzuciwszy mi współczujące spojrzenie, papa pociągnął łyk i podniósł wzrok ze zdziwieniem.

– Om Bao! Straciłaś poczucie smaku?

– Najmocniej Waszą Wysokość przepraszam... – Kucharka nerwowo przeniosła wzrok z papy na mamę. – Oszczędzam cukier trzcinowy. Niewiele nam zostało, trudno go dostać na targu. – Bezsilnie potrząsnęła głową. – Pokorna służąca żałuje, że napój nie jest dość słodki, Wasza Wysokość. – W chwilach zdenerwowania Om Bao popadała w nadmierną formalność. „Pokorna służąca” brzmiało tym dziwniej, że naprzeciw „Jego Wysokości” siorbałam zupę. – Czy Wasza Wysokość...

– Nie, jest dobry. – Papa wypił kolejny łyk. – Pyszny.

Om Bao pojaśniała i jej policzki uniosły się jak ryżowe ciastka gotowane na parze. Gnąc się w ukłonach, rozkołysanym potężnym zadkiem wycofała się i zawróciła do kuchni. Przy schodach pawilonu kuchennego Stary odebrał jej pustą tacę, jak zawsze gotów do niesienia pomocy. Sprawiał wrażenie dziwnie zaaferowanego; może martwił się, że zdradzę ich przed Królową Babką, która zabraniała publicznych umizgów wśród służby. Om Bao uspokajająco poklepała go po ramieniu. Bez obaw, mówiła tym gestem. Spojrzał na mnie z ulgą. Mrugnęłam i po raz drugi tego ranka posłał mi swój szczerbaty uśmiech.

Papa powrócił do lektury. Nerwowo przewracał kartki, szeleszcząc gazetą. Przekrzywiwszy głowę, odczytałam nagłówek na pierwszej stronie: „Khmer Krahom otaczają miasto”.

Khmer Krahom? Czerwoni Khmerzy? A to co znowu? Wszyscy byliśmy Kambodżanami, czyli Khmerami. Wyobraziłam sobie ludzi o ciałach pomalowanych na jaskrawą czerwień, otaczających miasto i rojących się na ulicach niczym zastępy czerwonych mrówek. Parsknęłam śmiechem, mało się nie krztusząc.

Mama rzuciła mi kolejne ostrzegawcze spojrzenie; czułam, że lada chwila straci cierpliwość. Wyglądało na to, że sprawy potoczyły się nie po jej myśli. Wszyscy chcieli rozmawiać tylko o wojnie, nawet Om Bao nawiązała do niej w kontekście cukru trzcinowego.

Schowałam twarz za szklanką, a myśli za dryfującymi spódniczkami jaśminu. Czerwoni Khmerzy, Czerwoni Khmerzy, powtarzałam w myślach. Zastanawiałam się, w jakim sama jestem kolorze. Zerknęłam na papę i uznałam, że na pewno w tym samym co on.

– Czy jesteś Czerwonym Khmerem, papo? – wyrwało mi się jak czkawka.

Tata z brzękiem odstawiła szklankę. Na całym dziedzińcu zapadła cisza jak makiem zasiał, nawet powietrze jakby znieruchomiało. Mama łypnęła na mnie, a gdy *tevoda* łypie na ciebie w ten sposób, lepiej zmykaj, bo się oparzysz.

Żałowałam, że nie mogę wepchnąć głowy do szklanki i poszukać rybich jajeczek.

Nadeszło popołudnie, a wraz z nim upał, od którego wszystkiego się odechciewało. Ustały przygotowania do uroczystości. Służące przerwały porządki i siedziały na stopniach pawilonu kuchennego, rozczesując i zaplatając sobie włosy. Na kosztownej tekowej sofie pod banianem Królowa Babka opierała się o gruby pień i z przymkniętymi oczami wachlowała się liściem palmowym. U jej stóp Mleczna Matka, trzymając mnie na kolanach, bujała Radanę na hamaku zawieszonym na gałęzi. Jedną ręką pchała hamak, drugą delikatnie drapała mnie po plecach. Papa siedział samotnie w pawilonie jadalnym i pisał w swoim ulubionym notesie, oparty plecami o rzeźbioną kolumnę. Stożące obok radio nadawało muzykę klasyczną *pinpeat*. Zasłuchana Mleczna Matka przysypiała. Ale mnie nie chciało się spać, podobnie jak Radanie, która wyglądała z hamaka, zapraszając mnie do zabawy.

– Leć! – piszczała, sięgając po moją rękę. – Ja latam! – Kiedy chwytałam ją za nadgarstek, wyrywała go ze śmiechem. Mleczna Matka otworzyła oczy, po czym trzepnęła moją dłoń i podała smoczek Radanie, która ułożyła się z powrotem, ssąc go jak cukierka. Królowa Babka mlasnęła, jakby chętnie poszła jej śladem.

Niebawem wszystkie trzy spały. Wachlarz Królowej Babki znieruchomiał, podobnie jak dłoń Mlecznej Matki na moich plecach i pulchna nóżka Radany zwieszona z hamaka niczym pęd bambusa, umilkły dzwoneczki na kostce.

Wróciła mama ze świątyni. Po cichu, żeby nas nie obudzić, pokonała schodki do pawilonu jadalnego i usiadła obok papy, kładąc mu rękę na udzie. Papa odłożył notes.

– Ona tylko zadała niewinne pytanie.

Mówił o mnie. Zacisnęłam powieki, udając, że śpię.

– *Les Khmers Rouges*, komuniści, marksyści... – podjął papa. – Jakkolwiek nazywamy ich my, dorośli, w uszach dziecka te określenia brzmią śmiesznie, i tyle. Ona nie wie, kim są ani co oznaczają te słowa.

Les Khmers Rouges... komuniści, powtórzyłam w myślach. Słowa brzmiały tajemniczo, jak imiona mitycznych postaci w opowieściach *Reamkera*, które mogłam czytać bez przerwy, *dewaradzów*, którzy pochodzili od bogów, lub demonicznych *rakszasów*, którzy z nimi walczyli i żywili się tłustymi dziećmi.

– Kiedyś pragnąłeś tego co oni – odrzekła mama z głową opartą na jego ramieniu. – Kiedyś w nich wierzyłeś.

Zastanawiałam się, co to za rasa Khmerów.

– Nie, nie w nich. Nie w ludzi, tylko w ideały. Przyzwoitość, sprawiedliwość, prawość... Wierzyłem w nie i nadal wierzę. Są wieczne. – Rozejrzał się po dziedzińcu. – To wszystko przeminie, Aano. Zaszczyty, majątek, nasze tytuły i nazwiska są jak pyłek na wietrze, a te ideały to oś naszego człowieczeństwa. Chcę, żeby nasze córki dorastały w świecie, który czci te wartości. Bez nich życie nie ma sensu.

– A to, co się teraz dzieje, ma sens?

– Liczyłem, że do tego nie dojdzie. – Westchnął ciężko. – Inni opuścili nas dawno temu, przy pierwszej zapowiedzi kłopotów. Teraz Amerykanie. Niestety, demokracja poniosła klęskę i nasi przyjaciele nie chcą patrzeć, jak kona. Odeszli, póki mieli okazję, trudno mieć im to za złe.

– A my? – spytała mama. – Co się stanie z naszą rodziną?

Papa milczał.

– To nie będzie łatwe, ale jeszcze mogę wysłać was do Francji – odparł wreszcie.

– Nas? A ty?

– Ja zostanę. Jeszcze jest nadzieja.

– Nie wyjadę bez ciebie.

Pocałował ją w kark. Wyplątał jaśmin z jej włosów i rozpuścił je, uwolnił na ramiona. Wstrzymałam oddech, marząc o niewidzialności. Wstali bez słowa, skierowali się do wyszorowanych schodów i znikli w głębi domu.

Rozejrzałam się dokoła. Wszyscy jeszcze spali. Usłyszałam w oddali warkot. Narastał, aż stał się ogłuszający. Zadzwoiło mi w uszach, serce tłuło się w piersi. Zadarłam głowę, spoglądając ponad

czerwoną dachówką głównego budynku, ponad wierzchołkiem banianu oraz rzędem cienkich palm przy bramie. Nagle zobaczyłam – wysoko na niebie helikopter niczym wielka czarna ważka pruć powietrze. Tuktuktuktuktuk...

Obniżył lot, zagłuszając wszelkie inne odgłosy. Stałam na tekowej sofie, żeby lepiej widzieć. Naraz poderwał się z powrotem w górę i skierował w przeciwną stronę. Wyciągnęłam szyję, usiłując wyjrzeć za bramę. Ale on zniknął. Szast-prast. Zniknął bez śladu, jak gdyby był tylko złudzeniem, wyimaginowaną kropką na niebie.

A potem...

BUM!!! BUM!!! BUM!!!

Ziemia zatrzęsała się pode mną.

Tego samego popołudnia zaginęła Om Bao. Dowiedzieliśmy się od służącej, że poszła na targ w pobliżu lotniska. Dziewczęta wiedziały, że to niebezpieczne, ale nie zdołały jej tego wyperswadować. Chciała dokupić parę rzeczy na przyjęcie i uparła się, że znajdzie tam więcej niż w sklepach. Wyszła tuż po śniadaniu i nie wróciła do wieczora.

– Nie podoba mi się to – oznajmił papa. – Wychodzę. – Z jego tonu wynikało, że nikt nie odwiedzie go od podjętej decyzji, nawet mama.

Poszedł po motor. Stary podniósł się z podłogi, na której siedział, słuchając wiadomości radiowych, i pobiegł otworzyć bramę. Papa, pochylony nad kierownicą, wyjechał na ulicę z rykiem silnika i nawet się nie obejrzał.

Mama i Tata podniosły się z miejsca i ciężkim krokiem skierowały do domu.

– Już? – zapytałam Królową Babkę, bo mi ręce zdrętwiały od masowania.

Stęknęła i kiwając głową, przewróciła się na plecy.

– Grzeczna dziewczynka – wymamrotała, próbując usiąść. Podparłam jej plecy moimi. – W przyszłym życiu spotka cię za to nagroda.

– Jak myślisz, gdzie jest Om Bao? – szepnęłam.

Królowa Babka obrzuciła mnie pustym spojrzeniem, jakby interesowało ją tylko przyszłe życie, a cokolwiek dotyczy obecnego, stanowi dla niej czarną dziurę. Byłam ciekawa, czy w ogóle wie, że jest wojna.

– Ludzie walczą...

– Tak, wiem – mruknęła. – Niewielu nas zostanie w cieniu drzewa banianu...

Nie tylko wyglądała jak duch, ale i przemawiała jak z zaświatów.

– Wybuchy – powiedziałam z naciskiem. – Nie słyszysz? Om Bao pewnie rakietą spadła na głowę...

Przypomniałam sobie powiedzonko Mlecznej Matki: „Siedem razy obróć w ustach językiem, zanim się odezwiesz. Dzięki temu zyskasz czas na przemyślenie tego, co chcesz powiedzieć”. Siedem razy obróciłam językiem, ale nie byłam pewna, czy to się liczy, skoro słowa już padły.

– Niewielu nas zostanie w cieniu drzewa banianu – wymamrotała ponownie Królowa Babka, a ja nie rozumiałam, skąd u wariatów potrzeba, aby dwukrotnie mówić to samo. – Walki nie ustaną. Tylko tu jest bezpiecznie... pod banianem.

Skrzypnęła brama. Odwróciłam się z nadzieją, ale to Stary otworzył drzwi szopy z narzędziami. Wyjął wielki sekator i po raz pierwszy opuścił posterunek pod krzakiem bugenwilli, gdzie trwał od chwili wyjazdu papy.

Krążył po ogrodzie. Obciął liście etlingery, aby jej płomienne kwiaty miały gdzie się rozrastać. Poprzycinał łodygi róż i tak przestawił wiszące orchidee, żeby kwitnące miały cień, a te bez kwiatów z nadejściem poranka znalazły się na słońcu.

Zapadła noc. Papa i Om Bao wciąż nie dawali znaku życia. Stary odłożył narzędzia, sięgnął po miotłę i począł zamiatać poodcinane gałązki. Pozbierał do koszyka płatki plumerii – białe, żółte, czerwone. Gdy Om Bao wróci, dostanie ją w prezencie. Każdego ranka Stary zrywał czerwoną plumerię o zapachu wanilii – jej ulubionej przyprawy – i kładł na parapecie w podziękę za to, że tyle serca miała dla niego przez lata, za desery przemycane co wieczór do jego pokoju po skończonym dniu pracy, kiedy myślała, że nikt nie patrzy. Stracił przez te słodkości wiele zębów. Ten potajemny romans wyśledziłam przez szczeliny ścian i drzwi. Co rano Stary kwiatami dziękował za wieczorne desery. Lecz teraz, w oczekiwaniu na jej powrót, zbierał z ziemi opadłe płatki. Myślał, że nie żyje, a ja byłam tego samego zdania. Kiedy to pomyślałam, obróciłam siedem razy w ustach językiem...

...a potem jeszcze siedem.

Zaginięcie jest gorsze niż śmierć. Kiedy nagle giniesz bez śladu, jest tak, jakbyś nigdy nie żył. Wszyscy traktowali zniknięcie Om Bao jako rodzaj śmierci, przejście do następnego życia. Kilka dni później, w świątyni opodal lotniska, gdzie być może widziano Om Bao żywą po raz ostatni, odprawiono buddyjską uroczystość na podobieństwo pogrzebu. Ponieważ sanktuarium znajdowało się poza miastem i ostrzał był tam największy, poszli tylko papa i Stary. Wrócili z urną, której pokrywa miała kształt zwieńczonej iglicą kopuły stupy.

– Zwęglone szczątki jej ukochanych przedmiotów – wyjaśnił papa, wskazując srebrne naczynie, które Stary tulił w ramionach.

Myśl, że tylko tyle pozostało z Om Bao, garstka zwęglonych popiołów, była potworna. Wyjeżdżając z domu o świcie, Stary niósł torbę; nie przyszło mi do głowy zapytać, co jest w środku. Wyobrażałam sobie pojemniki z przyprawami, drewniane chochle i łopatkę, kwiaty plumerii...

– *Achar* wrzucił je do ognia – tłumaczył papa, który ślaniał się ze zmęczenia, miał wygniecioną, brudną odzież i roztaczał lekką woń sadzy. – Zamiast ciała... – Jego spojrzenie padło na mnie i dodał: – Pójdę się przebrać.

– Tak – dorzuciła skwapliwie mama. – Ty też idź się przebrać i odpocznij – rzekła pod adresem Starego i podała urnę Mlecznej Matce. – Postawisz to gdzieś przed wyjazdem?

– Oczywiście, proszę pani – odpowiedziała Mleczna Matka, już gotowa do wyjścia. Dostała całodniowe wychodne na wizytę u krewnych. – Znajdę odpowiednie miejsce.

– I baw się dobrze – dodała mama. – Pozdrów od nas rodzinę.

– Dziękuję, proszę pani.

Wszyscy podnieśli się z miejsc. Poszłam za mamą i papą.

– Jest skazana na los nieobecnego ducha – rzekł papa, gdy wchodzili na schody.

Zamarłam. Nieobecnego? Nie wystarczy, że jest duchem?

– Jest z nami tutaj. – Mama uściśnęła jego dłoń. – Duszą będzie z nami na zawsze.

Korciło mnie, żeby spytać, czy będziemy uroczyście witać Nowy Rok. Ceremonie odwołano z powodu zniknięcia Om Bao. Jeśli powróciła, choćby duchem, to czy nie powinniśmy mimo wszystko świętować?

Mleczna Matka położyła mi dłoń na ramieniu.

– Masz obiecać, że będziesz grzeczna, kiedy mnie nie będzie – oznajmiła, odciągając mnie na bok.

– Obiecujesz, że jutro wrócisz?

Mama nalegała, aby Mleczna Matka spędziła trochę czasu z rodziną. Każdy potrzebuje chwili wytchnienia, nawet jeśli nie świętujemy.

– Jest Nowy Rok – przypomniałam.

Odpowiedziała mi baczным spojrzeniem.

– *Tevody* przyjdą, kochanie, lecz nie po to, by obchodzić Nowy Rok. Teraz to niemożliwe. Przyjdą oplakiwać ją tak jak my.

– Ale wrócisz do tego czasu?

– Tak, najprawdopodobniej wieczorem. Przyszekasz, że nie narozrabiasz?

Kiwnęłam głową. Nie chciałam, by wyjechała. Bałam się, że też zniknie.

Nieco później, kiedy wszyscy skryli się w chłodnym zaciszu domu, na dziedzińcu pojawiła się biała postać. Był to Stary; przebrał się w czystą odzież i stał przed kapliczką, składając ofiarę z czerwonych kwiatów plumerii. Podał mi garść, żebym rozsypała je na schodkach.

– Czemu jesteś tak ubrany? – spytałam z ciekawością, dlaczego ma na sobie żałobną biel, skoro nie było pogrzebu.

– Jestem w żałobie, księżniczko – odparł łamiącym się głosem.

Chciałam pogłaskać go po twarzy, jak Om Bao, kiedy myślała, że są sami. Ale wyglądał na tak kruchego, jakby miał się rozsypać na kawałki. Jak to możliwe, postarzał się tak w ciągu paru dni? Oczu nie mogłam od niego oderwać.

– Gdy kochasz kwiat – dodał, jakby chciał usprawiedliwić swoją przemianę – i on nagle znika, wszystko odchodzi wraz z nim. Żyłem, bo ona żyła. A teraz jej nie ma. Bez niej jestem niczym, księżniczko. Niczym.

– Ach tak. – Zatem być w żałobie to odczuwać własną nicość.

Łzy wezbrały mu w oczach i odwrócił głowę.

Zostawiłam go samego. Wiedziałam, co muszę zrobić. Poszłam do gaju cytrusowego na tyłach

domu. Papa mówił, że gdy chce uciec przed czymś niemiłym lub smutnym, musi tylko znaleźć szczelinę w murze i wyobrazić sobie, że to przejście do innego świata, świata, gdzie wszystko, co się zagubiło – łącznie z nim samym – znów się odnajdzie. W łaźni znalazłam portal większy niż szczelina: rząd wysokich okien z otwartymi okiennicami. Wybrałam środkowe, przez które miałam widok na cały teren za domem. Najpierw ujrzałam to, co zawsze – trawę po kostki, falującą jak szmaragdowa tafla jeziora, wysoki bambus wibrujący szeptami milionów maleńkich stworzeń, czerwono-żółte kwiaty helikonii, przypominające rajskie ptaki zastygłe w locie albo szczypcę homara wiszące jak naszyjnik mamy, oraz strzeliste palmy kokosowe niczym olbrzymi wartownicy u wejścia. Spojrzałam uważniej, wyężając wzrok. I nagle zobaczyłam ten inny świat, o którym mówił papa, gdzie zguby się odnajdywały i zamieszkiwał skrawek nas samych. Był bujny i bezszelestny, ziemski, a zarazem nieziemski. Nie było w nim rakiet i bomb, płaczu ani umierania, smutku, łez i żałoby. Tylko motyle trzepoczące barwnymi skrzydłami, każdy cudowny jak sen, opodal palmy zaś stała Om Bao. Miała postać ćmy, krągłej i barwnej jak wówczas, kiedy była naszą kucharką. Czekala na Starego. On przecież także czekał na nią. Czy mam iść mu powiedzieć?

Nie. Jeszcze nie teraz. Nadal ją opłakiwał. Nie zobaczy tego, co ja. Nawet mi nie uwierzy. Kiedy będzie gotowy, pokażę mu ten tajemny świat, gdzie wszystko pozornie stracone na zawsze się ukrywało, tylko w innej postaci. Dopiero wtedy ujrzy niewidzialne i odnajdzie wśród kwiatów motyla, którego kochał dawniej.

Papa wbiegł na dziedziniec.

– Wojna się skończyła! – Podskakiwał jak mały chłopiec. Nigdy go takiego nie widziałam. – Koniec walk, koniec wojny! Nadchodzi armia rewolucyjna!

– Co? Kto? – zdziwiła się Tata. – Masz na myśli Czerwonych Khmerów?

– Tak, wszyscy wiwatują na ich cześć!

– Oszalałeś?

– Tłumy wyszły ich powitać – tłumaczył z nieskrywanym entuzjazmem. – Śmieją się, wiwatują! – Porwał Radanę z sofy i zakręcił ją w kółko, śpiewając: – To już koniec, koniec, walki skończone! – Chwycił mamę i pocałował ją w usta przy nas, przy Królowej Babce. Wyszarpnęła się ze zgrozą i odebrała mu Radanę.

Pociągnęłam go za rękaw.

– Czyli Mleczna Matka na pewno wróci? – Był pierwszy dzień Nowego Roku i miała wrócić z wizyty u krewnych na drugim końcu miasta. Martwiłam się jej nieobecnością, lecz skoro wojna dobiegła końca, chyba wreszcie mogłam odetchnąć.

– Tak! – Podniósł mnie i pocałował w czoło. Rozpromieniony rozejrzał się po dziedzińcu. – Wszystko będzie dobrze.

Młode służące dostały wychodne z okazji święta, a że uroczystość odwołano, mogły wrócić później niż zwykle. Po ich wyjściu wzięłam swego *Reamkera*, kambodżańską wersję *Ramajany*, i poszłam poczekać na piastunkę przy bramie, chociaż jeszcze był ranek, a ona miała wrócić wieczorem. Gdyby jednak wróciła szybciej, zobaczy, jak cieszy mnie jej powrót. Wybrałam miejsce pod bugenwillą, gdzie panował przyjemny cień i chłód, po czym raz jeszcze zaczęłam czytać od początku:

Dawno, dawno temu istniało królestwo Ajuthija. Było najdoskonalsze z doskonałych. Lecz taki raj nie istnieje bez zawiści. W podziemnym świecie znajdowało się królestwo Lanka, lustrzane odbicie Ajuthiji. Tam rządziła ciemność. Jego mieszkańcy, rakszasowie, żywili się przemocą i niszczeniem, rosnąc w siłę z każdym złem, które wyrządzili. Panem rakszasów był Krung Reap, miał zęby jak słoniowe kły i cztery ramiona, w których trzymał cztery atrybuty wojny – łuk, pałkę, strzałę i trójząb. Spośród wszystkich istot trzech wymiarów on najbardziej pragnął Ajuthiji. Wygnanym z niej, postanowił zniszczyć ów raj, powodując chaos. Potrząsał górą, na której się znajdowała, aż zgiełk poniósł się do nieba. Pomni jego niegodziwości bogowie ubłagali Wisznu, by pokonał króla rakszasów i przywrócił równowagę w kosmosie. Wisznu przystał na to i w ziemskim wcieleniu zstąpił jako Rama, dewaradża, który odziedziczy Ajuthiję i przywróci jej wieczny spokój.

Lecz zanim to się stało, podniósł się zgiełk bitewny, przelano wiele krwi, a ciała ludzi, małp i bóstw zaścieliły ziemię.

Czytałam to setki razy, lecz ostatni fragment o ciałach ludzi, małp i bóstw wciąż przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Wyobrażałam sobie taką jatkę, iż nie sposób było stwierdzić, kto poległ. Wiedziałam, że wszystkie opowieści w *Reamkerze* są podobne, że ogry często zamieniają się w bóstwa, a Rama potrafi być równie przerażający jak *rakszas*, złośliwy, krwiożerczy demon. Jedna istota objawiała się pod postacią drugiej, a skoro od początku nie wiadomo, kto jest kim, jak odróżnić anioły od demonów?

Czytałam dalej: „W czasie gdy zaczyna się nasza opowieść, Ajuthiją rządził król Tosarot. Spośród jego czterech synów Rama był najszlachetniejszy...”.

Nagle usłyszałam krzyki w oddali: „Otwierać bramę, otwierać bramę!”. Odłożyłam książkę i uspokoiłam rozbiegane myśli. „Zwycięstwo! Zwycięstwo naszych żołnierzy! Witajcie, bracia, witajcie!”. Krzyki stawały się coraz głośniejsze, jakby rozbrzmiewały tuż obok. „Otwierać bramę! Wychodzić!”. Słysząc także klaksony, bicie dzwonów, syreny oraz niezliczone silniki, wszystko naraz. Nagle ziemia się zatrzęsała – coś wielkiego i rozkołysanego potoczyło się w naszą stronę. Nienaturalnie gorące powietrze śmierdziało paloną gumą. Wibracje stały się ogłuszające, aż drżały liście i kwiaty dokoła. Potwór, pomyślałam. Potwór na metalowych gąsienicach! Dzieci krzyczały: „Patrzcie, patrzcie, jeszcze jeden!”.

Kiedy te potwory ziejące ropą naftową i miażdżące żwir potoczyły się dalej, w powietrze wzbily się owacje. „Witajcie, żołnierze rewolucji! Witajcie w Phnom Penh! Witajcie!”. Parę goździków wylądowało na dziedzińcu jak ptaki spadające z nieba. Ścigał je chór śpiewnych głosów, przytłumionych i trzeszczących przez megafon:

Nastał nowy dzień, towarzysze bracia i siostry.

Nieście z dumą sztandar rewolucji,

Niech opromieni was jej blask!

Potwory i krzyki się oddalały, chropowate dudnienie megafonu zmiękło w nieokreślony pogłos. Trzaskały zamykane okna i drzwi, gdy ludzie rozchodzili się do domów. Zatrzymane samochody i motocykle ruszyły na nowo, podobnie jak rowery – słyszałam ich dzwonki. Po pewnym czasie wszystko umilkło i na naszej ulicy znów zapanowała cisza.

Czekałam z uchem przy ścianie, ale nie zdarzyło się nic więcej. Cisza. Gdzie się podziewa Mleczna Matka? Może zgubiła się w tym zamieszaniu. Może próbowała wrócić, ale nie zdołała przedrzeć się przez tłum.

Naraz kilka domów dalej usłyszałam głośnie walenie w bramę. Serce podskoczyło mi w piersi. Łomot nie ustawał; zaraz dał się słyszeć zgrzyt zawiasów i gwar podniesionych głosów. „Kim jesteście?! Wynoście się! Nie, wy się wynoście! To nasz dom!”. BUM! Coś huknęło. Padł strzał, a

może tylko pękła opona, nie byłam pewna. Kolejny łomot, tym razem głośniejszy i bliżej, i nim zdążyłam obmyślić plan działania, ktoś zabębnił w naszą bramę. ŁUP, ŁUP, ŁUP! Odskokczyłam, a jeden z goździków, który zawisł na ścianie, spadł pod moje stopy. Chciałam go podnieść, gdy zza bramy doleciał krzyk:

– OTWIERAĆ!

Rozejrzałam się po dziedzińcu, lecz w pobliżu nie było nikogo, nawet Starego. Znałam zasady: bez osoby dorosłej nie wolno otwierać bramy. Przynajmniej w czasie wojny. Ale przecież wojna się skończyła. Serce tłukło mi w piersi, brakło mi tchu.

– OTWIERAĆ! – ponownie zabrzmiał krzyk. – BO BĘDĘ STRZELAŁ!

– Czekaj! – wychrypiałam. – Chwileczkę! – Rozejrzałam się i dostrzegłam podnózek schowany pod krzakiem gardenii. Przyniosłam go do bramy, stanęłam na nim i odciągnęłam zasuwę...

Do środka wpadła wstęga dymu. Był cały czarny – czarna koszula, czapka, spodnie, czarne sandały. Patrzył na mnie z góry.

– Dzień dobry! – powiedziałam. – Ty pewnie jesteś Mroczny! – Naturalnie wiedziałam, że nie stoi przede mną *tevoda*, lecz postanowiłam się nie bać.

– Że co? – spytał, chyba jeszcze bardziej zdziwiony niż ja.

– Mroczny! – Przewróciłam oczami. Jak na *tevodę*, udawanego lub prawdziwego, był niezbyt uprzejmy.

– Co?

I niezbyt rozgarnięty.

– Czekałam na ciebie.

– Słuchaj – rzekł na pół z rozdrażnieniem, na pół z groźbą. – Nie mam czasu na twoje głupie zabawy. – Przysunął do mnie twarz. – Gdzie twoi rodzice?

– A gdzie Mleczna Matka? – Siląc się na odwagę, udałam, że sprawdzam, czy nie stoi za węgłem.

– Idź! – Pchnął mnie zniecierpliwiony. – Każ rodzicom wyjść. Szybko! – Znowu mnie popchnął, aż zatoczyłam się w zarośla. – Jazda!

– Dobrze, już idę. – Odbiegłam w podskokach i zawołałam co sił w płucach: – Przyszedł *tevoda*!

– To żołnierz rewolucji – powiedział papa.

Zdziwiłam się. Nie wyglądał na żołnierza. Żołnierze to mężczyźni w pięknych mundurach z lampasami, orderami i gwiazdami. Ten chłopak miał na sobie zwykłą czarną koszulę jak góra od piżamy, wiejskie portki i sandały sklecone – dziw nad dziwy! – z opon samochodowych! Jedynym barwnym akcentem stroju była biało-czerwona kraciasta *kroma* – ludowa chusta kambodżańska – którą przytroczył sobie pistolet do pasa.

Przyszła Tata i aż dech jej zaparło.

– *Le Khmer Rouge!*

Nie posiadałam się ze zdumienia. To ma być Czerwony Khmer? Gdzież to imponujące bóstwo, którego się spodziewałam?

– Zostańcie tutaj – nakazał wszystkim papa. – Ja będę rozmawiał.

Powitał chłopca, unizony jak nigdy.

– Pakujcie się i opuście dom – rozkazał żołnierz.

– N-nie rozumiem – zająknął się zdumiony papa.

– Tu nie ma nic do rozumienia. Opuście dom, macie wyjechać z miasta.

– Że co, proszę? – Tata nie wytrzymała i nie bacząc na ostrzeżenia papy, podeszła bliżej. –

Słuchaj, młody człowieku, nie możesz tak po prostu...

Nie dokończyła zdania, bo wycelował w nią z pistoletu. Umilkła z rozchyłonymi ustami.

– Towarzyszu. – Papa dotknął jego ramienia. – Proszę. Tu są same kobiety i dzieci.

Chłopak potoczył po nas wzrokiem. Uśmiechnęłam się, sama nie wiem po co. Opuścił broń.

Powietrze zafalowało i serce znów zabiło mi w piersi, lecz przez chwilę panowała głucha cisza.

– Towarzyszu, gdzie mamy iść? – odezwał się wreszcie papa.

– Wszystko jedno gdzie... macie opuścić dom.

– Na jak długo?

– Dwa, trzy dni. Weźcie tylko potrzebne rzeczy.

– Musimy się spakować...

– Nie ma czasu. Macie wyjechać natychmiast. Amerykanie zrzucą bomby.

– Na pewno się mylisz – zaproponował papa. – Oni wyjechali i nie...

– Jeśli nie wyjedziecie, zostanieie rozstrzelani! Zrozumiano?!

Wyszedł na ulicę z pistoletem uniesionym wysoko nad głową, jakby chciał rozstrzelać niebo.

– Niech żyje rewolucja!

Nie było czasu do stracenia. Jeśli zostanie nas tu po powrocie, będziemy zgubieni. Nie wiedzieliśmy, kiedy to nastąpi, czy wróci za godzinę, czy jutro, a może wcale. Ale papa stwierdził, że nie wolno ryzykować. Musimy opuścić dom. „Nie pozwolę wygonić się jak szczur!”, protestowała Tata, ale papa był nieugięty. Mama wybuchła płaczem. Radana, tuląc ulubiony zagłówek, rozkleiła się na widok jej łez, na co mama rzuciła się ją pocieszyć.

– Nie mam pojęcia, co zabrać – lamentowała, spoglądając na wielką szafę z ubraniami.

– Bierzemy pieniądze i złoto – odparł rzeczowo papa. – Resztę kupimy po drodze. – Otworzył toaletkę mamy i wygarnął ze szkatulek biżuterię: naszyjniki, kolczyki, pierścionki... Porwał zagłówek Radany, na co zawyła jeszcze głośniejsze, i scyzorykiem rozpruł szew. Wepchnął biżuterię do środka i wybiegł z pokoju. Krążył po domu, zbierając książki, zdjęcia, pudełka zapalek. Pakował to

wszystko do bagażnika naszego niebieskiego bmw.

Złapałam go za rękaw.

– Gdzie Mleczna Matka?

Znieruchomiał.

– Nie wiem.

– Nie zaczekamy na nią?

– Nie możemy, kochanie. Przykro mi.

– Co to jest rewolucja?

– Coś w rodzaju wojny.

– Przecież mówiłeś, że wojna się skończyła.

– Tak myślałem, miałem taką nadzieję. – Był kompletnie rozkojarzony.

Wbiegł z powrotem do domu.

Siedziałam na tylnym siedzeniu, wciśnięta między Królową Babkę i Tatę. Z przodu mama trzymała Radanę na kolanach, przyciskając usta do jej główki. Moja siostra uspokoiła się wreszcie, ukołysana do snu i zmordowana wcześniejszym płaczem. Papa włączył silnik. Ręce mu drżały na kierownicy.

Stary podszedł do bramy zgarbiony, jakby dźwigał na plecach wór ryżu. Nie jechał z nami. Zostanie i zajmie się ogrodem. Prędzej sam stawi czoło żołnierzowi rewolucji, niż pozwoli kwiatom zwiędnąć w tym upale. Był głuchy na wszystko.

„Gdy kochasz kwiat i on nagle znika, wszystko odchodzi wraz z nim”. Tak przecież powiedział.

Otworzył nam bramę i papa powoli ruszył naprzód. Wyciągnęłam szyję i spojrzałam we wsteczne lusterko. Zobaczyłam galerię, nieruchomą i opustoszałą. Dom wyglądał, jakby nie mieszkał tu nikt. Raptem zrozumiałam, że właśnie ta chwila weszła za papą do domu, towarzysząc mu jak cień przed paru dniami, po powrocie z porannego spaceru. Ta chwila. Nasz wyjazd. Nasze zniknięcie. Nasza nieobecność. Jeszcze nie wyjechaliśmy, ale ja zobaczyłam, jak będzie tu bez nas.

Wszystko zaczęło maleć. Pawilon kuchenny, gdzie Om Bao królowała wśród chochli i przypraw. Dom służby, gdzie na schodach plotkowały dziewczęta w czasie wolnym od obowiązków. Główny budynek, gdzie co rano witałam dzień, gdzie opowieści rozkładały skrzydła jak ptaki i motyle wśród okolicznych drzew. Pawilon jadalny, gdzie zbieraliśmy się na posiłki. Banian i święte miejsce w jego cieniu. Ogrody pełne pszczół i kwiatów.

Dziedziniec.

Został tylko Stary, obok bugenwilli przy bramie, gdzie zawsze stał. Pomachałam mu ręką.

Zatrzasnął bramę.

Na ulicach wrzało. Ludzie, samochody, ciężarówki, skutery, motocykle, rowery, riksze, w zaprzężone w woły, wózki, taczki oraz wszystko to, dla czego nie było – nie powinno być – miejsca na ulicach miasta: kaczkę, kurczęta, świnie, byki, krowy, maty i materace. Któż tu widział bawoła umazanego błotem lub słonia niosącego kornaka i jego rodzinę? A jednak tam były, ciągnąc wstęgami, które falując, rozwijały się we wszystkich kierunkach.

Obok nas wieśniak prowadził świnie na postronku. Przestraszona kwiczała, jakby ją kto zarzynał. Nieco dalej volkswagen garbus cudem uniknął starcia z koniem, którego spłoszył klakson. Papa trzymał mocno kierownicę, manewrując w gęstym ciągu pojazdów. Po wyjeździe z domu zapoznał nas z obraną trasą – pojedziemy do Kbal Thnol, tam spotkamy się z moim stryjkiem. Tak ustalili na wszelki wypadek. Stamtąd udamy się razem do letniego domku w Kien Svay. Ale teraz trudno było minąć skrzyżowanie, czy choćby posuwać się w linii prostej.

Obok mnie zaczęła pojękiwać Królowa Babka. Domagała się, aby papa zawrócił i odwiózł nas z powrotem do domu. Wszędzie roило się od żołnierzy rewolucji, od stóp do głów ubranych na czarno jak ten, który wtargnął do naszego domu, wymachujących bronią i każących wszystkim się wynosić. Ludzie całymi rodzinami wlekli walizki z dobytkiem, tuląc kosze z naczyńiami i garnkami, drewniane stołki i nocniki. Widziałam kobietę balansującą dwoma koszami na bambusowym kijku opartym o ramiona, w jednym koszu było dziecko, w drugim piecyk i chybotający niebezpiecznie gar ryżu. Ślepy żebrak szurał bosymi nogami po chodniku, z kosturem w jednej i miską na jałmużnę w drugiej dłoni. Przeciskał się przez ciżbę. Nikt się nie zatrzymywał, aby wrzucić mu drobne. Nikt nie litował się nad nim. Nikt nawet go nie zauważał. OPUŚĆCIE MIASTO! – huczały głośniki. AMERYKANIE ZRZUCA NA WAS BOMBY!

Żołnierze rozpychali wszystkich na boki, starych i młodych, niedołączonych i tych, którzy mogli chodzić. Mężczyzna o kulach upadł i bezskutecznie usiłował się podnieść. Jeden z Czerwonych Khmerów szarpnięciem dźwignął go z ziemi i pchnął naprzód. Przy wejściu do szpitala staruszka trzymała się ramienia młodego mężczyzny, pewnie syna. Młoda pielęgniarka wywiozła pacjenta na szpitalnym łóżku, w biegu poprawiając mu kroplówkę. Nieopodal lekarz zerwał z twarzy maskę chirurgiczną, gestykulując zawzięcie, jakby chciał przemówić żołnierzom do rozsądku. Jeden z nich przystawił mu pistolet do czoła i lekarz zamarł jak posąg z rękami w powietrzu, w rękawiczkach umazanych krwią.

Młody ojciec przeszedł obok, jednego syna dźwigał na plecach, drugiego na piersi. Był obładowany prowiantem, przyborami kuchennymi, matami do spania, poduszkami i pościelą. Jego żona, z malutkim dzieckiem na biodrze i z wielkim brzuchem, szła uczepiona mężowskiego ramienia

wśród tłumu. Minał ich nastoletni chłopiec, ściskający rękami zakrwawiony brzuch. Szukał pomocy, ale nikt mu nie pomógł. Widziałam naraz milion twarzy i wszystkie wyglądały tak samo. Przeżalone. Nieprzytomne.

W żółtym tempie mineliśmy częściowo zburzony budynek. Pręty zbrojeniowe sterczały z bloków pękniętego cementu. W okolicznych alejach i zaułkach, ukryci za stertami gruzu, żołnierze wojsk rządowych gorączkowo zdierali zielone mundury i rzucali je go ognia. Jeden miał właśnie zdjętą bluzę, kiedy zobaczyło go dwóch Czerwonych Khmerów. Wywlekli go na główną ulicę i wepchnęli na ciężarówkę pełną innych żołnierzy.

Przed szkolną księgarnią stała ciasno zbита grupka uczniów z książkami przyciśniętymi do piersi. Czerwony Khmer podszedł do kobiety w średnim wieku, z wyglądu nauczycielki, i zdarł jej z nosa okulary. Rzucił je na ziemię, zmiażdżył kolbą karabinu.

Wszędzie pełgał dym, czarny jak stroje żołnierzy. Na chodnikach płonęły sterty książek i papierów. Popiół dryfował w powietrzu na podobieństwo spalonych motyli. Zachodziłam w głowę, czemu ci Khmerzy nazywają się Czerwoni. Nie było w nich nic czerwonego. Dlaczego mieli tak wiele imion? Żołnierze rewolucji, komuniści, marksiści – tak nazywał ich papa, na co Tata nigdy nie omieszkała odparować: „*Khmer Rouge*, buntownicy! Złodzieje! Szczury dżungli! Nie wróżę im długiej kariery”. Zapowiadała, że ich triumf będzie krótkotrwały i zostaną surowo ukarani. „Powinni wisieć, bo to pospoliccy przestępcy!”. „To rewolucjoniści – powtarzał papa, ale niepewnym tonem. – Uważaj, jak o nich mówisz”. Zastanawiałam się, kim są naprawdę. Żołnierzami czy wieśniakami? Dziećmi, a może dorosłymi? Nie przypominali ani *dewaradzów*, ani *rakszasów*, mitycznych bogów lub demonów, za których zrazu ich uważałam; w czarnych strojach wyglądali bardziej jak cienie.

Dojechaliśmy do gęstego tłumu zebranego pod wysoką bramą z kutego żelaza, zza której wyzierała fasada willi z białymi kolumnami. Ludzie przepychali się, walcząc o wejście. Ci z przodu bębnilo w sztachety, błagając, aby ich wpuszczono. Niektórzy próbowali sforsować wysokie ogrodzenie i kaleczyli się o metalowe kolce na górnej krawędzi. Paru się udało, lecz większość została ściągnięta w dół przez szalejącą gawieź. Dwóch mężczyzn zaczęło się bić; dołączył trzeci, a potem dwóch następnych. Wywiązała się ogólna bijatyka. Kobiety krzyczały, dzieci zawodziły i popiskiwały jak szczenięta.

Huknął strzał.

Tłum ucichł jak trusia. Jakiś żołnierz wyszedł przez uchyloną bramę z pistoletem wysoko nad głową. Wydał rozkaz, machnął bronią na prawo i lewo, i tłum rozstał się posłusznie. Pozostali żołnierze zaczęli przepuszczać cudzoziemców, spychając Kambodżan z powrotem na chodnik.

– Na niebiosy! – mruknęła Tata z niedowierzaniem. – A jednak to prawda. Wyrzucają wszystkich cudzoziemców.

– Azyl dyplomatyczny? – spytała mama, zwracając się do papy.

– Wygląda na to, że tymczasowy. – Papa spoglądał przed siebie, coś przykuło jego uwagę.

– Nie wpuszczają nikogo bez zagranicznego paszportu – zauważyła mama.

Podążyłam za spojrzeniem ojca tam, gdzie na uboczu stało młode małżeństwo. Mężczyzna był barangiem, białym olbrzymem o owłosionych ramionach i wydatnym nosie, kobieta Khmerką w zaawansowanej ciąży. Mówił coś do niej, a ona kiwała głową, płacząc żałośnie. Ujął jej twarz w dłonie i przycisnął wargi do jej ust. Podeszedł Czerwony Khmer i na nich nakrzyczał, skrzywiony z niesmakiem. *Barang* próbował tłumaczyć – „moja żona, moja żona”, odczytałam z ruchu warg – ale żołnierz nie zwracał uwagi. Podeszło jeszcze dwóch i rozdzieliło tamtych. Mężczyzna krzyknął, kobieta zaszlochała. Rozłączył ich tłum.

Papa pojechał dalej. Obejrzałam się, wypatrując *baranga*, lecz zniknął. Jego żony też nigdzie nie było. Zamrugałam raz, potem znowu, ale na próżno. Znikli, jakby wymazani z ludzkiego krajobrazu.

Oddaliliśmy się od willi, skręcając w lewo w Norodom Boulevard. Papa myślał, że teraz pojedzie szybciej, w końcu znaleźliśmy się na głównej trasie, jednak okazała się jeszcze bardziej zakorkowana. Tu było dużo więcej czołgów i wojskowych ciężarówek, a czyste do niedawna chodniki straszyły widokiem starca plującego w nocnik, chłopca wypróżniającego się na krawężniku oraz kobiety, która właśnie zaczynała rodzić. Papa chciał zjechać z drogi i ruszyć w stronę nabrzeża bulwaru Sisowatha, ale każdy zakręt okazywał się tak zatłoczony, że nie szło nawet szpilki wcisnąć.

Nie mieliśmy innego wyjścia, jak sunąć naprzód wokół Pomnika Niepodległości, którego wielka różowa kopuła zdawała się maleć w natłoku pojazdów. Zewsząd ryczały głośniki: NIE ZATRZYMUJCIE SIĘ! JEDŹCIE DALEJ! ORGANIZACJA WAM POMOŻE! ORGANIZACJA ODNAJDZIE WASZYCH ZAGINIONYCH KREWNYCH! JEDŹCIE DALEJ! OPUŚĆCIE MIASTO! ORGANIZACJA SIĘ O WAS ZATROSZCZY!

Organizacja? Khmerska nazwa „Ankar” brzmiała w moich uszach jak „Angkor”, starożytne kamienne świątynie, w których kopułach wyrzeźbiono twarze skierowane w dół ku odwiedzającym. Wyobrażałam sobie, że Organizacja to ucieleśnienie jednej z tych rzeźb, rodzaj bóstwa lub potężnego władcy. Ukłękłam i wyrzesałam przez tylną szybę. Podążyłam wzrokiem za jedną z Czerwonych Khmerek. Szła w stronę naszego samochodu i przystanęła nieopodal, żeby porozmawiać z chudym starcem, który przypominał mi Starego. Błagalnie złożył ręce, jak rozkołysany kwiat lotosu uniósł ku jej twarzy. Wyglądało na to, że chce podejść do schodów pomnika, aby odpocząć, znaleźć kogoś, a może po rzeczy. Dziewczyna potrząsnęła głową, każąc mu odejść. Nie dawał za wygraną, opierając się tłumowi, który go pociągał za sobą. Wsunęła rękę pod koszulę, wyjęła pistolet, wycelowała. Huk rozdarł powietrze i poniósł się echem, jakby nastąpiły po sobie trzy oddzielne strzały. Ludzie z krzykiem zaczęli się rozpychać, próbowali uciec, lecz nie mieli dokąd.

– Co to było? – zaniepokoiła się mama.

Starzec upadł i wokół jego głowy rozkwitła ciemna plama. Aureola krwi, szkarłatnej jak sok z betelu w kąciku ust Królowej Babki.

– Co to było? – powtórzyła mama.

I znów nikt nie odpowiedział.

– JEDŹCIE DALEJ! – Dziewczyna przemaszerowała obok nas z pistoletem w wysoko uniesionej dłoni. – JEDŹCIE DALEJ!

Usiadłam twarzą do kierunku jazdy i przymknęłam oczy. Zgiełk z zewnątrz uderzał o moje powieki i czułam, jak rzęsy trzepoczą mi niczym motyle skrzydła ocalałe z pożaru.

– OPUŚCIE MIASTO! AMERYKANIE BĘDĄ BOMBARDOWAĆ! AMERYKANIE BĘDĄ BOMBARDOWAĆ!

– Módl się do *tevod*, dziecko – rzekła Królowa Babka, klepiąc mnie po głowie. – Módl się do *tevod*.

– NIE MARTWCIE SIĘ O DOMY I DOBYTEK! JEDŹCIE! JEDŹCIE! ORGANIZACJA SIĘ O WAS ZATROSZCZY!

Modliłam się do Organizacji.

Po południu dotarliśmy na skraj miasta i zatrzymaliśmy się na poboczu pod strączyńcem. Tuż przed nami leżało Kbal Thnol, rondo, gdzie papa umówił się z młodszym bratem. Na lewo stał most Monivong, którym mieliśmy wyjechać z miasta w stronę Mango Corner, naszego letniego domku. Zaczekamy i przejedziemy przez most razem ze stryjem i jego rodziną. Dzięki temu nie będzie ryzyka, że nas rozdzielią i rozjedziemy się w przeciwne strony.

Szukaliśmy wśród setek, tysięcy twarzy, ale nie rozpoznawaliśmy żadnej. Raz czy dwa razy, gdy Czerwony Khmer zerkał w naszą stronę, papa zapuszczał silnik i przesuwiał się kawałek, udając, że jedzie dalej. A ja wciąż się rozglądałam.

Wśród licznego grona dezorientowanych, przerażonych ludzi znalazło się paru obojętnych na żołnierzy i groźbę bombardowania. Obok nas przeszła kobieta sprzedająca smażone banany i wymachująca ścierką, żeby odpędzić muchy. Przybiegła dziewczynka z girlandami jaśminu na rękach. Wymieniła małą girlandę na banana.

– Noworoczny jaśmin! – zawołała. – Noworoczny jaśmin! – Przyszło mi na myśl, że ma głos noworocznego *tevody*, czysty i dźwięczny jak dzwon, który bije o świcie w świątyni.

Przeszła przez ulicę, pogryzając banana. Musiała wyczuć spojrzenie mamy, bo zawróciła z uśmiechem i podbiegła do nas. Mama wybrała girlandę z długą jaskrawoczerwoną wstążką, zwisającą niczym ogon papugi. Dała pieniądze dziewczynce, która uśmiechnęła się szeroko i w podskokach dogoniła handlarzkę bananów.

Mama odczepiła wstążkę i dała ją Radanie do zabawy. Następnie zawiesiła jaśmin na lusterku

wstecznym i samochód wypełnił się słodkim aromatem kwiatów. Kiedy znowu się rozejrzałam, dziewczynka znikła, lecz nadal słyszałam jej głos. „Noworoczny jaśmin, noworoczny jaśmin, bierzcie, póki świeży”...

Naraz przed rzędem sklepów przecznicę dalej wzbił się ogień. Po ulicy niosły się krzyki. Poprzez dym i płomienie zobaczyłam żołnierzy ciskających w ogień narecza papieru. Część kartek załopotiała jak latawce bez sznurków, by zaraz znowu spaść w płomienie. Widziałam małego chłopca, który porwał skrawek wielkości banknotu. Żołnierz złapał go za kark i rzucił na bok, zniechęcając pozostałych, którzy spoglądali na stos pulsujący jak membrana.

Nagle papa włączył silnik i ruszył na most. Czerwony Khmer z pistoletem w dłoni szedł do nas. A ja raz jeszcze pomodliłam się do Organizacji.

Żołnierz – chłopak z piegami o odcień ciemniejszymi od skóry o barwie trzcinowego cukru – szedł obok naszego bmw, torując nam drogę przez rondo. Myślałam, że chce nas zastrzelić. Kiedy klepał maskę, papa zjeżdżał na prawo, a kiedy bok – na lewo. Gdy dotarliśmy do mostu, papa wystawił głowę przez okno i powiedział: „Dziękuję, towarzyszu!”, na co chłopak uśmiechnął się szeroko i zsalutował, po czym odwrócił się i zaczął kierować ruchem innych pojazdów.

Z wolna sunęliśmy naprzód, ocierając się o kosze, wózki, samochody, ludzi i zwierzęta. Obok nas kobieta ciągnęła taczkę, w którą wpakowała rannego męża. Była zaprzęzona szalem do uchwytów taczki jak wół do wozu. Mężczyzna leżał na stercie bagaży, obandażowane nogi sterczały sztywno. Papa zjechał na lewo, niechcący tarasując jej drogę. Spojrzała ze złością, mamrocząc pod nosem; pewnie pomstowała na czym świat stoi. Wreszcie przepuściła nas, przystając, żeby otrzeć pot z czoła.

Kierowcy trąbili na wyścigi, jakby to mogło cokolwiek przyspieszyć. Dwóch mężczyzn zsiadło ze skuterów i zaczęło się przepychać, wyklócając o pierwszeństwo. Żołnierz ruszył w ich stronę, więc zaraz wsiedli na skutery, odpychając się nogami od ziemi jak bandyci przyłapani na gorącym uczynku.

Nagle wszystko stanęło w miejscu. Tłum zakołysał się przed nami. Ludzie rozpychali się z krzykiem; część chciała zawrócić, lecz nie było miejsca nawet na to. Napierał tłum za nami. Nasz samochód chybotał się w przód i w tył, jakbyśmy znajdowali się na chwiejnej kładce, a nie moście z betonu i stali. Papa wysunął głowę przez okno i zwrócił się do mężczyzny, który stał obok.

– Co się dzieje?

– Przewożą więźniów – padła odpowiedź.

– Więźniów? Kogo?

– Szychy rządowe i wojskowych, którzy próbowali uciec... Nadchodzą!

– Nie patrz – poleciła Tata.

Spuściłam głowę, ale kątem oka obserwowałam Czerwonych Khmerów eskortujących nie kilku,

lecz jednego więźnia. Potykał się z oczami zasłoniętymi *kromą* i rękami związanymi na plecach. Krew ciekła mu z kącika ust, twarz miał spuchniętą i siną, był strasznie pokaleczony. Mimo słusznego wzrostu sprawiał wrażenie bezbronny i sponiewieranego. Czerwoni Khmerzy, dwóch z przodu i trzech z tyłu, kopali go i bili. Tłum rozstąpił się, żeby ich przepuścić. Wszyscy milczeli.

Kiedy znalazł się w pobliżu, zobaczyłam, że nogi ma związane sznurem, przez co kolebał się raczej, niż szedł. W takim stanie i tak pewnie by im nie uciekł, choćby bardzo chciał. Minął nasz samochód. Żołnierze rewolucji okładali go kolbami, żeby szedł prędzej. Nie reagował, tylko włókł się naprzód jak uosobienie rozpacz.

Tłum zamknął się za eskortą i gwar wybuchł znowu. Wszyscy parli naprzód, byle szybciej i dalej od zagrożenia.

– ORGANIZACJA NA WAS CZEKA! – huczały głośniki na przeciwległych krańcach mostu. – ORGANIZACJA BĘDZIE NAD WAMI CZUWAĆ!

Wszędzie rozglądałam się za Organizacją, lecz widziałam tylko chaos. I desperację. Jakiś mężczyzna chciał skoczyć z mostu, ale żołnierz złapał go za koszulę, szarpnął z powrotem i poszedł dalej, a niedoszły samobójca stał rozdygotany, ocalony i zlekceważony zarazem.

Kiedy zdawało się, że nigdy nie przejedziemy na drugą stronę, dotarliśmy na koniec mostu. Droga rozdzieliła się na dwie. Papa skręcił w lewo z głównej trasy i ruszyliśmy wzdłuż rzeki. Wreszcie ujrzałam znajomego czarnego mercedesa zaparkowanego na poboczu. Wyciągnęłam szyję, próbując sięgnąć wzrokiem przez szyby, i dopiero kiedy stryj wyłonił się z mercedesa niczym *yiak*, mityczny olbrzym, niewzruszony i dostojny, serce przestało mi łomotać w piersi.

Podszedł do nas, a za nim stryjenka India z bliźniakami. Chłopcy podskoczyli wesoło na widok Radany wywijającej czerwoną wstążką.

– Jedźmy, byle dalej stąd – powiedział papa.

O zachodzie słońca dotarliśmy do Kien Svay, miasteczka tuż za granicami Phnom Penh. Pokonanie tak niewielkiej odległości zabrało nam całe popołudnie, lecz i tak znajdowaliśmy się w gronie szczęśliwców, którzy w ogóle zdołali opuścić miasto.

Nasz letni domek, Mango Corner, był jedynym bungalowem w kolonialnym stylu francuskim w rzędzie khmerskich domów tekowych położonych wzdłuż rzeki Mekong. Ocieniony przez drzewa mango, stał opodal polnej drogi, którą rzadko przejeżdżały samochody. W okolicy mieszkali sadownicy, hodowcy ryżu i rybacy, poruszali się łodziami, wozami zaprzęganymi w woły lub rowerami. Teraz wydawało się, że miasteczko przeżywa oblężenie całej stolicy i dotychczasowa oaza spokoju kipi od ludzi szukających noclegu i parkujących na każdym skrawku wolnej przestrzeni.

Chcąc zniechęcić nieproszonych gości, sąsiad pod naszą nieobecność pilnujący naszego domu zagroził wozem wjazd z drogi. Na widok naszych samochodów natychmiast usunął go na bok.

– Co za ulga, widzieć Mechasa i całą rodzinę – rzekł do papy królewskim językiem, uginając kolana i chyląc głowę. Szybko pozdrowił w ten sposób nas wszystkich i ponownie zwrócił się do papy: – Nie wiedziałem, jak długo zdołam ich powstrzymać, Wasza Wysokość. – Wskazał tłumy przed własnym domem.

Papa mu podziękował. Sąsiad skinął na nastoletnich synów, żeby przyszli pomóc z bagażem. Weszliśmy do środka.

Poszłam prosto na galerię ciągnącą się na zewnątrz wokół domu. Za rzędem palm kokosowych, które wyznaczały granicę naszej posiadłości, Mekong wił się jak rozbudzony wąż. Łodzie tłoczyły się na powierzchni rzeki jak w czasie Święta Wody, ale nie było wstęg i flag zdobiących burty i wiosła, tłumów wiwatujących na brzegu, śpiewu i tańca, świateł i muzyki. Słyszałam tylko dudnienie z głośników, nagłące do przeprawy na drugi brzeg. PŁYŃCIE! WASI TOWARZYSZE BRACIA I SIOSTRY WAM POMOGĄ! ORGANIZACJA ZNAJDZIE WAM SCHRONIENIE! PŁYŃCIE! Setki, może tysiące ludzi oblegały piaszczysty brzeg. Wszędzie patrolowali Czerwoni Khmerzy. Gdy pojawiała się łódź, ludzie biegiem rzucali się na pokład, taszcząc, co tylko mogli wziąć ze sobą – garnki, patelnie, poduszki. Większe przedmioty – materace, stoły, krzesła i obrazy – leżały porzucone na piasku. Łodzie wracały puste, po czym znowu wypełnione ludźmi oraz ich dobytkiem płynęły na drugą stronę. Mrówki dryfujące na liściach, pomyślałam. Oddalając się, wtapiały się w granatowe tło lasu o zmroku. Byłam ciekawa, co kryje się po drugiej stronie. Nowy świat? A może skraj tego świata?

Papa stanął obok mnie.

– Dokąd oni płyną? – spytałam. Bałam się, że też będziemy musieli odejść, że żołnierze wpadną

do domu i wyrzucą nas z powrotem na drogę.

Nie odpowiedział, w milczeniu patrząc na rzekę i śledząc wzrokiem ruch łodzi. Po jego twarzy przemknął cień. Zrozumiałam, że czuje to samo co ja.

– Mekong to potężna rzeka – odparł uroczyście. – Ma taką moc, że w każdą porę deszczową zmienia kurs innej rzeki. – Wskazał w stronę miasta. – Tonle Sap.

Dobrze znałam rzekę Tonle Sap, jak każde dziecko z Phnom Penh. Ciągnęła się wschodnim skrajem miasta przed pałacem królewskim. Jej brzeg był wymarzoną miejscem na przejażdżki rowerowe, puszczanie latawców lub wieczorny spacer. W czasie listopadowego Święta Wody ludzie zjeżdżali się z całego kraju, by oglądać wyścigi łodzi, a przede wszystkim oddać cześć wodnym duchom.

– W ciągu następnych paru miesięcy – ciągnął papa – gdy nadejdzie monsun, Mekong podejdzie tak wysoko, że woda ruszy pod prąd rzeką Tonle Sap aż do jeziora Tonle Sap tam, na północnym zachodzie.

Słuchałam uważnie w oczekiwaniu na opowieść o podwodnym królestwie zamieszkanym przez mityczne węże *naga*.

– Pod koniec pory deszczowej Mekong zacznie opadać i nagromadzone wody jeziora wpłyną z powrotem do rzeki Tonle Sap, zawracając jej nurt.

Wiedziałam o tym niezwykłym zjawisku, jednak zawsze przypisywałam je kierunkowi, w jakim płynęły węże *naga*. Tak opowiadała Mleczna Matka.

– W życiu jest tak samo – mówił papa, patrząc na rzekę. – Wszystko jest ze sobą powiązane i czasem potężny nurt niesie nas z dala od domu jak małe rybki...

– Jeśli rzeka nas tu sprowadziła – odezwałam się nieśmiało – popłyniemy z powrotem, gdy zmieni bieg.

Papa przeniósł wzrok na mnie. Uśmiechnął się i powiedział:

– Masz rację. Właśnie tak się stanie.

Z ulgą skinęłam głową.

Wziął mnie na ręce i choć nie lubiłam, kiedy mnie noszono jak dziecko, nie oponowałam, pokonana zmęczeniem. Przymknęłam oczy i oparłam mu głowę na ramieniu, a strzały huczały mi w głowie jak myśl tłukąca o czaszkę. Pod powiekami uwiązał mi widok zabitego starca.

W domu czekało nas wytchnienie od skwaru i zamieszania. Było chłodno i czysto dzięki staraniom żony sąsiada, która codziennie tu zamiatała, odkurzała i wietrzyła, zawsze gotowa na nasz przyjazd. Przyniosła jedwabne poduszki z wysokiej chińskiej skrzyni przy wejściu do salonu i rozłożyła je na krzesłach i sofach. Wśród jaskrawych kolorów poczułam się swojsko i bezpiecznie; przypominały mi dom w mieście i nasz ukwiecony dziedziniec. Z poduszką umościłam się w niskim fotelu przy drzwiach. Opodal bawili się bliźniacy. Wyszperali skądś miotłę i jeździli na niej po

pokoju jak na koniu. Kluczyli wśród mebli i bagażu, krzycząc „patataj!”. Radana ocknęła się z samochodowego otępienia i zeskoczywszy z siedziska, na którym ułożyła ją mama, domagała się udziału w zabawie, a gdy odmówili, tupnęła nogą z krzykiem: „Moje, moje!”. W tej samej chwili wszedł stryj z walizkami i na widok stroskanej miny mamy huknął: „Baczość!”. Bliźniacy zastygli w miejscu i rzuciwszy miotłę, stanęli wyprężeni, mali żołnierze pełni respektu dla znacznie większego dowódcy.

Papa zachichotał. Stryj ryknął śmiechem, po czym urwał równie nagle i znów się nasrożył, kiedy jeden z synów przestąpił z nogi na nogę. Warknął, na co chłopcy znów wyprężyli się jak struny, jeszcze bardziej wypinając pierś. Sprawiali wrażenie wręcz wrośniętych w ziemię. Stryjenka India – która swój przydomek zawdzięczała śniadej cerze oraz śpiewnej intonacji głosu – zasłoniła ręką usta, tłumiąc śmiech. Królowa Babka i Tata wymieniły na kanapie rozbawione spojrzenia, a stryj – pewien, że dopiął swego – ruszył z walizkami do sypialni.

Mama krążyła po domu, otwierając okna i drzwi. Przy każdej okiennicy wzdychała. Wstałam, dreptałam w ślad za nią, naśladowując każdy ruch. Spojrzała na mnie z uśmiechem. Dopóki się uśmiecha, wszystko będzie dobrze. Papa mrugnął, jakby czytał w moich myślach. Następnie, sięgając nad stołem, pociągnął za łańcuszek wiatraka u sufitu.

Zamarliśmy ze wstrzymanym oddechem w pełnym nadziei oczekiwaniu. Lecz drewniane skrzydła ani drgnęły. Tak jak przypuszczaliśmy, nie było prądu. Szwankował nawet w mieście.

– Pewnie usterki na linii – stwierdził papa, podchodząc do mamy. W przelocie uścisnął jej dłoń. – Poszukam świec w spiżarni. – I lekkim krokiem ruszył po schodach, pogwizdując cicho.

Podeszłam do Królowej Babki. Tata wyszła, żeby przygotować ich pokój, i babka poklepała poduszkę, zachęcając, żebym usiadła obok. Ale ja wolałam usiąść na chłodniejszej podłodze, z głową na kolanach babki.

– To też jest dom – powiedziała, gładząc mnie po włosach.

Bliźniacy podjęli zabawę, ujeżdżając niewidzialne konie i goniąc Radanę, która przejęła władzę nad miotłą. Czteroletni chłopcy nazywali się Sotनावong i Satiyavong, lecz ponieważ sięgali wysokiemu ojcu do kolan, ignorowano ich długie imiona i nazywaliśmy ich po prostu „bliźniacy” lub „chłopcy”. Na pytanie, który jest starszy, jeden odpowiadał: „Ja!”, na co drugi dodawał pospiesznie: „Ale tylko o czternaście minut i jedenaście sekund!”. Po czym zaczęli okładać się pięściami o pierwszeństwo, dopóki ktoś taki jak ja nie gasił ich stwierdzeniem, że nawet obaj nie liczą się jako jeden. Nic dziwnego zatem, że woleli towarzystwo mojej siostrzyczki. Ścigali ją na wyimaginowanych koniach, a ona uciekała na miotle i radośnie piszczała. Ale po raz pierwszy nie drażnili mnie hałasem. Zabawa całej trójki – nawet walka o głupią miotłę – stwarzała pozory normalności i było jak zawsze w czasie wspólnych wyjazdów.

Wyciągnęłam się na podłozde, przymknęłam oczy i pozwoliłam, by twardy chłód kafelków ukołysał mnie do snu.

Obudziwszy się, zobaczyłam Radanę na łóżku obok mnie i moskitierę rozpiętą nad nami. Rozejrzałam się po pokoju, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Po cichu, żeby nie obudzić siostry, wstałam i poszłam do salonu. W domu panował mrok, tylko z kuchni sączyło się przyćmione światło. Ruszyłam w tamtą stronę i zastałam mamę ze szwagierkami siedzące na niskich stołeczkach. Sortowały prowiant w poświęacie lampy naftowej. Stryjenka India opowiadała coś Tacie i mamie, kiedy jej wzrok padł na mnie stojącą w drzwiach.

– Jesteś! – zawołała melodyjnie. – Pewnie umierasz z głodu!

Podeszłam do mamy, spragniona jej bliskości. Śniła mi się Mleczna Matka. Była czarna jak noc i choć czułam jej obecność, nie mogłam jej dotknąć ani dojrzeć twarzy w ciemności.

– Wszyscy już jedli kolację – powiedziała mama, odgarniając mi kosmyk z oczu. Przysunęła dla mnie drewniany stołeczek. Usiadłam i przywarłam do niej. – Dobrze się czujesz? – spytała, biorąc mnie pod brodę.

Kiwnęłam głową, chciałam, żeby mówiła dalej. Jej głos mnie uspokajał, przeganiając lęki na skraj jawy i snu. Z uśmiechem podała mi talerz smażonego ryżu, który zostawiła z kolacji. Obrzuciłam go niepewnym spojrzeniem.

– Zjedz – zachęciła. – Od razu będzie ci lepiej.

– Nie chciałyśmy cię budzić, gdy zasnął na podłozde – wtrąciła Tata, patrząc na mnie spod przymrużonych powiek.

– Spałaś jak suseł! – dodała stryjenka India z perlistym śmiechem.

Po pierwszym kęsie zaburczało mi w żołądku. Na pewno jedliśmy obiad, ale nie mogłam sobie przypomnieć. Wszystko mi się mieszało. Jak długo spałam? Czy minął tylko jeden dzień, odkąd żołnierz załomotał do naszej bramy? Jadłam, a kobiety wróciły do sortowania prowiantu.

Mama już doszła do siebie, znowu była kobietą, która może sama poprowadzić dom lub urządzić huczne przyjęcie i wcale się przy tym nie spocić. Dyrgowała pozostałymi, decydując, co lepiej zatrzymać, a bez czego się obejdziemy, jak na przykład butelka brandy, którą stryjenka India przywiozła dla mężczyzn, lub nowa puszka z masłem, którą Tata przed wyjazdem porwała z lodówki. India, energicznie kiwając głową, zgadzała się na wszystkie sugestie i wskazówki, Tata zaś, wciąż niezmiennie królewska i dystygowana, oddała palmę pierwszeństwa o wiele młodszej bratowej i przyznała otwarcie:

– Co zrobilibyśmy bez ciebie, Aano? Właśnie, co ja sobie wyobrażałam? Masło w takim upale! Straciłam głowę w tym zamieszaniu.

– Nic się nie stało – odparła mama. – Przyda się jutro do gotowania, możemy zrobić naleśniki

z mango dla dzieci. Albo wymienić je na wołowinę u miejscowego rzeźnika. Tak samo brandy. – Zerknęła na Indię. – Jeśli jeszcze nie powiedziałaś panom.

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem. Ale zaraz znów zrobiło się poważnie, kiedy stryjenka India zapytała z wahaniem:

– Nie sądzisz, że bezpieczniej będzie zostać w domu?

Zapadła cisza. Mama spojrzała na mnie, jakby nie chciała, żebym przysłuchiwała się rozmowie. Ale pierwsza odezwała się Tata.

– Wiem, co masz na myśli. To potworne. – Potrząsnęła głową. – Wszędzie ich pełno, mordują na prawo i lewo. Barbarzyńcy, ot co.

– Mówią, że ludzie w okularach za dużo czytają – dodała India.

Spojrzałam na Tatę i zobaczyłam, że przestała nosić okulary na zawieszonym na szyi złotym łańcuszku. Potem przypomniałam sobie, że zdjęła je w samochodzie. I nagle powróciły do mnie wydarzenia całego dnia – wyjazd z domu, zatłoczone ulice, strzały i dramat na ulicach, wszechobecny chaos.

Przestałam jeść. Poczułam na sobie wzrok mamy.

– Już nie chcesz? – spytała zaniepokojona.

Potrząsnęłam głową. Zrobiło mi się niedobrze.

Znalazłam papę i stryja jak dwa cienie w wiklinowych fotelach na galerii, przy butelce czerwonego wina. W mroku żarzył się ognek papierosa w palcach stryja. Przed nimi płynął Mekong jak roziskrzony wąż, usiany punkcikami latarni na łodziach, które wciąż kursowały w poprzek rzeki. Wzdłuż brzegu rozpalono ogniska. Tu i ówdzie odcinały się sylwetki Czerwonych Khmerów z karabinami, czujnych jak zawsze. Z zawieszzonego gdzieś wysoko na palmie trzeszczącego głośnika płynęła pieśń:

Jesteśmy dziećmi rewolucji!

Musimy powstać! Do broni!

Idźcie wspaniałą ścieżką rewolucji!

Podeszłam do papy, który posadził mnie na kolanach.

– Nic z tego nie rozumiem... to bez sensu, Arunie – powiedział. Jego kieliszek stał nietknięty, a w kieliszku stryja ciemniała tylko obwódka na dnie.

Musimy pokonać wroga!

Zmiażdżyć go!

– Jedno jest jasne – oznajmił stryj, odsuwając rękę z papierosem, żebym nie wdychała dymu. – Wyciągną konsekwencje wobec wszystkich, którzy mają jakiekolwiek powiązania z republiką i monarchią. – Wstał z popielniczką w dłoni, zaciągnął się i wydmuchał dym. Następnie zgasił papierosa i wrócił na fotel. Stryjenka India mówiła, że palił w chwilach zdenerwowania.

Papa kiwnął głową.

– Czyli takich jak my.

Spojrzałam w nocne niebo, wypatrując znaków wśród gwiazd. Nocą nawet niebo snuje własną opowieść, mawiała Mleczna Matka. Mrugająca gwiazda oznacza, że narodzi się dziecko, a spadająca, że ktoś umarł i przechodzi na tamten świat. Ale teraz nie ujrzałam żadnego znaku, który potwierdziłby to, co wiedziałam – zastrzelą mnie, bo jestem zagorzałą czytelniczką i miłośniczką książek.

– Chcą zacząć od zera – dodał stryj ze zmarszczonym czołem. – Upłyną tygodnie, nawet miesiące, zanim odzyskamy możliwość powrotu. Tymczasem pod naszą nieobecność zostanie ustanowiony nowy porządek i powołana nowa władza.

– Ale po co pustoszyć miasto? – zadumał się papa.

– Chaos. To podstawa każdej rewolucji. Ta dopiero się rozpoczyna i nie jestem pewien, do czego dąży. Jeszcze nie nosi nazwy.

Dziwne, pomyślałam. Wszystko nosi nazwę. Nawet *preaty*, duchy skazane na głód i brak dachu nad głową, miały imiona. Żołnierze tak samo, i to niejedno: Czerwoni Khmerzy, komuniści, Khmer Rouge, żołnierze rewolucji.

– Nie miej złudzeń co do tych żołdaków, Klah. – Stryj zwrócił się do papy jego przezwiskiem, „tygrysie”. – To dzieci.

Raz jeszcze stanęła mi przed oczami twarz dziewczyny, która strzeliła starcowi w głowę. I pomyślałam, że wyraz jej twarzy, kiedy to robiła, gdy patrzyła, jak upadał na ziemię, nie miał nazwy. To nie był gniew, nienawiść ani strach. Wówczas przyszło mi do głowy, że ta dziewczyna to nie dziecko ani dorosły, lecz całkowicie odrębna postać, nie do końca nierzeczywista, tak jak potwór z koszmaru sennego.

– Widzisz, że to dzieci, prawda? – Stryj czekał na potwierdzenie.

Milczeli dłuższą chwilę, każdy zatopiony w myślach. Z głośnika nad rzeką śpiewał chór:

O rewolucjo, wielka i wspaniała!

Niech twój blask opromieni nasz naród!

Papa pierwszy przerwał ciszę.

– I co robimy? Zostajemy tutaj?

– Nie możemy – odparł stryj. – Prędzej czy później znów każą nam się wynosić.

– Ale dokąd mamy pójść?

– Nie wiem.

Śpiew ustał i z głośnika ryknął głos:

– Dzisiaj uwolniliśmy naród Kambodży! Siedemnasty kwietnia na zawsze wryje się w pamięć

każdego Kambodżanina! Niech żyje Socjalistyczna Rewolucja Kampuczy! Niech żyje Organizacja!
Niech żyje Demokratyczna Kampucza!

– Spodziewałem się, że będą raczej w naszym wieku albo nawet starsi – mruknął papa. – I mniej prymitywni w mowie i zachowaniu.

– Ajurawan... – W głosie stryja zabrzmiała nuta dezaprobaty wobec starszego brata. – To nie ci sami ludzie, z którymi studiowałeś we Francji filozofię, historię i literaturę. Ani ci, których zmagania i aspiracje próbujesz oddać w swojej poezji. To dzieci. Dostały broń i władzę, której nie są w stanie odpowiednio sprawować.

– Czy nikt nie sympatyzuje z ich sprawą? – zapytał z wahaniem papa. – Z ideałami, o które walczą?

– A jaka to sprawa? Nie wiemy, prawda? Dałbym głowę, że sami nie wiedzą. A co do ideałów, nie sądzę, aby znali znaczenie tego słowa.

Papa nie odpowiedział.

Następnego ranka obudziłam się zlaną zimnym potem. Stary nie żył. Zobaczyłam to we śnie. Zginął od strzału w głowę, a jego krew miała kolor nieba o świcie.

Minęło parę względnie spokojnych dni, po czym któregoś ranka usłyszeliśmy głośny tup na schodach.

– Idą, idą! – krzyknął nasz sąsiad blady ze strachu. – Idę Czerwoni Khmerzy! – I pobiegł dalej, nie czekając na odpowiedź papy.

Rzuciliśmy się do pakowania, łapiąc co popadnie. Nastąpiło takie samo szaleństwo jak za pierwszym razem. Nie było czasu myśleć ani dyskutować. Nagle huknęły strzały i nim zdążyliśmy się schować, do domu wpadło trzech żołnierzy, wymachując bronią i wrzeszcząc: **PRECZ STĄD! PRECZ!** Radana zawyła, bliźniacy uczepili się nóg stryjenki Indii, Królowa Babka zaczęła odmawiać buddyjską modlitwę za zmarłych, a Tata pojękiwała: „O nie, nie, nie, nie...”. Stryj coś wrzasnął i jeden z żołdaków zwrócił się w jego stronę.

– TY! – Mocno wcisnął mu pistolet w zębra. – **WYNOŚ SIĘ!** – Stryj niepewnie ruszył naprzód, z rękami w górze, ciężko łapiąc oddech. Żołnierz dalej krzyczał: – **PRECZ!**

Papa ujął moją dłoń i mocno ścisnął. Wyszliśmy za stryjem na zewnątrz, popychani przez żołdaków.

Uciekinierzy, którym pozwoliliśmy koczować na naszym podwórku, zniknęli. Dwóch żołnierzy skierowało się do domów sąsiadów, został tylko najmłodszy. Kazał stryjowi uklęknąć. Stryj usłuchał z wahaniem.

Chłopak, z pistoletem wymierzonym w jego skroń, przestępował z nogi na nogę, tocząc niespokojnie wzrokiem. Naraz jego uwagę przyciągnął błyskający w słońcu zegarek stryja. Omega Constellation. Papa miał identyczny; był to prezent od Królowej Babki dla synów. Powędrowałam wzrokiem na nadgarstek papy. Zegarka nie było. Musiał go zdjąć i gdzieś schować.

– **ŚCIAGAJ!** – krzyknął chłopiec. Stryj ani drgnął. – **ŚCIAGAJ, POWIEDZIAŁEM!** – ryknął żołdak.

Stryj opuścił ręce, zdjął zegarek i mu podał. Chłopak z nerwów upuścił omegę, a gdy schylił się, by ją podnieść, zza koszuli wypadł mu znaczek mercedesa – lśniący i okrągły – zawieszony na sznurku. Amulet, ukryty skarb. Pospiesznie wepchnął go z powrotem pod koszulę i schował omegę.

Oczy stryja powędrowały na maskę samochodu i z powrotem na chłopca, jakby chciał powiedzieć: To też możesz wziąć. Kpił? Uśmiech przemknął mu po twarzy i nie wiedziałam, co czuje i chce wyrazić. Chłopak był wyraźnie rozdarty, po czym nagle oprzytomniał i napluł stryjowi w twarz. Zastygł w oczekiwaniu, co olbrzym teraz zrobi. Stryj nawet się nie ruszył, ślina spływała mu po policzku.

Chłopak zarechotał, najpierw z przymusem, potem bardziej piskliwie, rozzuchwalony tym

spektaklem.

– IMPERIALISTYCZNA ŚWINIA! – Podniósł nogę i kopnął stryja w brzuch. Stryj padł na podłogę. Chłopak cofnął się kilka kroków, wciąż mierząc w nas z pistoletu, i dorzucił z bezpiecznej odległości: – ŚMIERĆ IMPERIALISTYCZNYM ŚWINIOM!

Wybiegł z naszego podwórka. Znów huknęły strzały. Papa zasłonił mi rękami uszy. Mama przycisnęła Radanę do piersi.

Ponownie nastała cisza. Nikt się nie poruszył, wszyscy milczeli. Nikt nie wiedział, co robić. Stryj wstał, podchwycił wzrok żony i bliźniąt, wpatrzonych w niego oczami pełnymi łez, i nagle twarz zadrżała mu z gniewu.

– Hańba kobiecie, która go urodziła! – zagrzemiał z furją, przerażający jak *yiak*, za którego zawsze go uważałam. Podniósł kamień i rzucił za żołnierzem.

– Arunie, błagam! – prosiła stryjenka India roztrzęsiona. – Bogowie słuchają. – Jej głos zatracił słowiczą melodię i pobrzmiwała w nim czysta zgroza. – Nie mów tak, bo cię usłyszą.

– Niech szeszna! – krzyknął z gniewem. – Do diabła z ich bogami i rewolucją! – Kopnął drzewko, po czym złamał je na pół i cisnął na drogę. Wreszcie, zawstydzony swym wybuchem, usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i włączył silnik.

W milczeniu pojechaliśmy za nim.

Nie ujechaliśmy daleko. Droga wzdłuż Mekongu znów była zatłoczona i zanim podjęliśmy decyzję, czy skręcić w prawo czy w lewo, zjawili się żołnierze z granatami i rozkazali wszystkim wysiąść.

Znaleźliśmy miejsce w cieniu drzewa deszczowego i szybko przejrzelśmy rzeczy – prowiant, przybory kuchenne, maty do spania, koce, ubrania i leki. Popakowaliśmy je w poręczne węzłki, pozbywając się ciężkich walizek. Poduszka Radany, zaszyta i ciężka od biżuterii, ocalała. Ale radyjko stryja, należący do papy gruby tom khmerskiej poezji i perłowa szkatułka mamy ze zdjęciami i korespondencją musiały zostać, rozrzucone na siedzeniach auta jak dary dla chciwego boga, który niewidzialny, ślinił się nad swoim łupem.

Z *Reamkera*, zabranego w ostatniej chwili tuż przed wyjazdem, wyrwałam kartkę ze złotą ilustracją Ajuthiji i wepchnęłam do kieszeni, recytując w myślach słowa, które znałam na pamięć: „Dawno, dawno temu istniało królestwo Ajuthija. Było najdoskonalsze z doskonałych”. Nie wypadało wrywać kartki z tekstem. Uznałam, że ten, kto znajdzie książkę, zechce przeczytać ją w całości.

Wszyscy wokół nas robili to samo, decydując, co zostawić, a co ze sobą zabrać. Dyskutowali, czy zamknąć samochody, czy żołnierze przypilnują dobytku w czasie ich nieobecności oraz kiedy nadarzy się okazja powrotu. Nie znali odpowiedzi.

Papa, ze zwiniętymi matami na plecach i dwoma ciężkimi workami na ramionach, wziął mnie na

ręce i przycisnął mocno do siebie. Mama, też objuczona tobołkami, niosła Radanę. Stryjenka India i Tata, prócz tego, co niosły, dźwigały po jednym z bliźniaków, a stryj, największy i najsilniejszy, niósł Królową Babkę na plecach, a na piersi bagaż. Zeszliśmy po mulistej skarpie na porośnięty namorzynem brzeg Mekongu, przytrzymując się gałęzi i siebie nawzajem, żeby nie upaść.

Na mieliźnie czekał rząd łodzi rozkołysanych jak hamaki, na głębszych wodach znajdowało się ich znacznie więcej. Odpływały pełne pasażerów i wracały puste. Nie było czasu do namysłu, czy to bezpieczne i czy jednostka nas tylu pomieści. Młody Czerwony Khmer skinął na nas i wskazał łódź, z wyglądu równie sponiewieraną jak rybak na pokładzie. Przeraziłam się, że wszyscy utoniemy. Już czułam, jak rzeka podchodzi mi do ust i nosa.

Gdy zbliżaliśmy się do długiego nabrzeża po drugiej stronie, stary rybak nakierował łódź na wielki kamień. Przed nami zebrali się ludzie wpatrzeni w coś, co woda wyrzuciła na brzeg. Rozległy się jęki. Mama odwróciła się do nas niepewna, czy wysiąść, twarz miała pozieleniałą od kołysania. Wstałam, chcąc się przyjrzeć, lecz papa posadził mnie z powrotem. Do grupy ludzi na brzegu podszedł żołnierz.

– Co się gapicie?! – huknął. – Ona nie żyje! Ruszcie się, zanim ktoś podzieli jej los! JAZDA! – Odwróciwszy się, machnął pistoletem w naszą stronę. – WYSIADAĆ! CZEKACIE, AŻ PODSTAWIMY KARETĘ? JAZDA!

Mama wysiadła, przyciskając do siebie Radanę, a my ruszyliśmy tuż za nią, obok ciemnej kupki leżącej na piasku. Papa zabronił mi patrzeć, ale zobaczyłam. Ciało. Spoczywało na mokrym piasku twarzą w dół, ze splotami jaśminu wokół szyi i wplątanymi we włosy. Nie widziałam twarzy, więc nie mogłam być pewna, czy to ta sama dziewczynka, którą widzieliśmy przed wyjazdem z Phnom Penh. Może nie. Jaśminowe girlandy sprzedawało codziennie mnóstwo dziewczynek. Ale przypominałam sobie jej głos i zadźwięczało mi w głowie wołanie do klientów: „Noworoczny jaśmin, noworoczny jaśmin!”.

Dwaj Czerwoni Khmerzy podnieśli ciało i rzucili w pobliskie krzaki. Wytarli ręce o liście, jakby dotykali śniętej ryby. Nadeszło więcej żołnierzy i ponaglało nas do pośpiechu. Młoda dziewczyna popchnęła mamę, wrzeszcząc: JAZDA, JAZDA! Radana krzyknęła ze strachu i objęła mamę za szyję. Czerwona wstążka na jej nadgarstku wyglądała jak amulet.

– JAZDA! – podchwycili inni żołnierze. – JAZDA!

Papa wziął mnie na ręce i zaczęliśmy piąć się po piasku ku ciemnej połaci lasu.

Prowadzili nas przez teren przypominający dżunglę. Pnącza straszyły kolcami jak ze stali, a każde drzewo wyglądało jak *jaksza*, olbrzymi strażnik strzegący wejścia do ukrytego świata. Mama krzyknęła, gdy coś, co brała za gałąź, umknęło jej spod stóp. Papa strzepnął skorpiona wielkości jaszczurki, który spadł mu na przedramię. Gdy zniecka runął na nas dzik, żołnierze otworzyli ogień.

Nie trafili, ale huk zrobił swoje i zwierzę umknęło w krzaki.

Brnęliśmy naprzód, złani potem i umęczeni skwarem, walcząc z głodem i pragnieniem. Dopiero wieczorem, gdy ponownie znaleźliśmy się nad wodą, stało się jasne, że dotarliśmy na drugi koniec wyspy. W pierwszej chwili pomyślałam, że to ocean, w życiu bowiem nie widziałam rzeki tak rozległej. Na oko było tu znacznie głębiej niż na rzece, którą przebyliśmy, ale papa oznajmił, że to wciąż Mekong. W mroku widzieliśmy pojedyncze światełka, bliższe to były zapewne barki oraz łodzie rybackie, a dalsze – osady na brzegu. Nie mieściło mi się w głowie, że w pobliżu znajduje się ktokolwiek inny niż *preaty*.

Przed nami majaczył zarys drewnianej łodzi wielkiej jak dom. Takimi jednostkami, powiedział papa, transportuje się bydło, dlatego były takie ogromne i bez okien. Ta miała teraz przetransportować nas. Czułam, że nie wytrzymam w tym grobowcu nawet sekundy.

– Spokojnie, to krótko potrwa – zapewnił.

Na pokładzie stała grupka Czerwonych Khmerów z pochodniami zwieńczonymi pomarańczowym płomieniem i słupem dymu. W powietrzu roznosiła się woń smoły i siana, a choć rzeka znajdowała się na wyciągnięcie ręki, w ogóle nie czułam jej zapachu. Smród ognia i spalenizny skutecznie wypierał pozostałe. Światła i cienie pełzały po powierzchni wody zaplątane w swoich objęciach, niczym wodne duchy w oczekiwaniu na nocny żer.

Znowu musieliśmy stanąć w kolejce. Żołnierze nie odzywali się, pochrząkiwali tylko, popychając nas. Sprawiali wrażenie młodszych i bardziej małomównych niż ci, których spotkaliśmy wcześniej. W czasie przeprawy przez wyspę prawie nie rozmawiali ze sobą, a co dopiero z nami. Drzwi podziurawione w miejscach, gdzie drewno zbutwiało, kołysały się w czeluściach łodzi niczym język wystający z rozwartych ust. Dwóch Czerwonych Khmerów pilnowało wejścia; jeden trzymał pistolet z długą lufą, a drugi pochodnię z kopącym płomieniem. Ludzie mijali ich kolejno i znikali w ciemności.

Gdy przyszła nasza kolej, papa podwinął spodnie i ze mną w ramionach przeszedł przez wodę do drewnianej kładki. Mama z Radaną podążyły tuż za nami. Uzbrojony żołnierz zatrzymał nas w drzwiach i lufą zagroził drogę.

– Co to? – spytał, wskazując metalową kłamrę na mojej prawej nodze.

– Ułatwia córce chodzenie – odpowiedział papa.

– Jest kaleką?

– Nie! – burknęłam urażona.

Żołnierz łypnął na mnie. Spuściłam głowę.

– Miała polio – wyjaśnił papa.

Tamten przeniósł na niego wzrok.

– Wrzuć to do wody.

– Towarzyszu, proszę...

– Zdejmij i wrzuć do wody! Nie potrzebujemy takich wynalazków!

– Ale...

– Organizacja ją wyleczy!

Trwało to całą wieczność, ale w końcu papie udało się zdjąć klamrę i wrzucił ją do wody. Zatonęła. Nigdy nie będę chodzić jak mama, pomyślałam. Zawsze nienawidziłam tej klamry, lecz teraz zapragnęłam jej z powrotem. Przynajmniej pozwolili mi zatrzymać buty. Żołnierz cofnął broń i nas przepuścił.

W łodzi było ciemno, świeciła tylko jedna mała lampa naftowa zawieszona na środkowej belce wysoko w górze. Nie mogłam oddychać. Cuchnęło skisłym sianem i oborą, jakbyśmy znaleźli się w brzuchu krowy. Na drewnianej podłodze upstrzonej ciemnymi plamami leżały klatki, skrzynie, wiadra i bale słomy. Znaleźliśmy miejsce opodal wielkiej klatki do przewożenia drobiu. Papa przesunął ją na bok, a stryj wysypał podłogę czystym sianem, żebyśmy mogli usiąść. Ucieczka nie wchodziła w rachubę. Wysoko po obu stronach widniały niewielkie okrągłe otwory. Nasza jedyna łączność ze światem. Nie odrywałam od nich oczu.

Weszła ostatnia osoba. Zatrzaśnięto drzwi, odcinając odwrót. Nikt nas nie usłyszy, pomyślałam w przypływie paniki. Nikt nie dowie się o naszym istnieniu. Otworzyłam usta i wrzasnęłam co sił w płucach.

– Lepiej ci? – spytał papa, kiedy ucichłam.

Kiwnęłam głową.

– To dobrze – stwierdził, czochrając mi włosy. – Bo mnie przestraszyłaś.

Zdawało się, że minęła cała noc, zanim przybiliśmy do brzegu. Wytoczyliśmy się na prowizoryczne molo obok małej wioski. Pokryte strzechą chaty stały na palach sterczących z wody, widzieliśmy też łodzie z plecionymi baldachimami z ratanu i sampany z żaglami jak skrzydła. Tu i tam błyskały światła i dostrzegaliśmy w półmroku sylwetki ludzi – rybaka czyszczącego sieć, kobietę kąpiącą się z dzieckiem na zatopionych schodach domu, rodzinę przy kolacji, w sinym blasku lampy naftowej. Obserwowali nas z daleka, z lekkim zaciekawieniem i bez zdziwienia, jakby od początku spodziewali się naszego przyjazdu. Ale nikt nie pozdrowił nas gestem ani okrzykiem. Mimo to cieszyłam się otwartą przestrzenią. Były gwiazdy na niebie, świeże powietrze. Ludzie. Drzewa. Trawa. Czułam się tak, jakby połknął nas morski potwór, a teraz wypluł całych i zdrowych. Wreszcie poczułam też woń rzeki, a wraz z nią nikły zapach monsunu. Czy padało, kiedy płynęliśmy? Marzyłam o deszczu. Chciałam zmyć z siebie smród łajna.

Na drewnianej kładce drogę oświetlały nam dwie pochodnie. Szłam powoli, uważnie, dla pewności uczepiona ramienia papy. Bez metalowej klamry moje ortopedyczne buty były praktycznie

bezużyteczne, zwłaszcza sandały. Prawa noga szybko się męczyła, ale szłam, odurzona świadomością opuszczenia łodzi dla bydła.

Na brzegu czekało na nas wielu Czerwonych Khmerów z karabinami na plecach. Poprowadzili nas z dala od wioski, na polanę pośród palm kokosowych.

– Niech nikt się stąd nie rusza – oświadczył dowódca. – Jak ktoś spróbuje uciec, rozstrzelamy całą rodzinę. I nie bratać się z miejscowymi. My decydujemy, z kim możecie utrzymywać kontakt i dokąd pójdziecie. Nieposłuszeństwo będzie karane śmiercią.

Ludzie pospiesznie zaczęli zajmować miejsca jak najbliżej wody. Bez kłótni i przepychanek.

– Nie warto zarobić kulki – rzekł jakiś mężczyzna do żony. – Co to za różnica gdzie, i tak wszyscy śpimy na ziemi.

Znaleźliśmy miejsce parę metrów od rzeki, obok palmy pochylonej nad wodą. Papa i stryj odłożyli ciężkie tobołki i natychmiast przystąpili do rozbijania obozu. Kuchennymi nożycami wycięli zarośla i pnącza, sprawdzili, czy w trawie nie ma skorpionów. Stryj włączył bliźniaki do pomocy przy usuwaniu śmieci. Tymczasem Królowa Babka i Radana rozsiadły się wśród tobołków i gdakały do siebie jak para bażantów, zadowolone z odpoczynku. Papa rozłożył matę, żeby babka miała się gdzie położyć. Parę kroków dalej mama rozpałała ognisko. Połamała parę suchych gałęzi, ułożyła z nich stosik i podpaliła zapałką. Płomienie wzbity się w górę i pofrunęły iskry. Na trzech kamieniach postawiła czajnik napełniony wodą przyniesioną z rzeki. Znów wzięła sprawy w swoje ręce, decydując, co zjemy z naszych wątych zapasów i w jakiej ilości. Między szwagierki rozdzieliła część obowiązków, żeby ich zanadto nie przytłoczyć. Dotąd wszyscy mieliśmy służących, a tu nagle znaleźliśmy się bez rąk do pomocy i bez dachu nad głową.

Tata przygotowywała ryż. Odwiązała woreczek, odmierzyła rondlem ilość określoną przez mamę i opłukała ziarna. Stryjenka India wycierała liściem bananowca suszoną rybę z nadmiaru soli. Mama pokazała jej, jak umieścić pasek ryby w rozwidleniu gałązki, związać końce kawałkiem pnącza i oprzeć o czajnik, żeby mięso się upiekło. Kiedy stryjenka pojęła, co trzeba zrobić, mama rozpałała drugie ognisko na ryż.

Wszyscy wokół nas robili to samo i niebawem całe obozowisko zatętniło życiem. Ludzie pożyczali sobie garnki i rondle, kubki i talerze, koszyki i noże. Wymieniali się prowiantem – puszka mleka skondensowanego za kubek ryżu, ząbek czosnku za łyżeczkę cukru, sól za pieprz, suszona ryba za jajka w marynacie. Zapanowała atmosfera jak na targowisku, a łuna ognisk nadała wszystkiemu odświeżony charakter.

Nawet Czerwoni Khmerzy, patrolujący obrzeża obozowiska, nie sprawiali wrażenia tak groźnych jak na początku. Podzielili się na mniejsze grupy i z daleka wyglądali jak my, jak rodziny zebrane przy wspólnym posiłku. Chociaż nie słyszałam, co mówią, widać było, że żartują między sobą. Czasem gruchnął śmiech niczym daleki huk grzmotu. Budzili we mnie zaciekawienie i strach.

Papa przyniósł kokos.

– Patrzcie, co mam na przystawkę! – Naciął orzech i pociągnął mocno za włochatą część, odsłaniając twardą wewnętrzną skorupę. Rozłupał ją, wlał sok do miski, wypił łyk i podał mi resztę.

W tej samej chwili z trawy pod pośladkami mamy wyskoczyła żaba wielkości mojej pięści i wylądowała na przechylonej palmie. Papa i ja zdumieni wymieniliśmy spojrzenia i wybuchnęliśmy śmiechem. Mama z zakłopotaniem zmarszczyła brwi. Odwróciła się do nas tyłem, udając, że nie zna powodu naszej wesołości.

– Gdyby siedziała pode mną, byłaby trupem! – krzyknął papa. – Pomyśleć, że mielibyśmy faszerowaną żabę na kolację! Delicje!

– Bzdury opowiadasz! – burknęła mama. Ale mimowolnie też zachichotała.

Papa związał się ze śmiechu, jakby pobyt tu, w głuszy, uwolnił jego dziką naturę. To było zaraźliwe i po chwili wszyscy zaczęli się śmiać. Nawet Radana. Skakała jak piłka, co rozbawiło nas jeszcze bardziej.

Wreszcie papa opamiętał się i ocierając załzawione oczy, podniósł kokos, który sturlał się na bok.

– Masz ochotę, skarbie? – spytał mamę, siląc się na poważny ton. Znów ryknął śmiechem, ale pod spojrzeniem mamy zaraz mu przeszło. Popatrzył na mnie. – Chcesz?

Chciałam. Mleczko kokosowe zaostriło mi apetyt.

W czasie przeprawy przez wyspę pozwalano nam jedynie na szybkie posiłki, złożone z paczuszki ryżu i pieczonej ryby, rozdawane przez żołnierzy. Mówili, że to żywność od Organizacji, a ja wyobrażałam sobie Organizację w postaci korpulentnej kucharki podobnej do Om Bao, siedzącej w jakiejś kuchni, owijającej ryby i ryż w liście lotosu oraz smakującej wszystko w otoczeniu stosów paczek. Gdzie jest teraz to łapczywe bóstwo? Pożera żywność przeznaczoną dla nas?

Papa oddzielił biały miąższ od łupiny, połamał na kawałki i nadziawszy je na patyki, podał każdemu z nas. Trzymaliśmy je nad ogniem. Pachniało pięknie. Po skończonym opiekaniu zdjęłam swój kokos z patyka i wbiłam w niego zęby, nie czekając, aż ostygnie.

Wrócił stryj z jeszcze dwoma kokosami, a za nim bliźniacy, dźwigając po jednym. Zjedliśmy wszystkie w oczekiwaniu na kolację.

– Słuchajcie! – zawołał dowódca Czerwonych Khmerów. Stał na środku obozowiska w otoczeniu całego oddziału, a cienie i blask z ogniska ślizgały się po jego twarzy, jakby zmieniał maski. Ludzie przysunęli się bliżej, aby lepiej słyszeć. – Jutro zostaniecie przeniesieni w następne miejsce...

– Następne? – przerwał mu ktoś z tłumu. – A dom? – Jakiś mężczyzna wstał, trzęsąc się z tłumionego gniewu. – Kiedy wrócimy do Phnom Penh?

– Nie ma powrotu – odwarknął dowódca. – Rozpoczniecie nowe życie...

– Jak to? Nowe? – spytał ktoś inny, a za nim następni, dając upust wściekłości. – Co z naszym domem? Co mamy robić w tej głuszy? Chcemy wracać do miasta! Chcemy wracać do domu!

– Miasto jest puste! – zagrział dowódca. – Nie ma do czego wracać! My decydujemy, gdzie jest wasz dom!

– Przecież powiedziano nam, że będziemy mogli wrócić! Trzy dni, mówiliście. Trzy dni! Minęło już więcej! Chcemy wracać do domu!

– Zapomnijcie o domu! – huknął Czerwony Khmer. – Tu zbudujecie nowe życie, na wsi!

– Na tym pustkowiu?! Nie chcemy zostawiać naszych domów ani żyć tutaj!

– To rozkaz Organizacji!

– Organizacja, Organizacja! – krzyknął jeszcze ktoś. – Co lub kto za nią stoi?

– Właśnie, powiedzcie nam! Chcemy zobaczyć jej twarz! Chcemy wiedzieć!

– Powiedzcie nam coś, w co możemy wierzyć!

– Tak, mamy dosyć tych waszych czerwonych kłamstw!

Huknął strzał.

Głosy ucichły. Nikt się nie poruszył. Dowódca opuścił broń.

– Zostaniecie tu i zrobicie, co wam każemy, rozumiano? – Czekał na odpowiedź.

Wszyscy milczeli. Podniósł się szmer niezadowolenia.

– ZROZUMIANO?! – ryknął, grożąc pistoletem tym, którzy stali przed nim.

Ludzie posłusznie skinęli głowami.

Dowódca opuścił broń. Odwrócił się, jakby chciał odejść, ale zaraz spojrzał przez ramię.

– Jesteśmy żołnierzami rewolucji. Jeszcze jedno słowo o „czerwonych”, a zostaniecie rozstrzelani.

I poszedł.

W całym obozie zapadła cisza. Minęło dużo czasu, zanim ktokolwiek zasnął.

Nadjechał wojskowy furgon o wyglądzie wielkiej sterty złomu, cuchnący benzyną i paloną gumą.

Znów zjawił się dowódca i oznajmił przez megafon:

– Niedługo podzielimy was na dwie grupy. Niech zgłoszą się osoby, które mają w okolicy jakichś krewnych. Zostaną odwiezieni do wskazanej miejscowości lub wioski. Jeśli ta miejscowość lub wieś znajduje się daleko, pojedą wozami zaprzężonymi w woły. Jeśli blisko, pójną pieszo. Ci z was, którzy nie mają w okolicy żadnej rodziny, będą kontynuować podróż ciężarówką do czasu otrzymania dalszych rozkazów od Organizacji.

Pospiesznie zjedliśmy poranny posiłek, spakowaliśmy się i przygotowaliśmy do wyjazdu. Nadeszli pozostali żołnierze rewolucji z bronią i zaczęli dzielić ludzi na dwie grupy. Ponieważ nie mieliśmy żadnych krewnych w okolicy, znaleźliśmy się w grupie przypisanej do furgonu, który

z bliska okazał się jeszcze bardziej przerażający. Miał zabłoconą podłogę, wgniezione metalowe siedziska, nadpaloną plandekę i boki podziurawione od kul; drzwi pewnie stracił w jakimś wybuchu. Wyglądał, jakby przebył piekło i miał tam wrócić, tym razem wioząc nas ze sobą.

– Nic się nie martw. – Papa wziął mnie na ręce. – Jestem przy tobie.

Kiedy usiedliśmy, obejrzałam się na rząd wozów zaprzężonych w woły, o ileż bardziej przyjaznych od tej pokierszowanej maszyny. Za nami wsiadali następni. Gdy wszyscy już siedzieli ściśnięci jak sardynki w puszcze, furgon zatrąbił jak słoń bojowy i ruszył naprzód.

Kwiaty tulipanowców przy drodze wyglądały jak lampiony stanowiące ofiarę ognia dla bogów. Wkrótce wjechaliśmy w gęste zarośla, widzieliśmy już tylko las, niebo i połączenie wody. Czasem rosło pośrodku drogi młode drzewko. Pewnie od miesiący nie przejeżdżał tędy żaden pojazd. Nasz kierowca i towarzyszący mu czterej żołnierze rewolucji – dwaj siedzieli z przodu, dwaj na dachu – kolejno wysiadali i ścinali drzewko siekierą. Kiedy natrafialiśmy na zarośnięty gąszcz, wszyscy wysiadali i pomagali przy oczyszczaniu drogi. Gdy mijaliśmy pola ryżowe, często musieliśmy czekać, aż całe stado krów przejdzie na drugą stronę i zawsze któreś zwierzę stawało na środku i gapiło się idiotycznie, dopóki nie przyszedł pasterz – zwykle mały chłopiec jak leśny duch – i nie odciągnął go na bok. Wiosek było niewiele, jedna mniejsza od drugiej.

Pośród plantacji kauczuku, gdzie drzewa stały okaleczone i krwawiące białą krwią, przejeżdżaliśmy małymi drewnianymi mostkami. Niektóre omijaliśmy, bo według żołnierzy mogły być zaminowane. Kiedy jeden z nich dla żartu klasnął w rękę, naśladując odgłos wybuchu, drugi z dezaprobatą dźgnął go łokciem w żebra, za co pierwszy nie pozostał mu dłużny. Poszturchiwali się tak, a my patrzyliśmy. Przyszło mi do głowy, że są całkiem zwyczajni w swych wygłupach. W którymś momencie zaczęli z nami rozmawiać i dowiedzieliśmy się, że są chłopcami ze wsi. Przystąpili do rewolucji, bo – jak ujął to jeden z nich – „karabiny są lżejsze niż orka”. Byli pełni podziwu dla kierowcy, który umiał prowadzić furgon. Mówili, że większość towarzyszy do niedawna nie widziała samochodu, ciężarówki ani motoru, a co dopiero siedziała za kierownicą. Niektórzy jednak, tacy jak nasz kierowca, musieli się szybko nauczyć, gdy zaczęli odbierać pojazdy wrogom. Na pytania, czy tęsknią za rodziną, wrzuszali ramionami, markując obojętność, i milkli na dłuższy czas. Ale zaraz furgon skakał na wybojach, oni zderzali się ramionami i znów zaczęli błaznować.

Widząc, jak im się przyglądam, mama delikatnie ściągnęła moją głowę na swoje kolana. Nie oponowałam, tylko zwinęłam się w kłębek między rodzicami i położyłam stopy na kolanach papy. Długo tak leżałam, otwierając i zamykając oczy, budząc się i zasypiając, a krajobraz falował w moich oczach jak prześcieradło wydymane wiatrem.

Kiedy słońce zaświeciło wysoko nad naszymi głowami, stanęliśmy w wiosce nad strumieniem na kolejny posiłek złożony z ryżu i ryb, dostarczonych przez grupę żołnierzy rewolucji, którzy tak jak poprzedni też pojawili się znikąd. Mało rozmawialiśmy. Zjedliśmy szybko, podwinęliśmy nogawki spodni i rękawy i pobiegliśmy się ochłodzić w strumieniu. Mama nabrała ręką wody i zmoczyła włosy swoje i Radany. Papa dał mi swoją namoczoną *kromę*, żebym położyła ją sobie na głowie. Zdjął koszulę, namoczył ją i włożył z powrotem. Stryj złapał synów i zanurzył ich całych, z ubraniami. Kierowca nacisnął klakson. Mokrzy, ale odświeżeni pospieszyliśmy do furgonu.

Znów ruszyliśmy w podróż. Znów widzieliśmy lasy, rzeki i pola ryżowe, które pojawiały się i znikwały za horyzontem. Pękała mi głowa; próbowałam zasnąć, ale nie mogłam. Ilekroć przysypiałam, budziły mnie duszności. Dusiałam się od natłoku łokci dokoła, zapachu potu i grubej warstwy czerwonego pyłu, który pokrywał moje usta, język, nozdrza i zalegał w uszach.

Wreszcie, kiedy wydawało się, że dotarliśmy na skraj świata, jeden z żołnierzy oznajmił, że jesteśmy w Prey Veng, prowincji, której nazwa oznacza Bezkresny Las. Po lewej stronie drogi widniała arkada z napisem „Wat Rolork Meas” starokhmerską czcionką. Nasz furgon zakręcił i ruszył wąskim przejściem, szorując bokami o kaktusy okalające drogę. Parę pól trzciny cukrowej i sadów nerkowca dalej droga doprowadziła nas do małej miejscowości, gdzie w oddali wznosiło się skupisko drewnianych domów, a opodal połyskiwała buddyjska świątynia, jak sen w słońcu późnego popołudnia.

Przy wejściu do świątyni leżał przewrócony posąg Idącego Buddy, jakby Mara, bóstwo namiętności i kusiciel człowieka, przechodził obok i zepchnął go z kamiennego cokołu. Dwie małe figurki poruszały się pod wielkim drzewem banianu i ospale wyszły nam na spotkanie, przeciągając się i ziewając, z karabinami zwieszonymi z ramion ukośnie, żeby lufy nie haczyły o ziemię. Żołnierze z naszej eskorty wyskoczyli i otrzepali się z kurzu. Rozmówili się z tamtymi i potwierdziwszy, że jesteśmy we właściwym miejscu, kazali nam wysiadać.

Wszyscy z namaszczeniem omijali przewróconego Buddę, unikając przechodzenia mu nad głową. Starsi w geście *sampeah* uklonili się i wymamrotali modlitwę. Młodzi żołnierze zachowywali się inaczej – jeden splunął na pień banianu, drugi smarknął na ziemię tuż obok posągu. Ruszyliśmy za nimi w stronę głównej sali modlitewnej, która nie wychodziła na drogę, jak to zwykle bywało, lecz stała równolegle do niej, nieco wyżej niż sąsiadujące budynki. Miała dach pomalowany na złoto oraz szczyty rzeźbione na kształt skrzydeł albo płomieni. Zewnętrzne kolumny oplecione były dwoma wężami *naga* z mozaiki, ich głowy strzegły wejścia na schody od frontu, a ogony spletały się z tyłu. Na podłodze wyłożonej wzorzystymi kafelkami siedział złoty posąg Buddy ze wzrokiem utkwionym ponad lotosowym stawem ku odległym bagnom i dżungli.

Podążyłam za jego wzrokiem. Soczysta zieleń świadczyła, że deszcz zawitał tu wcześniej niż w naszej części kraju. Lotosy wypełniały staw, na moczarach rozkwitały lilie wodne i hiacynty, a pola ryżowe strzelały źdźbłami po kolana, gęstymi jak dziecięce włosy. Czytałam kiedyś o przedmonsunowych chmurach, które zbierały się w jednym miejscu i pękały jak przekłute balony z wodą, doszczętnie przemaczając wszystko, podczas gdy kawałek dalej ziemia była sucha jak pieprz, a słońce świeciło jakby nigdy nic. Wyobraziłam sobie małe *tevody* unoszące się w obłokach nad nami i sprawdzające dojrzałość chmur końcami złotych oszczepów.

Wiał chłodny wietrzyk, kołysał liśćmi lotosu i zraszał kroplami wody połacie zieleni. Gdzieś

odezwała się żaba: kum, kum, a ropucha jej odpowiedziała: reche, reche. Kum, kum! Reche, reche! Raz jedna, raz druga, jakby komunikowały innym zwierzętom oraz niewidzialnym duchom najście intruzów.

Zawsze kochałam świątynie. Papa nazwał mnie Vattaaraami, co oznacza w sanskrycie Mały Ogród przy Świątyni. Ilekroć wchodziłam do sanktuarium, nawet jeśli widziałam je pierwszy raz, odnosiłam błogie wrażenie, że wracam w miejsce, które znam z innej epoki, innego życia. Czemu w tej świątyni było tak pusto i cicho?

Wyglądała bogato, choć znajdowała się na takim odludziu, a zarazem wydawała się porzucona, jakby jej mieszkańcy wyjechali w pośpiechu. Znikli z powierzchni ziemi. Brakowało rozchichotanych dzieci, mnichów głoszących nauki dharmy, mieszkańców wioski rozgadanych na schodach sali modlitewnej. Tylko echo, nic więcej.

Wyczułam czyjąś obecność.

– Jest tu ktoś? – wyszeptałam.

Cisza, gdzieniegdzie tylko głuchy rezonans echa w pustce.

Na prawo od stawu znajdowała się biała stupa, kopuła w kształcie dzwonu z długą iglicą, która wznosiła się i zaostrzała, łącząc z niebem. W stupach przechowywano relikwie Buddy, skrawek ubrania, ząb, włos lub, jak mówił papa, nasze marzenie o wieczności i nieśmiertelności. Patrząc na rozmiary tej stupy, doszłam do wniosku, że mieściła wszystkie możliwe życzenia żywych i umarłych, których prochy znajdowały się pewnie w otaczających ją *chedi*, mniejszych stupach.

Na lewo od stawu stały cztery budynki w kolorze musztardowym, z drewnianymi okiennicami, podobne do mojej szkoły w Phnom Penh. Tworzyły kwadrat, pośrodku którego stał maszt, wysoki i smukły, z postrzępioną flagą na szczycie, obok zaś widniał plac wydeptany przez dzieci. Moje spojrzenie padło na planszę do gry w klasy wyrysowaną w ziemi. Na środku leżał kamyk w miejscu, gdzie przerwano zabawę. Zastanawiałam się, kto bawił się tu ostatni. Ponownie zdało mi się, że słyszę echo. Może duchy szeptały mi do ucha, może własne myśli pulsowały mi w głowie. Podniosłam kamyk i schowałam do kieszeni na szczęście. Niech mnie chroni od złego.

W szkolnych budynkach było więcej klas niż naszych rodzin, mieliśmy dużo miejsca i mogliśmy wybierać do woli. Ale skąd brało się poczucie, że naruszamy czyjąś przestrzeń? Czemu wydawało mi się, że jesteśmy obserwowani?

Nasza rodzina wybrała salę z rzędem okien wychodzących na ryżowe tarasy, bagno i leśny gąszcz rozciągający się dalej. Ławki znikły, pozostawiły tylko zarysy na wykafelkowanej podłodze. Ostała się tablica, gdzie na górze ktoś – może nauczyciel, mnich uczący w szkole – napisał „Wiedza płynie z...”, każde słowo w innym kolorze. Resztę zmazano, pozostawiając tęczę kredy.

Złożyliśmy nasze rzeczy w jednym kącie i rozejrzeliśmy się wokoło. Nic wielkiego, tylko pusty pokój, ale lepsze to niż spanie pod gołym niebem wśród krwiożerczych owadów. Każdy miał

wystarczająco miejsca dla siebie, a zarazem był blisko pozostałych. Stryj otworzył listewkowe drzwi – prowadziły do drugiego, mniejszego pomieszczenia. Pewnie służyło jako schowek, magazyn, lecz ogołocono je ze wszystkiego. Tata zaproponowała, byśmy je zajęli, nim ktoś nas uprzedzi. Na wszelki wypadek postanowiliśmy jednak przechowywać tam tylko nasze rzeczy, a spać razem. Bliźniacy, którzy przespali niemal całe popołudnie w furgonie, nie mogli usiedzieć w miejscu i biegali tam i z powrotem, a za nimi Radana. Stryj wykorzystał ich nadmiar energii, zaprzęgając całą trójkę do pomocy. Chłopcy dostali zwiniętą matę – tę, na której jedliśmy posiłki – z poleceniem zanieśienia jej do mniejszej sali. Radanie wręczył garnek i moja siostrzyczka pobiegła za kuzynami, brzęcząc pokrywką.

Papa, który na chwilę wyszedł na zewnątrz, wrócił z dwiema słomianymi miotłami, garścią szmat i wiaderkiem wody. Razem odkurzaliśmy, zmiataliśmy i szorowaliśmy. Przy wejściu widniało kilka czerwonych plam – od farby, a może zaschniętej krwi – w kształcie rąk i palców widmowo rozciągniętych po ścianie.

Widząc, że przyciągają mój wzrok, papa podszedł z mokrą szmatą i szorował, póki nie złączyły się w różowy kleks na tynku. Potem podszedł do tablicy. Jego spojrzenie powędrowało na wysoko umieszczony napis, „Wiedza płynie z...”. Odłożył szmatę i kawałkiem kredy dokończył zdanie, brzmiało teraz: „Wiedza płynie z nauki, a kto szuka, ten znajdzie”.

Rozpakowaliśmy rzeczy i rozłożyliśmy słomiane maty. Słońce zaszło, niebo pociemniało, przybierając odcień skóry bawołu. Mama zarządziła przygotowania do kolacji. Żołnierze rewolucji tym razem nie dostarczyli nam prowiantu. Stryjenka India proponowała, żeby poczekać, może jeszcze przyjdą. Stryj przypomniał jej, że ci chłopcy nie wyglądali na zdolnych zatroszczyć się o siebie samych, a co dopiero o nas.

– Mielibyśmy więcej szczęścia, gdybyśmy byli pod opieką żab – dodał, mrugając do mnie.

– Kum, kum – wtrącił papa.

– Uspokójcie się obaj! – zgaśniła ich mama.

Bliźniacy i Radana zaczęli skakać jak żaby po całej sali. Ponownie wybuchnęliśmy śmiechem, Tata najgłośniej. I równie nagle zaczęła płakać.

– Nigdy nie wrócimy do domu, prawda? – wyszlochała. – Przyjdzie nam tu umrzeć. – Trzęsła się cała. Moja niezłomna ciotka, zawsze twarda i pewna siebie, zamieniła się w kupkę nieszczęścia. Nie wiedzieliśmy, jak zareagować.

Radana przydreptała na tłustych nóżkach, chwyciła Tatę za szyję i cmoknęła ją w policzek jak lalkę.

– Tata boli? – spytała. Tata pokiwała głową. Radana cmoknęła ją jeszcze raz i wydymając policzki, zdmuchnęła ból. – Już! – oznajmiła wesoło, rozkładając rączki.

Mamie łzy napłynęły do oczu. Odwróciła się i wyszła, zabierając ze sobą ryż i garnek.

Otoczył nas mrok, tylko mały płomień ogarka przyniesionego przez papę z sali modlitewnej pełgał w kącie. Gdy kładliśmy się do snu, czułam wśród nas obecność duchów, których cienie pokrywały się z naszymi cieniami, a szepty powtarzały nasze myśli: Wiedza płynie z nauki, a kto szuka, ten znajdzie...

Raami! – wołały duchy. Raami, obudź się!

Uniosłam powieki i w ciemności zobaczyłam twarz papę.

– Wstań, kochanie – szepnął. – Chcę ci coś pokazać. Chodź, zanim zniknie.

Usiadłam, przecierając oczy, i wyskoczyłam spod moskitiery, której skraj uniósł przede mną. Wziął mnie na ręce i na palcach przeszedł do drzwi.

Świat o brzasku miał odcień niebieskawej szarości, jakby ubrał się w ciemną suknię przetykaną koronką mgły. Ziemia była mokra, a powietrze zachowało wspomnienie deszczu, który zawitał nocą jak gość, budząc mnie swym tupotem, a gdy znów zasypiałam, gładko wkradł się w mój sen.

Papa postawił mnie na ziemi i ruszyliśmy przez sito mgły, a chłodne powietrze, które wypełniało moje nozdrza i płuca, rozbudziło mnie na dobre. Świat trwał bez ruchu. Przez otwarte okna i drzwi szkolnych budynków widziałam moskitiery i słyszałam zbiorowy oddech ludzi śniących ten sam sen. Cała okolica zdawała się zaczarowana, otulona spokojem gęstym jak mgła.

Dotarliśmy do sali modlitewnej i nagle stało się tak, jakbyśmy przestąpili próg mitycznego królestwa z *Reamkera*. Wstęgi mgły miejscami gęstej jak para wiły się pomiędzy kolumnami i balustradami aż do sufitu, a potem znowu w dół w stronę stawu, gdzie zbierały się w luźnych zwojach niczym zarys dymu za znikającym smokiem.

– Ajuthija – szepnęłam cichutko, bo się bałam, że wystarczy jedno zbyt głośne słowo, a wszystko się ulotni. Nie mogłam znaleźć kartki z *Reamkera*, pewnie wypadła mi w czasie jazdy z kieszeni. Ale nie potrzebowałam ilustracji; dokładnie tak sobie wyobrażałam rajską krainę. – Jak pięknie.

– Prawda? – Papa ścisnął moją dłoń. – Dlatego chciałem, żebyś to zobaczyła. – Powoli wypuścił oddech, który zmieszał się z oparami dokoła. – Umieć wyobrazić sobie niebo to dar, a zobaczyć je – odrodzenie.

– A więc to jest niebo? – spytałam niepewna, czy to jawa, czy sen.

– Przynajmniej jego odbicie. Skoro widać je na ziemi, gdzieś naprawdę istnieje. – Spojrzenie papę powędrowało do dwóch rzeźbionych węży wzdłuż balustrady. – *Naga*, słowo pochodzące od sanskryckiego *nagara*, czyli „miasto” albo „królestwo”, to symbol boskiej energii łączący nas z niebem. To kraina filarów, wież oraz iglic, która według legend zrodziła się z boskiego natchnienia. Bardzo lubię historię o Preah Khet Melei, synu Indry i jego ziemskiej małżonki. Któregoś dnia dwunastoletni Melea dostał zaproszenie od ojca. – Papa podniósł wzrok i wskazał rzeźbiony

wizerunek pół ptaka, pół człowieka, zdobiący szczyt każdej kolumny w sali modlitewnej. – Lubię wyobrazić sobie, jak na skrzydłach jednego z nich Melea wstępuje do nieba.

– Kinnara – wtrąciłam, chcąc się pochwalić, że znam nazwę tej mitycznej istoty. W niezliczonych opowieściach, które czytałam i słyszałam, Kinnara mógł podróżować tam i z powrotem między światem ludzi i bogów.

– Właśnie. – Papa skinął głową. – Będąc już na miejscu, Melea nie mógł się napatrzeć na niebiańskie królestwo ojca: wysadzone drogocennymi kamieniami wieże pałaców, migoczące fosy i jeziora jakby z płynnych diamentów oraz drogi i mosty do wieczności i z powrotem. Dostaniesz własne ziemskie królestwo podobne do tego, rzekł Indra do syna. Czegokolwiek stąd zapragniesz, mój niebiański architekt odtworzy to dla ciebie. Melea, wzruszony hojnością ojca, nie śmiał prosić o replikę jego pałacu, więc pokornie błagał o odtworzenie obory.

– Tylko obory? – Opowieść pobudziła moją wyobraźnię.

– Tak, właśnie ona posłużyła za wzór wielkiej świątyni Angkor, która stała się inspiracją wszystkich późniejszych świątyń w twojej ojczyźnie. Widzisz, Raami, mimo swej urody ta świątynia powstała dzięki ułamkowi boskiego potencjału, jaki jest w nas wszystkich. Jesteśmy zdolni do czynów niezwykłych, jeśli tylko mamy odwagę marzyć.

Milczałam, wyobrażając sobie papę jako Indrę i siebie jako Meleę.

– Czy wiesz, dlaczego dałem ci na imię Vattaaraami? – Przykląkł i popatrzył mi w oczy. – Ponieważ jesteś moją świątynią, moim ogrodem i moją świętą ziemią, i widzę w tobie wszystkie moje marzenia. – Uśmiechnął się, pozwalając sobie na luksus porannej zadumy. – To pewnie naturalne, że każdy rodzic widzi w swoim dziecku samo dobro i piękno bez skazy. Ale jeśli możesz, Raami, chcę, żebyś sama to w sobie dostrzegła. Nieważne, ile brzydoty i zniszczenia widzisz dokoła, masz wierzyć, że ów przebłysk cudowności tu i ówdzie jest odbiciem boskiego królestwa. Ono naprawdę istnieje, Raami. Musisz tylko je sobie wyobrazić, zebrać się na odwagę, by je sobie wymarzyć. Ono jest w tobie, w nas wszystkich. – Podniósł się, westchnął głęboko. – Widzę je cały czas.

Wziął mnie za rękę i weszliśmy do sali modlitewnej. Odwróciwszy się, stanęliśmy twarzą do stawu. Jaśniało; mgła rzedła i z każdą chwilą świat zyskiwał kształt coraz wyraźniejszy – liście i kwiaty lotosu wyłaniały się niczym za sprawą pociągnięć pędzla artysty. Czegokolwiek stąd zapragniesz, mój niebiański architekt odtworzy to dla ciebie"... Choć nie umiałam tego wyrazić słowami, w głębi serca czułam, że w wyniku boskiej interwencji moje marzenie staje się rzeczywistością, gdyż całe to piękno dokoła nas zdawało się wieczne. Wierzyłam, że wstąpiliśmy do nieba, wprowadzono nas przez jego bramy. I że nasze przybycie nie było kwestią przypadku.

Dobiegło nas szuranie i ujrzeliśmy zgarbioną postać. Serce podskoczyło mi w piersi. Stary? Nie, był to tutejszy zamiatacz z miotłą w dłoni. W każdej świątyni znajdował się taki ktoś na wpół

niewidzialny, na wpół zapomniany. Często był to starzec, najbiedniejszy z biednych, który czuł u progu śmierci, że utrzymanie świątyni w czystości to jego ostatni apel do bogów, by w przyszłym życiu wynagrodzili go i oszczędzili mu cierpienia. Idąca ku nam postać poruszała się jak krab pustelnik w ludzkiej skorupie, zgarbiony, jakby zrósł się z miotłą od urodzenia.

Papa zszedł po schodach.

– Pomogę ci.

– Dziękuję, Neak Ang Mechas – odpowiedział zmiatacz, używając pełnego tytułu papy, co znaczyło, że wie, kogo ma przed sobą. Ale skąd wiedział? Odkąd opuściliśmy miasto, papa upominał, byśmy nie używali królewskiego języka, lecz posługiwali się zwykłym khmerskim. Teraz też niczym się nie zdradziliśmy. Skąd zmiatacz wiedział? Może był jednym z mistycznych mędrców, którzy potrafili wejrzeć w duszę, określając bezbłędnie, z kim mają do czynienia.

Złożył ręce i uniósł je do czoła w geście pozdrowienia, lecz z uwagi na garb sięgał papie głową tylko do klatki piersiowej.

– Jestem wielbicielem twojej poezji, Wasza Wysokość – powiedział i wyrecytował:

Raz, w sennej podróży, Napotkałem dziecię, które duszę mą niosło.

– Czytałem to przed wielu laty – dodał z uśmiechem – kiedy po raz pierwszy ukazało się w „Cywilizacji”. – Pełen nabożnego zdumienia z ukosa spojrział na papę. – Nie mogę uwierzyć, że Wasza Wysokość stoi przede mną.

Papa uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Pomogę ci – powtórzył i jedną ręką ujmując miotłę starca, drugą podparł jego łokieć.

– Dziękuję. Odpocznę tutaj. – Zmiatacz usiadł na schodach sali modlitewnej.

Podeszłam, ofiarowując mu *sampeah*, tradycyjne pozdrowienie. Odwzajemnił je i rzekł enigmatycznie:

– Ty pewnie jesteś dzieckiem ze snu.

Zerknęłam pytająco na papę, który tylko wzruszył ramionami. Dotarło do mnie, że zmiatacz miał na myśli wiersz! Ucieszył się, że zrozumiałam.

– To dla mnie zaszczyt, księżniczko. – Znów uderzyło mnie jego podobieństwo do Starego, sposób wyrażania się i figlarny uśmieszek. Jak to powiedział Stary? „Kiedy kochasz kwiat, a on nagle znika...”.

– Nieżyjący opat... – zaczął i głos ze wzruszenia uwiązł mu w gardle. Przerwał, uspokoił się i zaczął od początku. – Czcigodny nauczyciel, który też podziwiał twoją poezję, Wasza Wysokość, często przywoził prasę literacką z Phnom Penh. Przez lata zapoznałem się z twoimi słowami i ze zdjęciami, które im czasem towarzyszyły. Wczoraj od razu cię rozpoznałem. Z młodości pozostał mi tylko ostry wzrok. Wszystko inne... – Wskazał swoje ciało. – Sam widzisz, Wasza Wysokość. –

Westchnął.

– Byłeś tu wczoraj? – zdziwił się papa. – Nie widziałem cię.

– Byłem w pawilonie medytacji. Właśnie przyjechaliście, towarzyszyli wam żołnierze. Lepiej schodzić im z drogi... być niewidzialnym.

Papa kiwnął głową.

– Tak, całe życie szukam niewidzialności, ale bezskutecznie. – Uśmiechnął się do staruszka. –

Nawet tutaj mnie rozpoznano.

– Wasza Wysokość wybaczy – rzekł zamiatacz przepraszająco. – Czy chcielibyście zobaczyć pawilon medytacji?

Podążyłam za jego wzrokiem w stronę drewnianego budynku na skraju stawu, częściowo zasłoniętego przez banian. Zauważyłam ten pawilon po przyjeździe, lecz oczarowana bardziej okazałymi salą modlitewną i stupą nie poświęciłam mu większej uwagi.

– To wymarzone miejsce do refleksji, do pisania poezji. Tam można być niewidzialnym – dodał z przekonaniem stary zamiatacz.

– Czy... czy tak można? – zawahał się papa. – Czy możemy tam wejść? Nie odważyłbym się, gdyby mnisi... – Urwał.

Starzec z powagą skinął głową.

– Tak, właśnie przypadałaby pora medytacji. – Spróbował wstać i papa mu pomógł. – Ale teraz ich obecność to mgła. Jeśli Wasza Wysokość sobie życzy, pokażę wam.

Zdjęliśmy buty i weszliśmy po czterech niskich stopniach. Stary zamiatacz otworzył drewniane drzwi ciężkim kluczem, który nosił zawieszony na nadgarstku. W pawilonie medytacyjnym panowały wilgoć i mrok, ciasną przestrzeń wypełniała stęchła woń kadzidła. Papa powymował haczyki i otworzył rząd składanych okiennic, odsłaniając staw, moczary i las. Widok był piękny i nieruchomy, jakbyśmy patrzyli na obraz.

– Kolejna opowieść... – mruknął papa, spoglądając na freski namalowane złotą, czarną i czerwoną laką na ścianach i suficie.

– Tak, sceny z Dzataki, od narodzin Buddy do jego Oświecenia – powiedział stary zamiatacz. – Znasz je, księżniczko?

Potwierdziłam, co przyjął z widocznym zadowoleniem. Zwróciwszy się w stronę drewnianej rzeźby Buddy, ukląkł i skłonił się trzy razy, dotykając czołem nagiej podłogi. Papa i ja zrobiliśmy to samo.

– O Preah Pudh, Preah Sangh – zanucił, przywołując imię Buddy i duchy martwych mnichów. – Wybaczcie nam najście. Przyszliśmy w dobrych zamiarach. Ześlijcie na nas spokój i mądrość.

Zostaliśmy na kolanach, z dłońmi na podołkach, spoglądając na posąg Buddy. Znów poczułam duchy między nami.

– Co się tu stało? – spytał papa cicho. – Co spotkało mnichów? – Skoro nieopatrznie poruszył ten temat, postanowił chyba zapytać wprost.

– Żołnierze przybyli w czasie ostatnich żniw – zaczął stary zamiatacz. – Nadeszli z każdej strony. Mówili, że przysli nas wyzwolić. Od czego? Nie byliśmy uwięzieni. Pytaliśmy, po co naprawdę przysli. Nie potrafili wyjaśnić. To byli młodzi chłopcy prosto z dżungli, ledwo umieli odróżnić prawo od lewa, a co dopiero dobro od zła. Ale byli grzeczni, prosili, byśmy porzucili „feudalne nawyki” i mówili dziwnym językiem rewolucji, którego chyba sami w pełni nie rozumieli. Oczywiście nas nie przekonali. Wręcz przeciwnie, obudzili w nas czujność i tak dalece utrudnialiśmy im zadanie, że odeszli. Potem zjawili się ich dowódcy jak banda kakanasów.

W *Reamkerze* Kakanaso to czarny ptak Krung Reapa, zwiastun złego. Kinnara był półczłowiekiem, a Kakanaso – półdemonem.

– Udali się prosto do świątyni – ciągnął stary zamiatacz – wiedząc, podobnie jak my, że zebrali się tam szanowani członkowie naszej społeczności. Słusznie pomyśleli, że jeśli zmuszą do kapitulacji świątynię, reszta mieszkańców pójdzie jej śladem. – Zacerpnął tchu i straszne wspomnienia zasnuły mu wzrok. – Kazali mnichom zdjąć szaty i powrócić do rodzin, bo w nowo wyzwolonej Demokratycznej Kampuczy nie ma miejsca na praktyki religijne. Wasza Wysokość może sobie wyobrazić, jaką reakcję wzbudziły te słowa. Mnisi odmówili złamania ślubów, mieszkańcy opowiedzieli się po ich stronie, a żołnierze, porzuciwszy rewolucyjne slogany i retorykę, uciekli się do przemocy. Zabezpiecili święty przybytek, przewrócili wszystko do góry nogami i zmusili mnichów do opuszczenia dormitorium. Większość nowicjuszy istotnie uległa i wróciła do rodzin, ale część starszych mnichów wytrwała w wierze i została z opatem... – Ponownie zawiódł go głos.

Czekaliśmy cierpliwie, aż się uspokoi.

– Przez parę następnych dni opat i mnisi przebywali w tym pawilonie. Medytowali i pościli, przyjmując jedynie wodę. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu żołnierze zostawili ich w spokoju. Wreszcie trzeciego dnia zjawił się oddział i zwałóknął opata po schodach. Pytaliśmy, czemu go zabierają. „Żeby go nauczyć!”, odkrzyknął dowódca.

Stary zamiatacz potrząsnął głową.

– „Nauczyć”? Nie mogę tego pojąć, Wasza Wysokość. Mnisi są najmądrzejsi w tym kraju. Dzięki nim ktoś taki jak ja umie czytać. Czego ci analfabeci mogliby nauczyć naszych nauczycieli? Nie znają ani słowa z dharmy Buddy i choćby jednej linijki poezji. Cóż mogą wiedzieć o nauce, jeśli pragną tylko rozlewu krwi?

Papa nie odpowiedział.

– Gdzie to się stało? – zapytał po chwili.

– Pokażę wam, Wasza Wysokość – odrzekł zamiatacz, podnosząc się z wysiłkiem. – Musicie

ujrzeć ich zło na własne oczy.

Kiedy wychodziliśmy z pawilonu medytacji, jeszcze raz rzuciłam okiem na freski. Opowieść starego zamiatacza była dla mnie mniej rzeczywista niż legenda o podróży Buddy uwieczniona na ścianach i suficie. Tę legendę widziałam i mogłam jej dotknąć, a morał tłumaczono mi dziesiątki razy: pokój przychodzi do tych, którzy rozumieją. Zatem aby uspić swój lęk, wmawiałam sobie, że rozumiem – że zniknięcie tych, których obecność wciąż czułam, było swoistym *nippien*, przejściem z tego życia do cudownej niebiańskiej krainy.

Zaprowadził nas do dormitoriów – skupiska drewnianych domów na palach. Podarte księgi oprawione w skórę, dziecięce podręczniki, ołówki, linijki, pudełka kredy walały się po podłodze wśród połamanych misek na jałmużnę. Maty do spania, poduszki, komódki, biblioteczki wraz ze szkolnymi ławkami ciśnięto w okoliczne zarośla i krzaki. Sterty szafranowych szat leżały przy szopie na tyłach, a nad nimi bzyczały muchy wielkie jak bąki.

– Kazali się opatowi rozebrać i włożyć cywilną odzież – podjął zamiatacz. – Sam nie wiem po co, skoro ich cel był jasny. Może szata budziła w nich większy strach aniżeli człowiek, trudno powiedzieć. – Spojrzał na mnie, a potem na papę, jakby zabrakło mu pewności, czy ma mówić dalej. Papa skinął głową. – Opat oddał życie w nadziei, że oszczędzą pozostałych. Wzięli go do lasu. – Wskazał nieprzenikniony gąszcz za polami ryżu. – Usłyszeliśmy strzał... – Łzy stanęły mu w oczach, ale je powstrzymał. – Potem... potem przyszli po pozostałych. Resztę starszych mnichów. Starych *acharów* i mniszki, którzy błagali na kolanach o litość dla opata. Po osieroconych chłopców, którzy nie znali innego domu prócz zbezczeszczonych klas, gdzie znaleźliście schronienie...

Ponownie przełknął łzy.

– Nie obyło się bez strzałów, gdyby jednak dźwięki mogły poruszyć niebo, byłyby to krzyki tych dzieci. Nigdy ich nie zapomnę. Będą towarzyszyć mi w przyszłym wcieleniu...

Papa milczał. Podążałam za jego wzrokiem, od jednej sterty szafranowych szat do drugiej i przez ułamek sekundy zdało mi się, że widzę echa nas samych, nasze duchy wśród ulotnej, mglistej obecności pomordowanych mnichów, mniszek i sierot. Zamrugałam, odsuwając tę wizję. Papa miał rację, pomyślałam, marzenia i rzeczywistość są tym samym. Coś, co istniało w jednym, łatwo dało się powielić w drugim. Przebywaliśmy z dala od domu, lecz nawet tu moje marzenia i rzeczywistość były kształtowane przez dorosłych, którzy mnie kochali i roztaczali nade mną opiekę. Papa stworzył dla mnie dobry i piękny świat, tak jak niebiański architekt Indry dla Melei. Starczyło wybiec wzrokiem ponad zaduch, butwiejące mnisie szaty i zniszczone księgi, aby dojrzeć przebłycki piękna. Ledwo to pomyślałam, a myśl stała się ciałem w postaci chrząszcza przypominającego ogromną muchę, z pancerzem opalizującym zielenią i złotem. Wyłonił się spośród zbrukanych szat.

Papa i starzec też go zobaczyli. Patrzyli w milczeniu oddających hołd zmarłemu. Chrząszcz rozłożył skrzydła i odleciał.

Wróciliśmy do sali modlitwy. Papa podtrzymawał starca, który opowiadał o miasteczku Rolork Meas i o tym, jak się zmieniło, odkąd wprowadzono nowe porządki. Szczęśliwi dotąd i wspaniałomyślni mieszkańcy zamknęli się w sobie w obawie przed karą za nadmierną zażyłość i wyrażanie własnego zdania. Stronili od przybyszów, więc nie powinniśmy się dziwić, jeśli nie przyjdą nas odwiedzić.

– Proszę mieć się na baczności, Wasza Wysokość – ostrzegł, przystając na schodach. – Żołnierze i ich dowódcy są bardzo czujni...

Szliśmy przed siebie. Po mgle nie zostało ani śladu. Nastął ranek, ptaki świergotały i biły skrzydłami, w oddali zapiał kogut, odpowiedział mu drugi, przy stawie kumkały żaby, a ryby mąciły taflę wody. Niebo oblekło się w różową woalkę, pożyczając odcień od rozkwitających lotosów. Bagno lśniło, jakby lada chwila miało wypluć słońce, które całą noc moczyło się w wodzie i zaraz rozbłyśnie na nowo. Gdy zawiął lekki wietrzyk, tafla zmarszczyła się złocistymi kręgami i od razu stało się jasne, czemu miejscowość nosi nazwę Rolork Meas, Fale Złota.

Przy bramie stary zamiatacz wskazał krytą strzechą chatkę po drugiej stronie drogi.

– Mój mały zakątek nieba – powiedział. – Gdybyście czegoś potrzebowali, tam mnie znajdziecie. Chociaż nie mam wiele do zaoferowania – dodał z uśmiechem – prócz wiatru i deszczu.

– Możemy cię odprowadzić? – spytał papa.

– Dziękuję, Wasza Wysokość, ale dam sobie radę. Zostawię otwarte drzwi pawilonu medytacji, żeby Wasza Wysokość mógł pisać w spokoju.

Wzruszony papa uścisnął mu dłoń. Zamiatacz wygięty w sierp ruszył w stronę domu.

Papa odprowadził go wzrokiem. Następnie przeniósł spojrzenie na domek i mruknął na wpół do siebie:

– Jego ściany to deszcz i wiatr...

Za nami pojawiła się grupa mężczyzn, którzy wyszli odetchnąć świeżym powietrzem. Papa podszedł do nich z pytaniem, czy pomogą mu postawić przewróconego Buddę.

– Oczywiście, Wasza Wysokość! – odrzekli chórem. Papa uśmiechnął się, wdzięczny za ich entuzjazm.

Tymczasem ja zakradłam się z powrotem do pawilonu medytacji. Obejrzałam freski, rozmyślając o historiach wyrytych na galerii i ścianach domu, który opuściliśmy, i jak się z nim zrosły. Lecz spoglądając na freski, czułam, że towarzyszyły nam aż tutaj, ujawniając się na różne sposoby.

Wiedza pochodzi z nauki, a kto szuka, ten znajdzie.

Wiedziałam, co to znaczy. Jeśli będę miała oczy otwarte i nie zabraknie mi wytrwałości, odnajdę to, czego szukam. Tu, w cieniu drzewa banianu, kryły się przebłyski raj, który opuściliśmy.

Opuściłam pawilon medytacji i wróciłam do świątyni. Całe miasteczko tętniło życiem, zewsząd dobiegały wesołe odgłosy porannej krzątania. Ludzie wychodzili z domów, aby rozprostować nogi i pogawędzić z nowo przybyłymi jak z dobrze znajomymi sąsiadami.

W sali modlitwy grupa starszych składała hołd wielkiemu posągowi Buddy. Starzec odgrywający rolę *achara* zaczął od tradycyjnej formuły: „Hołd Mu składamy, świętemu, czystemu i oświeconemu”... Pozostali zaintonowali: „Uciekamy się do Buddy, Dharmy, Sangi”. Dzieci biegały jak szalone, chichocząc i dokazując. Młodsze bawiły się w chowanego, kluczyły pomiędzy filarami i śmigały po schodach, a gdy stawały się za głośne i podchodziły zbyt blisko posągu, ktoś z dorosłych groził palcem, przypominając o zachowaniu przyzwoitej odległości. Starsi chłopcy kopali *kromę* związaną ciasno na kształt piłki, a dziewczynki skakały bosą na skakance na mokrym, rozmiękłym gruncie.

Papa siedział wsparty plecami o cokół, na którym stał niegdyś posąg Idącego Buddy, i pisał w notesie. Rozejrzałam się za żołnierzami rewolucji, ale nie widziałam żadnego. Byliśmy bezpieczni. Widok papy z notesem nasunął mi wspomnienie *Reamkera*. O dziwo nie tęskniłam za nim, tak jak się obawiałam. Zrozumiałam, że chociaż książki można podrzeć i spalić, ich treść pozostaje w nas nietknięta.

Ku uciechu dzieci i rodziców spośród lotosów na stawie wyleciał jaskrawoczerwony ptak, wysoko rozpryskując wodę. Przypomniała mi się opowieść Mlecznej Matki o ptaku, który o zachodzie słońca utknął w kwiecie lotosu i trwał tam aż do wschodu, dopóki płatki znowu się nie rozchyliły. I powrócił do gniazda, otulony pięknym zapachem.

Mleczna Matka mówiła, że opowieści są jak ścieżki bogów. Wiodą nas tam i z powrotem w czasie i przestrzeni, łącząc z całym wszechświatem i ludźmi oraz istotami, których nie widzimy, ale czujemy ich obecność. Coś mi mówiło, że ona żyje i jest bezpieczna. Zrozumiałam, że odnalazła chwilowy azyl w naszej miłości, po czym jak ptak uwolniony z kwiatu lotosu pofrunęła z powrotem do rodziny.

Kiedy podchodziłam, papa oderwał wzrok od kartki, a następnie z głębokim westchnieniem schował notes i wieczne pióro do kieszeni na piersi.

– Wracamy? – spytał, wstając.

Objęłam go w pasie i z twarzą wciśniętą w jego koszulę nabrałam powietrza w płuca, łowiąc opary świata, w którym się zatracił. Roześmiał się. I gdy przyszło mi do głowy, że chciałabym pójść nad staw, sięgnął do tyłu i wyjął coś zza paska spodni.

– Dla mamy – oznajmił, wręczając mi rozkołysany na łodydze pęk o rozchylonych płatkach. –

Pomyślałem, że zechcesz jej to dać.

– Skąd wiedziałaś?

Wzruszył ramionami, zadowolony, że czyta mi w myślach.

– Co pisałeś? – spytałam, kiedy skierowaliśmy się w stronę budynków szkoły.

– Wiersz.

– Jasne, że wiersz! Ale o czym?

Papa się odwrócił; jego spojrzenie powędrowało ku chatce zamiatacza.

– Powiem ci... jak będę wiedział.

– Obiecujesz, że nie zapomnisz?

Niepewnie zmarszczył brwi, ale potwierdził.

– Obiecuję.

Z zadowoleniem pokiwałam głową i szliśmy przed siebie, kołysząc złączonymi dłońmi.

W szkole ruszyły przygotowania do śniadania. Na wewnętrznym dziedzińcu rozpalono krąg ognisk, znad których unosiły się kłęby dymu i pary na podobieństwo wcześniejszej mgły. W powietrzu płynęły zapachy palonego drewna, gotowanego ryżu i suszonego mięsa na ruszcie, wypierając wilgotne aromaty poranka. Przed naszymi drzwiami, na ognisku rozdmuchiwanym przez stryjenkę Indię pyrkotał kleik ryżowy.

– Ach, dzień dobry! – powitała nas melodyjnie. Była zaróżowiona od żaru, oczy miała roziskrzona. Ziemską małżonka Indry, pomyślałam. W przeszłym życiu India mogła być kobietą, która zwabiła Indrę na ziemię i powiła Meleę, dając nam opowieść, która łączyła nas z boskością, a nasz świat z niebiańskim. – Cała rodzina was szuka! – zaświergotała pogodnie. – Lepiej wejdźcie do środka!

Weszliśmy.

– Nareszcie! – powiedziała z wyrzutem mama. Siedziała na macie, składając koce i moskitiery. Podeszłam i dałam jej lotos. Rozchmurzyła się i posłała papie czułe spojrzenie, jakie często wymieniali na osobności. Wsunęła nos między płatki, po czym złamała łodyżkę i z braku wazonu umieściła kwiat w miseczce z wodą. Następnie założyła za ucho długi kosmyk włosów i nachyliwszy się, pocałowała mnie w policzek. Siedząca obok Radana naśladowała każdy jej gest, odgarniając rozwiane loki i cmokając własną pulchną rączkę.

– Gdzie się podziewaliście? – spytała mama. – Tak długo was nie było.

– Przepraszam – odpowiedział papa. – Chyba straciliśmy poczucie czasu. – I dodał, mrugając do mnie: – Odwiedziliśmy pałac Indry. – Jego twarz nie zdradzała tego, cośmy usłyszeli i zobaczyli.

– Pałac Indry! – wtrącił stryj. – I wróciliście na ziemię? Do nas, śmiertelników? – Stał w progu sąsiedniego pomieszczenia, bez koszuli i na rozstawionych nogach. Synowie uczepili się jego dłoni, a on na przemian podnosił ich jak ciężarki. Chichotali uszczęśliwieni. – I jak było? – spytał. – Bosko?

– Jak tutaj – odpowiedziałam błyskotliwie w nadziei, że olśnie papę. Ale jego twarz stężała. Nie rozumiałam.

Mama chyba zrozumiała, bo rzuciwszy mu znaczące spojrzenie, zmieniła temat, proponując, aby papa ze stryjem zabrali nas, dzieci, do mycia, nim zasiądziemy do śniadania.

– Przyniesiecie mi trochę wody? – zabrzmiał z kąta markotny głos Taty. – Ja tam nie pójdę. Ja już nie mogę...

Sprawiała wrażenie otepiałej zmianą, a całonocny odpoczynek nie zmniejszył szoku. Patrząc na nią, nie mogłam uwierzyć, że to ta sama osoba, która w młodości buntowała się przeciw konwenansom i Królowej Babce, rezygnując z zamążpójścia, i na każdym kroku podkreślała z upodobaniem, że dziewczyna nie potrzebuje mężczyzny i może osiągnąć wszystko na własną rękę. Teraz nie mogła się nawet zmusić do wstania.

Stryj odstawił synów na podłogę.

– Dobra, chłopaki, który chciałby pohuścić bambusowy kij na barkach?

– Ja, ja, ja! – krzyczeli jeden przez drugiego, skacząc jak piłki.

Stryj klasnął w ręce i zagroził:

– Spokój, bo was nie użyję.

Bliźniacy znieruchomieli, co wszystkich rozśmieszyło: groźba zawsze działała, jakby „użycie” przez ojca oznaczało największy przywilej. Nawet Tata nie mogła się powstrzymać i po jej twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Dziękuję – powiedziała do stryja. – Niedługo się pobieram.

– Idziemy! – zakomenderował stryj, łapiąc kraciastą *kromę*, koszulę i zarzucając je na muskularne ramiona. – Mamy kupę roboty: trzeba się umyć i przynieść wodę dla Taty! – Wymaszerował przez drzwi, a bliźniacy za nim.

Potrafił wszystko zmienić w zabawę albo każdą, choćby najdrobniejszą czynność w doniosłe zadanie. Papa i ja porwaliśmy odzież na zmianę i ruszyliśmy za nim. Stryjenka India krzyknęła, żebyśmy przynieśli więcej lotosów.

– Na ofiarę dla Buddy! I uważaj na chłopców, Arunie, niech nie wypływają daleko!

Odwróciwszy się, stryj posłał jej uniżony ukłon.

– *Oui, ma princesse* – rzucił, ale do mnie zachichotał. – Użyjemy ich jako przynętę dla krokodyli!

Chłopcy podnieśli protest.

– Tatuś żartuje!

Stryj prychnął jak koń i pogalopowali w stronę wody.

Widziany ze świątyni staw zdawał się łączyć z bagnem, tymczasem w istocie był oddzielony od niego długą groblą, która dalej biegła zieloną połącią, rozwidlając się wśród zalanych wodą

tarasów. Jak zawsze w nowym miejscu, papa zapoznał mnie z otoczeniem. Słońce wschodzi i zachodzi nieco inaczej, w zależności od pory roku, mówił po drodze. Wstało za bagnem, ponad lasem i sunęło niepostrzeżenie w stronę zachodu. Ruszyliśmy północnym skrajem stawu do grobli, stryj na czele zamaszystym krokiem, dalej bliźniacy z drągiem na ramionach i dwoma wiadrami, potem ja z plastikową miską i kijkiem podniesionym z ziemi, a na końcu papa, trzymając oburącz trzecie wiadro i postukując w nie palcami jak w bęben. Na południu, w blasku porannego światła leżało miasteczko Rolork Meas, sielskie i złote – cudna kompozycja tradycyjnych drewnianych domów i sadów owocowych. Papa obiecał, że zwiedzimy je później, może uda nam się wymienić „miastowe” przedmioty, typu zapalniczka i kostka mydła, na jajka i ryż. Żołnierze rewolucji pozwolili, pod warunkiem że nie będziemy uciekać i wrócimy do świątyni. Teraz, kiedy się urządziliśmy, nie widziałam powodu, żeby uciekać i szukać schronienia gdzie indziej. Niczego nam nie brakowało. Byłam pewna, że nie mogliśmy liczyć na bezpieczniejszą przystań.

Dotarliśmy do części grobli, która oddzielała bagno od stawu. Stryj zatrzymał się i odebrał bliźniakom kij i wiadra. Rodziny zebrały się na trawiastym brzegu, z jednej strony obrzeżonym przez hiacynty wodne, a z drugiej przez lotosy. Nieopodal dwie kobiety myły dzieci.

– Jak myślisz, ile czasu tu spędzimy? – spytała jedna, szorując dziecko za uchem rąbkiem sarongu.

– Mój mąż był wczoraj w miasteczku – odpowiedziała druga – i dowiedział się od miejscowych, że kazano im przygotować domy dla „nowych”.

– To znaczy kogo? – zdziwiła się pierwsza.

– Dla nas. Chcą nas tu osiedlić. Przynajmniej na razie.

– Ładnie tu – przyznała pierwsza. – Mogliśmy trafić gorzej.

Papa i stryj wymienili spojrzenia, ale nic nie powiedzieli. Owinąwszy *kromą* biodra, stryj zdjął spodnie i położył je na wiadrach i bambusowym kiju. Następnie wszedł do wody, taszcząc gołych synów niczym holownik z bojami po bokach. Papa, też w *kromie*, ruszył za nimi z wiadrem, odpychając po drodze wodne rośliny. Nabrał wody w miejscu, gdzie była przejrzysta, i wrócił do mnie.

– Na pewno nie chcesz wejść? – spytał, odstawiając kubeł na groblę. – Mógłbym cię zanieść.

Potrząsnęłam głową. Zdjęłam do mycia koszulę, zostałam tylko w sarongu. Nie umiałam pływać i kuzyni mieliby używanie, widząc, że ojciec mnie niesie jak dzidziusia.

Papa zanurzył się jak krokodyl. Stryj podpłynął do niego. Stanęli, ochlapując się wodą, pogrążeni w rozmowie. Bliźniacy pluskali się w pobliżu. Stryj stawał się coraz bardziej zasępiony i kilkakrotnie uciekł wzrokiem w stronę dormitoriów. Nie słyszałam ich z daleka, ale domyślałam się, że papa powtarza mu słowa zamiatacza i opowiada, co widzieliśmy na tyłach świątyni. Plastikową miską nabierałam wody z wiadra i polewałam sobie głowę, spoglądając na nich od czasu

do czasu. Rozdźwięk między uroczystym spokojem papy i rosnącym poruszeniem stryja zaczął mnie męczyć. Rozmawiali długo, po czym mój ojciec poklepał brata po ramieniu, jakby chciał go pocieszyć. Stryj kiwnął głową, zapatrzony na czarne sylwetki krążące w oddali na polach ryżowych. Nie wiedziałam, czy to żołnierze rewolucji, czy rolnicy, i czy na ramionach mają kije czy broń.

– Patrzcie! – krzyknął nagle Sotnavong. – Żółw, żółw!

– Gdzie, gdzie? – włączył się Satiyavong. – Ach, widzę! Tam!

Stryj zanurkował, zwinny jak węgorz, a papa wsunął rękę pod wodę, złapał zwierzę za skorupę, podniósł nad głową i niczym cenny łup pokazał wszystkim naokoło. Ludzie klaskali i wiwatowali, a jakiś mężczyzna krzyknął zza nenufarów: „Ugotujemy zupę żółwiową!”. Papa ze śmiechem jak topielec opadł ciężko do wody i po chwili wynurzył się bez żółwia. Rozległ się jęk powszechnego zawodu. Chłopcy pisnęli: „Jeszcze raz, jeszcze raz!”, jakby chodziło o sztuczkę magiczną, którą można powtórzyć na zawołanie. Papa niewinnie rozłożył ręce na znak, że żółw sam mu uciekł. Ale oczywiście go wypuścił. Nie będzie zupy.

Po porannej toalecie przebraliśmy się w czystą odzież. Napełniwszy wodą wiadra, stryj zawiesił je na kiju i umieścił sobie na barkach. Chłopcy natychmiast podnieśli wrzawę.

– Tatusiu, obiecałeś! Miałeś nas użyć!

Stryj rzucił im na głowy mokrą *kromę*.

– Macie, kijanki, możecie ponieść...

Przerwał mu łoskot na drodze. W kłębach kurzu pojawił się furgon podobny do tego, którym przyjechaliśmy. Z rykiem silnika minął stupę, po czym tyłem zawrócił niezdarnie do wjazdu. O nie, pomyślałam ze zgrozą. Znów nas przewożą. Wszyscy pospieszyli z powrotem.

Jak się okazało, furgon przywiózł ludzi. Za nim przyjechały dwa następne. Spod niebieskiego brezentu wyłoniło się chyba ze dwieście osób, jeszcze bardziej roztrzęsionych i znękanych niż my w chwili przyjazdu. Gdy zbierali się przed świątynią, z ich rozmów wynikało, że przywieziono ich prosto z Phnom Penh. Byli wyczerpani po bezsennej nocy i nie mieli pojęcia, gdzie są. Jakiś starszy mężczyzna padł na twarz i stukając czołem o gołą ziemię, rozplakał się głośno na widok posągu Buddy. Nie wiedziałam, czy łka z radości, że w końcu gdzieś dojechał, czy z rozpacz, że po takiej gehennie trafił donikąd. Młoda kobieta szybko pomogła mu wstać.

– Chodź, ojczy, chodź – mamrotała, jakby to ona była rodzicem pocieszającym dziecko. – Jesteśmy na miejscu. – Była otumaniona ze znużenia. Jeden z towarzyszących im żołnierzy rewolucji podchwycił jej wzrok, ale zaraz uciekł spojrzeniem, ignorując udrękę obojga. Pozostali żołnierze – ośmiu lub dziewięciu – zajęli się porządkowaniem broni i amunicji. Sprawiali wrażenie surowszych niż ci, którzy jechali z nami. Dwaj lub trzej najwyraźniej pochodzili z okolicy, gdyż byli wypoczęci i mieli na sobie świeżą odzież. Wskazali szkolne budynki i kazali nam pomóc „nowym”.

– Pokażcie im drogę! – krzyknął jeden, zamiast megafonu przystawiając do ust zwiniętą pięść. Wyglądał na dowódcę, zachowywał się bardzo butnie. – Przyjadą następni! Musicie zrobić miejsce! Im szybciej się ulokujecie, tym lepiej!

Następni? Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy martwić. W oddali zamajaczył kolejny furgon. Był mniejszy niż poprzednie, ale tak zapchany, że część pasażerów wisiała po bokach. Na ten widok dowódca zaczął popędzać ludzi zebranych przy wejściu.

– Idźcie! – Jego głos wzniósł się ponad narastającym szmerem tłumu. – Nie zostaniecie tu na stałe! Organizacja zdecyduje, co z wami zrobić!

Ogarnęły mnie straszne przeczucia. Pewnie furgon nas stąd zabierze, a tamci zostaną.

Musiałam znaleźć papę i mu powiedzieć. Zastałam go na schodach sali modlitwy, rozmawiał z młodym małżeństwem.

– Raami, to mój dawny uczeń i jego rodzina – rzucił z ożywieniem na mój widok. Mężczyzna uginał się pod ciężarem walizek, a kobieta zarzuciła chustę na głowę i ramiona, żeby osłonić przed słońcem niemowlę, które trzymała na rękach. Widząc moje zdenerwowanie, papa wziął mnie za rękę. Pomogło. – Pan Virak chodził do mnie na ćwiczenia z poezji – tłumaczył mi wesoło, jakby chodziło o spotkanie towarzyskie. – Studiował, żeby być inżynierem, ale też pisał wiersze.

Jego beztroska rozproszyła mój strach. Kobieta uchyliła *kromę*, odsłaniając dziecko. Skinęła na mnie, bym podeszła bliżej, ale nie ruszyłam się z miejsca. Wydawało się maleńkim skarbem, zbyt cennym dla moich brudnych rąk. Widziałam uszko. Bez kolczyka, czyli to chłopiec. Spał głęboko. Rączki miał w białych bawełnianych mitenkach przypominających miniaturowe rękawice bokserskie. Czując na twarzy podmuch wiatru, machnął rękami jak bokser wymierzający cios.

– Jesteś inżynierem budowlanym. – Papa uśmiechnął się z dumą. – Pracujesz gdzieś za granicą, tak?

– Pracowałem, Wasza Wysokość – westchnął pan Virak. – Pracowałem w Malezji, ale wróciłem na początku roku. A teraz... no cóż...

Ruszyła ku nam grupa ludzi. Był wśród nich starzec, który z płaczem rzucił się na ziemię, a gdy przechodził obok, kierując się do szkoły, zobaczyłam bambusowy flet za jego *kromą* zawiązaną wokół pasa. Na widok stupy i otaczających ją *chedi* ponownie zaszlochał.

– Biedak. – Pan Virak potrząsnął głową. – Jego żona miała atak astmy i zmarła po drodze. Musieliśmy zostawić ją na poboczu. Wyobraźcie sobie, grał na pogrzebach, ale gdy umarła mu żona, nie mógł jej pochować ani nawet zagrać jednej nuty. To koszmar, Wasza Wysokość. Istny koszmar. Czuję, jakbyśmy jechali przez *thaanaruak*, świat zmarłych.

Papa spojrział na mnie, po czym znów zwrócił się do pana Viraka.

– Teraz jesteście tutaj. W sanktuarium.

Pan Virak potoczył dokoła wzrokiem. Nie był przekonany, co wcale mnie nie zdziwiło. Wrzaski żołnierzy, hałaśliwe furgony i kłębówisko zdeorientowanych ludzi odmieniły to miejsce nie do poznania.

Gdy mijają nas kolejna grupa, papa zaproponował, żebyśmy się pospieszyli. Przy tylu rodzinach zaraz zabraknie miejsca w salach. Powiedział panu Virakowi i jego żonie o pomieszczeniu obok naszego, wprawdzie trochę ciasnym, ale za to będą tam sami. Odebrał panu Virakowi walizy, nie zważając na jego protesty.

– Jesteś wśród przyjaciół. Tu nie ma miejsca na ceregiele, wszyscy jesteśmy równi. Zwracaj się do mnie jak do przyjaciela.

W oczach pana Viraka błysnęło zrozumienie.

– Tak, tak, oczywiście.

Ruszyliśmy w stronę szkoły. Pobiegałam przodem, by uprzedzić resztę rodziny, ucieszona przybyciem małżeństwa z dzieckiem, pokrzepiona obecnością innych. Niedługo będzie jak w domu, pomyślałam z ulgą. Puste sale wypełnią się ludźmi, których znamy, przyjaciółmi. Żołnierz zapowiedział, że przyjadą następni. Poczułam przypływ nadziei.

Oddaliśmy panu Virakowi i jego żonie sąsiedni pokój. Rozpakowanie się nie zabrało im dużo czasu, bo mieli tylko dwie walizki, jedną z ubraniami, a drugą z prowiantem. Ze strachu, że zostaną wyprowadzeni pod broń, zapomnieli spakować przybory kuchenne.

– Nawet jednej łyżki nie mamy – przyznała młoda żona, rumieniąc się z zakłopotania.

– Nic nie szkodzi – zapewniali wszyscy naokoło. – Możecie korzystać z naszych.

– Zapraszamy na ryż! – dorzuciła stryjenka India. – Już gotowy!

Dochodziło południe, ale tyle się działo, że dotąd nie było czasu na śniadanie. Głodni Radana i bliźniacy byli nieznośni. Tłukli łyżkami o miski, czyniąc przy tym ogłuszający harmider. Stryjenka India z właściwą sobie cierpliwością wygarnęła trochę kleiku do większej miski i posadziwszy całą trójkę w progę, zaczęła ich karmić kolejno tą samą łyżką. Ptasia mama karmiąca pisklęta, pomyślałam. Troje dzieci świergotało, zajadając łapczywie.

Reszta z nas usiadła w kręgu na macie jak jedna wielka rodzina. Żona pana Viraka przyniosła pojemnik mielonej wieprzowiny i peklowaną rzepeę, którymi uzupełniliśmy nasze kurczące się zapasy suszonej ryby. Żartowaliśmy, że tak skromny posiłek wygląda jak ucza, a wszystko smakuje wybornie.

– To pewnie zasługa świeżego powietrza – zauważył papa.

– Tak – potwierdził stryj – może jednak dobrze się stało, że nas tu przywieźli. Pewnie miasto psuło nam apetyt... i kubki smakowe!

Na wzmiankę o mieście wszyscy spoważnieli i po chwili słuchaliśmy w skupieniu relacji pana

Viraka o wydarzeniach w Phnom Penh oraz o tym, co przeszli.

Podobnie jak my, państwo Virak otrzymali w Nowy Rok nakaz opuszczenia domu. Nadchodził wieczór, więc postanowili zaczekać. Następnego dnia po otwarciu bramy ujrzeli gęsty tłum. Ponownie doszli do wniosku, że rozsądniej będzie przeczekać jeszcze trochę czasu. Zobaczą, co przyniosą kolejne dni, może jednak uda się zostać. Zamknęli się od środka, udając, że nikogo nie ma w domu, i ukrywali się w schowku pod schodami, ilekroć żołnierze rewolucji walili w drzwi. Wstrzymywali oddech w obawie, że zdradzi ich płacz dwumiesięcznego dziecka. Kiedy w końcu musieli wyjść – wyprowadzeni przez żołnierza, który jednym strzałem roztrzaskał kłódkę – miasto zmieniło się nie do poznania. Budynki leżały w gruzach, na ulicach walały się porzucone i spalone samochody, trupy ludzi i zwierząt gnijące w upale. Strasznie śmierdziało.

– Nie ma już Phnom Penh – rzekł cicho pan Virak, mieszając w swojej misce. – Nie możemy tam wrócić już nigdy. To koniec. – Dalej mieszał, niezdolny nic przełknąć. Wreszcie podniósł głowę i dodał z wahaniem: – Jak... jak nas wieźli przez miasto, jeden z żołnierzy rewolucji, chyba dowódca, mówił, że rozstrzelali premiera oraz innych ważnych przywódców. Nazwał ich zdrajcami. „W nowym ustroju nie ma miejsca dla takich ludzi”. Tak się wyraził. Musicie być ostrożni.

Papa i stryj wymienili spojrzenia, ale nic nie odpowiedzieli. Zapadła grobowa cisza. Mama dała mi znak, że z wrażenia zamarłam z łyżką w buzi. Nie uroniłam ani słowa z opowieści pana Viraka, w nadziei na wzmiankę o znajomej ulicy lub zakątku... o domu. Zamiast tego odmalował kompletnie nieznaną mi obraz świata, świata umarłych, gdzie bogowie i *tevody* nie są otoczeni czcią, tylko zabijani jak zwierzęta.

– Jeszcze kilka tygodni, a stanie się tak, jak mówią: zniszczą wszystko, by zacząć od zera – podjął pan Virak. – To się dzieje w całym kraju, nie tylko Phnom Penh. Zdaje się, że mieszkańcy mniejszych miast też są ewakuowani i traktowani jeszcze surowiej. Ludzie nie mają wpływu na to, dokąd pojedą – jak zostają skierowani na południe, jadą na południe, nawet jeśli pochodzą z północy. Słyszeliśmy o niezliczonych przypadkach rozdzielania rodzin i wysyłania ich członków w przeciwnych kierunkach. Pod tą ewakuacją kryje się misterny plan, a to dopiero początek. Czuję, że będą nas przerzucać z miejsca na miejsce...

– Po co? – wtrąciła niecierpliwie Tata. – Co im z tego przyjdzie?

– Dzięki temu utrzymają władzę – odrzekł pan Virak.

– Właśnie – potwierdził stryj, kiwając głową. – Trzymają ludzi w szachu, niszcząc w nich elementarne poczucie bezpieczeństwa poprzez odłączenie od rodziny. Musimy trzymać się razem.

Skończyliśmy jeść. Powietrze zgęstniało od złych przeczuć. Dorośli, unikając swoich spojrzeń, bez słowa przystąpili do sprzątnięcia, zatopieni w myślach. Państwo Virak przeprosili, poszli do siebie i zamknęli drzwi, żeby się w spokoju urządzić.

Widziałam od progu, że dla niektórych przybyszów zabrakło miejsca i z całym dobytkiem

skierowali się do dormitoriów. Ujrzą tam to samo co my i zawrócą, jeszcze nieskorzy zamieszkać wśród duchów.

Papa zaproponował stryjowi pójście na spacer. Pragnęli porozmawiać, więc dałam im spokój. Na zewnątrz powiedzieli mamie i stryjence Indii, które zmywały naczynia, że niedługo wrócą. „Musimy trochę przewietrzyć głowy”, oznajmił papa, a stryj dodał: „I pomyśleć, co dalej”. Nie wyraziły sprzeciwu, a gdy ich mężowie zniknęli, stryjenka zagadnęła mamę niespokojnym tonem, bez śladu zwykłej melodii w głosie:

– Myślisz, że to prawda... o premierze?

– Snucie domysłów nie ma sensu. – Mama próbowała zachować spokój, ale widziałam, że ma dość tłumaczenia i przejmowania się uczuciami innych ludzi. – Musimy starać się wtopić w tłum. – Zawzięcie szorowała garnek odłamkiem łupiny kokosa. Nagle jej wzrok padł na polakierowane paznokcie stryjenki Indii. – Powinnaś zmyć lakier.

– Słucham? – zdziwiła się stryjenka India.

– Zmyj lakier z paznokci – odrzekła mama.

– Wiem, wygląda okropnie, cały poodpryskiwał. – Była niepokieszona. – Wyglądam jak przekupka z targu. Ale zapomniałam zmywacza, a lakier, który mam w torebce, jest innego koloru, więc oczywiście nie mogę...

– Zeskrob nożem – poradziła mama. – Od razu widać, że jesteś z miasta.

Stryjenka India zmarszczyła brwi, lecz nie śmiała się sprzeciwić. Mama wiedziała lepiej, jak uchodzić za zwykłych ludzi.

– Masz rację. – Stryjenka India westchnęła. I dodała, zmieniając temat: – Ryż nam się kończy. Trzeba będzie zmniejszyć porcje. Ale dzieci i Królowa Babka są wiecznie głodni.

– Dostaną jeść – oświadczyła z mocą mama. – Najwyżej my nie dostaniemy. – Spłukała garnek i dodała łagodnie: – Po południu pójdziemy coś wymienić. – Zmusiła się do uśmiechu.

Stryjenka India wyglądała na nieco podniesioną na duchu.

– Chodź tutaj! – zawołała Tata, odciągając mnie od drzwi. – Pomóż mi pościelić Królowej Babce. – Podała mi matę do rozłożenia i zaczęła mamrotać pod nosem: – Masz siedem lat... pamiętam siebie w twoim wieku... wszystko widzisz, a rozumiesz tak niewiele. I wyobrażasz sobie najgorsze.

Miała rację. Niczego nie rozumiałam. Tyle było do poskładania. Dlatego zadałam jej pytanie, które mnie dręczyło najbardziej:

– Umrzemy z głodu?

Nie odpowiedziała od razu.

– Nie, Raami – rzekła wreszcie. – Nie umrzemy. – I odwróciła się, wyraźnie wzburzona.

Nie wiedziałam, co doskwiera mi bardziej – perspektywa śmierci głodowej, czy może świadomość, że Tata właśnie mnie okłamała.

Miałam siedem lat i zastanawiałam się, w jakim wieku człowiek zaczyna rozumieć wszystko.

Parę dni później o zmroku w świątyni zebrała się grupa kobiet i mężczyzn. Podobnie jak żołnierze rewolucji, też byli od stóp do głów ubrani na czarno. Pojawili się nagle, nagle znaleźli wśród nas. Podkradli się do szkolnych budynków jak stado nietoperzy, siejąc zamęt w powietrzu. Coś w ich ruchach – to, że sunęli jak jeden wielki cień – nasunęło mi myśl, że nie widzę ich po raz pierwszy. Nagle zrozumiałam, że faktycznie – widziałam ich przed paru dniami w czasie kąpieli, czarne sylwetki w oddali. Obserwowali nas, udając, że pracują na roli. Stary zamiatacz ostrzegał nas przed nimi. Teraz przyszli bliżej, niosąc kosze wypełnione ryżem i cukier trzcinowy w bambusowych siatkach, jakby chcieli wywabić nas niczym mrówki spod ziemi.

– Dziwni ci wieśniacy – mruknęła Tata, obserwując ich od progu. – Ciekawe, co to naprawdę za jedni...

Przedstawili się jako Kamaphibal, chyba chcieli się odróżnić od żołnierzy rewolucji. Posługiwali się wiejską gwarą jak hodowcy ryżu, chociaż bardziej wyglądali na nauczycieli lub lekarzy. Jeden nawet nosił okulary. „Jak się masz, towarzyszu?“, pytali, chodząc od drzwi do drzwi, od rodziny do rodziny, rozdając prowiant i zadziwiając wszystkich swym sposobem mówienia, jakby nie odróżniali dorosłych od dzieci, noworodków od starców. Zaprosili wszystkich na spotkanie przed szkołą. Mężczyzna w okularach stanął nad planszą do gry w klasy. Nim zaczął mówić, pozostali cofnęli się o krok i powitali go oklaskami.

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego tu jesteście – oznajmił kojącym głosem, jakże różnym od wrzasków żołnierzy rewolucji. – Widzicie, stało się to nie bez powodu.

Błądził wzrokiem po zgromadzonych, rejestrując ich jak okiem kamery i czasami zatrzymując go na czyjejś twarzy.

– Wojna się skończyła. Wygraliśmy. Pokonaliśmy wroga. Ale to nie koniec zmagania, walka musi trwać. Każdy może zostać żołnierzem rewolucji. Nieważne, czy jesteś mnichem, nauczycielem, lekarzem, mężczyzną czy kobietą. Jeśli oddasz się rewolucji, będziesz jej żołnierzem. Jeśli umiesz czytać i pisać, Organizacja cię potrzebuje. Organizacja wzywa cię, żebyś pomógł jej odbudować kraj.

Toczył po ludziach spojrzeniem, nie bacząc na niemowlęta przyssane do piersi i ziewających starców, głuchy na kichanie i kaszel.

– Jesteście tutaj, bo wierzymy, że wielu z was mogłoby włączyć się do walki o naszą sprawę. Potrzebujemy waszej wiedzy, doświadczenia i fachowej rady.

Umiałam świetnie czytać i pisać, ale miałam wątpliwości, czy nadaję się na żołnierza. Może przesadzał. Naraz, jakby czytając w moich myślach, urwał i utkwiał w nas wzrok. Z uśmiechem czy

grymasem, trudno powiedzieć. Papa, który obejmował mnie ramieniem, nagle zachwiał się i stracił równowagę. Spojrzałam na niego, co się stało, ale on tylko spuścił głowę. Spojrzenie tamtego w międzyczasie przesunęło się dalej, na inne twarze. Było jasne, że rozpoznał papę.

– Historia Kambodży jest historią niesprawiedliwości – ciągnął z niewzruszoną twarzą. – Teraz musimy napisać nową historię, stworzyć nowe społeczeństwo na gruzach starego. Chodźcie. Nie bójcie się. Razem zbudujemy nową Demokratyczną Kampuczę. Pójdźcie z nami.

Czekał. Nikt się nie poruszył. Spojrzał na pozostałych członków Kamaphibal, którzy odpowiedzieli mu milczącym, zbiorowym skinieniem. A potem ulotnili się chyłkiem, znikając jeden po drugim w gęstniejącym mroku jak cienie wessane przez noc.

Kamaphibal.

– Rewolucyjne słowo – próbował tłumaczyć papa. – Zlepek sanskrytu i starszego pali, słów okaleczonych i złożonych od nowa.

„Okaleczona” nazwa bardzo pasowała do tych, którzy pojawiali się znikąd, jakby zrodzeni ze szczątków tego, co własnoręcznie zniszczyli.

Przez następne parę tygodni Kamaphibal nie dawali znaku życia. Za to ich słowa, język, którym się posługiwali, pozostały jak dym ze zgaszonego ogniska. „Jeśli umiesz czytać i pisać, Organizacja cię potrzebuje. Organizacja wzywa cię, żebyś pomógł jej odbudować kraj”. Zapanował chaos, ludzie zachodzili w głowę, jak to rozumieć.

Tata zaskoczyła wszystkich głośnymi rozważaniami, czy nie powinniśmy okazać zaufania.

– Na pewno wyglądają na bardziej wyedukowanych – dodała, szukając wzrokiem aprobaty. – Przynajmniej ten, który przemawiał... nosi okulary.

Stryj popatrzył na nią, jakby ostatnie zdanie było równie niedorzeczne jak rozstrzelanie kogoś z tego samego powodu.

– Chodziło mi o to – pospieszyła z wyjaśnieniem Tata – że ten rzecznik Kamaphibal nie urodził się w dżungli jak reszta tych barbarzyńców.

Stryj przypomniał jej, że pomijając rewolucyjną retorykę i manierę rodem z prowincji, Kamaphibal to ci sami Czerwoni Khmerzy – „wstrętni komuniści” – którymi tak szczerze pogardza.

– Ale ci ludzie mają głowy na karku! – oponowała. – Mówili do rzeczy! Oni naprawdę potrzebują takich jak my, żeby odbudować kraj.

Twarz stryja zdradzała niedowierzanie, ale zaniechał dalszej dyskusji.

Pochłonięci słowami Kamaphibal zapomnieliśmy o żołnierzach rewolucji, a oni zjawili się któregoś wieczora uzbrojeni w zeszyty i ołówki.

Chłopak – wysoki i szczupły, z pociemniałymi zębami palacza i zażółconymi białkami oczu – wkroczył do naszej sali z notesem i ołówkiem wsuniętym za spiralę. Omiótł spojrzeniem uchylone drzwi sąsiedniego pokoju, gdzie pan Virak z żoną zajmowali się dzieckiem, które od paru dni miało

gorączkę. Czując na sobie jego wzrok, pan Virak wstał, zaciskając pięści jak do bójki. Żona powstrzymała go ruchem ręki. Ale żołnierz nie zwrócił na nich uwagi, kolejno patrząc na bliźniaków, Radanę, a potem na mnie.

– Ty! – Wskazał notesem. – Chodź tutaj!

Wstałam. Strach mnie oplótł i ścisnął jak wąż. Papa zagroził mi drogę.

– Towarzyszu... – zaczął.

– Cisza!!! – wrzasnął chłopak. I znowu do mnie: – Chodź!

Usłyszałam buczenie Radany i głos mamy próbującej ją pocieszyć, ale nie miałam odwagi na nie spojrzeć. Podeszłam do żołnierza.

– Jak masz na imię? – spytał, przygniatając mnie wzrokiem, aż zrobiłam się mała niczym robak, którego można zdeptać. – Imię! – huknął.

– R-Raami – wyjąkałam.

– Kto jest głową domu?

Zamrugałam zdziwiona – przecież nie mieliśmy domu, więc co tu mówić o głowie? – ale papa mnie ubiegł.

– Ja.

– Klah... – zaproponował stryj zduszonym głosem, ale papa odpowiedział mu stanowczo:

– Nie wtrącaj się, Arunie.

Stryj wrócił na swoje miejsce pod oknem, a papa powtórzył:

– Ja tu jestem głową domu, towarzyszu.

– Czy to twój ojciec? – spytał żołnierz.

– Tak – wykrztusiłam. Dłonie papy zaciążyły na moich ramionach. Słyszałam uderzenia pulsu, szybkie i głośne, ale nie byłam pewna, czy tak bije serce moje, papy czy żołnierza.

– Jak się nazywa?

Papa ponownie chciał odpowiedzieć i chłopak znowu go zrugął.

– Cisza!!! Pytam dziewczynę! – Odwrócił się do mnie. – Jak się nazywa ojciec?

– Ajurawan – szepnęłam i zaraz tego pożałowałam. Mechas Klah, Tygrysi Księżę, jak nazywali go bliscy przyjaciele i krewni, brzmiałoby groźniej i bardziej uroczyście.

– Pełne nazwisko – warknął żołnierz.

– Sisowath Ajurawan – wyrecytowałam, zaczynając od nazwiska, kambodżańskim zwyczajem. – A ja nazywam się Sisowath Ajurawan Vattaaraami. – Przyszło mi do głowy, że od razu podam swoje, żeby nadrobić wcześniejszą opieszałość.

Ale jemu było wszystko jedno. Rzucił ojcu notes.

– Zapisuj. Nazwisko, zawód, pochodzenie. Ze szczegółami.

Papa nie zauważył ołówka, odruchowo sięgnął do kieszeni po wieczne pióro i zaczął pisać, najpierw z wahaniem, potem zaciekle, aż trzęsły mu się ramiona. W życiu nie widziałam, żeby pisał w takim pośpiechu. Powtarzał często, że pisanie jest dla niego jak oddech, a oddech zawsze miał spokojny. Teraz z nerwów brakowało mu tchu i słyszałam zgrzytanie pióra o papier.

Wpatrywałam się w pistolet wsunięty za *kromę* żołnierza. Kobra unosząca głowę. Zdawało mi się, że słyszę syk. W głowie zabrzmiało mi echo strzału i znów zobaczyłam upadającego na ziemię starca w aureoli krwi.

Papa skończył i oddał żołnierzowi notes. Przygarnął mnie do siebie. Chłopak spojrzał na tekst, zmarszczył brwi, po czym chyba doszedł do wniosku, że na razie wystarczy, bo wyszedł i ruszył wielkimi krokami przez plac zabaw w stronę budynku po drugiej stronie.

– Nie powinnaś mu podawać nazwiska papy – syknęła stryjenka India oskarżycielsko, bez śladu melodii w głosie. – Nie powinnaś. – Każde słowo było jak palec dźgający mnie w brzuch.

Stryj dotknął ramienia żony, jakby chciał ją udobruchać, ale naskoczyła na niego.

– Teraz się dowiedzą, kim ty jesteś! – I z powrotem odwróciła się do mnie: – Mogłaś siedzieć cicho!

Przestraszyłam się. Nie rozumiałam tych ostrych słów, krzyków, dziwnego zachowania stryjenki Indii.

– Cieszę się, że im powiedziała – wtrąciła Tata, przychodząc mi na odsiecz. – Niech wiedzą, może okażą nam trochę szacunku. Kamaphibal na pewno.

Papa nie zwracał na nie uwagi. Spojrzał na mamę, ale siedziała z rękami na podołku, unikając jego wzroku i próbując zapanować nad rozedrganymi ramionami. Patrzyłam to na jedno, to na drugie – o co chodzi? – lecz nikt nie patrzył na mnie.

– Nie wiedziałaś – powiedział wreszcie papa. Musnął mi włosy na znak przebaczenia, jak zawsze gdy robiłam coś złego. – To nie twoja wina.

O czym miałam wiedzieć? Czego nie wiedziałam? Co nie było moją winą?

– Chłopak nie zapamięta – oznajmił stryj, patrząc na papę. – Jest za młody, nie wie, co to znaczy. Nie zna naszego nazwiska. To dzieciak. Raami mogła mu powiedzieć wszystko, nawet że jesteś królem, i tak by nic nie pojął. – Próbował się uśmiechnąć, ale niepewność wzięła górę.

– Przepraszam, że się wtrącam – rzucił od progu pan Virak. – Napisałeś wszystko, o co prosił?

Papa kiwnął głową i dodał tonem wyjaśnienia, patrząc na mnie:

– Chciałem, żeby się od ciebie odczepił. Żeby sobie poszedł.

– Podajeś mu swoje prawdziwe nazwisko? – drażył pan Virak, jakby coś nie dawało mu spokoju.

– Napisałeś „Sisowath”?

– Tak – potwierdził papa. – Ale nie spodziewam się, że umie czytać.

– Jego dowódcy umieją – uściśliła Tata. – Kamaphibal szybko się zorientuje, kim jesteś, i nikt nie odważy się tak nas traktować. Zobaczycie.

Wszyscy popatrzyli na nią, jakby straciła rozum.

– A przynajmniej dobrze się zastanowi – dodała obronnym tonem. – Jesteś księciem Sisowathem, na miłość boską!

– Oni mają to w nosie – uciał papa, z każdą chwilą coraz bardziej niepewny. – Dla nich jestem nikim.

Stryjenka India ponownie zwróciła się do mnie.

– Nie powinnaś... – syknęła przez łyzy.

– Zostaw ją! – krzyknął papa. – Zostaw ją w spokoju! – Trzasnął pięścią w ścianę i z hukiem wypadł na zewnątrz.

Aż się zatrzęsałam. Był moim bogiem, dobrym i cierpliwym. Nawet trzęsienie ziemi nie mogło go wzburzyć, więc czemu zdenerwował się sprzeczką o nazwisko?

Ajurawan. *Ayu*, z sanskrytu, oznacza „posiadający życie”. *Ravann* to skrócone *ras vannak* czyli „błyszcząc literą lub słowem; słynąc jako uczoney”. Królowa Babka mówiła, że nadała papie to imię, bo kiedy była z nim w ciąży, przyśnił jej się bóg Airawata, święty słoń Indry, podniósł nogę i dotknął jej brzucha, jakby zsyłał swego ducha na życie rosnące w jej łonie. A gdy papa przyszedł na świat z prawym uchem zawiniętym jak słoń, była pewna, że jej syn to ziemskie wcielenie Airawaty. Kiedy papa zasłynął jako poeta, babka nie miała już wątpliwości. „Jest posłańcem bogów, tak jak Airawata jest posłańcem Indry”. Ale ja nie byłam przekonana. A Tygrysi Książę? Czemu nazywano go tygrysem, skoro tak naprawdę był słoniem? Na co Królowa Babka odrzekła z irytacją: „Och, niemądre dziecko, bóg ma wiele postaci!”.

Znalazłam go przy pawilonie medytacji, u stóp drewnianych schodów, opodal stawu. Ciemniało i w szarości dokoła objawił mi się w kolejnej postaci – zwinięty ślimak wewnątrz popękanej skorupy. Miałam ochotę wziąć go do ręki i skleić muszlę.

Chrząknęłam, by dać znak, że stoję za nim.

Nie odwrócił się, tylko dalej patrzył na swoją rękę, jakby trzymał ptaka ze złamanym skrzydłem. Zesłam po schodach i usiadłam obok.

– Pokaż – powiedziałam, ujmując jego dłoń. Miał kostki zdarte do krwi. Podmuchałam, wyobrażając sobie, jak ból ulatnia się wraz z moim oddechem. „«Efemeryczny», magiczne słowo – powiedział kiedyś. – Nic nie trwa wiecznie. Ani smutek, ani ból”.

– Do wesela się zagoi – oznajmiłam, wiedząc, że jego rana sięga głębiej niż to powierzchowne skaleczenie.

Odwrócił się do mnie.

– Czy wiesz, kim jestem?

No jasne. Też mi pytanie.

– Jestem księciem. Księciem Sisowathem.

Już to wiedziałam. Wszyscy byliśmy książętami i księżniczkami. Ale mój ojciec był nie tylko księciem. Sztuka, mówił w odpowiedzi na opowieść Królowej Babki, jest naszą boską formą ekspresji, a co do reszty, mamy godnie ukazywać się nie w boskiej, lecz ludzkiej postaci. Bardziej niż księciem, myślałam, papa jest poezją, którą tworzy.

– Sisowath Ajurawan – rzekł, jakby wypowiadał imię kogoś, kto zmarł dawno temu. – Czy wiesz, co oznacza to nazwisko? Znasz związaną z nim historię?

Czekałam, a on zapatrzył się w wodę, jakby szukał szczeliny, przez którą wślizgnie się do innego świata.

– Kiedy miałem dziesięć lat – zaczął – przyjaźniłem się z pewnym chłopcem. Był sprzedawcą chleba. Co rano handlował bułkami na ulicy przed moją szkołą.

W oddali zagrzmiało. Podniosłam wzrok. Rozwiana chmurka sunęła po półksiężycu jak woalka zasunięta na krzywy uśmiech, aby ukryć rozbawienie.

– Miał na imię Sambath. Był biedny, ale tego nie wiedziałem, zresztą nie dbałem o to. Liczyło się tylko, że był moim przyjacielem.

Chmurka przepłynęła i księżyc wydał się większy i jaśniejszy, jak wydęte usta. *Tousana*. Teraz sobie przypomniałam, co mówił papa. Pochodzi od słowa *dassana* w języku pali, czyli „intuicja”. Kiedy coś wydaje się nowe, a zarazem znajome. Rozmawialiśmy o opowiadaniu historii, o tym, że jedna może mieć wiele wersji i można opowiadać ją na różne sposoby, a każda wersja jest swoistą manifestacją, jakby sama opowieść stanowiła żywą, rozwijającą się całość, bóstwo o wielu twarzach.

– Jako biedak, Sambath nie mógł oczywiście wchodzić do szkoły, ale spotykaliśmy się w czasie przerwy, gdy uczniowie wychodzili kupić w okolicy coś do jedzenia. Siadaliśmy i rozmawialiśmy, zajadaliśmy bagietkę, którą od niego kupiłem, maczaliśmy ją w mleku kupionym u innego sprzedawcy. Siedziałem z nim do końca przerwy, nawet gdy inne dzieci wracały na teren szkoły, do swoich kolegów. Kiedyś na chodniku obok kantorka woźnego graliśmy w kulki. Sambath wygrał, ja przegrałem. Byłem zły. Chciałem odzyskać swoje kulki. Odmówił. Twierdził, że wygrał je sprawiedliwie, w uczciwej grze.

Papa opowiadał mi już o Sambathu, ale nie wspominał nigdy o nieporozumieniach między nimi. To była nowość: opowieść nie tylko brzmiała inaczej, ale papa chyba nie zdawał sobie sprawy, że ją opowiada, że to przeszłość. Był widocznie poruszony i zdenerwowany, jakby sprzeczka o kulki wciąż trwała.

– Sprawiedliwie? Czemu użył przy mnie takiego słowa? Czy ja byłem dla niego niesprawiedliwy? Zaślepiła mnie wściekłość. Skoczyliśmy sobie do oczu, obrzucając się wyzwiskami. Kłamca! Oszust! Złodziej! Bezwstydnny pies, uważasz się za kogoś lepszego, bo jesteś księciem! Ja uderzyłem pierwszy. – Papa zacisnął pięść na wspomnienie tego ciosu. – Potem zaczęliśmy się bić i kopać. To była nasza pierwsza prawdziwa kłótnia. Dlaczego musiał wszystko zepsuć, przypominając mi, kim jestem? Księżę czy nie, byłem po prostu jego przyjacielem. Powinien był to zrozumieć. Zdzieliłem go kolanem w brzuch. Oddał, dwa razy mocniej.

Wyobraziłam sobie tę bójkę, pomna tego, jak chłopcy potrafią się bić „na żarty”.

– Zobaczył nas woźny, który wracał z przerwy obiadowej, i zamiast nas rozdzielić, zaczął okładać Sambatha pałką. Tłukł go z całej siły. Błagałem, żeby przestał, ale nie słuchał. Dalej bił Sambatha. „Zapamiętasz, gdzie twoje miejsce! – warczał na kupkę nieszczęścia u swoich stóp. – Ty

śmieciu! Nie wiesz, z kim rozmawiasz?!". – Na dźwięk ostrego głosu papy przez chwilę wydało mi się, że słyszę woźnego. – „Z księciem! Rozmawiasz z księciem, ty brudny robaku!". Bez przerwy mu o tym przypominał.

Znowu zagrzmiało. Rozejrzałam się za błyskawicą, ale na niebie rozciągał się mrok. Mimo to chciałam, żebyśmy stąd poszli. Lada chwila mógł spaść deszcz.

Papa nie słyszał grzmotu. Mówił dalej.

– Powtarzał moje nazwisko, mój tytuł, przypominając je Sambathowi i dzieciom, które zbiegły się wokół. W życiu nie wstydziłem się tak tego, kim jestem.

Coś skoczyło przed nami. Ryba ze srebrzystym ogonem. Błysnęła jak nóż w powietrzu i znowu znikła. Papa powędrował wzrokiem za kręgami na powierzchni stawu i przez chwilę miał minę, jakby też chciał wskoczyć pod wodę. Często tak wyglądał – jakby chciał uciec, ale czuł, że nie może.

– Widzisz, ten woźny trafił jak kulą w płot. Myślał, że okazuje mi szacunek, katując chłopca, który był w jego oczach zwykłym ulicznikiem i miał czelność znieważać moje imię.

Zdaniem pewnego buddyjskiego mnicha sen babki mógł oznaczać, że papa umrze w młodym wieku, gdyż bogowie zniszczą każdego człowieka, który odważy się przybrać ich postać. Zajrzał więc do świętych pism buddyjskich i wymyślił imię Ajurawan, by chroniło jej syna przed tymi, którzy źle mu życzyli i ścigali go ku ziemi. Papa miał przed sobą długie i szczęśliwe życie. Nie było się czego obawiać.

– Sisowath Ajurawan. Mój grzech i odkupienie, Raami. Oba wpisane w historię tego nazwiska. W dzieciństwie wiedziałem o istnieniu innych światów, ale wierzyłem też, że łatwo złączyć je mostem przyjaźni. Lecz gdy mój przyjaciel dostał nauczkę, że pewnych granic nie należy przekraczać, zrozumiałem, że nie tylko mieszkamy w różnych światach, ale mój jest pilnie strzeżony. – Odwrócił się do mnie. – Jakbym stłukł Sambatha własnymi rękami. Do dziś widzę jego zakrwawioną twarz, Raami. Winę ponoszę ja. Bo ja doprowadziłem do tej sytuacji.

Nie wytrzymałam.

– Przecież nic nie zrobiłeś.

– Właśnie. Nie kiwnąłem palcem. Mogłem wezwać pomoc. Rzucić się na woźnego z pięściami. Sam wziąć na siebie razy. Ale stałem jak kołek, a woźny bił chłopca z powodu mojego nazwiska. Prędzej czy później poniosę za to odpowiedzialność. Zapłacę za swoją zbrodnię.

– To nie była twoja wina – przekonywałam. – Pamiętasz żółwia, którego złapałeś? Mogliśmy zrobić z niego zupę, ale ty go wypuściłeś. Nie mógłbyś nawet skrzywdzić zwierzęcia, a co dopiero człowieka!

Nie słyszał mnie, pogrążony w smutnych wspomnieniach.

– Tak, jestem księciem, niezbyt ważnym, ale księciem... Sisowath. To nazwisko ma znaczenie. Liczy się dla Kamaphibalu i żołnierzy rewolucji. Zawsze się liczyło. Mogłem zrobić z niego lepszy

użytek.

To tylko nazwisko, pomyślałam, równie błahe jak głupia nazwa Kamaphibalu. Było mi obojętne, jak nazywano papę. Sisowath, Ajurawan, Tygrysi Książę, Jego Wysokość... Choćby nosił jeszcze sto imion, był moim ojcem i nie istniał nikt – ani książę, ani bóg – lepszy ani łagodniejszy niż on.

– Nawet bez nazwiska – powiedziałam, głaszcząc mu włosy – byłbyś dla mnie sobą. Nawet gdybyś był nikim.

Przyciągnął mnie do siebie i opierając brodę na czubku mojej głowy, mruknął:

– Raz w sennej podróży napotkałem dziecko, które duszę mą niosło...

– Raz w sennej podróży – podchwyciłam – napotkałem swoje odbicie. – Często przerzucaliśmy się fragmentami jego wierszy.

Żaba wskoczyła do stawu i woda znów się zmarszczyła, falując pod niebem, które ściemniało w odcień rozpacz. Odcień sponiewieranego sumienia papy.

– Widzisz, słowa – zaczął, znowu patrząc na mnie – pomagają nam utrwalić to, co z natury ulotne. Zmienić świat pełen niesprawiedliwości i cierpienia w piękną, liryczną krainę. Choćby tylko na papierze. Kiedy byłaś chora, napisałem dla ciebie wiersz. Stałem nad twoim łóżeczkiem, a ty patrzyłaś na mnie z takim smutkiem, jakbyś rozumiała moją udrękę.

Może rozumiałam, chciałam mu powiedzieć. Teraz rozumiem. Na pewno rozumiałam, co znaczy chcieć zrobić coś ponad własne siły.

Dmuchał wiatr ze wschodu, burząc wodę w stawie. Czułam, jak wzbiera we mnie smutek mojego ojca.

Noc spowiła nas wielkim skrzydłem, niosąc postać innego olbrzyma, *yiaka* z naftową lampą w uniesionej dłoni. Stryj stał obok pawilonu medytacji jak w scenie z teatru cieni.

– Tu jesteście! – zawołał. – Wszędzie was szukam.

Papa odwrócił się w jego stronę.

– Co ty tu robisz?

– Mógłbym cię spytać o to samo – stwierdził stryj, schodząc po drewnianych schodach. Krok miał ciężki, aż ziemia drżała. – Zaraz spadnie deszcz. – Podał mi rękę i postawił na nogi. – Wszyscy się zamartwiają.

Papa spuścił wzrok.

– Przepraszam – mruknął z rękami w kieszeniach. – Nie cofnę tego, co powiedziałem... co napisałem.

Stryj potrząsnął głową.

– Nie mówię o tym. Martwią się o ciebie.

Ruszyliśmy naprzód. Wszyscy już się schronili przed nadciągającą burzą. Wiał chłodny wiatr,

targając drzewa i krzewy, płacząc ich cienie z naszymi. Minęliśmy otwartą salę modlitwy i spojrzałam na wierzchołki filarów, by zobaczyć, jak Kinnara ożywają i lecą w dal. Ale trwały nieruchomo w ciemności. Parę metrów dalej wejścia strzegł posąg Buddy, krzepiący w swej niewzruszonej postawie.

– Dobrze się czujesz? – spytał po chwili stryj.

– Źle się zachowałem – odparł papa. – Jak India?

– To zrozumiałe. Pamiętasz, jak było ze mną w Mango Corner? Każdemu może się zdarzyć.

– Czy ja wiem, Arunie. – Papa bez przekonania potrząsnął głową. – Stać mnie na większy rozsądek.

– Przestraszyłeś się, India też. Ale już jej przeszło. Zapomnijmy o sprawie, życie toczy się dalej. Pamiętasz, rozmawialiśmy o porozumieniu z miejscowymi. Założmy filię dworu w Rolork Meas – dodał żartobliwie. – Co o tym myślisz, Raami?

Nie odpowiedziałam. Nie było mi do śmiechu. Czy naprawdę planowali się tu osiedlić?

– Sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie – ciągnął stryj. – Przyjmijmy, że na razie to będzie nasz dom. Nawet gdybyśmy mieli zamieszkać osobno.

Osobno? Z dala od siebie? Poczułam wzbierającą panikę. Stryj podązał lekkim, nonszalanckim krokiem.

– Ale jak? – zaproponował papa. – Nie mamy tu żadnych powiązań.

– Moglibyśmy je stworzyć.

– Z kim?

– Ze starym zamiataczem. Szukał cię. Przyniósł jajka od swojej kury. Moglibyśmy powiedzieć, że jest krewnym Aany, dalekim wujkiem, dajmy na to. Może połkną haczyk. Nie rozumiesz? Byłby naszą większą przykrywką. Naszym wentylem.

Papa zatrzymał się gwałtownie, puścił moją dłoń i w ciemności zwrócił się do brata.

– Rozmawiałeś z nim o tym? – spytał z widocznym wzburzeniem.

– Jasne, że nie! – burknął z urazą stryj. – Z nikim nie rozmawiałem, przyszedłem najpierw do ciebie. Po prostu rozważam możliwości. – Złagodniał. – Poza tym nie był w nastroju do rozmowy, i tak nic bym nie wskórał. Był cały roztrzęsiony.

Poszliśmy dalej, ja pośrodku. Papa milczał, zatopiony w myślach.

– Nie, nie wypada go o to prosić – rzekł w końcu. – Ryzykowałbym jego życie. Sam się tym zajmę.

Teraz zdenerwował się stryj.

– Jak to sam? Sprawa dotyczy nas wszystkich.

– Nieprawda, Arunie, tylko mnie. Nie rozumiesz?

– O czym ty mówisz?

– Podałem swoje imię i nazwisko – tłumaczył papa. – Dzieje naszej rodziny są krótkie: jestem jedynym Sisowathem, wy moimi powinowatymi. Ludźmi z nizin. Ty, Tata i Aana jesteście rodzeństwem, a wasi rodzice byli sadownikami z Kien Svay. Uprawiali głównie banany i mango. Wasza matka żyje, ale ojciec utonął w Mekongu, wioząc owoce do miasta.

– Co cię napadło? Przecież to bez sensu.

– Posłuchaj, Arunie – odparł papa z rękami w kieszeniach, dziwnie obojętnym tonem. – Myślę, że ten młody służbista, ten rzecznik Kamaphibalu mnie rozpoznał. Nie wiem, jakim cudem, ale to fakt. A jeśli nie rozpoznał, to jedynie kwestia czasu. Tata ma rację, on jest jednym z nas. Przejrzał mnie na wylot. Jeśli mnie wezwą, pójdę. Sam. Zrozum to, proszę. Musisz to zrozumieć.

Pękła upuszczona przez stryja lampa.

– Bracie! – jęknął ze zgrozą. – Coś ty narobił, coś ty narobił?

Błysnęło, niebo zagrzmiało i noc zapłakała wielkimi łzami.

O budziłam się w ciszy, ale papy nie było. Mamy też nie, a jej koc leżał zwinięty w nogach maty. Usiadłam, przyzwyczajając wzrok do ciemności gęstej jak atrament, i usłyszałam dźwięk bambusowego fletu na zewnątrz. Melodia brzmiała znajomo. Przypomniałam sobie słowa:

*Od lat dzieciństwa tak się nie bałam,
Jak wtedy gdy Książę wziął mnie za rękę...*

Fragment z *lakhonu*. Ale *lakhon* tutaj? O tej porze? Przez drzwi wejściowe sączyła się biała poświata. Wokół nie spałam tylko ja. Bez trudu rozpoznałam śpiących na podłodze: pod jedną moskitierą stryj, zwalisty jak góra, dwa identyczne pagórki bliźniaków i stryjenka India, smukła linia dolin i wzniesień. Pod drugą Tata, długa i prosta jak tłuczek, i Królowa Babka, krągła i plastyczna jak kopiec nieufornowanej gliny. Ani śladu mamy i papy. Gdzie mogą być? Nie zaniepokoiłam się, wręcz przeciwnie, czułam się dziwnie wyciszona, ukołyszana przez sen, który jeszcze mnie nie opuścił, i przez melodię fletu, brzmiącą bardziej jak ptasi świergot aniżeli dźwięki instrumentu.

Obok mnie Radana posapywała cicho, tuląc zagłówek. Sięgnęłam po skopany koc i starannie ją opatulłam jak w kokon. Potem wysunęłam się spod moskitiery i podeszłam do drzwi. Tam ich zobaczyłam.

Siedzieli przy małym ognisku, z twarzami odwróconymi tak, że widziałam tylko zarys podbródków lśniących niczym dwa półksiężycy. Mama opatrywała ojcu dłoń paskiem wydartym z *kromy* na jej ramionach. Oddała kolejny pasek na bandaż. Papa śledził jej każdy gest i ruch. Pochłonięci sobą i ukojeni muzyką, nie zauważyli mnie. Przycupnęłam na podłodze, a chłodne powietrze, które rozgościło się po ulewie, z wolna rozbudziło mi zmysły.

*Niech Wasza Wysokość pozwoli mi odejść,
Me serce należy do innego, równie pokornego
Jak ja.*

Spojrzałam tam, skąd dobiegała melodia, i w mroku ujrzałam trzeci cień. Stary muzykant przykucnął w progu budynku naprzeciw. Przesuwał palcami po otworach fletu.

*Wasza Wysokość, proszę, wypuść mnie.
Z całego serca błagam.*

Urwał, zagrał parę pojedynczych nut, po czym z wolna przeszedł do szybszej melodii. Ponownie usłyszałam w głowie słowa towarzyszące muzyce, zniewagi wymieniane przez zachłannego księcia i ubogiego sprzedawcę pachnidła:

*Psie, który pełza po ziemi,
Widzisz ogień, a myślisz, że to ogarek świecy!*

Góro, która stoisz nad innymi...

Między bogami pragniesz zasiadać,

A głową nie wychylasz się ponad trawy!

Tekst pochodził z *Mak Thoeung*, klasycznego khmerskiego poematu. Dobrze znałam tę historię, widziałam kilka inscenizacji i wysłuchałam słuchowiska w radiu. To opowieść o sprzedawcy pachnideł i jego pięknej żonie. Któregoś dnia, gdy oboje sprzedawali na targu olejki, młody książę ujrzał żonę, spodobała mu się i wziął ją sobie za konkubinę. Handlarz poszedł do króla i opowiedział mu o postępkach księcia, który wszystkiemu zaprzeczał. Król, za radą zaufanego ministra, w ramach kary za zuchwalstwo rozkazał obu mężczyznom zanieść na odległe pola ciężki bęben i przynieść go z powrotem na dwór. Nie wiedzieli, że w bębnie siedzi chłopiec, który podsłuchuje ich rozmowy i ma królowi zdać relację. Myśląc, że są sami, handlarz i młody książę zaczęli obrzucać się zniewagami ostrymi jak brzytwa:

Tyś z rodu szlachtetnego,

Którego słowem opisać nie sposób.

Ale w sercu swym nie masz litości,

A w głowie rozumu!

Jak śmiesz przemawiać do mnie w ten sposób?

Ależ Wasza Wysokość, mówię tylko o tym,

Który skradł mi żonę!

Głupcze! Ja to uczyniłem!

Papa mówił, że uwielbia *Mak Thoeung* za jego wersy, podejrzewałam jednak, że prawdziwym powodem było przedstawienie sprzed lat, na którym poznał mamę. Przyszli do teatru osobno, ale traf chciał, że siedzieli obok siebie i w czasie spektaklu przerzucali się szeptem kwestiami bohaterów, jakby znali się od dawna. Mama wprawdzie była z ciotką, lecz przyzwoitka nie zganiła jej za zachowanie, które nie przystało młodej pannie. Udawała, że nie widzi i nie słyszy, wiedząc, że mężczyzna siedzący obok mamy to Tygrysi Książę we własnej osobie. Ba, była pełna aprobaty, a gdy mama i papa pobrali się rok później, stwierdziła, że stało się to dzięki niej. Na moje pytanie, co właściwie – spektakl czy ciotka – ich połączyło, papa odparł ze śmiechem: „Cały wieczór sprzysięgł się nas skojarzyć!”.

Przyszło mi do głowy, że teraz dzieje się to samo. Czułam – chociaż nie umiałam tego wyrazić – że muzyka płynąca z żalu po zmarłej żonie przeznaczona jest dla moich rodziców. Jakby za sprawą magii, ukochana poezja odnalazła ich nawet w tej mrocznej godzinie.

Ponownie spojrzałam nad dziedzińcem w stronę starego grajka. Kolejny fragment był tak żaloszny, że ścisnęło mnie w gardle: sprzedawca pachnideł i jego żona otrzymali tę samą karę za zuchwalstwo

i niosąc bęben, obnażają przed sobą dusze. Przymknęłam oczy, słysząc w myślach słowa:

Kwiat bez płatków nie rozkwitnie na nowo,

Życie raz rozpoczęte przeminąć musi.

Moje już się skończyło...

Muzyka ucichła. Otworzywszy oczy, zobaczyłam w progu inny cień pochylony nad starym grajkiem. To była jego córka. Czule dotknęła ramienia ojca, a jej włosy spłynęły na niego jak jedwab. Coś powiedziała, pewnie namawiała go do odpoczynku. Kiwnął głową i dał się odprowadzić do środka. Wróciłam spojrzeniem do mamy i papy.

Jakby nie słyszeli, że przestał grać. Nadal trzymali się za ręce, siedząc w plamie światła z ogniska jak pod kloszem. Gdybym była Indrą, pomyślałam, zbudowałabym im osobny świat i trzymała ich w kokonie wzajemnej miłości.

Nagle przypomniałam sobie, co mi się przyśniło, zanim tu przyszłam. Papa był istotą na podobieństwo mitycznego Kinnary, bogiem, a zarazem człowiekiem, męznym, a jednak bezradnym, który nie mogąc pogodzić w sobie rywalizujących jaźni, nadział się na błyskawicę i spadł na ziemię. Z połamanymi, zakrwawionymi skrzydłami kulił się w ulewie, bezbronny i sam jak palec. Wybrawszy ludzkie życie, zamienił nieśmiertelność na promyk nadziei w ciemności. Obrazy krążyły mi w głowie jak nuty i zrozumiałam, że nie obudziłam się sama z siebie. Bambusowy flet mnie zawołał, przywabił do drzwi. Ta melodia była przeznaczona dla mnie. Próbowala mi coś opowiedzieć. Historię, którą już znałam.

Znajomy refren.

Czajnik zabulgotał i wypluł kłęb pary. Mama ocknęła się i podniosła go znad ognia. Nalała trochę wrzątku do kubka i podała papie, po czym wlała resztę do termosu na później. Papa ujął kubek obandażowaną dłonią i wdychając parę, czekał, aż woda ostygnie.

Mama obserwowała go i rzekła po chwili:

– Jeszcze nic straconego. Ani mi się waż tak myśleć. Żołnierz mógł zgubić notes. Nie wiemy, co to za jeden, może nie pokazał go przełożonym. Wymyśl inną bajeczkę, nadaj sobie nowe nazwisko, nową tożsamość. – I dodała żartem: – Choćby sprzedawcy pachnideł.

Papa milczał, dmuchając na wodę. Ostrożnie wypił łyk.

– Jestem zarówno sprzedawcą pachnideł, jak i księciem. – Dłoń trzymająca kubek zadrżała. Unieruchomił ją drugą ręką.

– Nie – powiedziała mama głosem pełnym żalu. – Dla mnie jesteś kimś znacznie więcej. – Zdławiła szloch. – Nie mogą mi ciebie odebrać.

Odstawił kubek na ziemię, po czym ujął jej dłonie i przycisnął sobie do policzka. Cały dygotał, płakali oboje. Nagle przypomniałam sobie zdjęcie na ich stoliku nocnym, na którym trwali w podobnej pozie: on trzymał jej dłonie, stykali się czołami. Fotografia ślubna. Długi czas byłam o

nią zazdrośna – uchwycona zażyłość w ramce sprawiała wrażenie nieprzeniknionej dla nikogo, nawet dla mnie – aż w końcu papa wyjaśnił mi, że zdjęcie zrobiono, zanim przyszedłem na świat. „Kiedy byliśmy tylko my dwoje”, dodał. To wstrząsnęło mną jeszcze bardziej, bo nie umiałam sobie tego wyobrazić. Teraz zobaczyłam – tak musiało być, kiedy byli Ajurawanem i Aaną, a nie papą i mamą, dwojgiem ludzi, których związek przyczynił się do moich narodzin.

– Gdy przyjdą – rzekł papa, spoglądając jej w oczy – proszę, żebyś mnie nie zatrzymywała.

Wtedy zrozumiałam. Flet widmowo ostrzegał w ciemności, bo jaki był koniec historii? Po powrocie do pałacu otwarto bęben i oczom wszystkich ukazuje się chłopiec. Powtarza każde zasłyszane słowo. Księżę z furią domaga się egzekucji świadków swego kłamstwa i rusza ku osobie najbardziej przerażonej ze wszystkich, młodej żonie sprzedawcy pachnideł. Ona jest szybsza i wbija sobie w pierś szpilkę do włosów. Wybuch zamieszanie i król w obawie przed publiczną rewoltą postanawia raz na zawsze zakończyć sprawę. Nakazuje natychmiastową egzekucję sprzedawcy pachnideł, ministra oraz małego chłopca. Sprawiedliwość, jak tłumaczył mi papa tę bezsensowną puentę, mieściła się w środku bębna, ale zabijając dziecko, mordujemy własną niewinność.

– Proszę cię o błogosławieństwo – wyszlochał papa.

Z wolna dotarło do mnie, że miłość rodziców, czułość, której stałam się świadkiem, jest zagrożona i mimo bardzo dorosłego pragnienia, aby ich chronić, nie mogłam temu zapobiec, gdyż mrok poza ich sferą światła sprzysiągł się, by ich rozłączyć, i jak chłopiec w bębnie podzieliłabym ich los.

– A przynajmniej o wybaczenie – dodał papa, przełykając smutek i łzy. – Błagam cię o wybaczenie.

Mama odwróciła się od niego i ujrzałam jej twarz, teraz jak księżyc w pełni, zalaną łzami. Zobaczyła mnie, ale nie kryła rozpaczy.

Wróciłam pod moskitierę i czekałam, aż wzejdzie słońce.

Wiatr wydał długie, głębokie westchnienie i z ogromnego banianu przy wejściu do świątyni wzbiło się stado ptaków, do wtóru bijąc skrzydłami. Kiedy szliśmy, z każdej strony witała nas światłość dnia. Lilie wodne i lotosy ożywały feerią barw – żółci, różu, fioletu, indygo. Dach sali modlitwy oraz wielka kopuła stupy skrzyły się złotem i srebrem, zamieniając świątynię w klejnot. Niebo rozciągało się wysoko nad głową, kwitnąc gęstymi białymi obłokami niczym połać morza usiana pąkami gardenii. Nie mogłam się nadziwić, jak niebo naśladuje ziemię i odwrotnie. Rozsiane wokół kałuże kryły w odbiciu możliwość innego świata, wypisz wymaluj jak ten, który witał nas teraz.

Zewsząd płynęły pozdrowienia: „Dzień dobry, Wasza Wysokość! Jak się Wasza Wysokość miewa? Warto opisać taki dzień, prawda?”. Papa z uśmiechem kiwał głową, witając każdego, a

wszyscy zdawali się wiedzieć, kim jest – księciem, poetą. Jak mógłby zmienić swoje nazwisko, swoją historię? Ta myśl przemknęła jak ćma, rozkojarzona światłem i wesołością. Odpędziłam ją.

– Przystojny z pana wieśniak, mój książę! – zawołała starsza kobieta na schodach sali modlitwy, a grupa jej bezzębnych kumoszek zachichotała kokieteryjnie. Papa przystanął zaskoczony, po czym na widok swego odbicia w kałuży – podwinięte spodnie, *kroma* w pasie, wiadra na bambusowym kiju na ramionach – odrzucił w tył głowę i zaśmiał się głośno. Przypomniałam sobie jego słowa – „Jestem zarówno sprzedawcą pachnideł, jak i księciem” – rozpacz, z jaką wypowiedział je przed paroma godzinami. Teraz się śmiał, a jego wesołość naśladowała pogodny nastrój wokół, odradzając się na nowo jak dzień.

Zboczyliśmy z wydeptanej ścieżki wiodącej do studni, bo najpierw chcieliśmy złożyć wizytę staremu zamiataczowi i podziękować mu za jajka. Papa szedł przodem, pogwizdując, a wiadra na bambusowym kiju skrzypiały do wtóru, gdy lawirował w błocie między pełnymi wody koleinami wyłobionymi przez koła furgonów. Podążałam za nim niespiesznym krokiem, omijając większe leje z wodą i przeskakując nad mniejszymi z jednej kępy trawy na drugą, i przystawałam od czasu do czasu, obserwując, jak niewidzialne staje się widzialne.

Na kolczastych chwastach pajak zerkał spod pokrytej rosą pajęczyny, jakby rozważał, czy wyjść i zapolować, czy może zostać i zarzucić sieć. Obok nieświadoma zagrożenia modliszka kołysała się na tylnych nogach na długim źdźble trawy, spokojna jak zatopiona w medytacji. Na lewo ode mnie żuk gnojak, bucząc z werwą samolotu, otrząsał skrzydła z drobinek gliny i pyłku. Tuż pod nim para pluskalców sunęła po tafli jak akrobaci cyrkowi, licytując się w coraz wymyślniejszych sztuczkach.

Świat tętnił od nieprzeliczonych żywych istot i przypomniałam sobie słowa papy z dawnego, bardzo dawnego spaceru: „Miej oczy otwarte, Raami, a zobaczysz, że jeden liść może skrywać miriady istnień, i zrozumiesz, że nie podróżujesz przez ten świat sama”.

Teraz ktoś wiernie mi towarzyszył – ważka o żółto-czarnych skrzydłach. Śmigała to tu, to tam, czasem prowadząc mnie, czasem pozostając z tyłu. Opodal chatki zamiatacza odleciała, odprowadziwszy mnie do celu podróży. Miej oczy otwarte, pomyślałam, a zobaczysz, że nigdy nie jesteś sama. Zawsze ktoś lub coś cię prowadzi. *Tevody*, zrozumiałam nagle, wcale nie pochodzą z nieba; są to ziemskie piękne istoty, które widuję na co dzień, a ich piękno polega na ulotności, pojawiają się bowiem, by wnet zniknąć znowu.

Rozejrzałam się za ważką, ale zobaczyłam tylko motyla o skrzydłach w podobnym odcieniu, roztrzepotanego nad głową papy. Kolejne bóstwo w innym przebraniu. Nawet najmniejsza istota wciąż się zmienia w swej podróży przez ten świat.

W chatce starego zamiatacza powitała nas kura grzebiąca w ziemi z oburzeniem. Papa i ja dostrześliśmy puste gniazdo przy drzwiach. Wymieniliśmy spojrzenia i wzruszyliśmy ramionami. Kura przydreptała bliżej i z jej gardła wyrwał się wrzask niezadowolenia, jakby mówiła: „Wasza

Wysokość, mówię tylko o tym, który skradł mi jajka!". Powstrzymałam śmiech, a papa zerknął pytająco, niepewny, co mnie tak rozbawiło. Nie powiedziałam mu, by nie wzniecać niedawnego żalu. Wyraziłam zdziwienie z powodu nieobecności naszego przyjaciela, z lękiem zapytując się w duchu, skąd tu taki bałagan, dlaczego drzwi są otwarte na oścież i czemu wiszą przekrzywione na suple ratanu, jakby coś wielkiego odrzuciło je na bok.

– Może smok machnął ogonem – podsunęłam, wyobrażając sobie, że wąż *naga* w czasie nocnej burzy wypełził z bagna i grasował po okolicy.

Papa nie odpowiedział, oglądał chatę. Liście kokosowe, którymi sam pomógł uszczelnić ściany – mimo zapewnień właściciela, że nic im nie grozi – okazały się dla nocnej ulewy marną przeszkodą. Wszystko było przemoczone do cna i panowała atmosfera opuszczenia, jakby właściciel został wyrwany z łóżka przez potężną siłę, która wtargnęła do środka.

– Może znalazł schronienie w miasteczku – powiedziałam, próbując uspić własny lęk. Kura, gdacząc jak najęta, dreptała wokół nas w aurze zgorszenia: „Ten stary łajdak uciekł z moimi dziećmi! W SKORUPKACH!". Przyszała się do kałuży, co rusz unosząc głowę i gulgocząc, jakby w gardle jej zaschło od objaśniania wszystkiego dwunożnym jajożercom.

Papa z wolna przeniósł wzrok na glinianą kadź pod ścianą frontową, tuż pod skrajem bambusowego koryta. Kadź stanowiła jedyny trwały obiekt, pozostały dobytek zmiataacza – przesiąknięta deszczem mata na bambusowym łóżku, wystrzępione miotły z gałązek przy drzwiach, wyświecona koszula na jednej ścianie i sprana *kroma* na drugiej – wyglądał tak, jakby zaraz miał zniknąć tak jak właściciel.

– W ogóle tu nie nocował – stwierdził wreszcie papa. Podszedł do kadzi i obandażowaną dłonią podniósł wieko z miną wyrażającą głęboki namysł, jakby stał u progu rozwiązania wielkiej zagadki. – Jest niepełna. Zostawiłby ją otwartą, żeby nabrać deszczówkę. – Odwrócił się do mnie. – Nasz przyjaciel opuścił dom jeszcze przed burzą. Tylko dziwne, że się z nami nie pożegnał.

– Może po to przyszedł z jajkami, żeby się pożegnać.

Papa wysilił się na uśmiech i odparł, jakby uspokajał sam siebie:

– Pewnie krząta się w pobliżu.

– Możemy zajrzeć po południu.

– Dobry pomysł.

Kiedy szliśmy groblą w kierunku studni, przeczesywałam wzrokiem okolicę w poszukiwaniu wygiętej sylwetki zmiataacza zbierającego gałązki, ale w polu kukurydzy na prawo od nas stała tylko obszarpana postać stracha na wróble z zeszłego sezonu. Zamrugałam w oczekiwaniu, że stanie prosto i pomacha ręką, co potwierdziłoby moje podejrzenia, że stary zmiataacz był duchem, *tevodq* w przebraniu. Ale nie poruszył się, nawet kiedy stadko wróbli przysiadło na jego patykowatych

ramionach obwieszonych spletanymi sznurami zardzewiałych puszek. Powiał wiatr, puszki zaklekotały i wróble uleciały jak skrawki zapomnianej poezji. *Poślubiony biedzie, tracę nad głową dach...*

Papa mówił, że czasami budzi się rano z głową pełną słów i obrazów, i jedynym sposobem, by nad nimi zapanować, jest ich spisanie. Odkąd się obudziłam, czułam to samo, głowę miałam pełną na pół ocalałych wersów. *Ale moje ściany to deszcz i wiatr...*

– I co, skończyłeś wiersz? – zapytałam, spoglądając na mętną wodę w dole, z brodą opartą o krawędź studni.

Papa nie słyszał. Śledził wzrokiem kołującego nad nami jastrzębia ze skrzydłami prostymi jak deska.

– Skończyłeś wiersz, nad którym pracowałeś? – ponowiłam pytanie.

– Hm... – mruknął, nie odrywając oczu od jastrzębia.

– Tak czy nie?

– Wiesz, czemu piszę?

– Nie można odpowiadać pytaniem na pytanie!

Zajrzał do studni i jego zamazane odbicie powiedziało do mojego:

– Piszę, bo słowa dają mi skrzydła.

– Skrzydła? – Serce zabiło mi w piersi, ale nie opowiedziałam papie mojego snu.

– Tak, skrzydła! I mogę latać! – Ze śmiechem rozłożył ramiona i okrążył studnię. – Być wolny jak jastrząb!

– Nie możesz być ptakiem! – krzyknęłam w panice. – Nie możesz! Przestań!

Znieruchomiał, zaskoczony moim wybuchem. Popatrzył na mnie, po czym, jakby doszedł do tego samego wniosku, odpowiedział:

– Tak, masz rację. Nie mogę. – Powrócił wzrokiem do ptaka okrążającego teraz złotą iglicę stupy. – *Upadana dukkha*, jak powiedział Budda do swoich uczniów. Pragnienie równa się cierpieniu.

– Co znaczy pragnąć?

– Chcieć czegoś tak, że boli nas serce.

– A cierpieć?

– Kiedy boli nas serce.

– No więc boli mnie serce, bo pragnę wrócić do domu.

Przyciągnął mnie do siebie. Otoczył mnie ramionami i poczułam się jak w zaciszu skrzydeł. Jastrząb na niebie jeszcze parę razy okrążył iglicę i zniknął w białym bezmiarze.

Papa podniósł wiadro z wydrążonego pnia palmy i wrzucił je do studni, trzymając mocno za długi bambusowy pał przymocowany do jego pałaka. Zakręcił wiadrem, aż zanurzyło się głębiej,

napełniając wodą jak kadłub tonącego statku. Wciągnął je z powrotem i przelał wodę do jednego z naszych wiader, powtarzając czynność, dopóki oba nie były pełne.

Byliśmy gotowi do powrotu, ale zamiast ruszyć w stronę chatki zamiatacza, poszliśmy skrótem przez ryżowe tarasy graniczące z ubitą drogą. Papa balansował na wąskich groblach, z bambusowym kijem na barkach wygiętym w łuk pod ciężarem wody, z ramionami wyciągniętymi po bokach dla równowagi, żeby nie rozlać. Bardziej przypominał kurczaka, który usiłuje wzbić się w górę, niż ptaka mogącego szybować. Biegłam za nim w podskokach, jakby pola ryżowe były wielką planszą do gry w klasy. Papa wskazywał poszczególne gatunki ryżu, recytując nazwy niczym wers jednego ze swych wierszy. „Długoziarnisty, krótkoziarnisty, również bardzo zdrowy, ryż o zapachu deszczów monsunowych”, podśpiewywałam, powtarzając za nim.

– Czasem kiedy spojrzysz na niebo, widzisz kąpiące się *tevody*. Woda spada na ziemię i wszystko rośnie. – Przystanął, żeby odetchnąć, poprawił kij na ramionach i dodał, idąc dalej: – Tak.

– Co: tak?

– Skończyłem wiersz.

– Już myślałam, że nigdy tego nie zrobisz!

Roześmiał się.

– Tak mało masz we mnie wiary?

– Hm...

– Chcesz usłyszeć?

– Jeszcze jak!

Dotrzymywałam mu kroku, idąc w rytm jego wiersza.

Mówią, że nie ma już domu,

Że nienawiść obróciła go w pył,

I nie został na kamieniu kamień.

Ale on trwa,

W mego serca zachwycie

Nad kwiatem lotosu,

Gdzie każdy kwiat to duch, który ponownie przyszedł

na świat

Lub, jak ja,

Dziecko, które chce się odrodzić,

Gdy odzyskamy nasze marzenia.

Poślubiony biedzie,

Tracę nad głową dach,

Ale moje ściany to deszcz i wiatr.

– Tak – wyznał, kiedy go zapytałam. – To wiesz o starym zamiataczu. Ale o Sambathu też. O mnie. I o tobie, kochanie.

Odwróciłam się ku opuszczonej, przemoczonej chatce po drugiej stronie drogi. I uświadomiłam sobie ze wstrząsem, jak marność jednej egzystencji odzwierciedla drugą, jak wiele nędza starego człowieka mówi o niedoli, którą znosił przez całe życie, i jak mały, zapomniany spłachetek ziemi ze zrujnowanym domem i wąłym dobytkiem odzwierciedla biedę przyjaciela z dzieciństwa papy. Stary zamiatacz był jak Sambath. Podobnie jak ja widziałam mojego ojca we wszystkim, co szlachetne i dobre, tak on widział swego Sambatha w każdym napotkanym nędzarzu i usiłował zrobić dla niego to wszystko, czego nie zrobił dla przyjaciela. – Wszyscy jesteśmy echemi siebie nawzajem, Raami.

S tało się to w pół oddechu. W jednej chwili żył, w następnej znieruchomiał, wiotki na słomianej macie, już nie człowiek, lecz niedokończona myśl, zarys. Nikt nie spodziewał się jego śmierci. To tylko gorączka, mówili. Niedługo mu przejdzie. Jednak od dnia, gdy pan Virak przybył do świątyni i po raz pierwszy zobaczyłam blade zawiniątko w *kromie*, wiedziałam, że ich dziecko jest bardziej duchem niż ciałem. I jak wszystkie duchy, niezupełnie należał do tego świata. „Bogowie upomnieli się o niego, Raami”, powiedziała Królowa Babka. Przystosowywała się do zmiany, nigdy nie skarżąc się na coraz skromniejsze posiłki ani twardą podłogę, na której spaliśmy. Czasem pytała o Om Bao lub Starego, jakby wracała jej pamięć, ale kiedy tłumaczyliśmy, że ich nie ma, kiwała głową i jej twarz znów powlekała się mgłą, a umysł błądził w zaświaty.

– W mgnieniu oka – szeptała mi do ucha. – W pół oddechu odszedł. Sam się tego nie spodziewał.

Nie byłam pewna, czy to możliwe, lecz na to wyglądało – usteczka miał rozchylone, a oczy nie dawały się zamknąć, chociaż dorośli próbowali wiele razy. Jego widok nasunął mi myśl, że nie był gotowy – tak mały, bez znajomości siebie i świata – i nagłość własnej śmierci go przerosła.

Próbowałam wyobrazić sobie, jakie to uczucie umrzeć, połykając powietrze, zamiast je wypuścić.

– Wygląda, jakby ziewał – szepnęłam, nachylając się ku Królowej Babce. – To musi być straszne, zakrztusić się na zawsze.

– Darowano mu pasmo smutku i zgryzoty. – Dalej kiwała głową. – Tak, smutku i zgryzoty...

Była jedyną spośród dorosłych, na której ta nagła śmierć nie wywarła większego wrażenia. Obserwowała ją beznamiętnym wzrokiem osoby przygotowującej się na własne odejście.

Z kolei Tata śledziła sytuację pełna struchlałego niedowierzania. Dla niej śmierć pojawiła się niczym intruz i zagnieżdżyła wśród nas, uzurpując sobie miejsce w tym zakątku nawiedzonym już przez liczne zastępy duchów.

– To nie może być prawda – mamrotała. – Nie wierzę, nie wierzę.

Zebrał się tłum. Pan Virak kucnął w kącie swojej izdebki skulony, z głową ukrytą w ramionach. Papa i stryj próbowali go wyprowadzić na zewnątrz, z dala od krzyków żony i bezwładu martwego dziecka, lecz odgrodził się od nich milczeniem, zastygł jak głąz. Z nikim nie chciał rozmawiać. Nikt nie mógł zrozumieć ogromu jego żalu. Chciałam mu powiedzieć, że ja rozumiem. Nie żal, lecz okrucieństwo bogów. Jak mogli uszczęśliwić go darem, z którym sami nie czuli się na siłach rozstać?

W grupie przy drzwiach zapanowało poruszenie. Do pokoju wszedł grajek w czarnych spodniach i białej koszuli *achara*, bez fletu, ale z trzema kadzidełkami oraz dużą misą z brązu, napełnioną wodą i płatkami lotosu.

– Już czas, kochana – powiedział, klękając na macie obok żony pana Viraka. – Pora się rozstać.

Jako obeznany z rytuałem pochówku, miał odegrać rolę *achara*. Odprawi dziecku uroczystość, której nie mógł odprawić swej żonie, gdy umarła w drodze.

– Musimy uwolnić duchy naszych bliskich – szepnął. – Obyś zaznał pokoju w podróży. – Następnie odwrócił się do drzwi i skinął na papę i stryja.

Weszli, niosąc trumienkę. Ludzie jęknęli, uwalniając to, co dziecko przełknęło w pół oddechu.

Pierwszy raz uczestniczyłam w pogrzebie. Starsze kobiety umyły i ubrały chłopca, owijając małe ciało w jedną z białych koszul pana Viraka, która z braku płótna posłużyła jako całun. Uczesały mu włoski, kilkakrotnie zwilżając je wodą z misy przyniesionej przez grajka, ale dwa kędziorki zwijały się jak ślimaki, za nic nie chcąc się wygładzić. Dziwne, pomyślałam, jakby one jedne kurczowo trzymały się życia. Jeszcze dziwniejsze było, że oddech, ulotny i lekki jak piórko, tak dalece rządzi ciałem, że wprawia je w ruch z radości na widok matczynej twarzy, a bezdech skuwa je lodem, zubożniając na bezmiar jej rozpacz i kierując wzrok w zaświaty.

Kobiety wręczyły białe zawiniątko panu Virakowi. Przytulił je, a następnie zrosił wodą z misy w geście symbolicznej ablucji i rzekł cicho:

– Ja, twój ojciec, który kochałem cię w tym życiu, oczyszczam cię z karmy i uwalniam od wszelkiego cierpienia, ażebyś mógł podążać własną ścieżką. – Podał dziecko żonie, która odprawiła ten sam rytuał.

Łzy napłynęły mi do oczu i przypomniałam sobie Om Bao oraz własne rozważania nad żałobą za nią i czym właściwie jest żałoba. Żywot pełen smutku i żalu ujęty w zdławionym szlochu na kształt i podobieństwo ostatniego tchnienia tego maleńkiego dziecka.

Grajek wziął ciało od pani Virak i umieścił je w prowizorycznej trumnie skleconej z szuflady biurka wygrzebanego ze sterty na tyłach świątyni. Zamknął wieko. Ujrzałam słowa wydrapane na pulpicie dziecięcym pismem: „Wiedza płynie z nauki, a kto szuka, ten znajdzie”.

Czego tu jeszcze szukać? Wszystko przepadło w tej trumnie. Ogarnęła mnie złość na bogów za zabranie najmniejszej osoby, jaką mogli znaleźć, i przejęcie jej na własność. Kto powiedział, że tylko oni mają prawo kochać to dziecko? Kto powiedział, że tylko oni mogą kochać? Nawet mała Radana była zdolna do miłości. Słała pocałunki trumnie wynoszonej z pokoju.

– Dzidzius? Mamusiu, dzidzius? – dopytywała się.

– Tak, kochanie. Dzidzius śpi. Pożegnaj się z dzidziusiem. – Mama mocno przytuliła ją do siebie, jakby najpotężniejsze duchy i bogowie nie mogli równać się z matczyną miłością.

Na boisku przed szkołą ułożono stos z liści paproci i gałązek. Pan Virak prosił, żeby ciało spłonęło tutaj, jakby widok ten ostatecznie miał upewnić go o śmierci synka.

Ceremonię odprawił mnich, który już nie mógł być mnichem. Przypomniałam sobie, że przyjechał

tego samego dnia co pan Virak; wszyscy traktowali go z szacunkiem, a starsi nazywali go Mądrym Nauczycielem, chociaż nie wyglądał na więcej niż trzydzieści lat. Miał na sobie to samo, co w dzień przyjazdu – koszulę i spodnie, jak każdy – a na do niedawna gładko ogolonej głowie jeżyła się szczecinka włosów. Bez szafranowej szaty zdawał się nagi, bezbronny, odarty z nietykalności, którą zawsze przypisywałam mnichom.

– Nawet lotos w przepychu swych barw i aromatów musi zwiędnąć – zaczął, opasując lewym ramieniem podaną mu przez grajka misę z brązu, a prawą ręką mieszając wodę gałązką jaśminu. – Tak ciało marnieje i obraca się w nicość. – Skropił trumienkę. – *Anicca vatta sankhara*; nietrwałość jest cechą wszelkiego czującego istnienia. Nic nie trwa wiecznie, a my, którzy kurczowo trzymamy się życia i swoich pragnień, tkwimy w nieustannym cyklu narodzin i odrodzenia, w kole samsary. – Okrążył stos pogrzebowy, skrapiając wodą zamkniętą trumnę, ziemię wokół niej i głowy żałobników. – *Cattari aria saccani...*

Kiedy podszedł do bolejących rodziców, zawahał się i usta mu zadrżały, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Następnie zrobił coś niezwykłego, niedozwolonego dla mnichów, a mianowicie wyciągnął rękę i dotknął wiernego.

– Twój żal minie – oznajmił z dłonią na ramieniu pana Viraka, przemawiając do niego nie jako mnich, ale ktoś złączony z nim w bólu. – Teraz trudno w to uwierzyć, przyjacielu... – Utkwił wzrok w szklistych oczach pana Viraka. – Smutek zwiędnie jak kwiat i też zostawi po sobie ziarno możliwości.

Lekko skinął na grajka, który ukląkł i zapalniczką wyjętą z kieszeni podpalił stos. Trumienka z dzieckiem w środku zajęła się ogniem. Pan Virak z żoną przypadli do ziemi, szlochając nad planszą do gry w klasy, jedno po cichu, drugie na cały głos. Dołączył do nich chór żałobników. I tak trwała kołysanka płaczu.

Stos pogrzebowy jeszcze płonął, kiedy zjawiała się grupa żołnierzy rewolucji i zwołała wieczorne zebranie. Kilkoro dzieci proponowało mi wspólną grę w klasy, ale nie było gdzie, stos pokrył całą planszę. Drewno się tliło, iskry fruwały w powietrzu niczym świetliki gotowe oplakiwać zmarłego wraz z nami. Tylko żołnierze rewolucji kipieli niespożytą energią.

– Organizacja wie, kim jesteście! Kto co robił, kto był bogaty, a kto biedny, kto mieszkał w pałacu, a kto na ulicy, kto jest Kambodżaninem, a kto zagranicznym szpiegiem! Organizacja ma oczy i uszy dookoła głowy jak ananas! Na nic kłamstwa i uniki! Musicie się ujawnić! Pokażcie się!

Organizacja jest ślepa, myślałam. A nawet głucha. Grozi i rozkazuje, rozsyła swe cienie, by chełpiły się i wykrzykiwały, choć powinny lamentować i płakać, a przynajmniej zachować milczenie. Nie wie, że jest pogrzeb?

– Oddajcie się rewolucji! Oficerowie, inżynierowie, lekarze i dyplomaci! Piastujący stanowiska w dawnym reżimie! Wystąpcie naprzód!

Tylko głosy duchów były bardziej wszędobyłskie i natarczywe. Słyszałam je z każdej strony, musiały pochodzić z *chedi*. Spojrzałam na stupę; złota iglica w porośniętym świetle zmierzchu wyglądała jak wędka zarzucona z nieba. Duchy śpiewem witały dziecko. Chodź do nas! Czy to ryba? Kijanka? Nie, ziarno. Ziarno możliwości... Wydany przez pomyłkę, ponownie stajesz się jednym z nas.

– Oddajcie się ojczyźnie! Chwalebnej sprawie rewolucji! Wystąpcie naprzód!

– Patrz, Raami – powiedział papa, wskazując księżyc wysoko nad nami. – Druga pełnia w nowym roku. – Policzył daty na palcach. – Świeci jasno. Tygrys musi odejść, ustąpić miejsca Zajęcowi.

Siedzieliśmy na odsłoniętych korzeniach banianu przed drzwiami. Noc była jasna, jakby w żałobie porzuciła zwykłą czerń, oblekając się pogrzebową bielą.

– Wczoraj nie było pełni – wymamrotałam, czując się apatyczna i pusta, jakbym miała za sobą długą drogę donikąd. W domu wszyscy spali, ośpiewali z wyczerpania. – Czy to w ogóle ten sam księżyc?

Oczywiście, że ten sam. Wiedziałałam o tym, ale nie wypadało mówić, co naprawdę myślałam – że noc pławi się nie tylko w jego blasku, lecz w poświęceniu stosu pogrzebowego, który tlił się teraz, jakby gwiazda spadła na środek szkolnego podwórza, paląc wszystko po drodze. Gryzący zapach w powietrzu nasunął mi wspomnienie pewnej sytuacji z Phnom Penh, gdy ze ściany w pawilonie kuchennym spadła do kotła jaszczurka *chieeng chock* i stanęła w płomieniach, a ja tego dnia nie mogłam nic jeść, bo wszystko cuchnęło spalonym mięsem.

– Nie wygląda jak znajomy, prawda? – odmruknął papa, nie odrywając oczu od księżyca. – Tyle się dzieje, Raami, jakby to nie był jeden dzień, jakby to nie był ten sam świat, w którym się obudziliśmy.

Tak, nie mogłam uwierzyć, że minął tylko jeden dzień, odkąd ostatnio patrzyliśmy na księżyc, który bawił się z nami w chowanego, a papa opowiedział mi historię o swoim przyjacielu. Dziecko umarło, a jego śmierć dała się odczuć bardziej niż życie. Nie mogłam się nadziwić, że ta mała istotka pozostawiła po sobie próżnię tak wielką, jakby we wnętrzu trumny spłonęły całe tygodnie.

– Ale tak, to ten sam księżyc – ciągnął papa głosem równie odległym jak białe oblicze patrzące na nas z góry. – Gdziekolwiek jesteśmy, zawsze to ten sam księżyc... Urodziłem się w Roku Tygrysa, 1938. Mam trzydzieści siedem lat, pewnie myślisz, że jestem strasznie stary! – Zaśmiał się cicho. – W jednej ze swych niezliczonych reinkarnacji Budda był Tunsai Bodhisatem – bodhisattwą, istotą oświeconą pod postacią małego zajęcza.

Zdziwiłam się. Budda zajęcem?! Papa snuł kolejną opowieść:

– Którejś nocy w czasie pełni Indra postanowił przemienić się w starego bramina i poddać

próbie dobroć Tunsai Bodhisata. Chciał sprawdzić, czy zając zasługuje na lepszą reinkarnację. Jestem taki głodny, powiedział do zająca. Czy nie zechciałbyś posłużyć mi za strawę? Tunsai Bodhisat, zdjęty współczuciem dla wynędzniałego ascety, przystał na tę prośbę. Rozpalił ognisko, otrzepał się z pcheł, które obsiadły jego futerko, i wskoczył w strzelające płomienie. Lecz Indra pospieszył mu na ratunek, łapiąc jego ducha i zanosząc na księżyc, gdzie wyrzeźbił postać Tunsai Bodhisata na jego świetlistej powierzchni. Od tej pory, powiedział zającowi, cały świat będzie wiedział o twym szlachetnym uczynku.

Papa się uśmiechnął i ponownie wznosił oczy do nieba.

– I dlatego, Raami, w czasie pełni widzimy zająca!

Poszukałam wzrokiem kształtu na świetlistej tarczy. Mleczna Matka miała własne wytłumaczenie na to, dlaczego zając siedzi pochylony nad ogniskiem. Jest kapłanem Wiecznego Płomienia, mówiła. Przyszło mi do głowy, że zając rozpala własny stos pogrzebowy. W moje rozmyślania wdarł się głos papy.

– Kiedy niebo ciemnieje i wszystko wokół nas jest czarne, pozbawione nadziei, księżyc to nasze jedyne światło... Chciałbym polecieć na ten księżyc. Raami... – Przeniósł na mnie wzrok i rozchylił usta, jakby chciał coś dodać.

Czekałam. Zamrugął i odwrócił głowę. Milczałam, wyczuwając to, czego nie umiał wyjaśnić – że śmierć to tylko podróż stąd do tamtąd i czasem prowadzi w lepsze miejsce. Ciało dziecka zostało strawione przez ogień, ale jego dusza powędrowała na księżyc i tam, wysoko na niebie, już nic mu nie grozi. Papa nie musiał wszystkiego tłumaczyć. Niektóre rzeczy są oczywiste, jak chęć ucieczki, uwolnienia się od bólu i zgrzyoty. Chciałam, by wiedział, że rozumiem.

– Ja też – odparłam. – Też chciałabym polecieć na księżyc.

Lecz niepokój pozostał. Coś tu się nie zgadzało. Nie widziałam tego, co pokazywał mi papa. Nie byłam poetką, nie miałam jego wizji, by doszukać się metafory nadziei w okrągłej tarczy. I widziałam w górze tylko wielką ziejącą dziurę, w której mógł zniknąć.

Pełnia minęła, a my zostaliśmy w tej enklawie startych z powierzchni ziemi. Lgnęłam do papy w strachu, że gdzieś czai się podejrzliwy Indra, wyłuska go z tłumu i podda strasznej próbie, w wyniku której go stracę. Chodziłam za ojcem krok w krok i nie spuszczałam go z oczu, wypatrując tych, którzy mi go zabiorą. Ilekroć wstawał, żeby gdzieś iść, pędziłam w ślad za nim, uwieszona jego dłoni, aż wzdragał się, może żałując, że powiedział mi zbyt wiele i za szybko lub za mało i poniewczasie. Któregoś dnia podczas wyprawy do miasteczka dowiedzieliśmy się, że stary zamiatacz razem z zamożniejszymi mieszkańcami Rolork Meas – właścicielami ziemskimi, dawnymi włodarzami i urzędnikami oraz drobnymi kupcami – został przesiedlony. Gdzie i dlaczego – przecież nie należał do żadnej z tych grup – tego nikt nie wiedział na pewno, nikt też nie był skory dzielić się swoimi przypuszczeniami, pewnie z obawy, że podzieli jego los. Nie pozostało nam nic prócz

domysłów. Gdy papa zapytał o starca żołnierzy rewolucji pilnujących świątyni, jeden z nich odparł rzeczowo:

– Jeśli zbyt głęboko zapuścisz korzenie, trzeba cię wyrwać i przesadzić gdzie indziej.

„Korzenie, wyrwać, przesadzić”. Te słowa huczały w mojej głowie. W ustach tego żołnierza zionęły pogardą i jadem. Miałam zaledwie siedem lat, a nauczyłam się rozpoznawać hasło przewodnie: Jesteś za rewolucją albo przeciwko niej. Albo-albo, nie ma nic pomiędzy. Stary zamiatacz miał zbyt wiele „złych” powiązań – miasteczko, świątynia, mnisi, a teraz my – więc nie zasługiwał na zaufanie. „Chwasty trzeba wrywać, zanim wzrosną w siłę!”, mówili żołnierze, Kamaphibal zaś, jakby na potwierdzenie słów swych wojskowych odpowiedników, dopowiadał z tym samym niezmaconym spokojem, z jakim powitał nas na początku: „Bracia i siostry, towarzysze, razem musimy ukuć nową polityczną świadomość. Musimy porzucić stare nawyki i aspiracje, ponieść osobiste ofiary dla wyższego dobra”...

Słuchając ich, człowiek nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w poprzednich wcieleniach byli nowicjuszami w świątyni i – podobnie jak niedawno wywieziony starzec – spędzili młodość na zmiataniu sanktuarium, a alfabetu uczyli się, recytując buddyjskie zasady: „Życie jest wypełnione cierpieniem, powodem cierpienia jest pragnienie, ale możemy położyć mu kres, obierając właściwą ścieżkę”...

– Chlubna droga rewolucji nie jest usłana różami – oznajmił młodzieniec w okularach.

Stał na placu przed szkołą w asyście starszych członków Kamaphibalu. Tym razem zjawili się tylko we trzech i przyszło mi do głowy, że wbrew naszym przypuszczeniom okularnik nie jest dowódcą ani rzecznikiem. Przełożeni poddawali go próbie, każąc mu mówić do nas, tak jak starsi mnisi poddają próbę nowicjusza, sprawdzając jego znajomość świętego tekstu.

– Przemierzyliśmy dżungle – perorował – pokonaliśmy góry i rzeki, stoczyliśmy niejedną bitwę, aby stanąć wreszcie u waszych drzwi.

Miał w sobie coś z papy. Żarliwość poety, poszanowanie dla słów, jakby każde skrywało wartość ponad własne brzmienie. Dobierał je uroczyście i z największą powagą.

– Pomóżcie nam zbudować nowy świat. Kambodżę demokratyczną, prężną i sprawiedliwą.

Słuchacze nie okazali emocji, ze znużonych twarzy biła obojętność. Przypominali wiernych znudzonych przydługim, monotonnym kazaniem. Mimo to nikt nie odważył się wyjść z zebrania; teraz zwoływano je regularnie, w co drugi wieczór o tej samej porze, kiedy mijał skwar, a kobiety zajmowały się przygotowywaniem posiłków. Zapewne było to celowe działanie Kamaphibalu – najpierw dotrzeć do mężczyzn. Zawsze towarzyszyłam papie, trzymając go za rękę, siedząc mu na kolanach, a czasem zasypiając w jego ramionach, kiedy tyrada się przedłużała.

Tego wieczora jednak mama kazała mi zostać i przypilnować młodszych dzieci, a sama zajęła się

kolacją. Patrzyłam i słuchałam z bezpiecznej odległości, wsparta brodą o parapet. Na podwórzu mama ze stryjenką Indią siekały warzywa i gotowały ryż, zerkając czasem na papę i stryja stojących parę metrów dalej w grupie mężczyzn zebranych wokół Kamaphibalu. Papa, z pochyloną głową i rękami splecionymi na piersi, jedyny zdawał się z uwagą śledzić wywód. Stojący obok stryj kręcił barkami, jakby mu sztywniały, popatrując ukradkiem na starszego brata, bardziej zaniepokojony jego namysłem niż obecnością członków Kamaphibalu oraz ich dziwnie znajomą, a zarazem niezgłębiałą retoryką.

– Towarzysze, spójrzcie na cierpienie wokół was, a zrozumiecie, że jesteście potrzebni. Musicie dać nam swoją wiedzę i doświadczenie.

Słowa dotarły do słuchaczy, bo tłum drgnął. W pustych oczach błysnęło zrozumienie, głowy z ociąganiem pokiwały twierdząco.

Nie uszło to uwagi dwóch starszych członków Kamaphibalu. Korzystając z okazji, jeden z nich wyjął coś z kieszeni koszuli – kartkę z notatnika złożoną na czworo, z brzegiem wystrzępionym jak koronka. Rozłożywszy ją, zaczął wyczytywać nazwiska. Lista była długa: Vong Chantha, Kong Virak, Im Bunleng, Sok Sonath, Chan Kosal... Wydało mi się, że słyszę nasze, ale nie byłam pewna. Może powiedział „Sinn Sowath”? Tyle khmerskich nazwisk brzmiało podobnie, Seysarith, Sireyrath, Sim Sowath.

– ...Pen Sokha, Keo Samon, Rath Raksmei.

Lista dobiegła końca. Starszy służbista złożył kartkę jak poprzednio i z powrotem włożył do kieszeni. Zmrużył oczy, patrząc na twarze wokół jak iluzjonista w poszukiwaniu ochotników wśród odpornej publiczności. Nikt się nie poruszył, wszyscy wstrzymali oddech. Nawet niebo stężało nad głową, zastygła płachta bieli. Starszy członek Kamaphibalu z tupotem wystąpił naprzód. Skoro nikt nie chce, mówiła jego postawa, sam wybierze. Wskaże ofiarę. Wyjął papier z kieszeni.

– Jego Wysokość Sisowath Ajurawan – przeczytał. – Książę... książę i poeta.

Coś huknęło. Spojrzałam w tamtą stronę. To mama upuściła garnek z ryżem i ziarenka rozsypały się po ziemi jak mrówcze jaja. Ponownie przeniosłam wzrok na papę. Nie podniósł głowy, nawet nie drgnął, stał nieruchomy jak posąg. Z twarzy stryja biła zgroza.

– Jesteśmy zaszczyceni, mając kogoś takiego wśród nas, Votre Altesse – rzekł uroczyście rewolucjonista. – Będzie pan przykładem dla innych. Proszę wystąpić, *Altesse*.

Czekał.

I znów nie drgnął nawet liść.

– Towarzyszu Ajurawan, wiemy, że tu jesteście. Pokażcie się.

W naszej izbie wybuchła panika.

– To blef – przekonywał stryj. – Nie wiedzą, że tu jesteś, inaczej wskazałoby cię palcem. Mają tylko świstek, nic więcej. To podstęp, Ajurawanie, nie ujawniaj się, mówię ci. Nie wiedzą, jak

wyglądasz. Możesz zniknąć, być niewidzialny. Jeszcze nic straconego, proszę cię... – Zabrakło mu tchu.

Papa nie odpowiedział, wpatrzony we mnie i nikogo więcej, z rękami przyciśniętymi do brzucha, jakby tulił w nich spokój, który chciał mi przekazać wśród narastającego wokół nas szaleństwa.

– Nie możesz tam iść. – Mama stanęła przed nim, zmuszając go, żeby na nią spojrzeł. – Ja ci nie pozwolę. Arun ma rację, jeszcze nic straconego. Ani mi się waż tak myśleć. – Drżała.

Papa nie czuł się na siłach ją pocieszać. Wciąż patrzył na mnie, wzrokiem przekazując mi, że wszystko będzie dobrze i nie stanie się nic złego.

– Musisz uciekać! – krzyknęła histerycznie Tata. – Tylko dokąd? Wszędzie czyhają pułapki. Osaczyli nas.

Papa milczał i jego milczenie było jak sto głosów szepczących sto różnych historii. Nie wiedziałam, której powinnam słuchać – ani w którą wierzyć.

Wyszliśmy, zostawiając innych z ich obawami i paniką, i schroniliśmy się w ciszy pawilonu medytacji.

– Wiesz, czemu opowiadam ci historie, Raami? – spytał.

Potrząsnęłam głową. Nie wiedziałam i nie rozumiałam nic.

– Kiedy myślałem, że nie będziesz chodzić, postanowiłem nauczyć cię latać. – Mówił spokojnym, kojącym głosem, jakby chodziło o kolejny wieczór, jeszcze jedną rozmowę. – Moje opowieści miały przyprawić ci skrzydła, Raami, uchronić od pułapki nazwiska, tytułu, ograniczeń własnego ciała, otaczającego cierpienia. – Popatrzył na twarz drewnianego Buddy w rogu i przyznał, jakby w odpowiedzi na ich wcześniejszą wymianę zdań: – To prawda, gdzie spojrzeć, tam pełno cierpienia: zniknął starzec, umarło niemowlę, mieszkamy w sali zamieszkannej przez duchy i stąpamy po ziemi splamionej krwią pomordowanych mnichów. – Ujął moją twarz w dłonie. – Moim największym pragnieniem jest patrzeć, jak żyjesz, Raami. Jeśli ceną twojego życia jest moje cierpienie, jestem gotów się poświęcić dla ciebie.

Nie mogłam się z tym pogodzić, z tą pozbawioną sensu i okrutną wymianą jednego życia za drugie. Nie umiałam sobie wyobrazić świata bez niego. Chciałam mu to powiedzieć, ale nie znalazłam słów, nie wiedziałam jak. Znowu potrząsnęłam głową.

Cała twarz mu zadrżała, jakby ktoś wzburzył taflę wody w fale bólu i przerażenia.

– Opowiadam ci to teraz... tę historię... abyś żyła. I gdy ja znajdę się pod ziemią, ty polecisz. Dla mnie, Raami. Dla swojego papy wzbijesz się w powietrze.

Nie odpowiedziałam. Pragnęłam, żeby zamilkł. Bo brzmiało to jak pożegnanie.

Łzy pociekły mu ciurkiem z prawego oka i spłynęły po nosie.

– Wybacz mi, kiedy zdołasz. Wybacz, że nie zobaczę, jak dorastasz...

Nie dokończył; zaszlochał, ukrywając twarz w dłoniach. Sto *tevod* płakało wraz z nim, a ich lament brzmiał jak stado ptaków w locie, bijących skrzydłami o mroczny płat nieba.

Musicie poświęcić się dla rewolucji! – grzmiał mężczyzna, który wcześniej czytał listę nazwisk. Uderzał pięścią w dłoń; żyły nabrzmiewały mu na szyi, a migoczące płomienie uniesionych wysoko pochodni żołnierzy rewolucji podkreślały wagę każdego wypowiedzanego słowa. Stało się jasne, że to właśnie on był przywódcą Kamaphibalu. – Wszyscy towarzysze, ja także, pozostawiliśmy swe domy i rodziny, aby budować Demokratyczną Kampuczę!

Nie wiedziałam, ilu ich jest, lecz w kapryśnym, rozedrganym świetle wyglądało na to, że setki. Byli jak wycinanki z papieru, identyczni, złączeni milczącym paktem solidarności, z góry narzuconym ujednoliceniem. Nie pasował tylko młody okularnik o żarliwości poety, który stanął nieco na uboczu, jakby stracił honorowe miejsce pośrodku z powodu zbyt nikłej siły perswazji.

– Nie jesteście jedynymi, którzy stracili bliskich – ciągnął przywódca Kamaphibalu. – My też wiele wycierpieliśmy i ponieśliśmy niejedną stratę. Ale nasze cierpienie nie poszło na marne. Uwolniliśmy was i ten kraj od niesprawiedliwości dawnego reżimu. Musicie włączyć się do walki! Wystąpcie, zanim będzie za późno! Zanim kolejne dziecko umrze w waszych ramionach!

Uważałam, że nie powinien mówić o zmarłym dziecku przy jego rodzicach ani posługiwać się jego śmiercią dla swojej sprawy. Jakby mało im było werbowania żywych ludzi, musieli też werbować zmarłe dziecko.

– Ci, których nazwiska zostały wyczytane, mają szansę ujawnić się dobrowolnie. Jeśli postanowicie ukryć się lub zbiec, nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa wam ani waszym rodzinom. – Urwał dla większego efektu. – Wystąpcie, towarzysze. W tej chwili to wasz wybór.

Nastała długa cisza. W końcu rękę podniósł jakiś mężczyzna. Zobaczyłam podwinięty rękaw żałobnej białej koszuli. Pan Virak. Członkowie Kamaphibalu zaczęli klaskać. Kong Virak. Jego nazwisko było drugie na liście. Musiał je podać żołnierzom, inaczej skąd by wiedzieli? Po śmierci dziecka nie był sobą i zapewne odruchowo podniósł rękę. Obok wystrzeliła kolejna, a może nie. Może to był tylko cień ręki pana Viraka. Znowu rozległy się brawa. Gdzie spojrzeć, cienie. Nie miałam pewności, kto ani ile osób podniosło rękę.

Po powrocie do izby żona pana Viraka zaczęła płakać. Wypytywała go, dlaczego tak zrobił. Odparł, że nie może tu zostać. Nie może zostać z nią. Nie łączyło ich już nic oprócz bólu, łez i wspomnień. Ranił ją słowami, torturował. Jego udręka doprowadziła ją do szaleństwa. Z krzykiem przybiegła do nas.

– Porozmawiajcie z nim! – Uczepiła się rękawa papy. – Przemówcie mu do rozsądku!

Mama podeszła i uderzyła ją w twarz.

– Cicho! – rozkazała. – Nie słyszę własnych myśli. – Żona pana Viraka z tłumionym łkaniem

osunęła się na podłogę. Mama zwróciła się do papy. – Dlaczego? Powiedz mi, czemu się poddajesz. Przecież jest jeszcze wyjście z sytuacji.

Nie rozumiałam. Co on znowu przeszkrobał? Nagle mnie olśniło – papa siedział obok pana Viraka. To on się zgłosił.

– Jest wyjście, nie rozumiesz?! – krzyknęła mama.

Papa ujął jej dłonie. Patrzył na nią, jak gdyby byli sami w pokoju, jakby nie było nikogo więcej.

– Wiem, że nie zawsze byłem przy tobie, kiedy mnie potrzebowałaś. – Przyciągnął ją bliżej. – Często zatracam się w konstelacji własnych myśli, wiecznie szukając oświecenia. Ale zawsze tuż przy mnie jesteś ty, jaśniejsza od gwiazd. Dajesz mi wszystko, czego potrzebuję. Jesteś moją jedyną gwiazdą. Moim słońcem, księżycem i drogowskazem. Dopóki cię mam, nigdy się nie zgubię. Nawet gdy nie będę mógł cię objąć, będę cię widział, gdziekolwiek się znajdę. Wiem, gdzie cię szukać. – Pokierował jej dłoń do swego serca. – Tutaj... tu jesteś i tu będziesz zawsze.

Wyrwała się i wybiegła z twarzą mokrą od łez. Papa nie ruszył się z miejsca i drżąc, patrzył na mnie.

„I gdy ja znajdę się pod ziemią, ty polecisz”...

Że też wtedy nie zrozumiałam. Nie próbował ukryć przede mną smutku i przerażenia. Stał z ręką przyciśniętą do piersi i rozchyłonymi ustami, jakby chciał wyłuszczyć wszystko, co wie, tylko powstrzymywała go myśl, iż żadna opowieść i słowa nie przygotują mnie na rozstanie i nie oddadzą prawdy o jego cierpieniu.

„Wybacz mi, kiedy zdołasz. Wybacz, że nie zobaczę, jak dorastasz”.

Nie wiedziałam, że ten dzień tak szybko nadejdzie. Że nastanie teraz. Rozumiałam, lecz nic nie mogłam zrobić. Nie mogłam pocieszyć ani jego, ani siebie.

Zbierając swoje rzeczy, papa tłumaczył pozostałym to, o czym już mówił stryjowi – że odłączył się od rodziny, a nasze dzieje spisał na nowo.

– Opiekuj się nimi – przykazał bratu. – Powierzam ci moje dzieci.

Stryj otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz pod jego spojrzeniem bezsilnie spuścił głowę.

Nie wiedziałam, że tak niewielka przestrzeń może pomieścić tyle rozpacz.

Mama spała tyłem do nas, tuląc Radanę do piersi. Płacz wyczerpał ją do cna. Papa leżał obok niej. Myślałam, że też zasnął. Ale zaraz zobaczyłam, że ma otwarte oczy, śledzi podrygi małej jaszczurki *chieeng chock na* suficie. Nie wiem, czemu stworzonko nasunęło mi wspomnienie o zmarłym chłopczyku. Przyszło mi do głowy, czy to aby nie on pod postacią jaszczurki, kipiący chęcią życia, w pogoni za pożywieniem, w kręgu światła lampy naftowej. Pewna myśl z wolna tworzyła się w mojej głowie, kołowała niczym ptak. Okrążyła moją świadomość jak jastrząb sprzed paru dni, kiedy byliśmy przy studni. Latała w kółko, kreśląc w powietrzu kształt księżyca w pełni.

– Papo! – szepnęłam pod wrażeniem swego odkrycia. – Czy... czy twój duch poleci na księżyc?

Drgnął. Milczał długo.

– Tak... – odparł wreszcie drżącym głosem. – Pójdę za tobą i wystarczy, że spojrzysz na niebo, żeby mnie znaleźć, gdziekolwiek będziesz.

– Papo...

– Hm?

– Chciałabym, żebyś w następnym życiu był ptakiem, w razie potrzeby mógł uciec i wrócić, kiedy zechcesz.

Przyciągnął mnie do siebie, przycisnął mi usta do czoła i poczułam na skórze jego łzy. Przytuliłam go, aż mi ręce zdrętwiały, czując, jak mu pęka serce.

Tamtej nocy obudziłam się w trakcie snu. Ujrzałam złączone usta mamy i papy, ich ciała splecione jak węże. *Chcę cię przytrzymać, połknąć... mieć na zawsze.* Karmiłam się nawzajem trucizną, pomyślałam, lecz nie mogłam temu zapobiec ani wydobyć głosu. To tylko sen, wmówiłam sobie. Sen. Powieki mi opadły i znowu zasnęłam. Potem usłyszałam szelest powoli dartego papieru. Otworzywszy oczy, zobaczyłam papę schylonego nad notesem w drzwiach, w mdłym blasku rzucanym przez gwiazdy. Pisał, a może składał wydartą kartkę. Sen wziął górę nad ciekawością, zamykając mnie w swym uścisku, i znów popadłam w zapomnienie.

Kiedy się obudziłam, nastał ranek i papy nie było przy mnie na macie. Pobiegnęłam go szukać. Przy bramie grupa żołnierzy rewolucji pilnowała mężczyzn – pana Viraka, grajka, mnicha i paru innych – wsiadających na wóz wyładowany rzeczami. Papa stał obok, również gotów do wyjazdu. Przepchnęłam się przez tłum i przypadłam do niego.

– Nie chcę, żebyś leciał na księżyc! – krzyknęłam, odciągając go od wozu.

Przykląkł.

– Raami, skarbie, nigdy cię nie okłamałem, teraz też powiem prawdę. Wiem, że jesteś jeszcze mała, ale ja nie mogę czekać, aż dorośniesz. Mój czas się skończył. – Urwał ze wzrokiem utkwionym w ziemię. – Serce mnie boli, ale muszę odejść. Chcia... chciałabym, żebyś to zrozumiała.

– Przecież jesteś moim papą! – Nie potrafiłam wyrazić tego, co rozumiałam, co czułam. W świecie, gdzie dom, ogród, miasto i ludzie ginęli bez śladu, znikali jak mgła o poranku, on stanowił mój jedyny punkt oparcia. Był moim ojcem, a ja jego dzieckiem, narodził się, aby mnie kochać, wspierać i wytyczać mi drogę, to stanowiło zasadniczy dowód na logikę wszechświata. Reszta, nawet pozbawiona sensu i zatrwajająca, była dozwolona, wybaczalna. Ale teraz miałam żyć bez niego? Omiotłam wzrokiem żołnierzy w poszukiwaniu kogoś, kto zrozumie, co czuję, ale nikt na nas nie patrzył. – Powiedz im, że jesteś moim papą!

Bez słowa spuścił głowę, uciekając spojrzeniem.

– Powiedz im! Jesteś moim papą... masz być tutaj! Powiedz im!!!

Podniósł wzrok i monsunowy deszcz wezbrał mu w oczach, zatapiając je jak pola ryżowe wokół świątyni. Nie odważył się mrugnąć ani odezwać. W życiu nie widziałam go w takiej rozpacz, lecz nie zdobyłam się na słowa otuchy. Czułam tylko własny smutek. Myślałam tylko o sobie.

– No to weź mnie ze sobą – poprosiłam.

– Raami, moja świętości... – zaczął, ale głos go zawiódł.

– Jeśli mnie zostawisz – przekonywałam – będę płakać, będę cierpieć. – Nie wyobrażałam sobie, że mogłam cierpieć bardziej niż teraz, mimo to nie dawałam za wygraną. – Jeszcze nie wyjeżdżaj. Opowiedz mi coś!

Drgnął i odwrócił się, cały roztrzęsiony.

– Proszę, ostatni raz. Proszę, papo!

Połknęłam ogień rozpacz i plułam nim na wszystkie strony, w każdego, kto się zbliżył. Nie odzywałam się do stryja, bo to on mnie zatrzymał, kiedy chciałam pobiec za papą. Żona pana Viraka zrobiła to samo – pobiegła i zaczęła błagać młodego żołnierza, który z litości lub dla świętego spokoju zatrzymał wóz, na którym jechał jej mąż, i pozwolił, by wsiadła. Ale stryj gdzie tam. Przemocą zaniósł mnie z powrotem do szkoły, głuchy na łzy, błagania i dzikie wrzaski. „Chcę jechać z papą! Puszczaj! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię, ty *yiaku!*”. Nie puścił, nawet gdy go ugryzłam i podrapałam, tylko chwycił mnie mocniej. Nie mogłam znieść jego obecności, która, jak czułam instynktownie, miała wynagrodzić mi brak papy. Kiedy Tata, stryjenka India i Królowa Babka starały się mnie pocieszyć, odwróciłam się do nich plecami, obojętna na pieszczoty i słowa otuchy, a także na fakt, że same potrzebowały pociechy. Kopałam i biłam bliźniaki, gdy w zabawie zapędziły się zbyt blisko mnie. Odręcałam rączki Radany, kiedy chciała mnie przytulić. Tylko mama zostawiła mnie w spokoju, jakby świadoma struny, która we mnie pękła.

Słowa dawały mu skrzydła. Tak powiedział papa. Nie pociechę. Skrzydła. Które odrąbał i dał mnie, żebym mogła lecieć dalej.

Zastygłam w odrętwieniu. Rozpacz, jakiej dotąd nie zaznałam, wykraczała poza moje ciało. Stanowiła odrębny byt, który jak cień zajął stałe miejsce u mojego boku.

Żyłam dalej, pełna strachu przed niewyjaśnionym, uczipiona ojca na jedyny możliwy sposób – przekonaniem, że jego duch uleciał do nieba i tam zasiadł, eteryczny i nieuchwytny jak księżycowy blask. Wieczny, wolny. Nareszcie.

Kolejne tygodnie zwały się w jeden, kiedy Kamaphibal gorliwie dążył do obalenia starego świata i stworzenia nowego, demaskując kolejnych ludzi – ich wykształcenie, zawód, status społeczny – i decydując, kto jest dobry, kto zły, kto zasługuje na awans, a kto na wyeliminowanie. Nie rozumiałam powodów tej ciągłej rotacji, nieustannego wzywania na wiece i rozdzielania. Nikt nie rozumiał. Nikt nie widział w postulatach solidarności i braterskiej miłości ukrytego przesłania, że każdy może być wrogiem. Najpierw byli nim intelektualiści, dyplomaci, lekarze, piloci, inżynierowie, policjanci i oficerowie, ludzie na stanowiskach, otoczeni powszechnym uznaniem. Na drugi ogień poszli urzędnicy, specjaliści, służba pałacowa, taksówkarze, ludzie o *mok robar civilai* – „współczesnych zawodach” – czyli prawie wszyscy, bo pochodziliśmy z miasta. Tych, którzy nie kłamali i nie podszywali się pod nikogo, wzywano na środek jak zające wykurzone z nory. Ich rodziny miały do wyboru jechać z nimi lub pozostać przy świątyni w oczekiwaniu na ich powrót. Ponieważ nie było wiadomo, kiedy ów powrót nastąpi ani co oznacza działanie „na rzecz” rewolucji czy „wstąpienie” do Organizacji, większość rodzin decydowała się na wyjazd w myśl założenia, że cokolwiek los kryje w zanadrzu, zmierzają się z nim wspólnie.

Przywożono następnych, nie tylko z Phnom Penh, ale z całego kraju, czasem konwojem ciężarówek, niekiedy na wozach zaprzęzonych w woły. Przy każdej okazji wybiegałam z izby lub aktualnej kryjówki i przepychałam się łokciami przez tłum, w nadziei że wśród nowo przybyłych jest papa. Serce podskakiwało mi na widok znajomej koszuli, posiwiącej skroni lub barków zdolnych przenosić góry. Ale zawsze czekał mnie zawód. Nikt o papie nie słyszał. Nikogo nie obchodził. Każdy miał własne zmartwienia.

Kolejne grupy sprawiały wrażenie bardziej udręczonych niż poprzednie. Trud powlókł ludzi twardą skorupą, zasnuł im oczy mgłą i stępił wrażliwość, odzierając z poczucia dobra i zła. Przewrócili posągi bogów i zajęli salę modlitwy, dormitoria oraz pawilon dharmy, profanując nawet nietkniętą dotąd świętość pawilonu medytacji. Dwie rodziny pobiły się o miejsce tuż pod posągiem Idącego Buddy przy wejściu, a on obojętnie patrzył w dal, głuchy na wszystko. Niegdyś zaciszny azyl, teren świątyni z czasem upodobił się do wysypiska odpadków i ludzkich tragedii. Wysiedleni przerzucali się opowieściami o nieszczęściach, jakby stanowiły towar na wymianę. „Spalili nasz dom. Rodzice byli starzy – podróż okazała się dla nich ponad siły”... Nieustanna defilada cierpienia pozwalała pogodzić się z faktem, że nie jesteśmy sami, a potworność tych czasów ma charakter uniwersalny i dotknie każdego.

My pilnowaliśmy własnego nosa. Nie rozmawialiśmy z nikim o tym, co nas spotkało. Mieliśmy poczucie – kierowała nami usilna potrzeba wiary – że papa nie całkiem zniknął. Jego obecność,

bezszała jak woda z pękniętego wazonu, przenikała do wszystkiego, co mówiliśmy i robiliśmy, w nasz bezruch i ciszę, nasze poranione, pęknięte jestestwo. Stryj doznawał jakby rozdzielenia jaźni, był uśmiechnięty i beztroski przy nas, a zamyślony i posępny, kiedy myślał, że nikt nie patrzy. Bawił się z Radaną i bliźniakami, budząc ich łaskotkami i pozwalając skakać po sobie wśród koców i poduszek. Woził ich na plecach, aż śmiech odbijał się od ścian i na chwilę zapomniałam, gdzie jesteśmy, wierząc, że bezpiecznie wróciliśmy do domu. Żartował w czasie posiłków, że zrezygnuje z kawy lub czegoś równie dla nas nieosiągalnego. Albo planował całodzienny post, jak mnich w czasie próby. Któregoś dnia przecesał palcami przydługie włosy.

– Wiecie, czemu mnisi i mniszki golą sobie głowy? – spytał, a gdy nikt nie odpowiedział, podjął jak gdyby nigdy nic: – Ponoć prosząc bogów o cud, trzeba czynić to z pokorą. Wyzbyć się dumy. Próżności. – Ponownie przecesał włosy palcami. – Może powinienem ogolić głowę. Na rzecz jego powrotu.

Mama wstała i wyszła z izby.

Spojrzałam na stryja ze złością. To na co czekasz? Zrób to! Ogól głowę. Sprowadź z powrotem papę! Aż się we mnie gotowało. Nie wiedziałam, czy złością mnie te bezsensowne rozważania, czy raczej dziwi niedorzeczność boga, który dałby się znęcić czymś tak mizernym jak ofiara z włosów. Papa był wart o wiele więcej. Zaślepiiony smutkiem stryj nie dostrzegł mojego gniewu.

– Powinienem nauczyć się modlić – wymamrotał z roztargnieniem.

Zaskoczona nagłą pobożnością męża stryjenka India patrzyła na niego z przestachem, jakby postradał zmysły, raz dowcipkując jak zwykle, a raz filozofując jak papa.

– Nie proś o wsparcie bogów, Arunie – wtrąciła Tata, do bólu pragmatyczna, a zarazem naiwna jak dziecko. – Idź do Kamaphibalu. Powiedz, kim naprawdę jesteśmy. Może jeszcze nas zechcą.

Królowa Babka z kąta westchnęła żałośnie.

– Największą tragedią macierzyństwa jest przeżyć własne dzieci – mruknęła, po czym jej twarz znów przybrała wyraz otępienia.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Łzy napłynęły stryjowi do oczu i próbował zatuszować je uśmiechem. Potem płakał za szkołą w zaciśnięte dłonie, nie wiedząc, że patrzę.

Zapanował względny spokój. Pojawiła się nowa grupa Kamaphibalu, wywodząca się głównie spośród okolicznych wieśniaków; stara przeniosła się gdzie indziej, „werbować” wykształconych ludzi swego pokroju. Gdy miejscowy Kamaphibal zaczął przydzielać rodzinom domy, nastąpiło poczucie ładu i porządku: kto chciał, mógł zamieszkać w miasteczku, u kogoś lub w mieszkaniu którejś z przesiedlonych rodzin. Pierwszeństwo przysługiwało biwakującym na gołej ziemi albo szczęściarzom, którzy przekupili wpływowych decydentów. Nie mówiono o tym wprost, ale wszyscy wiedzieli – w zamian ze zegarek dostawałaś lepiankę; za drewniany dom należało się więcej, bo tradycyjny damski pas z czystego złota. Im bardziej żółte złoto, tym większa przychylność lokalnej

władzy i większy dom. Krążyła plotka, iż żona jednego z Kamaphibalu była gotowa oddać dom po wydalonym chińskim kupcu w zamian za taki pas. Na wieść o tym Tata przypomniała stryjowi, że przecież mamy złoto – i to mnóstwo. Może wymienimy pas lub dwa za przyzwoite lokum?

Stryj odparł, że nie możemy wierzyć niczemu ani nikomu, plotkom ani lokalnej władzy. Wystarczy spojrzeć na Kamaphibal, którego skład zmieniał się jak w kalejdoskopie. Nic nie trwa dostatecznie długo, aby można było na tym polegać. Dostaniemy dom, przekonywał, a za chwilę nas wywiozą. I po wielu dyskusjach stanęło na tym, że lepiej się nie wychylać.

Żołnierze nie kwapili się sprawdzać, czy jesteśmy hodowcami mango, za których się podawaliśmy. Wybieg okazał się skuteczny i zapewnił nam chwilowy spokój w naszej izbie, zdaniem stryja lepszej niż dom w mieście, pod czujnym okiem żołnierzy rewolucji, Kamaphibalu i jego donosicieli.

Czułam jednak, że prawdziwym powodem, dla którego pozostaliśmy w szkole, była niechęć do opuszczenia miejsca, skąd wyjechał papa, gdzie ziemia rozbrzmiewała echem jego kroków, w drzewach pozostały jego westchnienia, a staw odzwierciedlał jego spokój. Tutaj dalej mogliśmy być z nim i chociaż chcieliśmy uwolnić jego ducha, pozwalając mu ulecieć do niewidzialnego wszechświata w poszukiwaniu nowego domu, bardzo się z tym ociągaliśmy. Kurczowo uczepiliśmy się możliwości, że pozostał wśród nas, nawet jako duch, nawet pod postacią echa lub cienia, gdyż porzucić ją oznaczało wyrzec się nadziei i pogрузić w bezdennej rozpacz.

Coraz więcej ludzi urządzało się w miasteczku, a my zostaliśmy w świątyni i zamiast wymienić złoto na widmowy dom, wymienialiśmy je na żywność. Naszyjnik zapewnił nam poszewkę ryżu na uzupełnienie sporadycznych racji prowiantu, jakie otrzymywaliśmy od Organizacji z rąk żołnierzy rewolucji lub Kamaphibalu. Za parę kolczyków dostaliśmy paczkę cukru palmowego, którego używaliśmy oszczędnie, na specjalne okazje dla Królowej Babki i maluchów. Za bransoletkę kupiliśmy sztukę wołowiny, która po zasoleniu i wysuszeniu na słońcu starczyła nam na cały tydzień.

Wszyscy musieli pracować. Stryj wychodził co rano z grupą innych mężczyzn i kopał rowy irygacyjne oraz kanały transportujące wodę z podmokłych bagien na odległe pola uprawne. Mamę i stryjenkę Indię oddelegowano do zbierania siewek ryżu ze szkótek na brzegach rzeki lub wzgórzach i zanoszenia ich hodowcom, którzy sadzili je na tarasach. Tata – ponieważ mama przekonała Kamaphibal co do jej złego stanu zdrowia – i ja, z powodu polio, zostawałyśmy w domu i zajmowałyśmy się Królową Babką, bliźniakami oraz Radaną. Na tym polegała nasza praca – na opiece nad starcami i dziećmi – tak aby inni mogli wykonywać swoją. Każdy musiał mieć swój wkład w rewolucję, jak mówili funkcjonariusze Kamaphibalu.

Codzienna praca i wieczorne zmęczenie nie pozwalały na rozpamiętywanie strat. Gdy żołnierze zaczęli regularnie przynosić prowiant, Kamaphibal zaprzestał wypytywania, kto jest kim, a

ciężarówki już nie krążyły tam i z powrotem, pojawiła się nadzieja, że najgorsze za nami.

– Bierzcie swoje rzeczy! Wychodzić! – Żołnierzy było dziesięciu albo dwudziestu, może więcej.

– Ty, ty i wy tam! – Wskazywali karabinami jak na zwierzęta, rozdzielając większe rodziny na mniejsze grupy. – Tylko najbliżsi krewni! Reszta na bok!

Stryj pospiesznie zebrał nas wokół siebie.

– Tworzymy jedną rodzinę. Wszystkie dzieci babki. – Utkwił we mnie wzrok, jakbym trzymała w ręku klucz do tej jedności. – Powiedziałem „babki”. Koniec z „królową”, jasne?

Tak, jasne. Przestaliśmy być tym, kim byliśmy. No bo jak?

Dwóch żołnierzy przedarło się przez tłum i ruszyło prosto na nas. Mama chwyciła Radanę i mocno przycisnęła do piersi. Jeden z żołnierzy odepchnął ją i jednym wielkim krokiem znalazł się przy Królowej Babce. Zażądał, by wskazała tylko swoje *koan bongkaut*, dzieci, które wydała na świat. Pokazała na Tatę i stryja. Stryjenka India złapała synów i przypadła do boku męża.

– Jestem jego żoną... chłopcy to nasze dzieci. – Wszyscy troje przywarli do niego jak rzepy.

Mama zastygła w miejscu, z Radaną przytuloną do piersi i tobołkami na ramionach. Żołnierz zepchnął ją i Radanę na lewo, a Królową Babkę z pozostałymi na prawo. Wybuchły panika i zamieszanie. Stryj przekonywał, że wszyscy jesteście rodziną, na co żołnierz zamachnął się karabinem jak kijem i uderzył go w twarz. Stryj się zatoczył, krew poszła mu z nosa. Ludzie rozstąpili się i nagle zostałam pośrodku dwóch tłumów: w jednym były mama i Radana, w drugim stryj z resztą rodziny. Mogłam wybrać. Tylko jak? Łzy zasnuły mi wzrok.

– Chodź, Raami. – Stryj ukradkiem wyciągnął rękę. Marzyłam o jego silnych objęciach. – Chodź.

Spojrzałam na drugą stronę i zobaczyłam mamę: stała z rozchyłonymi ustami, niezdolna wydobyć głosu, wypowiedzieć moje imię.

Potrzebowała mnie, a ja potrzebowałam jej. Pobiegałam do mamy.

Stryj przymknął oczy. Tata i stryjenka India wybuchnęły płaczem, chłopcy patrzyli bezradnie. I dopiero gdy żołnierze popchnęli nas na drogę, do Królowej Babki dotarło, co zrobiła – zapominając nas wskazać, w gruncie rzeczy nas odtrąciła.

Wzdłuż drogi stał konwój ciężarówek. Odwróciłam się, nagle żałując swej decyzji, ale napał na nas tłum poganiany przez żołnierzy. Usłyszałam wołanie stryja „Raami, Raami!”. Rozejrzałam się, lecz w morzu ramion i bioder dokoła zginął mi z oczu. Został tylko jego pełen rozpaczony głos. „Aano, Aano!”.

Mama nawet się nie obejrzała. Mocno ujęła moją dłoń i z Radaną na biodrze ruszyła naprzód.

– Aano, gdzie jesteś?! – ponownie zabrzmiało wołanie stryja.

Wokół zapanowało szaleństwo. Tłum pchał nas naprzód.

W ciężarówce stanęłam na palcach i rozejrzałam się wokół z poczuciem, że zostawiam ważną część siebie, którą na zawsze utracę. Wierzyłam, że w świętym przybytku nie grozi nam nic złego, a

okazało się, że niebo i ziemia mogą istnieć tuż obok siebie. Utraciłam niewinność, złudzenie, że jestem bezpieczna. Teraz nie było stryja, Królowej Babki, Taty, stryjenki Indii ani bliźniąt. Nie miałam już rodziny. Pozbawiona ducha, *pralung* i wiary w przyszłość, czułam się jak latawiec z odciętym sznurkiem.

Kiedy ruszyliśmy, przymknęłam oczy, pozwalając, by znajomy świat zniknął. Nie zniosłabym jego powolnego zaniku, więc wymazałam go, nim on wymazał mnie. Wyparłam zamieszanie i hałas, obecność innych ludzi. Byłam świadoma tylko siebie i kołysania własnego ciała. Stopiłam się w jedno z samochodem, który uwoził mnie w nieznane. Kiedy ciężarówka stawała, uderzałam o kamień, a kiedy z impetem ruszała naprzód, pędziłam jak wiatr.

I tak bez końca. Myśli kłębiły się w mojej głowie. Byłam odrętwiała. Raz na jakiś czas otwierałam oczy, wypatrując papy, stryja i innych najbliższych memu sercu, ich zarysów i cieni wśród krzewów i drzew o ludzkich kształtach. Mama, z Radaną na kolanach, uwolniła jedną rękę i przyciągnęła mnie bliżej, tuląc do siebie. Przymknęłam oczy i zapadłam głębiej we własny cień.

Starsze małżeństwo w uśmiechu ukazywało przebarwione zęby. Ich łyse głowy – ogolone i znak buddyjskiej pokory, tak często się widywało wśród kambodżańskiego starszego pokolenia – zdawały się nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do ciała, a zgrzebny wiejski strój nie licował z ich wesołością. Ucieszyli się na nasz widok, jakbyśmy spadły im z nieba i nasze wytęsknione przybycie uwolniło natłok tłumionych emocji.

– Jesteście, jesteście! – wykrzyknęła kobieta, spiesząc ku nam. Mama i ja złożyłyśmy ręce w geście pozdrowienia, na co wykrzyknęła z zachwytem: – Jakie piękne!

Wioska nazywała się Stung Khane, Księżycowa Rzeka. Serce zadrżało mi w piersi. Papa nas tu przysłał? Czyżby jego duch poprowadził nas w miejsce, którego nazwa nawiązywała do jego reinkarnacji? Do ludzi, którzy wyrosli z tych samych nasion i ziemi co drzewa dokoła? Mężczyzna nie mówił ani słowa, stał w niekrepującym milczeniu, z kozikiem w jednej dłoni, obmacując drugą kawałek drewna, jakby chciał rozszyfrować po strukturze jego przyszłą formę. Za to kobieta gadała jak nakręcona.

– Bogowie wysłuchali moich modlitw! Ach, ile ja się na was naczekałam! – Splunęła; sok z betelu zabarwił jej na czerwono kąciki ust i ziemię u stóp. – Czekałam na was, odkąd piersi zrobiły mi się okrągłe!

Mężczyzna żuł tytoń, obracając go w ustach jak słowo, zdanie, które czeka, aby je wypowiedzieć na głos. Jego twarz, sucha i pomarszczona, przypominała wyschnięte koryto rzeki, rozsiewał woń mokrej ziemi, świeżego błota. Wsunął nóż i drewnienko między fałdy *kromy* związanej w pasie, po czym zdjął z wozu nasze dwa tobołki.

– Wiatr musiał was tu przywiał! – Kobieta strzepnęła mi kurz z włosów gestem, który sprawił, że zatęskniłam za Mleczną Matką. – Trzeba ci porządnej kąpieli!

Radana się obudziła, przetarła oczy i wtuliła się z powrotem w mamę, przestraszona wyglądem tych dwojga wieśniaków.

Ja nie uważałam, że są szpetni. Dla mnie wyglądali jak stare drzewa. Chronili przed uczuciem osamotnienia, które nie odstępowało nas na krok.

Pisk zawracanych kół kazał nam spojrzeć na żołnierza wciąż siedzącego na kozle.

– Przyjdzie deszcz – oznajmił stary wieśniak, wreszcie przerywając milczenie. Popatrzył na niebo, a potem na woźnicę. – Zaczekaj, aż minie.

– Ależ tak, zostań, zjesz z nami! – zaproponowała kobieta, jakby kończąc myśl.

Żołnierz zdjął czapkę, dziękując za zaproszenie, jednak nie odłożył lejców. Popatrzył na mnie, na bambus w moim ręku, posłał mi coś na kształt uśmiechu, wcisnął czapkę na czoło i ruszył w drogę

powrotną.

Pierwszy etap podróży minął niepostrzeżenie – przespałam go, przygnieciona rozpaczą. Obudził mnie szmer rozmów dokoła. Ciężarówka opuściła Prey Veng i wjeżdżała do Kompong Cham. Każda prowincja przypominała poprzednią. Dżungla otaczała nas ze wszystkich stron, nieprzenikniona i bezkresna. Zanosilo się na deszcz, ale nie padało. Poszarzałe niebo wisiało nisko nad głową, napęczniałe z żaru i wilgoci, zastygłe w cichej, nieutulonej boleści. Ale w oddali, za wierzchołkiem góry, rozciągało się niebieskie jak tafla wody. Nie wiedziałam, czy tam, w świetle, czeka bezpieczne schronienie, gdzie spotkamy się z resztą rodziny, czy może skraj świata, a za nim przepaść.

Mama ścisnęła moją dłoń, przypominając, że jest obok. Radana wciąż spała na jej kolanach. Obie wpatrywałyśmy się w moją siostrę, jeszcze niezdolne spojrzeć sobie w oczy, po tym jak ona w czasie rozdzielania rodziny nie zrobiła żadnego ruchu, a ja musiałam dokonać trudnego wyboru.

Drzewa przy drodze stały się mniej dzikie i znów umiałam je rozpoznać – eukaliptus, kasja, akacja – ich korę i liście; papa nauczył mnie je rozróżniać w czasie naszych pobytów na wsi. Tu i ówdzie w cieniu przydrożnych drzew stały daszki dla wygody podróżnych. Znów pojawiły się pola ryżowe, a wraz z nimi wioski rozsiane po niemych krajobrazie niczym pomruki i westchnienia.

Dotarliśmy do krainy sięgających nieba palm cukrowych. Na schodach otwartego pawilonu czekała na nas grupa wieśniaków z dziećmi. Szybko omiotłam ich wzrokiem w poszukiwaniu papy, z góry wiedząc, że go tu nie ma. Kiedy wysiadaliśmy z ciężarówki, mężczyźni powitali nas z powściągliwym zaciekawieniem. Jedno z dzieci, dziewczynka w obszarpanym sarongu i bez koszulki, przyniosła mi wodę w skorupie kokosa. Przełykałam ślinę; zaschło mi w gardle, ale zniechęcał mnie niechlujny wygląd tej dziewczynki. Wepchnęła mi skorupę do rąk i pobiegła do zaparkowanej ciężarówki, gdzie inna dziewczynka, starsza, wskoczyła do kabiny i bawiła się kierownicą. Pozostałe dzieci, też półnagie i umorusane, otoczyły pojazd, wciągając w płuca zapach spalin, opukując maskę i drzwi, zachwycając oponami i reflektorami. Obmacywały samochód, kopały i usiłowały pchnąć do tyłu lub naprzód, jakby miały do czynienia z mitycznym bawołem ze stali, na którym chciały wymusić reakcję.

Nadjechał ciąg wozów zaprzężonych w woły, każdy powożony przez żołnierza rewolucji. Znów zostaliśmy podzieleni i poddani selekcji – rodzina w tym wozie do wioski na północy, rodzina w tamtym do wioski na południu...

Mama zebrała nasze dwa tobołki, a następnie podsadziła Radanę i mnie do wyznaczonego wozu. Woźnica w czapce wciśniętej głęboko na oczy nawet na nas nie spojrział. Machnął lejcami i cmoknął na woły.

Wozem szarpnęło i znów jechałyśmy w nieznane, a droga przed nami wiła się wśród zielonych tarasów jak wąż zagubiony w trawie. Chaty pokryte strzechą urozmaicały nieruchomy, jednostajny krajobraz i gdyby nie kłęby dymu z kominów, czułabym się jak na obrazie. Wysokie, smukłe palmy

cukrowe o sylwetkach jak zwęglone pochodnie wystrzeliwały z grobli, pnąc się jak najbliżej połąci nieba, zawieszono jeszcze niżej i jeszcze bardziej szarego, niczym wielki balon, który zaraz pęknie. Dwie błyskawice przecięły się bezszelestnie jak skrzyżowane szable. Ciarki przeszły mi po plecach. Zastanawiałam się, kiedy dotrzemy na miejsce. Oby jak najszybciej, w przeciwnym razie czekało nas spotkanie z monsunem.

Ukradkiem zerknęłam na woźnicę. Karabin, który wcześniej miał zawieszony na ramieniu, położył na kolanach. Milczał jak zaklęty, czasem tylko cmokał na woły, trącąc je bambusowym kijem. Ponure niebo z milczącymi zygzakami błyskawic nie robiło na nim wrażenia. Zdawał się stanowić część bezruchu i wszechobecnej ciszy.

Moje myśli popłynęły do reszty rodziny. Przymknęłam oczy, wyobrażając ich sobie: Królową Babkę, Tatę, stryja, stryjenkę Indię, bliźniaków, najpierw Sotavonga, potem Satiyavonga – każdego z osobna, co rzadko mi się zdarzało. Policzyłam wszystkich na palcach – jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć – czerpiąc otuchę z ich liczby. Gdzie teraz byli? Czy też na wozie zaprzężonym w woły zmierzali w stronę nowego domu, nowego życia? Czy myśleli o mnie, tak jak ja o nich? A papa? Gdzie on był?

Mama trzymała Radanę na kolanach, osłaniała ją biało-niebieską kromą. Dobrze, że Radana tyle spała, że ruch wozu lub ciężarówka tak łatwo kołysał ją do snu. Dzięki temu mama mogła odpocząć. Rzadko rozmawiałam z mamą, nigdy o reszcie rodziny. O czym było gadać? „Wiem, że chciałaś pójść z nimi”. „Tak, chciałam”.

Przestałam żałować, że ją wybrałam, tracąc poczucie bezpieczeństwa. Ale żałowałam tego, co widziałam, a czego nigdy nie chciałam zobaczyć: jej słabości. Odkąd papę wywieziono, unikałam przebywania z nią sam na sam, patrzenia jej w oczy. Nie chciałam patrzeć na jej rozpacz, ledwo znosiłam własną. Teraz siedziała przede mną – zeszywniała, ze spieczonymi wargami, wychudzoną twarzą. Gdzie się podział piękny motyl z kwiatami we włosach? Smutek ją przytłoczył, ledwo powłóczyła nogami.

W ciągu dni i nocy po wywiezieniu papy często powtarzałam sobie, że przynajmniej została mi mama: potrzyzyma mnie za rękę, osłoni przed burzą. Jednak gdy nadszedł ten moment, zamarła jak posąg wśród napierających żywiołów, niezdolna mnie do siebie przyciągnąć gestem lub słowem. Zrozumiałam, że potrzebujemy się nawzajem, i bez papy tak będzie zawsze.

Teraz, kiedy na nią patrzyłam, kiedy czułam jej tęsknotę za nim i pozostałymi członkami rodziny, przyszło mi do głowy, że oplakujemy nie tylko zmarłych, ale i żywych. Odczuwamy ich utratę, nim dowiemy się na pewno, że odeszli.

Mama podniosła głowę i – jakby zawstydzona, że oglądam ją w takim stanie – zarzuciła sobie chustę na głowę, zakrywając twarz. Bezwładnie kołysała się w rytm jazdy, przestała walczyć ze

zmęczeniem. Po chwili znowu spała i śniły obie z Radaną, obojętne na wyboistą drogę. Nie miałam jej tego za złe. Nie zazdrościłam też łączącej ich więzi. Brakowało mi porozumienia, które miałam z papą, i wiedziałam, że nie będzie mi już dane doświadczyć go z nikim. Inni pojawią się i znikną jak świetliki, nie wiadomo kiedy. Ja w najlepszym razie mogłam kroczyć za światłem, aby widzieć, gdzie stawiam nogi. Reszta należała do mnie, a samotność da mi siłę w przyszłości.

Znów błysnęło, po czym rozległ się huk, jakby góra pękła na dwoje. Zerwałam się z miejsca i wcisnęłam na kozioł obok żołnierza, mało nie strącając mu broni z kolan. Nie przegonił mnie, nie wyśmiał za głupotę. Karabin położył przy boku wozu, po swojej prawej stronie. Znów popędził woły, mamrocząc pod nosem, na co przyspieszyły kroku, strzygąc uszami i kołysząc ogonami, jakby wzięły sobie do serca jego słowa.

Spojrzałam przez ramię na mamę i Radaną. Spały, głuche na nadciągającą burzę. Postanowiłam zostać z przodu; obok żołnierza czułam się mniej samotna. Jeśli zginę od pioruna, pomyślałam, przynajmniej będzie świadkiem.

Ponownie zagrzmiało. Przysunęłam się bliżej. Nie odepchnął mnie. Nie wiedziałam, czy bardziej boję się jego milczenia, czy huku na niebie.

Przy drodze rosły bambusy. Żołnierz ściągnął lejce i zwierzęta stanęły. Myślałam, że każe nam wszystkim wysiąść, że tylko tu miał nas dowieźć, a resztę drogi pokonamy na własną rękę. Ale tylko sięgnął nad krawędzią wozu, złamał cienki pęd bambusa i podał mi bez słowa wyjaśnienia, po czym wskazał zwierzęta, że mam je popędzić. Delikatnie smagnęłam jednego wołu, potem drugiego. Żołnierz cmoknął i popuścił lejce. Znowu ruszyliśmy.

– Było dwoje boskich dzieci – rzekł nagle, jakby podejmował rozmowę zaczęta wcześniej. – *Tevoda i yiak*. – Nawet na mnie nie spojrzał, dalej patrzył przed siebie. – Uczyły się magii od pustelnika, maga. – Miał głos równie spokojny jak profil; przyszło mi do głowy, czy aby sam nie jest wytworem czarów. – Któregoś dnia mag dał im zadanie. Powiedział, że kto pierwszy zbierze dzban rosy, ten dostanie *keo monoria*.

– Co to takiego? – spytałam.

– Kryształową kulę wypełnioną światłem, czyli moc. – Wskazał woły i znów smagnęłam je kijkiem. – Tego wieczora dzieci wyszły z domu, każde ze swoim dzbanem. O świcie następnego dnia *tevoda* wróciła z dzbanem pełnym rosy. *Yiak*... cóż, jego dzban był napełniony tylko do połowy. Mag dał kryształową kulę *tevodzie*. *Yiak* nie mógł się z tym pogodzić, przecież też na coś zasłużył, więc mag dał mu topór, broń równie potężną. Ale niezadowolony *yiak* chwycił topór i zaczął gonić *tevodę*, a ilekroć zamachnął się toporem, dawał się słyszeć straszny huk. *Tevoda* uciekała i podrzucała czarodziejską kulę, rozsiewając w powietrzu snopy światła.

Wóz podskakiwał na wyboistej drodze, a my razem z nim. Czekałam na dalszy ciąg opowieści, ale dojechaliśmy do kanału z wezbraną błotnistą wodą, przez który biegł podtopiony most

z przewróconych pni palmowych. Woźnica przechylił się na prawo i na lewo, sprawdzając położenie masywnych kół, po czym naprowadził zwierzęta na chwiejną kładkę.

– Nie trzeba się bać błyskawic i grzmotów – powiedział, gdy znaleźliśmy się na drugim brzegu. – To tylko dwoje dzieci bawi się czarami.

Zastanawiałam się w duchu, czy mogę zamknąć tę chwilę we własnej kryształowej kuli i powracać do niej, kiedy już zostanę sama jak palec.

– Lubię czary – wyznałam. – A ty?

Nie odpowiedział. Ponownie zatopił się w ciszy.

Wreszcie dotarliśmy do rozjazdu; żołnierz skierował woły na prawo i ruszyliśmy wąziutką ścieżyną między rowami irygacyjnymi. Pola ryżowe ciągnęły się jak okiem sięgnąć. Przed nami droga otwierała się na wzniesienie otoczone przez drzewa owocowe. Pośrodku wznosiły się ku niebu dwie palmy cukrowe o skrzyżowanych pniach, jak ręce wyciągnięte błagalnie ku bogom. Na prawo od palm, w bezpiecznej odległości od spadających liści i owoców, stała kryta strzechą chatka na palach. Z bambusowych schodów powstały dwa cienie. Serce zabiło mi mocniej w piersi. Czy jeden z nich to papa? Nie traciłam nadziei, dostrzegając go wszędzie, w każdym człowieku, tak bardzo chciałam, by ojciec znów był blisko. Jeden z cieni pomachał do nas z wahaniem, drugi gorączkowo.

– Chodźcie! – ponagliła stara wieśniaczka.

Oderwałam wzrok od wozu niknącego w oddali. Niebo zatrzęsło się i zagrzmiało, enigmatyczne jak jego emisariusz, woźnica, który rozpływał się w powietrzu jak fatamorgana.

Kobieta złapała mamę za łokieć i pociągnęła ją i Radanę do schodów. Mężczyzna i ja ruszyliśmy za nimi, on z dwoma tobołkami, ja – ciągnąc bambusowy kijek po ziemi.

– Jesteście w samą porę – mruknął, patrząc na chmury sunące po niebie. – Idzie straszna burza.

Drewniany wiatrowskaz na dachu chaty miał kształt kogucika i wyrzeźbiono go niezbyt dokładnie, ale wyglądał, jakby kogut zaraz miał zatrzepotać skrzydłami i zapać. Zakręcił się na lewo, na prawo i zwrócił w stronę pędzących chmur. Pewnie pozazdrościł im tej wolności i chciał ulecieć wraz z nimi.

– Wiem, że zasługujecie na coś lepszego... – wymamrotał wieśniak, wpatrując się w kogucika, jakby do niego mówił. – Lepszego niż nasza strzecha.

Milczałam.

Jego żona z zachwytem klasnęła w ręce.

– Nie sądziłam, że w moim wieku doczekam się dzieci!

– Mae... – zaczął mąż.

– Tak, tak, wiem! – nie dała mu skończyć. – Trochę mnie ponosi!

Pokiwał głową; był tego samego zdania.

Tych dwoje uzupełniało się nawzajem: on czuł, ona działała; on myślał, ona wyrażała to na głos. Byli jak dwie strony tego samego objawienia.

– Nie są nasze – przypomniał. – Należą do Organizacji.

Zrobiła ruch, jakby chciała trzepnąć go po ramieniu.

– Psujesz mi zabawę! – I dodała pod adresem mamy: – Pok nie wierzy w cuda.

Uśmiechnął się, ale nie zaprzeczył. Poprawił tobołki na ramieniu i przypatrzył się mamie, widząc, podobnie jak ja, smutek, z jakim rozglądała się po ubogim obejściu: chatce ze schodami stromymi jak drabina, wyciętymi z bambusa, z gołym placem pod spodem, będącym zapewne ośrodkiem ich życia, jak u nas dziedziniec, i klepiskiem dokoła, usianym koszami pełnymi wysłużonych garnków i przyborów kuchennych.

– Skromnie tu – rzekł ze wstydem, jakby czytał jej w myślach.

Mama się zarumieniła.

– Ależ nie, nie o to chodzi... – Chciała wyjaśnić, lecz powiedziała tylko: – Prześliczny dom. Naprawdę.

– Może jednak coś jest w tym nowym bogu – paplała żona Poka. – Organizacja, Organizacja! Nic innego nie słyszę. Ależ ja się do niej modliłam! I proszę, wysłuchała mojego błagania! Nie mogłam sobie wymarzyć ładniejszych dzieci!

Mówili do siebie Pok i Mae – papa i mama – jakby te czułe słowa dowodziły nie tylko ich miłości do siebie nawzajem, ale i wspólnego marzenia o dzieciach. „Teraz wy jesteście naszymi dziećmi – powtarzała Mae. – Nasz dom jest waszym domem”. Krzątała się po izbie jak matka jaskółka budująca gniazdo, zbierając słomki usiane po nierównej podłodze i upychając je z powrotem w strzesze. „Ależ nie krępujcie się, czujcie się swobodnie, mówcie, czego wam trzeba, albo same bierzcie!”. Szczebiotała radośnie i bez przerwy, opowiadając nam, jak w wieku trzynastu lat poślubiła Poka, który miał lat piętnaście, bardzo chciała mieć dzieci i latami modliła się o nie do każdego boga i ducha tego świata, ale żaden nie wysłuchał jej prośby, aż pomarszczyła się i zestarzała. Nie żeby się skarżyła, na wypadek gdyby bogowie teraz nadstawiali ucha. Owszem, przyznawała, otrzymali z Pokiem inne dary od losu. Mieli własną ziemię; tak, harowali od rana do nocy, ale plon, choć nie zawsze obfity, nie dawał im powodów do narzekań. Prócz jej bezpłodności nie doświadczyli żadnych ciężkich chorób ani katastrofy, co zważywszy na ich wiek i przeżyte wojny, samo w sobie zakrawało na cud.

Potem przyszła rewolucja i jej wszechobecny twórca, którego moc głosili Czerwoni Khmerzy. „Nie pada? Organizacja dopilnuje, aby wasze pola zostały nawodnione. Za mało ryżu? Organizacja pokaże wam, jak podwoić, potroić wasze plony w przyszłym roku”. Kim jest Organizacja? – pytała Mae. Półbogiem jak król? Oświeconym mędrcom jak Budda? Bo że to niebiańska istota, nie ulegało

wątpliwości. A jeśli tak, Mae będzie czcić ją, jak jej kazano, składać ofiary na jej ołtarzu. Organizacja potrzebuje ochotników, powiedzieli żołnierze. *Neak Moulathaan*, Ludzi Podstaw, prawdziwych wieśniaków, którzy udzielą schronienia ludziom ewakuowanym z miast. Mae nie rozumiała, czego od niej żądają, ale przystała na wszystkie warunki, w nadziei że ktoś jeszcze zamieszka w ich chacie, że w ten oto sposób ziści się jej i Poka marzenie o dzieciach. Gdy nas zobaczyła – ach, takie wymizerowane i smutne! – zrozumiała, że jej prośby zostały wysłuchane.

Rozejrzała się i dodała z westchnieniem:

– Trudno to nazwać domem. Tak mi wstyd, że nie mogę wam dać nic więcej.

W chacie była tylko jedna izba, o połowę mniejsza od mojego pokoju w Phnom Penh. Wszyscy nie zdołalibyśmy się w niej pomieścić, więc Mae zdecydowała, że kobiety i dziewczęta będą spały w środku, a Pok na zewnątrz, na bambusowej platformie pod izbą. Mama chciała zaprotestować, ale Mae rozwiąła jej wątpliwości.

– Dorastał wśród wiatru i deszczu – zapewniła. – Ma skórę twardszą niż czas!

Pok odłożył tobołki pod ścianę, obok sterty mat słomianych. Emanował niezmaconym spokojem, obojętny na wszystko, co mówiono w jego obecności. Ale ponaglany przez żonę przytaknął: „Owszem, lubię świeże powietrze”. Spojrzał na nas z uśmiechem, wesoło zarzucił sobie matę na plecy i zszedł po schodach, zostawiając nas pod pieczęcią żony.

– Ładnie się zachowuję, nie ma co! – fuknęła ze zgrozą Mae, widząc, że stoimy. – Nic, tylko gadam i gadam. Siadajcie, rozgośćcie się. Moje biedactwa, odpocznijcie sobie.

Ze sterty pod ścianą Mae wyciągnęła trzy zrolowane maty i rozłożyła je na bambusowej podłodze. Maty z liści palmowych, wyjaśniła, służą do spania, a na matach ze słomy ryżowej jemy posiłki i nie należy ich wnosić do domu, gdyż zapach ryżu i ryb przyciągnąłby mrówki oraz inne robactwo. Na wsi, gdzie robaki mają zęby jak piły, trzeba mieć się na baczności.

Zapadł zmrok i po gruntownym myciu oraz kolacji złożonej z ryżu i pieczonej ryby byłam gotowa do snu. Głos Mae, jego regionalny zaśpiew ukołysał mnie, rozluźniając napięte, obolałe ciało.

Z jednego z ratanowych koszy gospodyni wyjęła dwie spłowiałe, połatane kołdry i strzepnęła je energicznie.

– Hmm... – Zmarszczyła brwi, stropiona ich stanem. – Nie wyglądały tak źle, gdy byliśmy tylko we dwoje. – Powąchała kołdry i odzyskała rezon. – E tam, przynajmniej są czyste!

Podąła jedną kołdrę mamie.

– Napęliłam je suszonymi liśćmi kaffiru, żeby odstraszyć, wiesz... *vor*.

Przypomniałam sobie, że Stary w naszym ogrodzie też nazywał jadowite węże „pnącem”, jakby prawdziwą nazwą mógł je zwabić. Na wsiach powszechne były takie przesady.

– Dziękuję – odpowiedziała mama z oczami szklistymi ze zmęczenia.

– Dziękuję, dziękuję – powtarzała jak echo Radana. Pomarszczona twarz Mae i rozpadlina ust przestały ją przerażać. Moja siostrzyczka sprawiała wrażenie urzeczonej ich ruchliwością oraz tym, jak słowa i dźwięki bulgotały w nich niczym woda w źródle. Zeszła mamie z kolan i poczęła dreptać dokoła, naśladowując ruchy oraz bezustanną paplaninę Mae.

Mama przejrzała nasze rzeczy. Poskładała ubrania, wygładziła zagniecenia i rozłożyła je na trzy kupki – jej, Radany i moje. Mizerny dobytek, ale jaskrawe kolory raziły w tej ubogiej chacie. Zobaczyłam satynową sukieneczkę, tak białą i lśniącą, aż bił od niej blask. Gdzie Radana miała ją nosić? Wokół były tylko drzewa i pola ryżowe.

Mama włożyła sukienkę pod spód i opróżniając do reszty tobołek, wyjęła mały zagłówek, jeszcze niedawno twardy od klejnotów, dzisiaj sflaczały. Któregoś popołudnia w świątyni, gdy Radana zawodziła za misiem, którego zostawiliśmy w Phnom Penh, papa narysował na zagłóweku misia z okrągłymi oczkami i loczkami jak u dziewczynki. Nazwał go moim przewiskiem z dzieciństwa, Księżniczka Miodowy Niedźwiadek. Mamie wtedy łzy napłynęły do oczu.

Radana zobaczyła zagłówek i wyrwała go z rąk mamy. Przytuliła go i wycalowała, po czym wepchnęła kciuk do buzi i położyła się pośrodku izby, przytulona do ukochanej zabawki.

– Spać! – oznajmiła, na wypadek gdyby nikt nie zrozumiał jej intencji.

– Nie krępuj się. – Mae zachichotała. – Tutaj kładziemy się wcześniej, kiedy niebo zamyka oczy.

– Spać! – powtórzyła moja siostra bardziej stanowczo.

– Dobrze, dobrze. Już siedzę cicho.

Mae przykryła Radanę kołdrą i gładząc ją po plecach, zanuciła kołysankę.

Radana zasnęła jak kamień. Mae wstała i na palcach rozłożyła moskitierę. Podłoga skrzypiała cicho pod jej nogami.

Tymczasem mama rozwiązała drugi tobolek. Na wierzchu leżał skórzany notes papy, jego wieczne pióro i zegarek Omega Constellation zawinięte luźno w jedną z haftowanych białych chusteczek, które nosił w kieszeniach spodni. Sam to spakował, ale widać w ostatniej chwili doszedł do wniosku, że nie będzie potrzebował tych rzeczy. Leżały przed mamą jak stos pogrzebowy. Nagle przypomniałam sobie, że widziałam ojca z notesem w noc przed wyjazdem. Ponownie usłyszałam szelest wyrywanej kartki. Może nie śniłam? Może naprawdę wstał, żeby pisać, po czym niezadowolony z siebie wyrwał kartkę? Miałam ochotę wziąć ten notes, lecz nie czułam się na siłach czytać wiersze papy bez niego.

Mama zgięła się wpół, obejmując brzuch. Włosy zasłoniły jej twarz. Jedną rękę przycisnęła do ust, żeby zdławić szloch. Drżała na całym ciele. Rozpacz wylała się z niej, rozległa jak kołdra Mae, przykrywając mnie wystrzępionym skrajem i załatanymi dziurami, i moje serce znów pękło. Teraz płakałam nie nad ojcem, lecz nad nią, która na zgliszczach ich miłości musiała dalej trwać bez niego.

Mae zamarła z moskitierą w dłoni.

– Dobrze się czujesz, dziecko?

Mama pokiwała głową, opanowała się, wzięła z kupki odzieży *sampot hol* w odcieniu bakłażana i podeszła do gospodyni.

– To dla ciebie.

Mae popatrzyła na ręcznie tkany jedwabny sarong i aż jej dech zaparło.

– O nie, nie mogę. – Pokręciła głową. – Nie mogę...

– Proszę. Nie wiem, jak ci dziękować...

Mae znów potrząsnęła głową i ochłonawszy z wrażenia, odparła surowo:

– Cóż miałabym z tym zrobić? To strój dla tevody, a nie takiej starej wrony jak ja.

– Będzie ci do twarzy. – Mama pogładziła miękki jedwab. – To ulubiony kolor... mojej matki.

Proszę, nie odmawiaj. To dla mnie bardzo ważne.

Mae spojrzała na nią spod oka.

– Przechowam, dopóki jej nie zechcesz z powrotem – ustąpiła z westchnieniem.

Zmrok na zewnątrz pociemniał, zawiął chłodny wietrzyk, który trącał liście drzew i łodygi ryżu, płosząc ptaki na horyzoncie. Ale deszcz nie przychodził. Chciałam, żeby przyszedł. Chciałam, żeby niebo też płakało.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam dwie skrzyżowane palmy. *Thnoat oan thnoat bong*, „Kochankowie”, tak nazywali je Pok i Mae. Kołysały się, splecione w uścisku, przyśpiewując sobie żałobnym skrzypieniem. W oddali błysnęło, huknął grzmot. Znów bawią się magią, pomyślałam, wyobrażając sobie bliźnięta dokazujące wśród chmur jak psiaki, kryształową kulę i topór raz w jednej, raz w drugiej dłoni.

Położyłam się na brzuchu obok Radany i spojrzałam przez szczeliny w podłodze. Pok siedział tuż pod nami, kołysząc nogami nad ogniem, który lizał mu stopy. Strugał kawałek drewna, a gdy wiór wpadał do ognia, pachniało gotowanym sokiem palmowym.

– Stary zawsze znajdzie sobie zajęcie. – Mae wsunęła skraj moskitiery pod słomianą matę. – Nie usiedzi beczynnie. Struga i rzeźbi, aż zaśnie, a czasami siedzi do białego rana. Nie patrz na niego, bo nie uśniesz.

– Co robi? – spytałam, przewracając się na plecy.

– Cielątko dla mojej krowy – odpowiedziała Mae. – Zdechło przed paru tygodniami, biedactwo. Jego matka strasznie cierpi. Nadstaw ucha, słyszeć ją...

Wyteżyłam słuch i faktycznie, gdzieś zza chaty dobiegło smutne muczenie. Widziałam krowę, kiedy myłyśmy się w pobliskiej szopie bez dachu. Była strasznie chuda; myślałam, że chce się dobrać do słomy, ale ona tylko patrzyła na mnie i muczała tak jak teraz, muuu, muuu...

– Pok zrobi figurkę i zawiesi jej na szyi.

– Amulet? – Byłam pewna, że nawet zwierzę tak głupie jak krowa połapie się, że to nie prawdziwy cielak, tylko figurka. – Po co?

– Ach, sama nie wiem. – Mae zamknęła drzwi wejściowe. – Pewnie chce nadać kształt jej zgryzocie.

Mama przytuliła Radanę pod jedną kołdrę, Mae i ja leżałyśmy pod drugą. Mae ziewnęła, mamrotała coś jeszcze i po krótkiej chwili zasnęła jak kamień, jakby noc pozbawiła ją przytomności.

Niebawem obie z Radaną poświstywały w najlepsze jak dwa gwizdki, a mama i ja szukałyśmy w mroku kształtów naszej zgryzoty.

Krople deszczu lgnęły do traw i liści jak biedronki wypłukane z kolorów. Owinięta kołdrą Mae usiadłam w drzwiach, wyciągając przed sobą nogi, i ziewnęłam w oczekiwaniu, aż sen opuści mnie do reszty. Krajobraz nabierał kształtów i barw, gdy spod warstwy mgły wyłaniały się pobliskie chaty, podobne do naszej. Tarasy napęczniały od wody, smukłe, zielone źdźbła ryżu sprawiały wrażenie dłuższych niż wczoraj.

Brązowo nakrapiana kaczką plusnęła do mętnej wody, kręcąc ogonem w powietrzu, po czym wyskoczyła z powrotem, potrząsając głową i wsuwając dziób pod skrzydło. Poranna toaleta.

Na pasku podtopionej ziemi stał bawół, wywijając ogonem i szczypiąc kępki powoju wodnego

upstrzone lawendowymi kwiatkami. Obok niego jakiś mężczyzna z *kromą* ciasno owiniętą wokół bioder stąpał ostrożnie ze stożkową siatką na ryby w dłoni. Nagle zanurzył ją w wodzie. Może tam jest wąż *naga*? Wyobraziłam sobie coś niezwykłego, jak zawsze skora do ucieczki w świat fantazji.

Dziwne, pomyślałam, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Miejsce, które jeszcze wczoraj zdawało się enklawą bezruchu i ciszy, dzisiaj tętniło życiem.

Bawół prychnął głośno, wydymając nozdrza; poi rytowany zatrzęsł głową i rogi świsnęły w powietrzu jak sierpy. Z pobliskich zarośli wzbiło się stado ptaków. Mężczyzna z siatką podniósł głowę i spojrzał w dal, osłaniając ręką oczy, jakby też pragnął wzbić się do lotu. Papa zawsze chciał latać, pomyślałam. Być wolny jak jastrząb.

Zapiał kogut, a po nim drugi, trzeci i jeszcze jeden, aż się echo poniosło od chaty do chaty i pomiędzy wioskami.

Zeszłam po schodach i ruszyłam boso po mokrej ziemi. Gdzieś z wysoka ktoś zaśpiewał ochryłym głosem: „Ach, ptaku *sarikakeo*, co ty jesz?...”, pogwizdując, gdy umykały mu słowa. Wzniosłam oczy ku niebu i zobaczyłam Poka, który zląził z pnia jednego z Kochanków, z bambusową flaszką rozkołysaną na skórzanym pasku.

– Wstałaś! – zawołał na mój widok. Zwinnie zeskoczył na kępę trawy. – W samą porę! – Pokazał mi flaszkę. – Napijesz się?

– Soku palmowego? – Jeszcze nigdy nie piłam go na śniadanie.

– Nektaru młodości! – W uśmiechu zmarszczył twarz; zęby miał tak przebarwione, że wyglądał jak bezzębny staruszek. – Dar niebios dla nas, śmiertelników! Zapewnia nam wieczną młodość!

– Naprawdę?

Roześmiał się głośno.

– No, może i nie.

Odwróciłam wzrok, zakłopotana gafą, i spróbowałam zmienić temat.

– Gdzie są wszyscy?

Pok wskazał na tył domu.

– Poszły się umyć nad rzekę. – Odpiął flaszkę od rączki noża i powiesił ją u dołu bambusa, który wił się przez całą długość palmy niczym kręgosłup dawno skostniałego smoka. – O tej porze sok jest zimny jak... – Zabrakło mu właściwego słowa.

– Lód – podsunęłam. Doszłam do wniosku, że zmyliła mnie jego wczorajsza powściągliwość, tak jak wszystko dokoła.

– Chmury, chciałem powiedzieć. Ale lód bardziej pasuje. – Potem zmarszczył brwi i dodał z ożywieniem: – A wiesz, nigdy nie widziałem lodu. Słyszałem opowieści, ale nie mogę sobie wyobrazić, jak woda może być twarda. To wytwarza maszyna, tak?

Potwierdziłam, wspominając małą lodówkę, w której przechowywaliśmy importowane sery

i pasztety, a zamrażalnik na górze produkował kostki lodu.

Pok w zdumieniu potrząsnął głową.

– Nic dziwnego, że żołnierze rewolucji tak boją się maszyn. Jakaż to moc, zamieniać wodę w kamień!

Milczałam.

Zaczął rozpinąć skórzany pas, na którym miał nóż oraz kilka par bambusowych klamerek służących do wyciskania soku z kwiatów palm.

– Nic z tego nie rozumiem – podjął, unikając mojego wzroku. – Zrządzenie losu przygnało was tu, do nas, a my nie mamy wam nic do zaoferowania.

Zrozumiałam, że próbował zachowywać się jak ojciec, rozmawiać ze mną jak z własnym dzieckiem. Musiał się domyślać, co straciłyśmy – młoda matka z dwiema córeczkami w ogarniętym rewolucyjną pożogą kraju. Gdzieś daleko był świat, o którym on, mimo że żył już tyle lat, nie wiedział nic, świat „twardej wody”. Chciałam opisać mu ten świat i moje całe życie, ale coś ścisnęło mnie w gardle i wydałam z siebie tylko zduszony jęk.

Pok stał bez ruchu i obserwował mnie jak ptaka, którego łatwo spłoszyć.

– Napijmy się soku – powiedział po chwili.

Podążyłam za nim do młodej, krzepkiej palmy rosnącej nieopodal. Naciął fragment liścia, oderwał giętką część i paroma zręcznymi ruchami wyczarował dwa rożki. Nalał do nich soku z bambusowej flaszki i podał mi jeden.

Poszliśmy na skraj pola ryżowego, wspięliśmy się na groblę i kiedy staliśmy tak w niekrępującym milczeniu, popijając sok, przyszło mi do głowy, że nie trzeba nic tłumaczyć. Grunt to wiedzieć, że nie jestem sama, że mam przy sobie człowieka, który podróżuje przez życie ze mną.

Gdybym umiała, powiedziałabym mu, co podpowiadało mi serce – że radość i smutek jadą często tą samą drogą i czasami, szczęśliwym zrządzeniem losu lub nie, spotykają się i podróżują odtąd ramię w ramię. Ale znów nie umiałam wyrazić tego, co czułam, więc powiedziałam mu to, co potrafiłam ująć w słowa:

– Może jesteśmy *pok thor koan thor*.

Thor pochodzi z sanskryckiego wyrazu „dharma”, ale dla mnie znaczyło po prostu kochać kogoś, oznaczało więź między rodzicem a dzieckiem, których nie łączy żadne pokrewieństwo. „Nie są nasze”, powiedział Pok, ostrzegając Mae przed zbytnim przywiązaniem do nas. Czułam teraz, że jesteśmy w dobrych rękach. Wiedziałam też, że podobnie jak papa, podobnie jak każdy rodzic świadomy wagi swej roli, wagi rodzicielstwa, Pok o nas zadba, nauczy nas, jak żyć wzorem *neak srae*, jak nie tylko sadzić ryż, ale go naśladować, mocno zakorzenić się w rozmięklej ziemi, a zarazem kołysać z wiatrem.

– Może mieliśmy się spotkać – dodałam, wyczuwając wszędzie obecność papy. Wszyscy *jesteśmy echami siebie nawzajem, Raami.*

Pok spojrzał na mnie i jego twarz rozjaśniła się jak poranne słońce.

Tak rozpoczęła się moja nauka, z Pokiem, zaciętą duszą, w roli przewodnika i anioła stróża. Mówił o sobie *neak prey*, „człowiek lasu”, bo nigdy nie widział lodówki i nie znał smaku lodu, ale z cierpliwością i *thor* pomagał nam zrozumieć trud reinkarnacji ludzi miastowych w wieśniaków. Zaczęliśmy od tego, że po wypiciu soku palmowego Pok kazał mi spojrzeć na wiatrowskaz wirujący na dachu. Tutaj, wyjaśnił, naszym życiem rządzi oddech monsunu, który wiejąc z południowego zachodu przynosi deszcz i ryż, a z północnego wschodu – suszę i nieurodzaj. Szczegółowo objaśnił rozkład Stung Khae oraz sąsiednich wiosek, rysując czubkiem palca na dłoni kształt litery S z północy na południe. Społeczność liczyła razem dwanaście wiosek. Stung Khae, czwarta licząc od północy, leżała na zakręcie rzeki. Rzeka, też o nazwie Stung Khae, wiła się między naszą a trzecią wioską, łącząc z Prek Chong, dużym dopływem Mekongu.

Serce zatrzepotało mi w piersi, przestałam słuchać i spytałam Poka, czy mógłby mnie tam zabrać.

– Dziecko, to wiele rzek i lasów stąd! – Przyznał, że nigdy nie widział Mekongu na własne oczy.

– Papa mówił... – Urwałam.

– Tak? Co mówił twój papa?

Nie mogłam mu powiedzieć. Nie czułam się na siłach. Jeszcze nie teraz. Pok zrozumiał, że rany jeszcze się nie zabiły.

– Chodź! – Poprowadził mnie przez zieloną połąć do miejsca, gdzie grupa wieśniaków pracowała na tarasach.

Mężczyźni orali, zamieniając mętną wodę i ziemię w gęste, gliniaste błoto. Opodał, na zbiegu dwu grobli, kobiety wygarniały ziemię z kopca termitów do ratanowych koszy, a dzieci rozsypywały ją na pola ryżowe. Ziemia pełna termitów – *dey dombok*, jak nazywał ją Pok, ucząc mnie po drodze wszystkich nazw – zostanie przemieleną przez pługi i użyźni glebę. Potem, po kolejnym deszczu, gdy osiadzie i się wyrówna, ale wciąż będzie można wbić w nią kciuk, z miejscowego *thnaal sanab* przyniosą siewki ryżu i przesadzą je na pola. Przyjdą następne ulewy, zasilając ryż i dając schronienie małym rybkom, kijankom, ślimakom, krabom i niezliczonym innym stworzeniom, które stanowią pokarm dla nas, ludzi.

– A pijawki? – spytałam.

– Ach, są wszędzie! – Przykląkł, zanurzył rękę po łokieć i wyjął cylindryczną bambusową pułapkę, *troo*, i opowiadał o innej, *andrut*, pułapce w kształcie stożka, używanej na grubszą rybę w rodzaju zębaczka czy węgorza. W *troo* gęsta kolonia małych ślimaków przywarła do bambusowych kratek, a z jednego końca na drugi, niczym więzienny strażnik, pływał przerażony rak wielkości mojego kciuka. – To twój szczęśliwy dzień, maluchu! – zawołał Pok i wysuwając ażurową pokrywkę

po drugiej stronie, zwrócił mu wolność. – Przyjdź, jak urośniesz!

Włożył *troo* z powrotem do wody, ale nie podniósł się, zastygł w bezruchu opodal kępy trawy.

– Niech płaska tafla cię nie zwiedzie. Pod gładką powierzchnią kłębi się cały wszechświat żywych istot. – Nagle wyjął rękę z wody i po wewnętrznej stronie nadgarstka miał pijawkę, rozedrganą i czarną jak smoła.

Cofnęłam się odruchowo.

Urwał garść trawy i jednym ruchem strzepnął pijawkę.

– Nie próbuj odrywać ich palcami, bo się przyssą do ręki lub innej części ciała. Lepiej ich nie dotykać. – Otarł krew z nadgarstka, gdzie pijawka przebiła skórę.

– Boli?

– Nie wolno ci się bać. – Przypatrzył mi się z uwagą. – Są wszędzie. Czasem otoczy cię cały zastęp, aż zrobi ci się czarno w oczach. Ale najbardziej strzeż się tych, których nie widać. – Przeniósł wzrok na wodę i szybko wskazał ciemny, ruchliwy kłęb. – Tam! Pling khem. Wejdą do ciała każdą drogą i wykrwawisz się od środka.

Zadrżałam.

Widząc, że mnie przestraszył, zamiast ostrzec, próbował zbagatelizować swój błąd.

– Za to te pierwsze bywają pożyteczne. Zamarynuj je w winie ryżowym, a uzyskasz napój, który doda odwagi największemu tchórzowi!

Wzdrygnęłam się z obrzydzenia.

– Trzeba mieć odwagę, by to wypić!

– Muszę przyznać, że nie próbowałam! – rzekł Pok z uśmiechem.

Podeszliśmy do jednego z wieśniaków, który stanął w polu, kiedy Pok go zawołał. Przywitali się i wymienili uprzejmości.

– Moja *koan thor* – przedstawił mnie Pok.

Tamten posłał mi uśmiech, jakby sama obecność Poka gwarantowała mi jego przyjaźń i aprobatę, bez względu na to, skąd się wzięłam.

– Ziemia jest czarna jak smoła. – Zaczerpnął garść i nam pokazał. – Widzicie, mnóstwo *dey labap*, z odpowiednią ilością piasku i mułu. Będą dobre zbiory.

Kogoś mi przypominał. Może tym, jak się poruszał, prawie nie mącąc wody, a może z powodu *kromy na* biodrach. Pozostali wyglądali jednak podobnie, tak zwinni, smagli i umazani błotem, że w końcu zrozumiałam, czemu zwano ich „ludźmi pól ryżowych”. Całe ich życie toczyło się tutaj i podobnie jak źdźbła ryżu sprawiali wrażenie zarazem starych i młodych, giętkich, ale twardych jak stal, zakorzenionych głęboko, a zarazem ledwo muskających stopami ziemię. Nic dziwnego, że upodobała im sobie rewolucja, a tacy jak mama i ja – cała ludność z miast, o czym jeszcze nie wiedzieliśmy – mieli upodobnić się do *neak srae*. Któż nie chciałby być taki jak oni?

Bawół niecierpliwie potrząsnął łbem i nagle zrozumiałam, że to ten sam, który rano skubał powój, podczas gdy jego właściciel czerpakiem łowił ryby.

– Złapałeś coś? – spytałam, pokonując nieśmiałość.

Zdziwiło go to pytanie, ale zaraz się zorientował, że musiałam go widzieć z chaty Poka. Z szerokim uśmiechem wskazał pułapkę leżącą parę metrów dalej na grobli.

– Zobacz sama.

Poszłam sprawdzić. W bambusowej klatce, w małej kałuży na dnie wił się zębacz grubości mojego ramienia. Rzucił się na boki, jakby wyczuwając mój wzrok, z pyskiem otwartym jak do krzyku. Potem znieruchomiał i wydał skrzela, osłabiony tym chwilowym zrywem.

– On chyba umiera – powiedziałam do Poka, który stanął obok.

Zmarszczył brwi, zaniepokojony moim wzburzeniem.

– No wiesz...

Nie dokończył. Nie musiał. Przecież rozumiałam. Ryba to jedzenie. Miałam swój rozum; wiedziałam, co ją czeka. Oglądałam setki ryb zabijanych i patroszonych na targu czy w naszej kuchni. Ale teraz widziałam ją tak blisko naturalnego środowiska, w pułapce, o krok od wolności. Nie mogłam oprzeć się myśli, że ze mną jest podobnie – pozbawiona wszystkiego, co znałam, odgradzona od świata, a przy tym możliwe, że blisko domu.

Jeden skok i z powrotem znajdziesz się w wodzie! No dalej! Skacz!

Ryba nie zareagowała na moje ciche zakłęcia. Poruszała skrzelami, starając się przeżyć w płytkiej kałuży.

Wstałam i rozejrzałam się wokół. Gdybym tylko mogła wyrzeć poza mur drzew, dojrzeć błysk Mekongu. *Czasem potężny nurt niesie nas z dala od domu jak małe rybki...* W uszach zadźwięczały mi słowa papy i przypomniałam sobie jego rozpacz, gdy stał obok mnie na balkonie w Mango Corner i patrzył na rzekę. Gdyby tylko nurt mógł zawrócić i zanieść mnie do niego z powrotem... lub jego do mnie!

Łzy zapiekły mnie pod powiekami i poczułam ucisk w gardle, bo zrozumiałam, że teraz tu jest mój dom i nie mogę usychać z tęsknoty za tym, co mi odebrano. A tę resztkę tlenu i energii, która mi została, muszę wykorzystać z pożytkiem na przyszłość, stając się nie tylko koan *thor* Poka i Mae, ale koan *neak srae*, dzieckiem tych pól.

Kiedy wróciliśmy do chaty, mama nie robiła mi wyrzutów, gdzie się podziewałam. Uśmiechnęła się na mój widok, wieszając sarong na sznurku rozciągniętym między dwoma melonowcami obok szopki za domem. Z jej twarzy biły świeżość i blask młodości, jakby noc zatarła wszystkie troski. Deszcz wyleczył wszystko, pomyślałam. A przynajmniej zmył rozpacz. Z kosza pełnego wypranej odzieży mama wyjęła koszulę, którą miałam na sobie w podróży, i powiesiła obok swojego sarongu

w kwiaty. Byłam brudna i chcąc się usprawiedliwić, opowiedziałam o spacerze z Pokiem, ale on, zamiast mnie wesprzeć, wdrapał się z powrotem na palmę, aby dokończyć zbieranie soku, zanim skwaśnieje przed wieczorem. Mama spojrzała na moje bose stopy, błoto między palcami, poprzyklepane tu i ówdzie źdźbła trawy. W chaosie, jaki towarzyszył opuszczeniu świątyni, zapomnieliśmy o moich butach i sandałach. Lecz nie brakowało mi ich; lubiłam dotyk ziemi pod stopami, a po nierównym gruncie łatwiej było chodzić na bosaka niż w butach.

Lekko zmarszczyła brwi, ale powiedziała z uśmiechem:

– Na pewno dobrze się bawiłaś.

Wytrzeszczyłam na nią oczy, bo nie tylko się nie pogniewała, ale wydawała się wesoła i figlarna jak kiedyś.

Uklękła i mokrą *kromą* z kosza zaczęła wycierać mi twarz, tak jak klacz myje nowo narodzonego źrebaka. Zadarła mi brodę i wytarła szyję. Miałam ochotę mamę objąć, sprawdzić, czy jest namacalna, poczuć bicie jej serca. Ale stałam jak słup w obawie, że swą czułością otworzę rany zasklepięte przez noc i deszcz.

– Tam są pijawki – powiedziałam. – Pok mówi, że do wody najlepiej ubierać się na czarno, żeby wyglądać jak one. Po południu zabiera mnie na węgorsze.

Mama pokiwała głową i przeczesła mi palcami włosy, wygładzając splątane końce. Potem oburącz ujęła moją twarz i spojrzała mi głęboko w oczy.

– Tylko się nie zgub. Pamiętaj, kim jesteś.

Było to ostrzeżenie czy prośba? Nie wiedziałam.

– Pokochałabyś mojego ojca – mówiła dalej. – Pamiętasz, jak opowiadałam ci, że umarł rok przed twoim narodzeniem? W klasztorze, gdzie mieszkał pod koniec życia. Kochał wieś, pola ryżowe, błoto, pijawki.

Wiedziałam, co chce powiedzieć – Pok przypominał jej ojca i nie miała nic przeciwko temu, żebym mu towarzyszyła.

Odłożywszy na bok *kromę*, wstała, aby rozwiesić resztę rzeczy. Zdziwiłam się, że są granatowe. Mae wspominała, że na rozkaz Kamaphibalu ludzie musieli farbować ubrania w indygo. Kolorem rewolucji była czerń. Mama, w zielonym sarongu i jasnoróżowej bluzce, których jeszcze nie ufarbowała, wyglądała jak lotos rozkwitły w błocie. Kolory, a może ona sama – jasność jej postaci na tle strzechy – przyciągnęły mnie jak magnes i objęłam ramionami jej smukłą talię, którą papa tak opisał:

rzeki zwięzenie,

zakręt w nieznane –

tajemnica narodzin i świata początku.

Mama była moim źródłem, moim domem.

– Lalka! – zabrzmiał pisk za moimi plecami. Odwróciłam się i ujrzałam Radaną na biodrze Mae. Wymachiwała gałązką manioku z liśćmi zebranych na górze i przewiązanych sznurkiem, przez co przypominała kukielkę z kucykiem włosów. – Lalka! – powtórzyła Radana, waląc mnie nią po głowie.

– Chciałam, żeby się pobawiła w chacie, ale gdzie tam – powiedziała Mae do mamy. – Bez ciebie ani rusz.

– Lalka głodna. – Radana przycisnęła gałązkę do piersi mamy i zaczęła mlaskać. Mama odsunęła ją z lekkim zakłopotaniem, ale Radana dalej swoje: mniam, mniam, mniam...

Mae połaskotała ją, wskazując przeżuwającą krowę uwiązaną do słupka.

– Gadasz całkiem jak ona!

Roześmiałam się. Radana mi zawtórowała, nie wiedząc, że z niej się śmieję.

Mae zwróciła się do mamy.

– Idź, nakarm dziewczuszki. Ja dokończę rozwieszać pranie.

Garnek bulgotał na ogniu pod chatą. Zapach cukru palmowego zaostrzył mi apetyt. Mae wmieszała odrobinę do ryżu, który przybrał złotobrazową barwę. Mama wygarnęła nieco do miski i mi podała. Dmuchałam i mieszałam, czekając, aż ostygnie, a w brzuchu burczało mi głośno.

Przyszła Mae. Odstawiła pusty kosz, naląła sobie soku palmowego z bambusowej flaszki i wypła duszkiem. Kiedy mama zaproponowała jej ryż z garnka, potrząsnęła głową.

– Nie, nie, to dla ciebie i małych. Mnie rano wystarczy słodki sok.

Nie wiedziałam, czy to prawda, czy może mówi tak, żeby nas sumienie nie gryzło, że ją objadamy. Doląła sobie palmowego soku i znów wypła do dna.

– Pomożesz mi w pracy? – zaszcebiotała do Radany, która patrząc na ziemię jeszcze mokrą od deszczu, niechętnie skuliła palce u stóp. – Tak myślałam! – Mae się zaśmiała.

Gdy jadłyśmy ryż, zamiatała wokół chaty. Chodziła z miotłami w obu rękach jak zaaferowany pajak. Nie mogłam się nadziwić, skąd czerpie energię. Pozbierała śmieci naniesione przez deszcz i wiatr, docierając aż do grządek na skraju działki. Dokończyłam ryż i pobiegłam za nią. Pokazała mi, jak przerwać trawę cytrynową, aby mogła się rozrosnąć, a gdy się tym zajęłam, poszła ratować na wpół zakopane łądźki kurkumy i galangalu, którego liście, podobne do liści bananowca, pachniały jak curry Om Bao. Uwiązała pędy dyni na bambusowych podpórkach ustawionych ponad kilkoma rzędami kędzierzawych główek kapusty.

– Syćcie się słońcem! – rozkazała zielonym pomidorom, dorzucając pod adresem limonek kaffir:

– Niech *vory* trzymają się z dala od moich małych! – Posłała mi czerwony uśmiech i z niedowierzaniem potrząsając głową, raz jeszcze wyraziła zdumienie, że los pobłogosławił ją dziećmi. – O mały włos, a byłoby za późno!

– Za późno? Czemu? – Myślałam, że przyjechałyśmy w samą porę.

Zarumieniła się ze śmiechem.

– Pok i ja jesteśmy tak starzy, że niedługo wrócimy do krainy duchów.

– Ile macie lat?

– Więcej niż możesz zliczyć!

Zapiał kogut.

– Patrzcie państwo, nareszcie wstał! – oznajmiła Mae, rozglądając się wokół. – Gdzie ten drań się podziewa?

Wskazałam glinianą kadź obok szopy. Kogut wyciągnął szyję i zapiał znowu: kukuryku!

– Nie mam z ciebie pożytku! – odwrzasnęła Mae. – Pół dnia za nami, a ty dopiero piejesz!

Kogut zatrzepotał skrzydłami, jakby chciał jej powiedzieć: „Już ja ci pokażę, babo!", i po raz trzeci zapiał: kukuryku!

Wróciłyśmy pod chatę. Mae odstawiła miotły z gałązek i podkasawszy sarong, kucnęła przy ognisku. Zdjęła z ognia garnek z ryżem i postawiła na ziemi. Patykiem rozsunęła kamienie, robiąc miejsce pod większy garnek.

– Co będziesz gotować? – spytałam i ślinka mi pociekła na myśl o ryżowych ciasteczkach.

– Sok palmowy na cukier. – Zakaszłała, machaniem ręki rozpędzając dym, który wzbił się znad wilgotnej kłody dorzuconej do ognia. – Po... potrzebuję twoich płuc, dziecko. Dmuchnij porządnie.

Przykucnęłam obok, dmuchając z całej siły, póki płomień nie wystrzelił jak liść. Mae wlała resztę soku do usmolonego woka, moim zdaniem o wiele za dużego na tak niewielką ilość, ale naraz zjawił się Pok z flaszkami związanymi sznurkiem. Odkorkował je i opróżnił do woka, który wypełnił się po brzegi wonnym sokiem. Mae dorzuciła więcej drwa do ognia.

Pok wszedł na schodki, z wystawionej przez Mae dużej skrzyni z palmowych liści wyjął tytoń i wsadził go sobie do ust. Opowiadając Mae o naszej porannej wyprawie, strugał drewniane cielątko.

Przybyliśmy do Stung Khae w porze zwanej przez Poka „monsunowym lamentem”, kiedy deszcz siąka rano mżawką, po południu przechodzi w głośnie łkanie, a wieczorem cichnie w szloch trwający czasem do późnej nocy. Skorpiony się potopiły, żaby i ropuchy mnożyły się na potęgę, rechocząc na powierzchni kałuż i stawów zasnutych galaretowatą błoną. Tu, w świecie naturalnym, życie i śmierć celebrowano i opłakiwano na równi, nie faworyzując żadnego z nich.

Deszcze odmieniły krajobraz, tak jak rewolucja odmieniła tutejsze życie, co czasami nasuwało myśl o sekretnym sojuszu między jednym i drugim. Niedługo po naszym przybyciu część Stung Khae oraz większość okolicznych nizin znalazły się pod wodą i kawał stałego lądu zmienił się w ruchome jezioro. Któregoś ranka jak za sprawą natchnienia rozkwitły hiacynty wodne niczym archipelag wysp. Przez parę dni dryfowały leniwie, unosząc sylwetki ptaków, które przysiadają na grubych liściach albo piły z nabrzmiąłych kielichów. Wreszcie, niczym bóg spragniony zmiany krajobrazu, burza zmiotła pływające wyspy, zastępując je lotosami. Wkrótce różowe i białe kwiaty znikły, a pojawiły się zielone owoce twarde jak orzechy. Pok zabierał mnie do czołna i gdy łowił krewetki, ja zbierałam owoce lotosu, łamiąc łodygi na głębokość ramienia pod powierzchnią wody, by nie wyschły i zachowały świeżość do czasu, gdy wracaliśmy do domu na obiad. Zdarzało się jednak, że spędzaliśmy poza domem całe popołudnie; jedliśmy ryż i marynowane krewetki przygotowane przez Mae, unosząc się na wodzie jak we śnie i podjadając świeże nasiona lotosu, ilekroć poczuliśmy głód. Pływaliśmy tak w milczeniu, czasem tylko dla rozrywki lub potwierdzenia naszej obecności w ciszy pustym owocem lotosu stukałam się w czoło. Pok, wyrwany z zadumy, odwracał się z wolna i na widok czerwonego placka na mojej skórze robił to samo. I znów zapadaliśmy w letarg, dryfując jak dwie zbłąkane dusze, którym dobrze jest, tak jak jest.

Raz złapała nas mżawka i zapomnieliśmy o całym świecie, zatopieni w marzeniach. Gdy o zmierzchu wróciliśmy do domu, zmęczeni i przemoczeni do nitki, ale za to z kilkudniowym zapasem ryb, krewetek i lotosowych orzechów, Mae nie posiadała się ze szczęścia, bo – jak to ujęła – „Bogowie, myślałam, że was zniosło na ocean!”. Wymieniliśmy rozbawione spojrzenia, gdyż dokładnie tego się spodziewaliśmy. Ale Mae wcale nie przesadzała – z naszej chaty istotnie wyglądało to tak, jakby ocean wdarł się w głąb lądu. Mama się nie denerwowała. Wiedziała, że jestem pod dobrą opieką. Pok uczył mnie pływać, już potrafiłam utrzymać się na powierzchni.

Powódź przyniosła zarówno obfitość, jak i niedostatek. Ryby, kraby, raki – nie wspominając o świerszczach i całej masie nietypowych specjałów, niecierpliwie wyczekiwanych przez wieśniaków – obrodziły jak nigdy, często same pchały się do sieci i pułapek. Czego nie zjedliśmy na bieżąco, Mae marynowała na kolejne dni i tygodnie.

Za to brak ryżu spędzał wszystkim sen z oczu. Powódź spowodowała liczne problemy, z których zasadniczym było całkowite zalanie pól ryżowych. Zdaniem Poka zbyt wcześnie je obsadzono, należało poczekać do końca pory monsunowej. Zastosowano by wówczas tradycyjną metodę o nazwie „pogoń za wodą”, która polegała na szybkim obsadzeniu miejsc, skąd wycofywała się woda, jakby w ślad za nią. Ziemia obfitowała by w minerały naniesione przez wodę aż z jeziora Tonle Sap i Mekongu. Tłumaczył, że tak robiono zawsze. Ale przywódcy rewolucji i żołnierze nie umieli gonić za wodą i w celu zwiększenia produkcji ryżu zarządzili przyspieszenie prac polowych, niszcząc tym samym cały zapas sadzonek. Poniewierały się teraz, jak okiem sięgnąć, poczerniałe i zgniłe, będąc źródłem chorób, które mogły narazić pozostałe zbiory.

Czy to w odpowiedzi na niepokoje mieszkańców, czy może ze strachu przed Organizacją – która niczym wykrzyknik przewijała się w każdej rozmowie i wystąpieniu publicznym – Kamaphibal nie zasypiał gruszek w popiele i wystąpił z pomysłem skomunalizowania indywidualnych zbiorów w jedną dużą rezerwę. Żołnierze rewolucji zwołali wiec polityczny w gospodarstwie dawnego właściciela ziemskiego. Zarządzono obowiązkową obecność wszystkich mieszkańców. Niektórzy wybrali twardy grunt, pokonując błotnisty szlak wozem zaprzężonym w woły, jednak zdecydowana większość wybrała drogę wodną. Sznur łodzi i czółen pruł wodę niczym ścieg na koszuli, kiedy wszyscy ruszyli hurmem w jedną stronę. Wsiedliśmy do naszej łupinki, dołączając ochoczo do tej flotylli. Mimo poważnego celu wyprawy nastrój panował świąteczny. Dzień był pogodny, wyczyszczone deszczem niebo tworzyło lazurową płachtę błękitu usianą białymi kępkami obłoków. Wietrzyk muskał nam twarze, niosąc wesołe pozdrowienia: „Witajcie, żeglarze! Uszanowanie, towarzysze! Kto pierwszy, ten lepszy!”.

Ale gdy dotarliśmy do celu, nastroje uległy kompletnej zmianie. Rozmowy ucichły, strach co do przebiegu zebrania legł wszystkim kamieniem na sercu. Pok przycumował łódkę do małej wierzby. Doszliśmy w wyznaczone miejsce. Z jednej strony stał okazały dom z cegły, otoczony dorodnym sadem, a z drugiej spichlerz w cieniu starych drzew sięgających nieba. Ruszyliśmy za tłumem do spichlerza, gdzie na usianej słomą i plewami ziemi, niczym szkielety olbrzymich owadów, spoczywały wielkie maszyny rolnicze – drewniane młockarnie, moździerz, tłuczki i żarna. Dzieci obsiadły je skwapliwie, ignorując ostrzeżenia dorosłych. Wraz z pojawieniem się Kamaphibalu wszyscy umilkli jak zaczarowani. Wystąpił jakiś mężczyzna i przedstawił się jako Bong Sok, Wielki Brat Sok. Miał smukłość żyrafy i opadające powieki istoty nieprzystosowanej do światła dziennego, jednego z bajkowych *khliang sraków*, których krzyk ponoć zwiastował choremu śmierć. Wnosząc z respektu, z jakim traktowali go pozostali, musiał być ważny w miejscowym Kamaphibalu. Przywódca stada. Nie tracił czasu na uprzejmości i od razu przeszedł do sedna sprawy.

– To miejsce o wielkim znaczeniu – rzekł, prawie nie ruszając ustami, ale tonem tak grobowym,

że wstrzymaliśmy oddech. – Ta posiadłość, jak wiecie, należała kiedyś do bogatego obszarnika. Teraz na tym cmentarzysku feudalizmu i chciwości zbudujemy wspólne dzieło naszych rąk. – Podniósł brwi, otwierając szerzej oczy, ale jego twarz w dalszym ciągu nie zdradzała kompletnie nic. – Reakcyjniści mogą kwestionować nasz wysiłek na rzecz rewolucji...

Nauczyłam się rozpoznawać ich zawołane groźby. Wszyscy tak mówili, lukrując nienawiść pięknymi słówkami. Wystarczyło spojrzeć na Bong Soka, posłuchać jego dętej tyrady.

– Ale my znamy ich głosy, wiemy, jak wyglądają, choćby się ukryli wśród nas. – Urwał. – Idźcie do domów. Przygotujcie ryż. Wasi towarzysze żołnierze pojedą za wami i zbiorą wasz wkład w rewolucję.

Wieśniacy ruszyli w drogę powrotną.

Tak jak się obawialiśmy, kiedy wróciliśmy do Stung Khae, żołnierze już tam byli. Odebrali wszystkim ryż, dając w zamian tygodniowe racje w postaci małej puszki ryżu na osobę na dzień. Nasza czwórka – Pok, Mae, mama i ja – dostaliśmy cztery puszki ryżu na dzień, a nie pięć. Żołnierze oznajmili, że Radana nie liczy się jako pełna osoba. I nie dostała nic.

Jakiś tydzień później przyszło Pchum Ben, buddyjskie święto upamiętnienia duchów zmarłych. Organizacja zabraniała obchodzenia świąt religijnych, lecz Mae machnęła ręką na zakaz. Ponieważ moje urodziny przypadały wcześniej, zrozumiałam, że niepostrzeżenie skończyłam osiem lat. Mama spojrzała na mnie ze skruchą, ale nie miałam jej za złe, że zapomniała. Tak było lepiej. Przecież nie mogłybyśmy uczcić ich jak w domu, w gronie przyjaciół i rodziny, przy zastawionym stole. Poza tym to osiem lat jakoś mi nie pasowało. Byłam pewna, że mam znacznie więcej, a odbicie dziewczynki, które czasem widywałam w wodzie, w ciągu ostatnich miesięcy stało się dla mnie ulotnym widmem naiwności, które po chwili znikało w zmaczonej tafli. Zatem gdy Mae zorganizowała nocną uroczystość ofiarowania duchom zmarłych jadła i napojów, odmówiłam modlitwę za własnego ducha, gdyż choć bez trudu wyobrażałam sobie swoją śmierć, śmierci papy nie mogłam – i nie chciałam. Kiedy mama modliła się za niego z Mae, szepcząc jego imię, zapraszając do udziału w mizernej uczcie, w myślach wyrzucałam jej, że wabi go z zacisza, w którym go schowałam – nieba, księżyca i tajemnej sfery moich nadziei i wyobrażeń – z powrotem do wstrętnej, ziejącej dziury w moim sercu. Chciałam jej powiedzieć, że nie potrzebuję tej świątecznej nocy, żeby go wezwać czy upamiętnić. On zawsze był ze mną. Następnego ranka Pchum Ben minęło, a ja powitałam ten dzień jak każdy inny.

Dopasowałyśmy się do życia w Stung Khae, do naszej nowej roli wieśniaczek i „adoptowanych” dzieci Poka i Mae, zmiennej polityki Kamaphibalu, efemeryczności Organizacji i jej zamięłowania do chaosu, jakby spokój był podejrzany i należało go zwalczyć jak wroga. Szybko odnalazłam się wśród mieszkańców wioski, złączonych ze sobą niczym pola ryżowe, aż nie sposób było połapać się w ich powiązaniach. Przekonałam się też, że nie byli już *neak srae*, tylko należało o nich mówić *Neak*

Moulathan, Lud Podstawowy, lub potocznie Neak Chas, czyli Stary Lud, bo byli „podstawą” i punktem wyjścia dla nas wszystkich, starszyzną. Miastowi pokroju mamy i mnie byli Neak Thmey, Nowym Ludem – nowym w tutejszych warunkach, jak zwierzęta, które należało dopiero złamać i oswoić. Starzy czy Nowi, mówili moi opiekunowie, ludzie to ludzie. Musiałam się nauczyć, komu można, a komu nie należy ufać. I gdy tak dryfowałam wśród ludzi, próbując utrzymać się na powierzchni, powoli zaczęłam rozumieć, o co chodziło Pokowi, kiedy pokazywał mi, co kryje woda – że w pozornie sielskim krajobrazie prowincji nie brakuje tych, którzy karmią się krwią i zniszczeniem. Jeśli miałam przetrwać, musiałam wybujać niczym młody pęd ryżu, ponad bagno, muł i spartańskie warunki – udając, że to mój naturalny żywioł.

Mama też się starała, robiąc wszystko, by nie narazić się na niechęć lub krytykę otoczenia. Zgodnie z rytmem wiejskiego życia wstawiała przed świtem, żeby pomóc Pokowi i Mae w obejściu, i nim nadchodził dzień, zdążyła wyprać i rozwiesić wczorajsze ubrania, ugotować i spakować obiad oraz przygotować się na cały dzień sadzenia ryżu. Jak na „nową”, pomna dzieciństwa spędzonego na wsi, doskonale radziła sobie w polu, skrzętnie ukrywając fakt, że jako córka właściciela wielu hektarów, otoczona służbą, nie miała w tej kwestii większego doświadczenia. Pofarbowała swoje ubrania na bure kolory, długie włosy upchnęła pod *kromą* i mówiła wiejskim dialektem, bezbłędnie naśladując zaśpiew miejscowych. Jej metamorfoza polegała na przemianie motyla z powrotem w poczwarkę. Swą prawdziwą naturę ukryła głęboko w kokonie i tylko na osobności, z dala od czujnych oczu Organizacji, tuliła nas i całowała, zrywała jaśmin, przypinała go do bluzki i czesała włosy, celebrując tę czynność długo. Raz się zapomniała, naprawiając złamaną rączkę szczoteczki do zębów.

– Królowa Babka... – zaczęła, ale zaraz ugryzła się w język. – To znaczy babka... wasza babka mówiła, że dawno temu czarne zęby były synonimem wielkiej urody. Już wiem dlaczego. Osad chroni zęby i zapobiega próchnicy, gdy nie mamy pasty i porządnej szczoteczki. – I dodała, unikając mojego wzroku: – Nie wolno ci myśleć, że to jest nasze życie, Raami. Jesteśmy kimś innym. Kimś znacznie więcej.

Ilekcóż mówiła te słowa, a słyszałam je dość często, utwierdzałam się w przekonaniu, że to, kim jesteśmy, mieści się we wszystkim, co straciłyśmy, że utrata domu i rodziny oraz wyrwa pozostała po utracie ojca i reszty rodziny nadają sens i kształt naszej istocie, jak powietrze balonom, przez co unosimy się nad ziemią na cienkiej nitce pamięci – mglistym wspomnieniu, że kiedyś byliśmy kimś więcej i składałyśmy się nie tylko z poczucia straty.

– Pamiętaj o tym, Raami – powtarzała mi do znudzenia wśród rozkazów żołnierzy rewolucji i Kamaphibalu: „Zapomnijcie o dawnym świecie! Wyzbądźcie się nawyków feudalnych oraz imperialistycznych skłonności! Zapomnijcie o przeszłości!”. – Pamiętaj, kim jesteś.

„Wyzbądźcie się wspomnień, które są źródłem waszej słabości! Pamięć to choroba!”.

– Jesteś córką swojego ojca.

Ilekczo to mówiła, dopadało mnie poczucie winy. Chciałam jej powiedzieć, jak bardzo żałuję, że zdradziłam nazwisko papy. Zrobiłam to, bo byłam z niego dumna. Chciałam ją przeprosić, bo wciąż nie byłam pewna, czemu moja duma go nam zabrała. Ale nie czułam się na siłach, więc gdy przypominała mi, że jestem jego córką, odbierałam to jako reprimendę, jakbym okazała mu za mało czci. Nigdy mnie nie obwiniła, lecz raz niewiele brakowało: „Kochałaś papę, Raami, ale nie mów o nim przy ludziach”.

Któregoś dnia na polu ryżowym podeszła do nas grupa żon członków Kamaphibalu. Stając na grobli, przez co znajdowała się wyżej od nas, żona Bong Soka, Neak Thot – za plecami nazywano ją Gruba zamiast „towarzyszko siostró” – odchrząknęła i zakrakała:

– Cieszymy się, że tak dobrze ci idzie, towarzyszek Aano. Zrobiłaś duże postępy.

Mama wyprostowała się i podpierając ręką krzyż, wytarła z czoła krople potu. Nie zareagowała na pochwałę.

– Większość nowych jest bardziej oporna niż ty – ciągnęła Gruba. – Od chwili przyjazdu nie posunęli się naprzód nawet o krok. – Z niechęcią potrząsnęła głową. – Mimo naszych wysiłków, aby ich naprowadzić na słuszną drogę. – Westchnęła głęboko. – Wciąż są zgniłymi bananami! Zepsuci w środku! – Jej świta zachichotała. Gruba uciszyła kobiety wzrokiem. – Zdradź nam, co robiłaś przed wyzwoleniem.

Mama sięgnęła po flancę i umieściła ją w podmokłej ziemi.

– Byłam służącą – odpowiedziała, nie podnosząc głowy. – Piastunką.

– Rozumiem. A co dokładnie robiłaś?

– Karmiłam i opiekowałam się dziećmi mojej pani.

– Doprawdy?! – zawołała jedna z kobiet z niedowierzaniem.

– Patrząc na ciebie, nigdy byśmy tego nie powiedziały – dodała Gruba. Kucnęła na grobli i przesunęła dłonią po ramieniu mamy. – Masz skórę gładką jak skorupka jaja, towarzyszek Aano. – Jej spojrzenie powędrowało na zabłocone ręce mamy. – I palce... jak to ująć?... księżniczki. Takie delikatne i zadbane! – Zaśmiała się obłudnie.

Mama zastygła jak posąg.

– Miejmy nadzieję, że błoto ich nie zniszczy – dodała Gruba. Następnie wstała i poszła, jak gdyby tylko zatrzymała się mimochodem, w drodze gdzie indziej. Pozostałe kobiety podreptały za nią.

– Racja, towarzyszek siostró, są jak zepsute banany! – zapięła jedna.

– Nadają się tylko na nawóz! – wtórowała jej druga.

Kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu, wbiłam wzrok w mamę.

– Dlaczego powiedziałaś im, że jesteś Mleczną Matką? – Czułam się zdradzona. – Przecież to nieprawda!

Mama zapatrzyła się przed siebie.

– Niepotrzebnie nalegałam, żebyś pamiętała, kim byliśmy. Myliłam się. To już nie ma znaczenia, Raami. Wszystko, co miałyśmy, kim byliśmy... to już się nie liczy. Teraz jesteśmy tutaj.

– Nie jesteś Mleczną Matką!

– Od tej pory jesteś córką służącej – mruknęła, patrząc na swoje odbicie w wodzie – a tą służącą jestem ja.

– A bajeczka o hodowcach mango z Kien Svay? Papa mówił...

– Papa, papa! – warknęła. – Nadal byłby twoim ojcem, gdyby...

Umilkła. Za późno. Wiedziałałam, co chciała powiedzieć. Tak, nadal byłby z nami, gdybym go nie wydała.

– Nie ma żadnego papy! – Łzy wezbrały jej w oczach, ale je powstrzymała. – Jeśli ktoś spyta, nie masz ojca. Nie znasz go. Nigdy nie znałaś.

Nie odpowiedziałam. Zobaczyłam szczelinę, która rozwierała się między nami, coraz szersza i dłuższa. „Masz palce księżniczki”. Ze strachu przed Grubą mama nagle postanowiła zapomnieć, wyprzeć z pamięci całą naszą przeszłość, podeptać i wyrzucić, podczas gdy ja kurczowo uczepiłam się wszystkich szczegółów.

Odwróciła się do mnie plecami.

Oparłam się pokusie, żeby do niej się przytulić. Musiałam zostać po swojej stronie przepaści, gdyż była to jedyna szansa na przetrwanie.

Nadeszły zniwa, a wraz z nimi ciężka praca, całodniowe zbieranie ryżu i wieczorne młócenie. Któregoś wieczora, gdy niebo szarzało, udaliśmy się do spichlerza z okazji pierwszego oficjalnego święta od czasu naszego przybycia do Stung Khae. Z konarów wielkiego nerkowca płynęła muzyka ludowa. Zawieszono tam głośnik podłączony kablem do małego magnetofonu u stóp drzewa. Zarówno magnetofon, jak i głośnik zasilane były z akumulatora. Przypomniałam sobie furgon, który przed paroma miesiącami przywiózł nas do Stung Khae. Co się z nim stało? Czy akumulator pochodził spod jego maski? Grupa żołnierzy rewolucji, samych mężczyzn, pilnowała porządku, odpędzając dzieci żądne bliższych oględzin dziwnego instrumentu z ustnikiem wysoko na drzewie, jak amputowany narząd z sercem wybijającym miarowe „bum, bum” ludowego bębna. Dwóch żołnierzy chwyciło się pod ręce i zaczęło tańczyć w rytm duetu bambusowego fletu i kokosowej lutni. Pozostali śpiewali chórem „O, chwała i cześć Demokratycznej Kampuczy...”. Było to bardzo dziwne, jakby garść znajomych przedmiotów – magnetofon, kabel i akumulator – wrzucono do jednego pieca, uzyskując stop o całkiem nowych właściwościach. Lecz słuchałam urzeczona brzmieniem dawnych melodii uzupełnionych o rewolucyjne teksty, atmosferą braterstwa i powszechnej radości. Świętowaliśmy dożynki, jak przed wojną. Rolnicy dziękowali wspólnie niebu i ziemi, czcili deszcz i słońce, składali ofiary z ciepłych płatków ryżu na cześć...

Księżyc, dokończyłam w myślach. Nie mogło go zabraknąć w czasie dożynek. Spojrzałam na niebo. Wisiał wysoko ponad czubkiem nerkowca, wprawdzie blady teraz i cienki, ale wciąż mogłam znaleźć w nim fragmenty opowieści przekazanej mi w wieczór taki jak ten.

Muzyka ucichła, wytrącając mnie z zadumy. Przybył Kamaphibal. Ludzie zebrali się wokół, by posłuchać. Wpatrywałam Bong Soka i Grubej, ale ich nie było.

– To jeszcze nie koniec dzieła rewolucji! – oznajmił jeden z członków Kamaphibalu. – Nie koniec naszej pracy! Nasza walka trwa! Organizacja potrzebuje każdego, wszystkich rąk do pracy, do działania na rzecz Demokratycznej Kampuczy! Bądźmy wzorem do naśladowania dla świata, dla ciemionych milionów i cierpiących mas, które nie zaznały jeszcze dobrodziejstw socjalizmu!

– *Cheyoo, cheyoo!* – wykrzyknęli żołnierze rewolucji, a tłum powtórzył jak echo.

– Pierwsze dożynki od czasu wyzwolenia – ciągnął mówca – od czasu opuszczenia miast, to najlepszy moment, by pokazać światu nasz gigantyczny krok naprzód! – Zatoczył ręką krąg. – Niech nasze zbiory będą tego dowodem!

Tłumy znów zaczęły wiwatować i rozległa się burza oklasków. Wtedy zobaczyłam Grubą – stała nieco na uboczu, w otoczeniu swojej świty. Ogarnął mnie strach i dostałam gęsiej skórki.

– A na koniec pracy – podjął Kamaphibal – w myśl ludowej tradycji zapraszamy na poczęstunek!

– Wskazał na Grubą i jej świętę. – Wyznaczono komisję, która dopilnuje, by nie pominięto żadnego z was!

Tym razem aplauz był ogłuszający.

Zapadła noc. Otaczały nas pagórki wymłóconego ryżu, których cienie łączyły się ze sobą, falując w księżycowym blasku jak pofałdowany krajobraz rodem z prastarych legend i mitów. Pracowaliśmy długo, potrzebowaliśmy przerwy na odpoczynek, ale dzwon uparcie nie dzwonił. Zebrałam kilka wiązek ściętego ryżu, podałam jedną Radanie i ruszyliśmy ścieżką oświetloną ogniskami płonącymi w rowach głęboko w ziemi, co miało uchronić zbiory przed deszczem iskier. My, dzieci, byliśmy objęte obowiązkiem pracy, jednak nie sprecyzowano, co mamy robić. Miałyśmy pomagać dorosłym, lecz pozwalano nam na zabawę, pod warunkiem że stawimy się na rozkaz „jak żołnierze”, kiedy zajdzie taka konieczność. Jedno z naszych zadań polegało na zanoszeniu dorosłym zżętego ryżu do wymłócenia i zbieraniu słomy na sterty przeznaczone na strzechy i paszę. Młócenie, wymagające więcej siły niż doświadczenia, pozostawiano zwykle nowym, których zdaniem Kamaphibalu należało hartować wysiłkiem i najcięższą pracą. Wymagające więcej wprawy obłuszczenie i przesiewanie należały do wieśniaków, którzy z łatwością manewrowali zwodniczo nieskomplikowanymi narzędziami, nie marnując przy tym ani ziarenka. Mamę przydzielono do grupy wyznaczonej do młócenia. Zajęła miejsce za podpartą ukośnie deską, o którą tłukła wiązką ryżu, dopóki nie wypadły wszystkie ziarna, po czym brała następną wiązkę.

Obserwując mamę przy pracy, nie mogłam się nadziwić jej przemianie. Jakby jej ciało, wychudłe i napięte do granic wytrzymałości, wyparło wszystkie myśli i uczucia niezwiązane z pożywieniem, snem i pracą. Po incydencie z żonami Kamaphibalu przestała mówić o papie i więcej o nim nie wspomniała, nawet żeby mnie przestrzec przed podejmowaniem tego tematu. Rozumiałam to i przestałam wypominać jej w duchu, że go pochowała, wyparła z naszych wspomnień, jak gdyby nigdy nie istniał. Nie ulegało wątpliwości, że chociaż siłę do pracy dawała nam żywność, milczenie pomagało zachować życie i mogło stać się kluczem do przetrwania. Pozostałe emocje – rozpacz, żal i tęsknota – stanowiły zbytek, skarb, który można potajemnie wyjąć i pieścić nim oczy, a następnie znów schować głęboko i wrócić do rzeczywistości.

Mama wyczuła moje spojrzenie, podniosła głowę i spróbowała się uśmiechnąć. Podeszłyśmy do niej z Radaną i dorzuciłyśmy do sterty nasze wiązki. Zamarła, naprężona jak struna, jakby chciała nas porwać w objęcia i wycałować, lecz nie miała odwagi w obecności Kamaphibalu. Taka demonstracja uczuć godziła w nauki rewolucji. Na znak mamy wróciłyśmy do pracy. Każda z nas zgarnęła naręczę słomy i ruszyłyśmy ku stogom po drugiej stronie placu.

Wreszcie zabrzmiał dzwon. Można było przerwać pracę i zjeść to, co dla nas przygotowano. Oprócz płatków ryżowych każdy dostał banana i rożek soku palmowego.

– Przyjdź później – poleciała jedna z żon Kamaphibalu, myśląc, że próbuję wyłudzić dokładkę.

Wyjaśniłam jej, że przyszedłam po przydział Radany, na co Gruba odparła:

– Czy nie jest za mała na swoją porcję?

Zamarłam, lecz na szczęście żartowała i nałożyła mi drugą porcję. Odeszłam pospiesznie, żeby się nie rozmyśliła.

Zastałam mamę siedzącą na kupce słomy. Radana leżała jej na kolanach i ziewała, jakby zaraz miała zasnąć. Ożywiła się jednak na widok kolacji i natychmiast usiadła, oblizując wargi i wyciągając rączki w przypływie siostrzanej miłości. Mama wstała i spojrzała na kolejkę do kotła.

– Trochę czasu mi to zajmie... – Była bardzo zmęczona. – Niech pośpi, jak zje. A ty pilnuj siostry. Nie spuszczaaj jej z oka.

Pokiwałam głową, policzki miałam wypchane ryżem i bananem. Przystawiłam rożek z sokiem Radanie do ust, a ona chłęptała, mlaszcząc jak szczenię. Przypomniałam sobie bliźniaki i łzy napłynęły mi do oczu na myśl, że może oni też gdzieś są głodni. Popatrzyłam na księżyc, wierząc, że gdzieś pod tym samym niebem, pod tym samym księżycem chłopcy wraz z resztą mojej rodziny są syci i bezpieczni, choćby tylko przez tę jedną noc.

Skończyłyśmy jeść. Radana ziewnęła i przetarła klejącymi rączkami oczy, rozmazując brud po całej twarzy. Pośliniłam skraj koszuli, wytarłam jej buzię i ułożyłam siostrzyczkę na chuście. Od razu zasnęła.

Dookoła inne małe dzieci tuliły się do matek, a jeśli były same, zwijały się w kłębek pod drzewami lub w słomie. Czułam, że dochodzi północ, ale było dziwnie jasno. Przycichły świerszcze i cykady. Ludzie też umilkli, niemrawo porządkując narzędzia, odstawiając kosze wymłóconego ryżu i sposobiąc się do powrotu do swoich wiosek. Mogliśmy już iść, ale niektórzy jeszcze stali w kolejce, wielu miało nadzieję na dokładkę, a pozostali odpoczywali w oczekiwaniu, aż posiłek wróci im siły przed podróżą.

Ponownie spojrzałam na księżyc i wyobraziłam sobie skierowaną ku mnie twarz papy. Wszędzie czułam jego obecność. Nagle zapragnęłam być sama, porozmawiać z nim na osobności. Popatrzyłam na Radanę. Przecież mogę ją tu zostawić, pomyślałam. Śpi jak suseł. Poza tym Pok i Mae siedzieli tylko parę metrów dalej pod drzewem, oparci o siebie z przymkniętymi oczami jak palmy na ich podwórku, pochrapując jednogłośnie.

Wstałam i minąwszy stogi, weszłam do lasu. Ruszyłam znajomą ścieżką, sunąc przez trawę po pas, lekka i niewidzialna jak duch, cień, który nie zostawia za sobą śladów. Dalej trawa sięgała mi do ramion. Dreptałam w kółko, udeptując wygodne miejsce do siedzenia, miękkie i przytulne jak gniazdko. Można by tu spać, pomyślałam. Miałam stąd dobry widok na księżyc i nic mi go nie zasłaniało, więc zaczęłam pleść bez sensu, najpierw na próbę, sprawdzając brzmienie swego głosu, po czym wypowiedziałam imię papy.

Nagle usłyszałam inne głosy. Zesztywniałam i skuliłam się w trawie. Dochodziły ze ścieżki, towarzyszył im odgłos kroków. Rozległ się szelest, jakby ktoś poślizgnął się i upadł.

– Wstawaj! – burknął jakiś mężczyzna. Szarpanina, kopniak. – Jak śmiesz kraść! Tuż pod naszym nosem!

– Są żniwa, a my głodujemy – jęknął ktoś.

– Już nie będziesz głodować. Skrócimy ci cierpienia. Co ty na to?

Cisza.

– Gdzie chcesz leżeć? W studni, z obszarnikiem i jego rodziną, czy w lesie, dokąd zabieraliśmy innych?

Znów brak odpowiedzi.

– Weźmy go do lasu.

Znowu szarpanina. Siedziałam jak trusia.

Nie wiem, którądy szłam, a może biegłam lub się czołgałam, ani ile czasu to trwało. Kiedy wróciłam na plac przed spichlerzem, miałam podrapane ręce, nogi i twarz. Mama złapała mnie za ramiona.

– Co ci się stało? Gdzie byłaś? – Potrząsnęła mną z całej siły. – Gdzie twoja siostra?

Z jednego ze stogów dobiegł krzyk.

– Mama!

Wokół mojej siostrzyczki krążył rój wielkich komarów. Radana zasłaniała twarz i krzyczała, jakby płonęła żywym ogniem.

Po powrocie do domu mama wychłostała mnie cienką witką. Każde uderzenie było jak rozgrzany do czerwoności drut na plecach. Pok i Mae błagali, żeby przestała. Próbowali mnie odciągnąć, ale przypomniawszy im: „To ja jestem jej matką!”. Nie mieli prawa się wtrącać.

– Kazałam ci pilnować siostry. Miałaś jej nie spuszczać z oka. A widzisz, do czego doprowadziłaś?

Radana leżała na macie cała w bąblach. Ale mamie nie chodziło tylko o Radanę ani o mnie. Jej gniew dotyczył czegoś więcej.

– Byłaś bezmyślna. Masz za swoje! Rozumiesz? Masz za swoje!

Tak, rozumiałam. Ale nie mogłam wydusić słowa.

– Odpowiadaj! Czemu zostawiłaś siostrę?

– Papa! – usłyszałam swój krzyk, gdy smagnęła mnie witką po plecach.

Uderzyła mocniej.

– On... cię... nie... słyszy. – Jedno słowo, jedno smagnięcie. – Możesz... sobie... płakać.

Nie płakałam, tylko go wołałam. Widziałam go przez otwarte drzwi. Jasny, nieustraszony księżyc uśmiechał się, mieszcząc w swym blasku cały świat. Chciałam, żeby mnie ukołysał, ukoił ból. Chciałam, żeby ukołysał mamę, żeby znów stała się łagodna i dobra pomimo łączącej nas tajemnicy.

– Możesz sobie płakać – powtórzyła, a jej łzy padały jedna za drugą jak razy. – On cię nie słyszy, rozumiesz? Nie ma go!

Tak, rozumiałam.

– Nie ma go!

– Przepraszam! – krzyknęłam, kiedy witka przecięła skórę na moim barku. – Przepraszam, że pozwoliłam im go zabrać!

Oślupiała. Rzuciła witkę, osunęła się na kolana i rozprysnęła się jak piękny, kruchy sen. I wszystko rozprysło się wraz z nią.

Później tej nocy płakało niebo. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że mama siedzi w drzwiach. Było ciemno, księżyc skrył się za zasłoną deszczu. Deszczu, który przyszedł w środku suchej pory, zanim popękała ziemia. *Pliang kok*, pożyczony deszcz, jak nazywała go Mae. Pożyczony od innej nocy, nadwyżka płynąca ze straty. Znowu przeciekał dach. Mae wstała i podstawiła garnek. Podeszła do mamy w drzwiach.

– Chodź, dziecko, chodź – powiedziała, obejmując ją za ramiona.

Mama pokręciła głową, jakby nie życzyła sobie, by ją pocieszać. Mae z westchnieniem wróciła na matę obok mnie.

Minęła długa chwila i usłyszałam głos mamy.

– Setki razy zadawałam sobie pytanie, jak mogłam go zatrzymać, Raami. Otóż nie mogłam. Nic nie mogłam zrobić, podobnie jak ty. Wiem, myślisz, że cię obwiniam. Może po części chciałam, żebyś tak myślała, bo wiedząc, że zrobił to, by nas ratować, nie mogłam się na niego złościć. Ale prawda jest taka, że nikt z nas nie mógł go powstrzymać. Był, jaki był. Zrobił to, co uważał za słuszne. Pozostał wierny swoim przekonaniom. – Zaśmiała się ironicznie. – Poezja wyniosła go na wyżyny, Raami. Ale nie widział, że tam się odsłania. Musieli go zauważyć, nawet bez twojego udziału. – Westchnęła z rozpaczą. – Słowa są naszym wzlotem i upadkiem, Raami. Może dlatego czasem wolę się nie odzywać.

Przymknęłam oczy, licząc krople spadające do garnka. Kap, kap, kap...

Rano zastałam mamę pod chatą. Mieszała gotowane nasiona lotosu nad ogniem. Obok stał garnek deszczówki. Podeszłam, nabrałam trochę wody i się napiłam, kojąc wyschnięte gardło. Podała mi miseczkę nasion. Początkowo milczała, nawet na mnie nie patrzyła. A potem, kiedy usiadłam, żeby zjeść, zaczęła mówić głosem cichym jak szelest liści w gęstwinie lasu:

– Była sobie matka... Tak bardzo kochała córkę, że dawała jej wszystko, czego dziecko sobie życzyło. Któregoś wieczora podczas zabawy w ogrodzie córka zobaczyła księżyc w pełni i zapragnęła go dostać. Matka próbowała jej wyjaśnić, że księżyc jest na niebie. Nie można go zdjąć, jak owoc z drzewa. Ale dziewczynka, jak to dziecko, nie rozumiała, że księżyc nie sposób mieć na własność. Płakała i płakała. Matka przyniosła wiadro z wodą i wskazując odbicie, rzekła: „Oto twój księżyc, kochanie”. Zachwycona dziewczynka zanurzyła rączki w wiadrze i godzinami bawiła się swoim księżycem, patrząc, jak wiruje i tańczy.

Po raz pierwszy mi coś opowiedziała. Dotąd robili to tylko papa lub Mleczna Matka. Dlaczego? – chciałam spytać. „Słowa są naszym wzlotem i upadkiem”... Dlaczego teraz, kiedy wszystko pękło, nie można nic naprawić słowami?

– Dałabym ci wszystko – powiedziała mama. – Gdybym mogła, sprowadziłabym go z powrotem.

Patrzyłam jej w oczy i wydało mi się, że w ich wilgotnej głębi dostrzegam jego twarz. Odwróciła się, wycierając łzy wierzchem dłoni. Potem sięgnęła po flakon jodyny zdobyty w zamian za koszulę papy i delikatnie przemyła mi rany na plecach, jakby muskała pędzlem płótno.

Pieściła mnie tak, jak chłostała. Raz za razem.

Minęło parę dni i któregoś popołudnia, gdy ścinałyśmy ryż, na polu zjawił się Pok. Szedł w naszą stronę. Mama rzuciła sierp i wyszła mu naprzeciw.

– Malaria – powiedział. – Radana ma malarię.

Wróciłyśmy do chaty. Mama usiadła z Radaną przytuloną do piersi, owinięta kocem, i nie wiedziałam, kto dygocze, ona czy moja siostra. Przyszła Mae z koszem podgrzanych kamieni

owiniętych w szmaty. Mama spojrzała błagalnie.

– Cały czas się trzęsie! Powiedz, co mam robić.

Mae wzięła od niej Radanę i owinąwszy ją ściśle kocem, ułożyła na macie. Następnie otoczyła ją kamieniami, przyciskając je do koca. Radana dalej się trzęsła, aż jej zęby klekotały – straszny dźwięk, jakby zwierzę ogryzało własne kości.

Moja siostrzyczka od rana miała napady dreszczy. Pierwszy zaczął się, kiedy wyszliśmy, opowiadał Pok, ale że był łagodny, oboje z Mae wzięli go za objaw przeziębienia. Radana nie miała gorączki, więc zbytnio się nie przejęli. Obserwowali ją tylko na wszelki wypadek. Ataki stały się coraz silniejsze i każdy kolejny trwał dłużej od poprzedniego, aż w końcu nie było wątpliwości, że to malaria, którą sami przeszli, podobnie jak większość mieszkańców wioski. Zнали jej przebieg – najpierw dreszcze, potem wysoka gorączka, a na koniec poty i koszmary ból głowy. Dreszcze Radany wciąż się nasilały. Cała chata trzęsła się wraz z nią.

Dwa ostatnie kamienie Mae położyła Radanie na piersi i na brzuchu. Przytrzymując je, żeby się nie zsunęły, okryła moją siostrę własnym ciałem, niczym kwoka wysiadująca jaja. Trwała tak długi czas, póki dygot nie ustał. Mama była jak sparaliżowana ze strachu, więc Mae zwróciła się do mnie.

– Przynieś siostrze wodę. Idź zobacz, czy się zagotowała.

Pok pilnował czajnika. Uniósł pokrywkę i powachlował energicznie wodę liściem palmy. Usiadłam naprzeciw niego, uciekając wzrokiem.

– To moja wina, prawda? – spytałam. – Przeze mnie zachorowała.

Pok przestał wachlować.

– Zachorowała przez komara – odparł po chwili. – Przez komara. To nie twoja wina.

Ale ja wiedziałam, że moja. Czemu inaczej by mi wmawiał, że nie? Może nie przeze mnie zachorowała, ale ja jej przed tym nie uchroniłam.

Zanieśliśmy czajnik na górę. Zgodnie z przewidywaniami Mae po dreszczach Radana była bardzo spragniona. Krzykiem domagała się picia, szarpała się za włosy, drapała szyję, dolną wargę gryzła do krwi. Kiedy się napiła, dreszcze wróciły. Trwało to w nieskończoność, a ja patrzyłam bezsilnie, nie mogąc pozbyć się myśli, że to znowu moja wina.

W wieku dwóch lub trzech lat zrozumiałam, że moja prawa noga jest krótsza i mniejsza od lewej, podobnie jak wiedziałam, że nie mam prostych, tylko falujące włosy i okrągłe znamię na prawym barku. Z czasem spostrzegłam, że pozostałe dzieci mają nogi równej długości, i dowiedziałam się, że moja przypadłość ma nazwę. Polio. Na pytanie, co to takiego i skąd się wzięło, i dlaczego ja to mam, a inne dzieci nie, dorośli nie potrafili mi udzielić zadowolającej odpowiedzi. „Za wszystko, co jest nam odebrane, dostajemy w zamian coś specjalnego”, próbował tłumaczyć papa. Tym specjalnym czymś była miłość. Jakby niechciany prezent, polio, przyszedł do mnie w satynowym papierze, przewiązany jedwabną wstążką; w opakowaniu tak olśniewająco pięknym, że zachowałam je

i ukochałam bardziej niż sam prezent. Miłość była moją nagrodą pocieszenia i w dzieciństwie dostawałam jej mnóstwo od tych dorosłych, którzy ukształtowali mój świat. Najpierw zamortyzowała wstrząs, kiedy zauważyłam, że inne dzieci nie kuleją. Potem chroniła mnie przed rozczarowaniem towarzyszącym odkryciu, że polio to nie dar, tylko choroba, która okaleczyła mnie na całe życie, chroniła przed bólem na widok własnego odbicia w lustrze i urazą, kiedy obcy ludzie mówili mi, że mam taką ładną buzię, tylko ta noga... Nauczyłam się nie przejmować chorobą. Wierzyłam, że miłość, którą darzył mnie świat, jest ochroną przed wszystkimi nieszczęściami.

I nagle pojawiła się malaria. Nie wiedziałam, czy to błaha dolegliwość, czy może – jak polio – pozostawi na Radanie trwałe ślad.

Przez następne parę dni malaria atakowała moją siostrzyczkę niczym zły duch, który opętał ciało i wyczyniał z nim, co chciał. Radana trzęsa się i klekotała zębami. Potem płonęła gorączką tak wysoką, że jej skóra parzyła, a oczy stawały w sęp i zachodziły mgłą. Jeszcze później gorączka spadała, ubranie, koc i wszystko wokół przesiąkało potem, Radana leżała blada jak płótno i trzęsa się przy tym tak, jakby miała połamać wszystkie kości i zgubić zęby. Czasem w przerwach między atakami krzyczała: „Daj lody, mamó! Daj lody!”, ale była tylko gotowana woda z rzeki, którą podawaliśmy jej jak magiczny eliksir. Po gorączce i dreszczach przyszły takie bóle i skurcze, że sam widok cierpienia Radany doprowadzał nas do szaleństwa.

Znów miała twarz rozpaloną i szkliste oczy. Mama delikatnie kołysała ją w ramionach. Mae kruszyła na łyżeczce dwie żółte tabletki. Mama znalazła je zawinięte w papier w kieszeni jednej z koszul papy. Najpierw myślałam, że to aspiryna, lecz z kartki przeczytałam: tetracyklina. Bez wątpienia napisał to papa. Żółte okrągłe księżyce, pomyślałam. Na pamiątkę po nim.

Mae wymieszała zmiażdżone tabletki z odrobiną przegotowanej wody z czajnika. Kiwnęła głową, że gotowe. Mama zatkała Radanie nos, a Mae wepchnęła jej łyżeczkę do buzi. Radana szarpnęła się, próbując złapać oddech, i połknęła lekarstwo. Mae zabrała łyżeczkę, mama cofnęła rękę, a Radana wydała z siebie wściekły skowyt. Nie wiem, co bardziej ją oburzyło, zatkany nos czy smak lekarstwa. Mama przytuliła ją mocniej i kołysała, dopóki wrzask małej nie przeszedł w ciche kwilenie.

– Zawsze była zdrowym dzieckiem – powiedziała mama, patrząc na nią. – Nigdy nie chorowała. Od urodzenia. Nigdy.

Nie byłam pewna, czemu to mówi i komu, Mae czy mnie. Porównywała mnie z Radaną? Czy dawała do zrozumienia, że to przeze mnie, bo teraz moja młodsza siostra jest chora jak ja? Spojrzałam na Mae, ale ona westchnęła, wstała i zostawiła nas same.

Mama położyła Radanę na macie. Moja siostra była blada, prawie przezroczysta. Jak duch. Cicho oddychała przez sen, ruszając gałkami ocznymi, z ustami wygiętymi w grymasie. Nie rozumiałam

malarii ani żadnej innej choroby. Pomyślałam jednak, że mam antidotum: będę kochać moją siostrę bardziej niż kiedykolwiek. Już nigdy nie będę zazdrosna, że ona jest zdrowa, a ja skażona przez polio. Pokocham ją bezgranicznie, całym sercem.

Mama podniosła na mnie wzrok.

– Kiedy byłaś chora, myślałam, że nie zniosę twojego cierpienia, a miałam przy sobie papę. Teraz też nie wiem, jak to zniosę. Musisz być silna za nas obie.

Tetracyklina. Powtórzyłam to jak zaklęcie, żeby osłonić Radanę przed chorobą. Tetracyklina. Wraz z moją miłością przywróci Radanie zdrowie.

Następnego dnia pracowałyśmy z prędkością huraganu. Na dźwięk wieczornego dzwonu zebrałyśmy narzędzia i popędziłyśmy do chaty. Wyczerpane do granic wytrzymałości, zasnęłyśmy obok mojej siostry. Wstałyśmy dopiero wieczorem i poszłyśmy się umyć w rzece za domem.

Wykąpałam się szybko, wytarłam *kromą* i przebrałam w czystą odzież, po czym usiadłam obok pochodni, którą wbiłyśmy w ziemię przy bambusowym zagajniku. Coś nade mną – może jaszczurka – przeskoczyło z gałęzi na gałąź. Czułam, jakby wszystkie nocne stworzenia przyszły na nas popatrzeć. Żaby skrzeczały, świerszcze cykały, a sowa pohukiwała z głębi lasu, uciszając wszystko dokoła swym żałobnym nawoływaniem. Chciałam, żeby mama się pospieszyła. Stała tuż przy brzegu, polewając sobie włosy wodą ze skorupy kokosa. Sprawiała wrażenie przygniecionej wielkim ciężarem. Uderzyło mnie, że ona, krucha jak motyl, wciąż tu jest, podczas gdy papa, niewzruszony jak kamienny posąg, stał się tylko wizją w moich marzeniach.

Rzuciła skorupę na trawę i wycisnęła włosy. Podeszłam i podałam jej suchą *kromę*. Wytarła się, a następnie owinęła chustą, zdjęła mokry sarong i wciągnęła suchy przez głowę. Postanowiłam opowiedzieć jej sen, jaki miałam, zanim tu przyszłyśmy.

– Wrócił papa – powiedziała, przyświecając jej pochodnią, kiedy zapinała guziki bluzki. – Przyniósł mi parę skrzydeł. Ale... – zawahałam się. – Zabrał ze sobą Radanę.

Mama podniosła mokry sarong i wypłukała go w rzece.

– Niedługo my też wrócimy do domu – ciągnęłam. – Tak powiedział. Ty i ja. Zabrał Radanę, bo była chora.

Mama wstała i wycisnęła sarong, wyzymając go z całej siły.

– Radana wyzdrowieje, prawda? – zapytałam.

Mama zeszywniała.

– Naturalnie – odpowiedziała głosem drżącym jak płomień pochodni. – Oczywiście, że wyzdrowieje. Jakżeby inaczej?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo mi się przyśniło...

– Ty i twoje sny – przerwała. – Są jak twoje opowieści, zupełnie nieprawdziwe.

Nie rozumiałam. Co ją tak zdenerwowało? Przecież papa zabrał Radanę, żeby wyzdrowiała.

– Ale...

Wyrwała mi pochodnię i szybko ruszyła naprzód, pozostawiając mnie w mroku.

Pobiegłam za nią.

– A tobie co się śni? – spytałam, wściekła na jej smutek, na to, jak mnie gasi, ilekroć chcę poprawić jej humor. Chciałam, żeby mi wytłumaczyła, dlaczego Radana nie wraca do zdrowia, czy to faktycznie moja wina i jak mam temu zaradzić. A przynajmniej niech opowie mi coś, co zrozumiem, historię, która dobrze się kończy. – Opowiedz mi bajkę!

Stała tyłem do mnie, wyprostowana jak struna.

– Rano rozchylały się płatki lotosu i ptak poleciał do gniazda, do rodziny – zaczęła mówić, nie odwracając się w moją stronę. – Kocham otwarte lotosy, bo mówią o wolności i nowym dniu, nowym początku, kiedy wszyscy łączą się z bliskimi. Ale czy znasz koniec historii? Oczywiście, że nie, bo kazałam Mlecznej Matce opowiadać ci tylko tę wesołą część. No cóż, jak wiesz, ptak wraca pachnący do domu, a tam okazuje się, że gdy on siedział wewnątrz lotosu, w lesie wybuchł pożar i spłonęło jego gniazdo wraz z pisklętami. Oszalała z rozpaczony żona oskarża go, że zdradził ją w ramionach innej. Nie, papa nigdy nie zdradził mnie w takim sensie. Ale zostawił mnie samą pośrodku lasu i obawiam się, że ogień strawi wszystko.

Wybuchnęłam płaczem.

– Papa przyniósł ci skrzydła, Raami. – Obróciła się gwałtownie i stanęła przede mną. – Ale ja muszę nauczyć cię latać. Zrozum, to nie bajka.

Parę dni później mama wstała przed świtem, wsunęła do kieszeni srebrne pióro papy i bez słowa wyjaśnienia wyszła z domu. Wróciła o wschodzie z trzema kolbami kukurydzy schowanymi pod koszulą.

– Jak Radana? – spytała na schodach.

– Bez zmian – odpowiedziałam.

– Czy Mae dała jej lekarstwo?

– Tak.

– A kleik? Ile zjadła?

– Wszystko.

Spojrzała na mnie z góry.

– Powiedziałaś „wszystko”?

Skinęłam głową.

Z chaty wyjrzała Mae.

– Dziecko odzyskuje apetyt – oznajmiła. – To dobry znak.

Mama się uśmiechnęła, a jej uśmiech był jak słońce po deszczu.

Na polu uśmiechała się cały dzień.

– Jesteś bardzo zamyślona, towarzyszeko Aano – zauważyła Gruba. – Rewolucja tego nie pochwała.

Mama wręcz promieniała.

Wydawało się, że Radana naprawdę wraca do zdrowia. Przestała wymiotować. Miała lekką biegunkę, ale jadła i przeważnie wszystko trawiła. Odzyskiwała rumieńce. Wciąż za słaba, by siedzieć, leżała na macie, bawiąc się szpulką białych nici. Mama siedziała obok, popuszczając szwy białej satynowej sukienki, żeby Radana mogła ją włożyć, kiedy wyzdrowieje i nabierze ciała. Patrzyłam na jedwabne różyczki przy kołnierzyku i kokardkę w kształcie motyla. Byłam ciekawa, gdzie moja siostra się pokaże w tej nierewolucyjnej sukience.

Mae wsunęła głowę przez drzwi.

– Patrz, co dla ciebie złapałam! – zagruchała do Radany. Trzymała sznurek, na którego końcu wisiał konik polny upleciony z liści palmy kokosowej. Radana spojrzała na nią, potem na konika. Nie zareagowała, oczy miała bez wyrazu. Mae westchnęła. – Tak naprawdę to dla ciebie, Raami.

Wzięłam zabawkę i pomachałam nią siostrze przed nosem. Kołysałam nią z dołu do góry i obracałam w kółko, wydając przy tym różne odgłosy. Radana wciąż nie reagowała. Nie dawałam za wygraną, licząc plamki na jej twarzy po zainfekowanych ugryzieniach komara; wyglądały jak oczka na skórce ananasa. „Organizacja ma oczy i uszy jak ananas”, przypomniałam sobie i zachichotałam cicho, wyobrażając sobie, że Radana jest Organizacją. Nagle usta Radany wygięły się w uśmiechu i zabalgotała. Mama rzuciła robótkę i przysunęła się bliżej.

– Zrób to jeszcze raz – poprosiła. – Rozśmiesz ją.

Przez resztę wieczoru rozbawiałyśmy Radanę, a ona śmiała się coraz dłużej i głośniej.

Następnego dnia pędem wróciliśmy z pola. Radana leżała na macie tak jak ją zostawiłyśmy, z głową na ulubionej poduszce i uchylonymi powiekami. Mae masowała jej brzusek, a Pok nucił ludową piosenkę głosem chropowatym jak szelest bambusowych trzcin.

Mama uklękała i pogłaskała Radanę po buzi.

– Jak tam moje małeństwo? – szepnęła, odgarniając małej włosy z czoła.

– Wołała cię – powiedziała Mae. – Mówiła „Mama mniam! Mama mniam!” i patrzyła na mnie, jakbym miała mleko!

Radana się oblizwała.

– Pewnie znowu jest głodna. – Mama spoglądała na nią z miłością, która pewnie też była nierewolucyjna.

– Nakarmiłam ją kleikiem – zapewniła Mae. – Jadła jak świnka!

– A maniok? – spytałam ostrożnie. W drodze powrotnej zdobyliśmy go w zamian za zegarek papy, Omegę Constellation. – Jest dla Radany?

Nie miałam odwagi spytać wprost. Wstydziłam się swego głodu, biorąc go za łakomstwo, oznakę słabości. Żołądek ścisnął mi się boleśnie.

– Nie – odrzekła mama. – Dla ciebie.

Mama podała mi talerz ugotowanych plastrów manioku posypanych cukrem palmowym. Jedno z Kochanków wciąż dawało sok i ostatnio wystarczyło na nieduży bloczek. Wciągnęłam w płuca zapach manioku; roztopiony cukier jeszcze go wzmocnił. Radana wyciągnęła rękę.

– Mama mniam!

Brzmi to, jakby krowa przeżuwała, pomyślałam.

Mama pokręciła głową.

– Twój brzuszek nie jest na to gotowy.

– Mama mniam! – powtórzyła Radana. – Mama!

– Jestem – powiedziała mama. – Siedzę obok ciebie. – Cmoknęła, próbując odwrócić jej uwagę od mojego talerza.

– Mama! – krzyknęła Radana, ale nie był to głośny krzyk.

– Przyniosę ci kleiku.

Radana sięgnęła do mojego talerza. Ucisk w żołądku przeniósł się na pierś i ogarnął mackami całe ciało. Aż się wzdrygnęłam. Mama spojrzała ze zdziwieniem. Nie umiałam tego wyjaśnić, tej nagłej i porażającej miłości do młodszej siostry, choć ta mała była zmorą mojego życia – po prostu dlatego, że się urodziła. A teraz, chociaż wciąż nie miała pojęcia o sobie, o świecie i o naszej rozpacz, myślała dokładnie o tym samym co ja: jak zaspokoić głód i przeżyć. Dalej usiłowała sięgnąć do mojego talerza.

– Tak, to kleik – skłamała mama. – Przyniosę ci.

– Nie! – Radana potrząsnęła głową. – Chcę to!

Mama podniosła ją z maty.

– Dostaniesz, jak wyzdrowiejesz. – I rzuciła do mnie: – Idź z tym na zewnątrz... i pospiesz się! Zjadłam tak szybko, że poparzyłam język.

Radana płaczem ukołysała się do snu.

– Ma... ma... mniam... – powtarzała jeszcze.

Muuu... muuu... muuu! – odpowiadała jej z zewnątrz krowa.

Zawodziły i zawodziły. To było nie do wytrzymania. Zatkałam palcami uszy.

Radana umarła. Mama obudziła mnie, żeby mi powiedzieć. Nie płakała. Siedziała w kąci przyciskając do piersi zagłówek.

– Tak chciałam, żeby wyzdrowiała – mamrotała. – Tak chciałam, żeby wyzdrowiała...

Nie rozumiałam. Kiedy umarła? Jak to możliwe?

– Ale ona umarła – powtarzała mama. – Umarła...

Przetarłam oczy i zobaczyłam Radanę leżącą obok mnie. Potrząsnęłam ją, najpierw lekko, a potem mocniej. Nie drgnęła. Czekałam. Nie zareagowała.

– Radana – szepnęłam. A potem głośniej: – Radana!

– Chciała tylko jeść. – Mama kołysała się w przód i w tył. – Gdybym wiedziała... – Jej słowa wirowały mi w głowie jak pętla, gotowa mnie udusić. – Ale już za późno. Za późno na maniok. Za późno na cukier. Na wszystko. – Roześmiała się. – To byłby jej ostatni posiłek.

Usłyszałam zgrzyty pod nami. Spojrzałam w dół i przez szparę w podłodze zobaczyłam światło pochodni i Poka. Piłował deski i przybijał gwoździe. Robił trumnę dla Radany.

Umarła.

Gwiazdy zaświeciły dla niej, zawisły w drzwiach, mrugając w ciszy. Skądś to znałam. Ale skąd? Czy Radana już kiedyś umarła? Przypomniałam sobie synka pana Viraka. Tak szybko odszedł. Radana nie mogła umrzeć! Przecież wracała do zdrowia. To był sen. Nic innego.

– Obudź się, mała! Proszę, obudź się...

– Chodź, dziecko – powiedziała do mnie Mae. – Pomóż mi przygotować siostrę.

Podniosła Radanę. Na macie został mokry ślad od potu, jak kształt ducha, który pozostawił po sobie ciało, pustą skorupę. Mae rozebrała Radanę i ułożyła w woku, w którym gotowała sok palmowy. Nic innego nie miała.

Patrzyłam na ciało. Sklepienie żeber. Ramiona. Mostek jak dwie dłonie z rozłożonymi palcami broniące serca, każda kość cienka jak mamine palce. Nalałam wody, a Mae obmyła Radanę ścierką. Żałowałam, że nie umiem śpiewać jak mnich. Zastanawiałam się, jak błogosławić kogoś, czyje życie właśnie dobiegło końca. Oby duch twój powędrował do lasu, gdzie nie ma komarów. Oby malaria nie poszła z tobą. Niech twoje cierpienie skończy się tu i teraz...

Po obmyciu Radana pachniała palonym cukrem palmowym. Mae wytarła ją i przeniosła z powrotem na matę. Mama wyszła z kąta i zawodziła, nie roniąc przy tym ani jednej łzy. Już nie musiałam sobie tego wyobrażać – była duchem, który odchodził wraz z Radaną. Chciałam poprosić Poka o gwóźdź, żeby przybić ducha mamy z powrotem do ciała. Chciałam przybić ją do mnie.

Wybrała białą satynową sukienkę, którą szykowała na jej powrót do zdrowia, sukienkę

nierewolucyjną, z błyszczącym stanikiem, spódnicą z tiulu, rzędem różyczek przy kołnierzyku i kokardą w kształcie motyla na plecach, która zatrzepocze niczym skrzydła, gdy Radana puści się biegiem. Biała ćma w pogoni za snem w kształcie dziewczynki. Biała. Tak, biała, w kolorze żałoby. Nie czarna, w kolorze rewolucji. Nie szafranowa, jak szaty pomordowanych mnichów.

Radana odeszła. Umarła, kiedy spałam.

Mama ubrała ją w sukienkę.

– Śpij, śpij – nuciła, jakby kołysała lalkę. – Jeszcze noc, śpij... – Mówiła do mnie czy do Radany?

Zbudziła mnie, aby mi powiedzieć, że Radana się nie obudzi. Już nigdy. Chwila trwała wiecznie, a wieczność działa się teraz. Śmierć działa się teraz i trwała na wieki. Na zawsze to zapamiętam.

Mae odebrała mamie Radanę i owinęła ciasno jedwabnym sarongiem w odcieniu bakłażana, który dostała od mamy po przyjeździe. Potem ułożyła ją obok mnie i przykryła nas obie kocem. Objęłam siostrę i przytuliłam do siebie, jakbym mogła znów ją rozgrzać.

– Takie maleństwo – zapłakała Mae. – Poczwarzka w kokonie.

– Nienarodzony motyl – dodała mama, kołysząc się w przód i w tył.

Jutro będzie pogrzeb.

Rano przyszła Gruba z obłudnym wyrazem twarzy. Przyproceedziła inne żony Kamaphibalu. Komitet pogrzebowy, powiedziała.

– Jesteśmy twoimi towarzyszkami – przypomniała mamie. – Przyszłyśmy okazać ci wsparcie. Dobrze, że nie płaczesz, towarzyszko Aano. Łzy to oznaka słabości.

Pozostałe mruknęły z aprobatą. Były równie młode jak mama, wszystkie miały dzieci, ale nie rozumiały jej rozpacz. Chwaliły, że jest silna, że nie płacze.

– Smutek to trucizna. Opłakiwanie przeszłości godzi w założenia rewolucji. Będzie z ciebie prawdziwa rewolucjonistka, towarzyszko Aano.

Mama milczała. Otoczyły ją jak sępy kure, chciwie pożerając wzrokiem martwe pisklę.

Pok ułożył Radanę w trumnie, a gdy to robił, łza spłynęła mu po policzku i kapnęła jej na twarzyczkę. Wyglądało to tak, jakby Radana płakała nad sobą, jakby opłakiwała własną śmierć. W świetle poranka jej skóra była biała jak sukienka. „Śmierć jest, gdy zamykasz oczy – próbowałam kiedyś wyjaśnić papa. – Jak sen bez snów”. Radana umarła. Już nie będzie śnić.

One zabiorą trumnę i zakopią, oznajmił komitet pogrzebowy. Gdzieś wśród pól. Ciało nie powinno się zmarnować. Radana zasili ziemię. Przysłuży się rewolucji lepiej niż za życia. Powinnyśmy być dumne. Pochowano tak kobiety i mężczyzn, którzy poświęcili swoje życie dla rewolucji. Oni nie mieli trumien. Radanie dopisało szczęście, bo ma. To burżuazyjna śmierć.

– Nie będzie ceremonii religijnej – stwierdziła Gruba. – Pogrzeb to feudalny zwyczaj bogaczy. I żadnej modlitwy. Modlitwa to fałszywe pocieszenie. Nie przywróci dziecka do...

– Wystarczy! – przerwał jej Pok. Zamknął trumnę i przybił wieko.

Mama podała Grubej resztę rzeczy Radany, ładnie poskładanych i przewiązanych czerwoną wstążką, tą samą, którą kupiła od dziewczynki sprzedającej jaśmin, kiedy opuszczaliśmy Phnom Penh, kiedy czerwień była jej ulubionym kolorem, kiedy była młoda, silna i piękna. Chciała, żeby pochować ubrania i wstążkę z Radaną?

– Weźcie to, proszę...

– Nie będą jej potrzebne – oświadczyła Gruba.

– Dziecko musi na tamten świat wziąć swoje rzeczy! – zaoponowała Mae. – Miejcie litość nad jego duszą...

– Wystarczy sukienka! – ucięła Gruba. – Reszta to burżuazyjny zbytek!

– Proszę – wymamrotała ponownie mama. Trzęsa się jak osika. Na kolanach trzymała zagłówek Radany, pociemniały od potu w czasach, gdy moja siostrzyczka leżała na nim rozpalona z gorączki. Zbyt stary i brudny, żeby go zabrać na tamten świat lub wykorzystać na tym. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy patrzyli na kopczyk ubrań.

Wreszcie Gruba ustąpiła.

– Zobaczymy, co da się zrobić – powiedziała, upychając go pod pachą. – Same zaniemiemy trumnę. Nie musicie iść.

Mama pokiwała głową, przyciskając zagłówek do piersi.

Patrzyłam na nią z paniką wzbierającą w gardle. Nie siedź tak! Zrób coś! Powiedz im, żeby oddały Radanę. Ona nie umarła. Czemu tak siedzisz, ściskając tę głupią poduszkę? Sprowadź Radanę z powrotem! Ona nie umarła! Sprowadź ją!

Zerwałam się i wybiegłam za komitetem pogrzebowym na drogę, a serce waliło mi w piersi, jakby Radana biła piąstką o wieko trumny, krzycząc: „Wypuście mnie! Ja chcę wyjść!”. A może to był mój krzyk?

– Gdzie ją zabieracie?!

– Nie musisz wiedzieć! – syknęła jedna. – Nie idź za nami.

– A co tam – odparła Gruba ze śmiechem. – Niech idzie za siostrą, jak chce.

Gdy zostaliśmy sami, mama krzyknęła rozdzierająco. Przysunęłam się, dając jej moje serce do połamania, żeby nie musiała kruszyć własnego, ale ona tylko krzyknęła głośniejsze, odrzucając głowę w tył jak kobra, na którą Pok kiedyś polował wraz z grupą wieśniaków. Wykopali dół w ziemi opodal jej gniazda i wstawili tam garnek z wrzącą wodą. Ukryci za krzakami, długim kijem stręcili do garnka jedno z jaj, a ona syczała. Odgięła się w tył, syknęła jeszcze raz – tak żałośnie i po ludzku, że się rozplakałam – i rzuciła się do wrzącej wody. Gdyby stał przed nami taki garnek, mama zrobiłaby to samo.

– Oddajcie mi dziecko!

Oczywiście to była moja wina. Radana umarła przeze mnie. Przecież życzyłam jej, aby zachorowała na polio i stała się taka jak ja. A teraz umarła. Nie kochałam jej tak bardzo, jak mnie kochano, zbyt późno to sobie postanowiłam. Śmierć wykopała już dół w ziemi i zastawiła pułapkę.

– Moje dziecko! – krzyczała mama. – Oddajcie mi dziecko!

Przyszedł Pok i mnie odciągnął, zasłaniając własnym ciałem.

Zaszyłam się pod Kochankami. Chciałam być sama, ukryć się przed wszystkimi, przed całym światem. Wrócił Pok znad rzeki, z wędką w jednej i dwoma zębaczami na liściastym pnączu w drugiej dłoni. Poklepał krowę pasącą się przy stogach. Zamuczała żałośnie. Sprawiała wrażenie podobnej do innych, obojętnej i głupiej, dopóki się nie odzywała. Dopiero wówczas człowiek zdawał sobie sprawę, że cierpi, zdolna do długotrwałego smutku, jakby świadomość śmierci miała wymiar uniwersalny, była *thorem*, który pozwala nam łączyć się w bólu z innymi niż my. Drewniany amulet, wyrzeźbiony przez Poka i zawieszony na szyi, nie przyniósł jej ulgi. Stanowił wieczne memento straty, której doświadczyła. Życzyłam jej zapomnienia.

Pok poszedł dalej. Przywarłam do jednej z palm. Nie chciałam z nim rozmawiać. Chciałam być tylko z Kochankami. Ale zobaczył mnie, podszedł i usiadł pod drugą palmą. Milczeliśmy. W pewnej chwili podniósł głowę.

– Czy wiesz, która to *thnoat oan*, a która *thnoat bong*?

Nie odpowiedziałam.

– Któregoś ranka ta wyrosła z nasionka – podjął, wskazując palmę, pod którą siedziałam. – Po paru dniach wyrzała z ziemi ta. – Poklepał swoją. – Z tego samego ziarenka. Rozdzieliliśmy je, żeby miały miejsce, gdy się rozrosną. Ale rosnąc, skłaniały się ku sobie, z roku na rok coraz bliżej, aż się skrzyżowały, tak jak teraz. Widzisz, traktowaliśmy je jak własne dzieci. Jak duchy dzieci, które mogliśmy mieć, o których marzyliśmy, i dlatego nazwaliśmy je *thnoat oan thnoat bong*.

Cały czas miałam je za kochanków, choć powinnam wiedzieć, że *oan-bong* oznacza także „młodsze/starsze rodzeństwo”.

– Teraz jedna przestała dawać sok – ciągnął Pok z żalem. – Miejmy nadzieję, że z drugą będzie inaczej.

Milczał parę chwil, po czym znów popatrzył w górę.

– Sępy! – powiedział. – Widuję je od paru dni. – Zdjął *kromę*, którą nosił wokół pasa, i machnął nią nad głową, jakby mógł odgonić ptaki. – Ty i twoja siostra zawsze będziecie złączone. Byłaś jej starszą siostrą. Czuwałaś nad nią, broniłaś jej, a teraz ona będzie czuwać nad tobą.

– Ona nie żyje.

Wstał, zabrał wędkę i ryby, i poszedł. Poczułam się jeszcze gorzej. To nie była jego wina.

Próbował pomóc.

Położyłam się na trawie i patrzyłam na sępy kołujące mi nad głową. Przymknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak by to było oderwać się od ziemi i pofrunąć.

– Obudź się, dziecko! Obudź!

Ktoś mną potrząsał. Otworzyłam oczy i zobaczyłam nad sobą twarz Mae.

– Coś mogło cię pogryźć – oznajmiła, trzymając pochodnię. – Widzisz, jak ciemno? Co ty tu jeszcze robisz?

Byłam całkiem zdezorientowana. Rozejrzałam się wokół.

– Gdzie ona jest?

– Kto?

– Radana.

– Coś ci się przyśniło. – Pomogła mi wstać.

Dokąd biegiesz? Tak jej imię brzmi po khmersku, jeśli je szybko wypowiedzieć – Rad'na. Dokąd biegiesz? Gdzie się chowasz? Śniłam, że bawimy się w chowanego.

– Chodź, wejdziemy do środka. – Mae wzięła mnie za rękę i pociągnęła w stronę domu.

Podniosłam oczy na nocne niebo i zobaczyłam spadającą gwiazdę, inna zamrugała. Gdzieś umarło dziecko i narodziło się drugie.

Mae namoczyła ścierkę i włożyła mamie do ręki. Mama spojrzała na ścierkę, jakby nigdy nie widziała czegoś takiego, po czym z wolna uniosła ją do twarzy i potarła policzek, raz za razem, to samo miejsce. Bezszelestnie przebrałam się do snu; nie chciałam jej przypominać, że zostałam tu zamiast Radany. Rzuciła ścierkę na podłogę i położyła się obok. Mae dotknęła jej czoła.

– Jesteś rozpalona – powiedziała i dała jej małą żółtą tabletkę. – Znalazłam to wśród twoich rzeczy.

Tetracyklina, przypomniałam sobie.

Mama utkwiała wzrok w tabletkę.

– Do końca miałam nadzieję...

– Połknij – ponagliła Mae. – Może ci pomoże.

Uniosła mamie głowę, rozchyliła wargi i wepchnęła tabletkę do ust. Mama przełknęła. Odwróciła się i jej wzrok padł na mnie.

– Miałam nadzieję do końca, do końca.

– Nie umyłaś się – powiedziała Mae i wzięła ścierkę do ręki. – No, podnieś głowę.

– Zostaw mnie.

– Dobrze, dziecko, zaraz zostawię.

– Chcę umrzeć.

Rano mama wyglądała lepiej. Gorączka minęła. Patrzyła na kleik w swojej misce, mieszając go

łyżką. Mae próbowała nakłonić ją do jedzenia.

– Idziesz na pole, musisz mieć siły.

Mama zaczęła nucić pod nosem kołysankę bez słów, którą często śpiewała Radanie. Pok miał minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Ból mamy odebrał mu głos, odciął język.

– To mała wioska – odezwała się Mae. – Ktoś mógł wiedzieć... gdzie ją pochowali.

– Nie chcę wiedzieć! – krzyknęła mama. – Gdybym wiedziała, pogrzebałabym się obok. Nie chcę wiedzieć! – I znów zaczęła nucić.

Nie mówiła tak przytomnie od śmierci Radany. Jej słowa wstrząsnęły mną do głębi.

Na polu podeszła do niej Gruba.

– Co tu jest napisane? – spytała, podsuwając jej coś pod nos.

– Omega constellation – odparła mama głucho. – Kiedyś zostawił go na deszczu i miałam obawy, że się zepsuje, ale jest wodoodporny...

– Wodoodporny? Co to znaczy?

– Nic nie wpłynie do środka... ani woda... ani łzy. – Wyminęła Grubą, przepływając obok mnie jak słup dymu.

Znowu przyszła pora sadzenia ryżu i tarasy z brunatnych stały się zielone, wyglądały jak fale przetaczające się aż po horyzont. Od śmierci Radany minęła wieczność. Ludzie pracowali w trzy- lub czteroosobowych grupach, a mama sadiła sama, odgradzona od innych, od słów pocieszenia, jakby rozpaczą składała hołd pamięci Radany. Nikt nie mógł do niej dotrzeć. Przebić się przez skorupę. Była zatopiona w smutku niczym wałka w bursztynie.

Któregoś wieczora, chcąc przebić się do niej, postanowiłam uciec. Ukryłam się w bambusowym zagajniku za domem. Chciałam, żeby się martwiła. Żeby myślała, że utonąłam w rzece. Dopiero by pożałowała. Płakałaby, jak nigdy po Radanie, łzami, od których rzeka wystąpiłaby z brzegów. Pocieszałam się myślą o jej nieutulonym żalu nade mną, owijając się nim jak pledem.

Nieco pociemniało i serce rozboleło mnie na myśl, że pewnie ja tęsknię za nią bardziej niż ona za mną. Zapadła noc. Przestraszyłam się. Porzuciłam plan wyrwania jej z żałoby i wróciłam do chaty.

Mama czekała na schodach. Ale gdy podeszłam bliżej, nie zapytała, gdzie byłam. Nawet na mnie nie spojrzała, co wraz z jej uporczywym milczeniem i obojętnością potwierdziło moje najgorsze obawy: że wolałaby, żebym to ja umarła. Wstała i weszła do środka.

Położyła się na macie, a ja obok niej. Objęłam ją, tuż pod mostkiem, czując serce trzepoczące jak ptak w klatce. Chciałam, żeby poczuła miłość, jej dotyk i ciężar, choćby tylko mój, a nie papy czy Radany.

– Mamo – szepnęłam.

To jedno słowo otworzyło tamę.

– Podobnie jak ty, Raami, dorastałam wśród opowieści. Co wieczór ojciec opowiadał mi historię o Buddzie. Budda był tylko człowiekiem, mówił. Księciem, który zostawił kiedyś żonę i dzieci, by wyruszyć na poszukiwanie odpowiedzi na to, czemu w świecie jest tyle cierpienia, czemu ludzie chorują i umierają. Ojciec mówił mi, że wiedzę zdobywa się wielkim kosztem, że czasem trzeba poświęcić coś bliskiego naszemu sercu. Któregoś dnia, kiedy miałam osiem czy dziewięć lat, ojciec odszedł od nas i został buddyjskim mnichem. Porzucił moją matkę, zostawił jej pod opieką siedmioro dzieci i wielki sad. To ją przytłoczyło. I bardzo unieszczęśliwiło, delikatnie mówiąc. Kiedyś wzięła pochodnię, podłożyła ogień pod sad, a potem siebie podpaliła.

Byłam wściekła. Nie rozumiałam, czemu popełniła samobójstwo. Poszłam do świątyni, do ojca, żeby mnie pocieszył, przytulił. Lecz mnisi mają zakaz dotykania wiernych, nawet własnych dzieci. Wyładowałam na nim swój gniew. Pytałam, czemu odszedł. „Przypomnij sobie historię Buddy”, odpowiedział. I tyle. Nie dodał nic więcej. Odesłano mnie do domu.

Latami szukałam odpowiedzi w opowieści ojca, odpowiedzi na rozpacz mojej matki, na jej

bezradność i ból. Ale nie rozumiałam. Jak mogła to zrobić sobie, nam, mnie? Straciłam wszystko: dom, rodziców, braci i siostry, bo nas rozdzielono i porozsyłano do krewnych.

Kiedy się urodziłaś, chciałam dla ciebie innego losu. Chciałam dać ci piękną, magiczną rzeczywistość. Inną od mojej. Dlatego stworzyłam dla ciebie świat pełen kwiatów, ptaków, drzew, motyli, rzeźb na ścianach i balustradach naszego domu. To jest prawdziwe, Raami. Prawdziwe i namacalne. Opowieści wręcz przeciwnie. Są zmyślane, by wyjaśnić to, czego nie sposób wytłumaczyć prostym, zwyczajnym językiem.

Pamiętam, że rodzice cały czas się kłócili. Nie byli złymi ludźmi, ale zawsze byli źli na siebie. Jako dziecko myślałam zawsze, że po prostu różnią się od siebie i mają inne pragnienia. Mama marzyła o życiu w mieście, wśród restauracji i sklepów. Chciała być otoczona licznym gronem przyjaciół i sąsiadów. Ojciec był najszczęśliwszy sam ze sobą. Tak to widziałam. Nie widziałam, a ojciec nie powiedział mi tego w prostych słowach, że zwyczajnie się nie kochali. Nigdy, i to zniszczyło nie tylko ich samych, ale również nas, dzieci.

Dlatego postanowiłam, że moje dzieci będą otoczone miłością. Próbowałam stworzyć dla ciebie i twojej siostry świat, gdzie wszyscy będą kochać siebie nawzajem i nikt nie zazna krzywdy. Miłość była waszą rzeczywistością, żebyście nigdy nie musiały jej wymyślać i szukać nie wiadomo gdzie. Mój ojciec rzekł, że czasem trzeba poświęcić coś bliskiego sercu. Nie, te słowa nic nie znaczyły. Nie mówiły nic o tym, czy kochał moją matkę ani czy kochał swoje dzieci. Miłość powinna być jasna i bez cienia wątpliwości. Istnieć w rzeczach, które widzisz i czujesz na co dzień. Tak myślałam.

Ale teraz już wiem, że miłość chowa się w przeróżnych kryjówkach, istnieje w najsmutniejszym zakątku serca i nie wiesz, jak bardzo kogoś kochałeś, dopóki nie odejdzie. Uświadamiam sobie z żalem, że przez cały czas kochałam jedno dziecko bardziej niż drugie. Nie, to nie znaczy, że zamieniłabym cię na Radanę czy odwrotnie. Ale miałaś polio i przeżyłaś. Więcej nie chorowałaś, jakby polio cię uodporniło. Od tamtej pory wierzyłam niezachwianie, że przysłaś na świat, żeby żyć.

Ale z Radaną było inaczej. Skrycie wierzyłam, że bogowie mi ją wypożyczyli na pociechę w smutku. Wiedziałam, że nikt, żadna matka nie zobaczy w tobie piękna, które widziałam ja, że piękno tkwi w twojej sile, twojej wytrwałości, aby podnieść się po upadku i ruszyć dalej.

I gdy Radana zachorowała, bałam się, bo nie miała twojej siły. Nigdy nie chorowała. Nie wiedziałam, czy pokona malarię, tak jak ty pokonałaś polio. Patrząc na nią, patrząc, jak traci siły, czułam, że umrze.

W tym sensie kochałam cię bardziej niż twoją siostrę, gdyż choć byłaś ułomna i niedoskonała, nigdy nie zachwiałam się w wierze, iż należysz tylko do mnie. Zawsze jesteś w moim sercu, nawet gdy wali się świat.

Nie mam dla ciebie żadnych opowieści, Raami. Tylko rzeczywistość: kiedy umarła twoja siostra, chciałam umrzeć z nią. Ale walczyłam o życie. Żyję dzięki tobie, dla ciebie. Wybrałam ciebie, nie ją.

Miałam ściśnięte gardło. Cały ten czas zazdrościłam im bliskości w przekonaniu, że płynię z ich fizycznego podobieństwa, ich urody. Nagle spojrzałam na matkę inaczej. Ujrzałam kobietę silną, protestującą przeciw krzywdzie, jakiej doznała w dzieciństwie. Przez te wszystkie lata czerpała siłę z milczenia, a ja czekałam na słowa. Przełknęłam żal i przytuliłam ją mocniej.

– Są chwile, gdy nie mogę na ciebie patrzeć ani z tobą rozmawiać. Ale musisz wiedzieć, że w tobie widzę siebie, moją potworną krzywdę. Nie różnimy się od siebie, ty i ja.

Jak to możliwe? Była dorosła. W wieku osiemnastu lat wyszła za papę, starszego o dziesięć lat, urodziła mnie, potem Radanę, opłakała jej śmierć i utratę męża. Czy naprawdę od początku przeczuwała śmierć mojej siostry?

Przypomniałam sobie, jak krótko po narodzinach Radany poszliśmy do wróżki, która powiedziała mamie, że nie widzi przed Radaną długiego życia. Mama osłupiała. Wróżka poradziła, że trzeba na pewien czas oddać moją siostrę krewnym, by zmylić bogów – żeby ją chronić. Mama wypadła stamtąd jak burza, zapominając o mnie. Zaraz wróciła, ale wróżka zdążyła mi powiedzieć: „Ty jesteś bliższa matczynemu sercu”. Miałam wówczas tylko pięć lat, ale odrzekłam z oburzeniem dorosłej kobiety: „Kłamiesz! Nie zapłacimy ci!”.

Teraz zrozumiałam, że wróżka dostrzegła w nas coś, czego same nie widziałyśmy – byłyśmy związane rozpaczą.

Któregoś dnia ni z tego, ni z owego wezwano nas do domu Bong Soka na spotkanie z samym szefem Kamaphibalu. Wchodząc na teren posiadłości, wyobraziłam sobie, jak duch właściciela ziemskiego idzie obok mnie. Pod domem ułożono kokosy, świeżo zebraną trzcinę cukrową i kapok, przypominające odcięte kończyny i głowy. Worki ryżu, kukurydzy i manioku stały na schodach niczym bezgłowa straż. Taka obfitość wśród chronicznego deficytu i nędzy wydała mi się groteskowa i przyprawiła mnie o mdłości; odniosłam wrażenie, że wchodzę do otwartego grobu, gdzie złożono też dobytek zmarłych. Gdzieś zza domu, spośród krzewów i drzew dochodziły śmiechy chłopca i dziewczynki, którzy szeptali między sobą, może obserwowali nas – ale nie miałam odwagi tam spojrzeć w obawie, że to duchy dzieci właściciela ziemskiego. Utkwiłam wzrok w otwartych drzwiach i weszłam za mamą na schody, powstrzymując chęć wychylenia się przez barierkę i zwymiotowania ze strachu. Równy krok mamy, jej wyćwiczony spokój, jakby czuła, co się święci, przerażał mnie jeszcze bardziej.

Na witrażowych oknach wisiały zasłony z falbanami, dziś zbrązowiałe, ale kiedyś zapewne w pięknym czerwonym odcieniu. Bong Sok i Gruba stali boso na słomianej macie pośrodku pustego pokoju. Ubrani w rewolucyjną czerń przypominali dwa posągi, które ożyły dopiero po naszym wejściu. Poruszyli się, lecz ich postawa i beznamiętny wyraz twarzy pozostały niezmienione. Powitali mamę uroczystym skinieniem głowy, po czym Bong Sok nachylił się tak, że jego twarz

zawisła na wysokości mojej, oparł mi dłoń na ramieniu i zmierzył mnie spojrzeniem spod ciężkich powiek.

– Jak masz na imię, mała towarzyszko? – spytał.

– Ra-Raami – wyjąkałam.

– Bardzo ładnie. Możesz przeliterować?

Nie zdążyłam otworzyć ust, jak mama chrząknęła.

– Czy mogę napić się wody?

Bong Sok dał znak Grubej. Gdy znikła na tyłach domu, usiadł na macie i pokazał, że mamy zrobić to samo.

– Bywa, że dzieci są lepszymi rewolucjonistami niż dorośli. Mają serce na dłoni. Prawda, towarzyszko Raami? Czy mogłabyś przeliterować swoje imię? Jest bardzo niezwykle. Nie brzmi po khmersku. Może jest francuskie? Albo angielskie?

Mama znów nie dopuściła mnie do głosu.

– Dzieci lubią zmyślać. Ona też. Na wszystko ma opowieść.

– W takim razie pewnie zna ich mnóstwo – oznajmiła Gruba. Wróciła do pokoju z kokosową miseczką wody, którą podała mamie.

– Dziękuję – odrzekła mama, ale zamiast wypić, podała mi. Napiłam się i oddałam jej miszkę. Poprosiła o wodę, a ledwo zamoczyła usta.

– Może opowiecie nam coś o sobie, towarzyszko Aano? – zachęciła Gruba.

– Jestem rewolucjonistką...

– Nie kłamcie, towarzyszko. Gdzie zdobyliście wykształcenie, za granicą czy u nas?

– Nie mam wykształcenia – odpowiedziała mama spokojnie. – Byłam służącą.

Bong Sok dał znak żonie, że on będzie przesłuchiwać i budzić strach.

– Zatem nie umiecie czytać i pisać? – spytał.

– Nie.

– Ani trochę?

– Tak... to znaczy nie, ani trochę.

– Towarzyszko Raami, czy ta kobieta jest twoją prawdziwą matką?

Pokiwałam głową.

– Czy była służącą... mamką?

Znów potwierdziłam. Wiedziałam już, że muszę kłamać, nawet gdy się boję... zwłaszcza wtedy.

– Co robiła?

– Dawała nam mleko.

– Komu?

– Nam... mnie i Radanie.

– Nie masz na myśli dzieci, którymi się opiekowała?

Kiwnęłam głową.

– Im też.

– Karmiłam swoje córki i dzieci mojej pani – wtrąciła mama.

Bong Sok wyjął coś z kieszeni. Była to omega. Pchnął ją w stronę mamy.

– Czy powiecie mi, co tu jest napisane?

Mama ledwo spojrzała na zegarek.

– Gdybym umiała czytać w obcym języku, może bym powiedziała.

– Ale wiecie, że to w obcym języku? – spytał.

– Nie, tak mi się zdaje, bo... nie rozpoznałam liter.

– W takim razie wiedzcie, że napisano tu: „Omega, zegarek automatyczny, produkt oryginalny, Constellation, made in Szwajcaria”, ale za cholerę nie widzę napisu: „Nic nie wpłynie do środka, ani woda, ani łzy”... – Urwał, obserwując ją bacznie spod opadających powiek. – Ale trzymam was za słowo. To w końcu wasz zegarek i wy najlepiej wiecie, czy jest wodoodporny. Służba nie nosi tak cennych zagranicznych zegarków.

Znów przyjrzał się mamie.

– Czy umiecie czytać i pisać po khmersku, towarzyszek Aano? – spytał po chwili. – Bo na pewno znacie trochę angielski, może nawet płynnie francuski, jak na waszą sferę przystało.

– Nie, ja... – zająknęła się mama.

– Na pewno? Czy na pewno mówicie nam prawdę, towarzyszek?

Mama nie odpowiedziała. Nie wiedziałam, o co mu chodziło, co chciał wyciągnąć od mamy, skoro najwyraźniej wiedział wszystko. Nie, nie była służącą, owszem, umiała czytać i pisać, tak, była wykształcona, ale on chyba też. Umiał nawet przeczytać w obcym języku to, co było na zegarku.

– Czy zdajecie sobie sprawę z wagi swego przewinienia? – spytał. – Czemu chcecie zamydlić nam oczy?

Mama milczała.

– W Demokratycznej Kampuczy – wtrąciła Gruba – nie ma miejsca dla takich ludzi.

Bong Sok uciszył ją wzrokiem.

– Pomyślimy, co z wami zrobić – oznajmił nam. – Możecie odejść.

Przed domem bawiło się dwoje dzieci. Myślałam, że to duchy dzieci właściciela ziemskiego, ale okazały się wiernymi kopiami Bong Soka i Grubej. Chłopczyk z gałęzią jak karabinem udawał żołnierza rewolucji, a jego siostra jeńca. Stała z zawiązanymi oczami, wyprostowana pod drzewem jak struna, ręce miała związane luźno w nadgarstkach kawałkiem wystrzępionego sznurka. Na nasz widok chłopiec odłożył „broń”, dziewczynka zaś, wyczuwając sensację, rozwiązała się i zrzuciła

opaskę z oczu. Oboje podeszli do nas.

– Towarzyszu bracie – powiedziała dziewczynka, przedrzeźniając mój krok. – Czemu ona tak chodzi?

Mama jęknęła i poszukała ręką mojej dłoni. Dziewczynka miała na sobie sukienkę, która ciasno opinała jej nalane ciało. Biała satyna pożółkła od potu i brudu, brakowało większości różyczek przy kołnierzyku, podobnie jak kokardy w kształcie motyla z tyłu.

Z gardła mamy wyrwał się szloch. Pociągnęłam ją naprzód.

– To tylko sukienka, mammo. Tylko sukienka.

Tamtej nocy do chaty wpadł żołnierz rewolucji.

– Pakować się! – rozkazał. – Nie wy! – Odepchnął Poka i Mae. – Wy dwie! – Wypchnął nas na schody.

Mae krzyknęła histerycznie.

– Nie, nie możesz nam ich zabrać! – Rzuciła się do jego nóg. – Nie zabieraj ich, proszę!

Przybiegł Pok z naszymi rzeczami.

– Dokąd zabieracie nasze dzieci?

– Nie są wasze! Należą do Organizacji! Możemy z nimi robić, co chcemy!

– Dokąd je zabieracie? – powtórzył Pok.

– Nie musicie wiedzieć!

– W takim razie dlaczego? Dlaczego?

– Za bardzo się zżyliście. Organizacja to wasza jedyna rodzina. Zapomnieliście o tym.

– Chociaż pozwól nam się pożegnać.

– Nie! Nie trzeba! – Pchnął nas w stronę wozu zaprzęzonego w woły, stojącego przy wjeździe. –

Szybciej! Wsiadajcie!

– Jestem wieśniaczką, ty głupcze! – krzyknęła Mae, już bez strachu, z maczetą Poka w dłoni. –

Pracuję na tej ziemi dłużej, niż ty chodzisz po świecie! Posiekam cię na kawałki, rzucę w pole i Organizacja będzie miała do czynienia ze mną!

Zdumiony jej odwagą żołnierz puścił nas i pchnął w jej stronę.

– Pożegnajcie się. Ale szybko!

Łypnęła na niego i odszedł na bok.

Mae jęczała i cmokała, głaszcząc nasze twarze. Odwróciła się do Poka.

– Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co powiedzieć. Pomóż mi. Pomóż mi znaleźć właściwe słowa.

– Zawsze wiedzieliśmy, że wasze miejsce jest gdzie indziej. – Pok podał mamie zagłówek Radany. – Lecz i tak was kochamy... – Zachłusnął się.

Mama miała rację. Miłość ukrywa się wszędzie, w najsmutniejszym zakamarku serca,

w najciemniejszej i najbardziej beznadziejnej sytuacji.

– Starczy tego dobrego! – krzyknął żołnierz.

Pok i Mae odsunęli się, a my wsiadliśmy do wozu. Na łuku oddzielającym dwa woły wisiała lampa naftowa. Drugi żołnierz przycupnął z przodu i serce zamarło mi na chwilę, bo myślałam, że to ten sam chłopak, który przywiózł nas do Poka i Mae. Ale to nie był on. Woźnica ujął lejce i bambusowy kij, gotów do drogi.

Pok ułożył obok nas resztę rzeczy. Zmierzwił mi włosy i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a jego zęby wydały się po ciemku jeszcze czarniejsze. Ale nie wydusił z siebie nic.

Woźnica cmoknął, potrząsnął lejcami i woły ruszyły. Smagnął je, a one odpowiedziały: muu, muu! Z ciemności napłynął głos krowy Mae; może myślała, że wróciło jej cielę. Mucząc, podeszła do gospodarzy. Usłyszałam, jak Mae mówi:

– Tak, rozumiem. Czuję to samo.

Wóz wytoczył się na wąską drogę. Rosa osiadła mi na włosach i skórze, jakby spryskała mnie mgłą. Obejrzałam się na chatę. Poka i Mae straciłam z oczu. Stali się naszą rodziną, zamiast Organizacji. Tym zawiniłyśmy i dlatego nas odsyłano. Nasze przewinienie było równie mgliste jak kara, która nas czekała.

Z mętnym światłem lampy naftowej wjechaliśmy w las. Mama podała mi zagłówek Radany. Objęłam go i położyłam głowę na kolanach mamy. „Śpij, maleńka, śpij, jeszcze noc...”, zanuciłam pod nosem.

Las otoczył nas zewsząd.

Wyłoniliśmy się z mroku na pole skąpane w blasku. Płonęło wielkie ognisko, a tu i ówd kilka mniejszych, niczym potomstwo większego, przy których skupiło się po cztery, pięć osób. Bagaże leżały obok na ziemi. Wokół dużego ogniska ludzi było znacznie więcej, z pochylonymi głowami poruszali ustami bezgłośnie jak żałobnicy wokół stosu pogrzebowego. Nasz woźnica zatrzymał gwałtownie wóz, burknięciem kazał nam zostać i poszedł się naradzić z dwoma innymi żołnierzami rewolucji, pełniącymi wartę pośrodku brukowanej drogi, która mogła być jedną z głównych szos łączących prowincje. Żołnierze od niechcienia spojrzeli w naszą stronę. Wrócił nasz woźnica i polecił: „Zostajecie tutaj. Macie czekać”. Potem wlaź z powrotem na kozioł, zawrócił i zniknął w lesie.

Szłyśmy z bagażami między grupkami ludzi. Niektórzy odwracali głowy, kiedy ich mijałyśmy, ale nikt nie pozdrowił nas i nie odezwał się ani słowem. W ciszy słyhać było tylko posykiwanie z ognisk i trzask płonących gałęzi oraz buczenie nocnych owadów z okolicznych zarośli.

Stanęłyśmy pod wyłysiałym drzewem. Ludzie o wychudzonych twarzach zrobili dla nas miejsce na wilgotnej trawie. Patrzyli na nas badawczo, może mieli nadzieję, że okazemy się zaginionymi członkami ich rodzin, których nie rozpoznali od razu. Nie widząc podobieństwa, spuścili głowy i znów poruszali bezgłośnie ustami, jakby odmawiali zbiorową modlitwę za zmarłych.

Podciągnęłam kolana, opierając brodę na zagłówek Radany, i objęłam je, żeby nie marznąć. Tęskniłam za siostrą. Jej włosy po kąpieli pachniały jak trawa mokra od deszczu, jak wieczorna rosa na liściach bambusa. Rozejrzałam się nieprzytomnie, niepewna różnicy między jawą a snem. Na dalekim skraju pola jeleń *koh prey* zlizywał rosę z bambusowych liści. Parę metrów dalej siedział po turecku mężczyzna z dłońmi odwróconymi do góry, jakby czytał książkę. Papa?! Serce zabiło mi szybciej, choć zaspany umysł zwalniał. Podniósł głowę. Nie, to nie on. Wzniósł ręce, jakby składał ofiarę niebiosom, i zrozumiałam, że się modli, może prosząc bogów o darowanie mu życia. Albo odmawiając modlitwę przed śmiercią.

Niedaleko nas przy jednym z ognisk matka karmiła piersią niemowlę, a ojciec siedział okryty kocem jak pod namiotem, trzymając między kolanami starsze dziec ko. Znowu bardzo zatęskniłam za papą, za jego ramionami, bo często trzymał mnie w podobnej pozycji. Może nie powinnam za nim tęsknić, pomyślałam. Wkrótce go zobaczę, jego i Radanę. Czułam w pobliżu ich obecność, ich duchy. Ja też niedługo umrę. Bo po cóż innego nas tu sprowadzili?

– Za tym polem leży nasze przeznaczenie...

– Tak, nasz zbiorowy grób.

Głosy dzwięczały mi w głowie i początkowo nie mogłam ich oddzielić od własnych myśli.

Wirowały dokoła mnie jak ćmy, bijąc skrzydłami w powietrzu, igrając z ogniem, płatając mi figle. Wreszcie zrozumiałam, że to ludzie rozmawiają między sobą. Myślałam, że odmawiają modlitwy za zmarłych, ale tak naprawdę mówili o sobie, o tym, jaki los czeka nas wszystkich.

– Ci żołnierze nas zabiją – rzekł ktoś.

– Ich jest dwóch, a nas pięćdziesięcioro – odpowiedział mu ktoś drugi. – Dalibyśmy im radę.

– Są uzbrojeni.

– Tak, serią z karabinu mogliby zmieść nas wszystkich.

Przeniosłam wzrok na żołnierzy. Chodzili w tę i w tę w ciężkim krokiem; pewnie byli niewyspani i znudzeni. Ale nie rozstawali się z bronią: jeden oparł karabin na ramieniu, drugi podpierał się nim jak laską. Nie odłożyli ich ani na chwilę, jakby w oczekiwaniu na rozkaz, który mógł zaraz nadejść. Coraz to patrzyli na szosę, której końce ginęły w mroku. Na co czekali? Na kolejne wozy, kolejne ofiary?

– Nawet gdybyśmy ich pokonali, to co? Dokąd pójdziemy?

– Nie ma ucieczki.

– Nie doczekamy wschodu słońca. Tutaj zginiemy.

Zamrugałam, walcząc z sennością. Jeśli mamy zginąć, pomyślałam, nie chcę umierać we śnie. Nie chcę umrzeć jak Radana. Ale jak ona umarła? Nigdy o to nie spytałam. Mama obudziła mnie, gdy Radana już nie żyła, i teraz zastanawiałam się, czy wydając ostatnie tchnienie, moja siostra była przytomna. Przestań! – upomniałam się w duchu. To nieważne. Ona nie żyje! Po co rozgrzebywać ten temat? To niczego nie zmieni. Nie wpłynie na to, co się z nami stanie.

Poczułam na sobie czyjś wzrok. Parę metrów dalej jakiś mężczyzna podnosił się z ziemi. Kogoś mi przypominał. Nie, powiedziałam sobie, to niemożliwe. Wstał i jego cień zlał się z mrokiem. Zamarł, wysoki niemal jak drzewo. W cieniu liści nie widziałam jego twarzy, nie mogłam mieć pewności, czy faktycznie na mnie patrzy. Czułam, że tak, ale nie byłam pewna. Ruszył naprzód, utykając z lekka, ruchy miał ostrożne, drżał. Stał, jakby zbierał myśli, upewniał się, czy wzrok go nie myli. Znowu ruszył z miejsca, najpierw powoli, a potem – jakby życie od tego zależało – puścił się biegiem i wyciągnął ręce, a ja zrozumiałam, kim jest.

– Raami, Raami! Och, Aano, gdzie jesteś?

Zdawało się, że wieczność minęła, nim zdołałam się odezwać.

– Stryj!

Czas stanął w miejscu, zniknął strach.

– Czy to naprawdę wy? Wy, prawda? Powiedzcie mi, że to wy. Och, losie miłosierny, wy! – Stryj nie posiadał się ze szczęścia, ujmował w dłonie najpierw moją twarz, potem twarz mamy, upewniając się, że jesteśmy z krwi i kości, a nie wiatru i mgły. Jakby nie wierzył swoim rękoma i oczom, przycisnął usta do powiek mamy i scałował z nich łzy. – To wy naprawdę, naprawdę –

powtarzał jak nakręcony, tuląc nas tak mocno, jakby chciał udusić. – To cud – oznajmił w końcu. Potem znów nas wyściskał i wycałował, jakby szukał potwierdzenia, że ten cud nie jest tylko złudzeniem.

– Dosyć tego! – krzyknął nagle jeden z żołnierzy, rozdzielając nas. – Wystarczy! – Jego głos przywrócił nas do rzeczywistości.

Otaczały nas twarze pełne powagi. Nikt się nie odezwał. Wreszcie, jedna za drugą, głowy zakołysały się, usta rozciągnęły w uśmiechu i rozbliły oczy, lśniąc jak gwiazdy na czarnym niebie. Żołnierz wrócił do kompana stojącego na drodze. Tamten okazywał zniecierpliwienie, tupał, chodząc energicznie tam i z powrotem, jakby lada chwila miał nadejść rozkaz z góry. Ale ja przestałam się bać. Stryj był z nami. Był tutaj, cały i zdrowy. Może jednak przeżyjemy. Wszystko było możliwe.

Pomacałam jego głowę. Był łysy jak mnich.

– Co zrobiłeś z włosami? – spytałam.

Roześmiał się, przełykając łzy, a ja zgaśniłam się w duchu. A co to mnie obchodzi? Grunt, że tu jest, prawda? Mama ukryła twarz na jego piersi, drżąc na całym ciele. Przyciągnął ją bliżej i wbrew zakazom dalej staliśmy przytuleni tak ciasno, że między nami nie zmieściłoby się nawet powietrze. Gdyby tak zastała nas śmierć, umarlibyśmy jako całość.

Nagle stryj potoczył wzrokiem dokoła.

– Gdzie Radana?

Poczułam, jak mama się odsuwa. Chciał ją przyciągnąć, ale mu nie pozwoliła.

– Nie – odrzekła, dygocząc. – Nie!

Zamrugnął i łzy, które miał w oczach, spłynęły mu po twarzy. Był *yiakiem*. Niepokonanym olbrzymem, który mógł cię zmiażdżyć gołymi rękami. A teraz płakał jak dziecko.

– Gdzie są wszyscy? – spytałam.

– Chodźcie – odpowiedział, przełykając łzy.

Ogarnęła mnie radość.

– Zaprowadzisz nas do nich?

W odpowiedzi tylko pokiwał głową.

„Oni” okazali się Królową Babką. Nie było Taty, stryjenki Indii ani chłopców.

– Nie dali rady... – zaczął stryj i ręce mu zadygotały, nie mógł nad nimi zapanować. Wsunął dłonie pod pachy, żeby je unieruchomić, ukryć przed nami. Spojrzałam na niego ze zdziwieniem. Co to znaczy: Nie dali rady? Nie zmieścili się na wóz, na ciężarówkę? O to mu chodziło? Mama była wstrząśnięta. Ona zrozumiała.

– Matko – szepnął stryj, dotykając ramienia Królowej Babki. Nawet nie drgnęła; siedziała oparta o drzewo, jakby nie żyła. – Matko, Raami przyszła.

Znowu nic. Może rozpozna mój głos.

– Królowo Babko, to ja... – wyszeptalam, nachyliwszy się do jej ucha.

Powoli otworzyła oczy.

– Ajurawan! – wykrzyknęła radośnie. Przyciągnęła mnie do siebie, głaszcząc sękatymi dłońmi po plecach. – Wróciłeś, synku. Wróciłeś.

– Nie, to ja, Raami. – Próbowałam się wyrwać. Nie wiem, co zaszokowało mnie bardziej, to, że pomyliła mnie z papą, czy może dźwięk jego imienia. – To ja, Raami – powtórzyłam.

Jakby przygasła. Zacisnęła powieki, oparła się o drzewo i mamrotała coś do siebie.

– Jest bliżej nich niż nas – wyjaśnił stryj. – Bliżej duchów i widm. Już nie wie, kim jesteśmy. Nie wie, kim sama jest. Tylko dlatego jeszcze żyję.

Nic więcej nie dodał, wbił wzrok w ziemię, unikając badawczego spojrzenia mamy. Znowu zadygotały mu ręce. Próbował je unieruchomić, zaciskając jedną na drugiej. Przypomniałam sobie, jak kiedyś w Phnom Penh złapał gekona. Za mocno go ścisnął i niechcący zabił. Kiedyś, dawno temu, był w moich oczach olbrzymem sięgającym nieba, który nie wierzył, że zabicie gekona przynosi pecha, i wyzywał los, wdając się w utarczki z bogami. Teraz kulił ramiona i sam trząsał się jak gekon. Ręce mu nie przestawały dygotać. Wepchnął je do kieszeni.

Mama dotknęła czubkami palców rozległej blizny wznoszącej się nad jego prawym uchem jak pasmo górskie. Jęknął, jakby otworzyła ranę na nowo.

Jej dłoń zawisała w okolicy jego twarzy. Wiedziałam, co mama sobie myśli: że w tym świetle ognisk bezksiężycową nocą bardzo przypomina swojego brata. Przypomniałam sobie pożegnalne słowa papy: „Jesteś moją jedyną gwiazdą. Moim słońcem, księżycem... Nawet gdy nie będę mógł cię objąć, będę cię widział, gdziekolwiek się znajdę”...

– Moja żałoba – wykrztusił wreszcie stryj. – Nie mogłem im urządzać prawdziwego pogrzebu. – Pomacał ogoloną głowę. – To jedyne, co mogłem zrobić.

Mama cofnęła dłoń i odwróciła się nagle.

Stryj wyciągnął do mnie ręce. Objęłam go. Teraz zobaczyłam, że ma więcej blizn. Były rozsiane po całej głowie. Zaorane pole pagórków i wgłębień, bezimiennych mogił. Poglaskałam je.

– Nie baw się głową stryja – zganiła mama.

– Nic nie szkodzi – rzekł. – Dawniej głowa była świętością. Teraz... cóż, teraz można ją rozłupać jak kokos. – Spojrzał na nią, jakby dopiero zauważył jej włosy. – Pozwolili ci nosić takie długie?

– Ponoć to bardzo nierewolucyjne.

– Podobnie jak łysa głowa.

Próbowali się roześmiać.

– Zetnę włosy, jeśli... – Nie dokończyła, ale ja wiedziałam, co chce powiedzieć. Zetnie, jeśli przeżyjemy tę noc.

Stryj przytaknął. Łysina podkreślała jego chudość; wielka głowa sprawiała wrażenie kruchszej niż kokos, delikatnej jak jajo, którego skorupka pęka od najlżejszego dotyku, smutku, wspomnienia żoninej pieśczoły. Wciąż był olbrzymem i górował nad innymi, ale coś w nim pękło. Coś mocniejszego niż kości. Coś, co wypchnęło mitycznego *yiaka* ze świata baśni i zmieniło go w mojego stryja. Dawniej miał w sobie siłę i energię demiurga. Papa nazywał to *mechas kluon*, „władzą nad sobą samym”. Teraz nic z tego nie zostało. Stryj utykał i dygotał, kruchy jak kukielka.

Ukradkiem obserwowałam mamę, a gdy podnosiła głowę, odwracał się albo wbijał wzrok w swoje dłonie i potakiwał w milczeniu, jakby rozumiał to, czego nie mówiła na głos.

Trwał tak przez długi czas i wiedziałam, że nie powie nic o pozostałych, a przynajmniej nie tu i nie teraz. Nie musiał. Ich duchy nawiedzały nasze myśli. Cokolwiek się stało lub miało się stać w przyszłości, trzeba się cieszyć, że jesteśmy razem.

Przetarłam oczy i zobaczyłam mamę, stryja i Królową Babkę. Wciąż byli przy mnie. Zaraz obudzeniu pomyślałam, że mi się przyśnili. Potem przypomniałam sobie, jak tuż przed moim zaśnięciem stryj podał mamie nazwę dystryktu, gdzie go zabrano; okazało się, że mieszkaliśmy niedaleko siebie. Niespełna dzień drogi wozem, powiedział. Pomyśleć, że cały czas byliśmy tak blisko siebie. Rozdzielił nas strach, a nie odległość, zniechęcając do poszukiwań. „Nieważne”, uciął stryj. Jego głos był równie realny jak promienie słoneczne łaskoczące moją skórę.

Wokół budzili się ludzie. Dotykali swoich twarzy i twarzy najbliższych, konstatując z ulgą, że słońce wstało, a oni wciąż jeszcze żyją.

Usłyszeliśmy hałas na drodze i nadjechała ciężarówka. Pilnujący nas żołnierze próbowali coś wyjaśnić z kierowcą i jego towarzyszem. Wokół zebrał się zaciekawiony tłum.

– ...dostawa do miasta Ksach, w prowincji Kratie – mówił kierowca.

– Nie, nie – zaproponował jeden z wartowników i potrząsnął głową. – Mają jechać do prowincji Battambang.

Kierowca o chłopięcej twarzy oznajmił wesoło, że skoro Kratie jest bliżej, a on i tak jedzie w tamtą stronę, łatwiej zabrać nas tam niż do Battambang.

– Przecież to zupełnie gdzie indziej!

– Owszem, ale przynajmniej wypełniamy rozkazy.

– Nawet niewłaściwe?

– A jak!

Osiągnięto kompromis i wszyscy czterej ochoczo pokiwali głowami jak mali chłopcy zgodni co do reguł gry. Zatem stanęło na Kratie.

Żołnierze rozkazali nam pozbierać rzeczy. Podszedł jeden i trącił karabinem Królową Babkę, żeby się ruszyła spod drzewa. Mama i stryj chwycili ją z obu stron, szybko postawili na nogi i odprowadzili do ciężarówki.

Dziwny to był pojazd – miszmasz części z różnych samochodów poskładanych do kupy, przypominający sponiewieranego żuka gnojaka. Odkąd trafiłyśmy do wioski Poka i Mae, nie widziałam żadnego zmotoryzowanego pojazdu. Sądziłam, że każda maszyna wyposażona w silnik została zniszczona. Ciężarówka była przeżarta rdzą; nie wiedziałam, jakim cudem tu dojechała ani jak zawiezie nas dokądkolwiek.

Przyszła nasza kolej. Mama i ja wspięłyśmy się po metalowych szczeblach przyspawanych byle jak do naczepy. Potem, z pomocą innych, stryj podsadził Królową Babkę, a następnie sam wsiadł. Nie było siedzeń ani ławek, tylko metalowa podłoga z dziurkami w miejscach, gdzie na wylot

przeżarła ją rdza. Przesunęliśmy się naprzód, trzymając blisko siebie, aby zrobić miejsce dla kolejnych pasażerów. Królowa Babka przycupnęła w kącie wśród innych starców, a mama, stryj i ja stanęliśmy pod ścianą.

W końcu ciężarówkę załadowano. Paru śmiazków usadowiło się wysoko w miejscach na bagaż. Na oko było nas co najmniej pięćdziesięcioro, może sześćdziesięcioro. Kierowca podniósł i zablokował klapę, zapuścił silnik, a pojazd kaszlnął i prychnął jak kot, który usiłuje wypluć kłaczek z gardła. Po kilku nieudanych próbach silnik wreszcie zaskoczył i ciężarówka potoczyła się naprzód.

– Zaczekajcie! Zaczekajcie na mojego syna! – krzyknęła nagle Królowa Babka.

Mama nachyliła się, żeby ją uspokoić.

– Później do nas dojedzie.

Królowa Babka zwróciła się do innych starszych kobiet.

– Ajurawan to mój syn.

Bezzębne głowy zakołysały się w górę i w dół.

– Tak, my też kiedyś miałyśmy synów. My też miałyśmy rodzinę.

Po południu dotarliśmy do prowincji Kratie. Droga stała się szersza i gładsza – nie przypominała już chropowatej skóry krokodyla, tylko lśniła w słońcu jak czarna skóra pytona. Wjechaliśmy do miasteczka wzniesionego w jednej linii, gdyż wszystkie budynki skupiały się wzdłuż rzeki. Droga rozszerzyła się jeszcze bardziej, była wysadzana drzewami owocowymi – mango, longanem, sączyńcem. Zobaczyliśmy świątynię o drzwiach i oknach zabitych deskami, po czym dojechaliśmy do opuszczonego bazaru, gdzie mniejsze uliczki i dróżki przeplatały się ze sobą jak nitki na gęsto tkanej macie. Trzymaliśmy się głównej drogi, mijając szkołę, dwa ustawione naprzeciw siebie musztardowe budynki oraz boisko, skąd dobiegały okrzyki dzieci. Wysoko łopotała czerwona flaga ze złotym wizerunkiem słynnej Angkor Wat. Słyszac kaszel ciężarówki, dzieci podskoczyły z piskiem.

– Benzyna, benzyna! Mmm, jak pięknie pachnie!

Kierowca zatrąbił. Tidiit! Tidiit! Dzieci zaczęły klaskać, uszczęśliwione. Nauczyciele, też w rewolucyjnej czerni od stóp do głów, sprawiali wrażenie równie zachwyconych. Pomachali, a kierowca wystawił rękę przez okno i odmachał.

Przyszło mi do głowy, że wjechaliśmy do innego świata. Oparłam się pokusie, by zamknąć oczy; bałam się, że gdy znów je otworzę, znikną ślady cywilizacji i wrócimy do lasu.

Dogoniliśmy mały drewniany wóz zaprzężony w konia wielkości kucyka. Woźnica uchylił słomkowego kapelusza. Ciężarówka zwolniła, telepiąc się na wszystkie strony. Kierowca wychylił głowę z pytaniem, którądy do władz miasta, na co woźnica odparł: „Prosto jak z bicza strzelił, dom z dużym dzwonem z brązu”. Kierowca podziękował mu, a człowiek na wozie zdumiał się na widok chudych twarzy wpatrzonych w niego z tyłu. Musieliśmy wyglądać jak szkielety, nie całkiem żywi,

nie do końca umarli.

Nabraliśmy prędkości, po czym stanęliśmy na wprost przestronnego, ocienionego drzewami dziedzińca. Obok wejścia z misternie rzeźbionej drewnianej belki wspartej na dwu słupach zwisał duży dzwon z brązu. Na środku posiadłości stał okazały tekowy dom otoczony mniejszymi, otwartymi pawilonami w podobnym stylu, z dachami krytymi gontem oraz iglicami.

– To chyba tutaj! – oznajmił kierowca, wyskakując na zewnątrz. Ze śmiechem załomotał w ciężarówkę. Jego towarzysz poszedł powitać grupę mężczyzn zebranych w jednym z pawilonów. Zdziwieni wstali, popatrując w naszą stronę. Żołnierz podał jednemu z nich jakiś dokument. Mężczyzna przeczytał go i pokręcił głową z jeszcze większym zdziwieniem. Gestem kazał żołnierzowi zaczekać, a sam pospieszył do głównego budynku i wbiegł po schodach. Po chwili wrócił i coś gorączkowo wyjaśniał, a oni kiwali głowami. Żołnierz pomaszerował z powrotem do ciężarówki, wskoczył do szoferki i polecił koledze zrobić to samo. Ryknął silnik i ciężarówka potoczyła się ulicą, jęcząc pod ciężarem naszego rozczarowania.

Zacisnęłam powieki i przełknęłam łzy; zasnę i niech mnie wiozą, gdzie chcą. W tej samej chwili nasza podróż raptownie dobiegła końca. Otworzyłam oczy. Dotarliśmy do przewężenia, skąd po jednej stronie ulicy biegł rząd domów utrzymanych w ludowo-nowoczesnym stylu, a po drugiej rosły dwa ogromne mydleńce, za którymi schodziła do rzeki skarpa usiana krwistoczerwonymi kwiatami.

Żołnierze kazali nam wysiąść. Grzecznie spełniliśmy polecenie i nikt się nie pchał w obawie, że każą nam wsiąść z powrotem. Skupiliśmy się pod drzewami, a przed nami płynęła rzeka nabrzmiąta opadami pory deszczowej, z piaszczystym brzegiem, który aż raził w oczy w słońcu.

Nadeszła grupa rozgadanych miejscowych i zaoferowała swoją pomoc. Dowiedzieliśmy się, że dotarliśmy do Ksach, dawnego ośrodka handlowego w prowincji Kratie na brzegu Mekongu. „To śliczne miasto!”, zapewniła kobieta o pulchnych policzkach, chichocząc nerwowo. „Najlepsze!”, zawtórowała jej dziewczynka stojąca obok. Matka i córka, pomyślałam. Podobne jak dwie krople wody, jedna duża, druga mała, obie z policzkami jak księżyc w pełni i oczami, które w uśmiechu zwięzały się w kreski. „Ojczy!”, zawołała dziewczynka, kiedy pospieszyła ku nam grupa mężczyzn, których widzieliśmy w pawilonie. Patrząc na nich z bliska, zrozumiałam, że to członkowie miejscowego Kamaphibalu.

Ale wyglądali trochę inaczej. Ojciec dziewczynki serdecznie złapał stryja pod ramię.

– Jestem towarzysz Keng – oznajmił gorliwie i z entuzjazmem. – Witajcie, witajcie w naszym mieście!

Nie spodziewali się naszego przyjazdu, wyjaśnił tonem usprawiedliwienia. Czekali na dostawę narzędzi. Ale najwyraźniej zaszła pomyłka i skoro tu jesteśmy, trzeba znaleźć nam jakieś lokum. Wskazał złotawą willę pod sączyńcami.

– Zamieszkacie tam wszyscy razem, dopóki czegoś nie wymyślimy. – Po czym widząc nasz przestrah, zapewnił: – Spokojnie, przywódca dystryktu wie o waszym przyjeździe.

Weszliśmy na zacieniony teren naszego tymczasowego domu. Długie konary sączyńców utworzyły baldachim ponad dziedzińcem. Wśród listowia widniały brązowe i zielone owoce, jędrne i okrągłe jak piłki. Pod każdym drzewem stała marmurowa ławka usłana suchymi liśćmi i gałązkami.

Willa stała na rzędach kwadratowych cokołów. Weszliśmy po schodach na górę, gdzie za frontowymi drzwiami ciągnął się korytarz prowadzący aż do kuchni położonej na tyłach. Ściany i podłoga pokryte były kurzem, pajęczynami i zasuszonym robactwem. Nie licząc rozsianych przypadkowo przedmiotów, wszystkie pomieszczenia okazały się puste.

– Co znajdziecie w pokojach i schowkach, jest do waszej dyspozycji – oznajmił jeden z członków Kamaphibalu, prowadząc nas w głąb willi. – Stare poduszki, koce oraz naczynia, rondle i inne drobiazgi.

Ludzie skwapliwie zajęli sypialnie, a my wylądowaliśmy w kuchni. Było to prostokątne pomieszczenie wychodzące na tylne schody. Na ścianach widniały rysy i zadrapania, w jednym kącie zaś, gdzie przypuszczalnie kiedyś stał piec, w podłodze ziała wypalona dziura. W bambusowym koszu obok kurzyły się kuchenne przybory. I nic więcej. Opustoszałe pomieszczenie zdawało się ogromne i należało tylko do nas. Było wspaniałe.

Zapadł zmierzch i niebo przybrało odcień siniaków, które przybyły nam po podróży na wyboistej drodze. Zebraliśmy się w siedzibie władz miasta, gdzie – jak się okazało – mieszkał przywódca dystryktu. Młody żołnierz rewolucji przy wejściu uderzył w dzwon na znak rozpoczęcia zebrania. Mieszkańcy miasta sprawiali wrażenie równie zatroskanych naszym losem jak my. Wielu przybyło z jedzeniem w garnkach, które postawili na stole pod jednym z pawilonów i przykryli palmowymi liśćmi, żeby nie obsiadły ich muchy. Wzrok uciekał mi w tamtą stronę i co rusz przełykałam ślinę, zachodząc w głowę, kiedy ostatnio widziałam tyle prowiantu. Musiałam walczyć ze sobą, żeby nie pobiec do stołu.

Dzwon zadzwonił drugi raz, a kiedy ucichł, z tekowego domu wyszedł Kamaphibal i zszedł po schodach. Na czele podążał wysoki, barczysty mężczyzna z *kromą* w biało-czerwoną kratę. Wyglądał jak aktor grający w filmie rolę miejscowego bohatera. Kiedy wszedł na dziedzińiec, wszyscy utkwili w nim wzrok.

– A skąd on się wziął? – zapytałam w nabożnym zdumieniu.

Stryj popatrzył na mnie dziwnie.

– Stamtąd. – Wskazał tekowy dom. – Mieszka tam. Przecież widziałaś. Właśnie wyszedł.

– Aha. – A ja myślałam, że spadł z nieba. Miał postawę człowieka, który umie latać pośród mgieł i chmur. – Ale kto to jest?

Stryj rzucił mi rozbawione spojrzenie.

– Przywódca dystryktu.

– Kto to taki?

– Człowiek odpowiedzialny za duży teren.

Przyszło mi do głowy, że jest Organizacją.

Okrążył dziedziniec, witając się ze wszystkimi i używając serdecznych słów – bracie, siostrze, wuju, ciotko, siostrzenico, bratanku. Składał ręce jak do modlitwy i kłaniał się kolejnym osobom. Oniemiałam z wrażenia.

Przywitawszy się ze wszystkimi, stanął na podeście u szczytu schodów.

– Nie spodziewaliśmy się waszego przybycia – oznajmił. – Ale nic nie szkodzi. Cieszymy się, że z nami jesteście. Witajcie!

Kamaphibal stojący za nim zaczęli bić brawo. Stało się jasne, że to nasz nowy dom. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Nadchodzi pora monsunowa – podjął przywódca. – Niebawem Mekong wystąpi z brzegów i zamieni ziemię w morze. Ale razem zbudujemy wał, by powstrzymać potężnego smoka. Dowiedziemy, że zbiorowym wysiłkiem naszych rąk wzniesiemy górską przełęcz rodem...

Nagle urwał. Nie wiadomo skąd wozem zaprzężonym w woły nadjechała grupa żołnierzy rewolucji. Podeszli do nas. Głównodowodzący wbiegł po schodach i szepnął coś przywódcy dystryktu. Ten potrząsnął głową, ale żołnierz nalegał, sycząc mu do ucha. Po chwili przywódca ponownie zwrócił się do nas.

– Musicie mi wybaczyć. – Bez słowa wyjaśnienia zszedł po schodach i wraz z resztą Kamaphibalu odjechał wozem czekającym przy wejściu.

W tłumie zawrzało. Głównodowodzący stanął twarzą do nas i zobaczyłam bliznę w kształcie sierpa przecinającą mu prawy policzek na całej długości.

– Cisza! – warknął i blizna zadrgała. – Zostają tylko nowi. Pozostali precz!

Nikt się nie poruszył.

– PRECZ!

Mieszkańcy miasta wymijali nas, mamrocząc, ale nie mieli odwagi spojrzeć w oczy ani jemu, ani nam. Jakby doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia, a ich zachowanie mówiło, że lepiej położyć uszy po sobie. Wreszcie, gdy ostatni odeszli i znowu zostaliśmy tylko my, żołnierz z blizną powiedział:

– Ci z was, którzy szukają zaginionych krewnych, mają podać nam dokładne dane na temat swoich rodzin i pochodzenia. Ze szczegółami: wasze prawdziwe nazwiska, prawdziwe nazwiska waszych krewnych. Jak was rozdzielono, kiedy i dlaczego. Pomożemy wam ich szukać. Ale tylko pod

warunkiem, że powiecie nam prawdę. – Rozejrzał się, strzelając oczami na boki, a blizna drgała mu jak żywa. – Niech podniosą ręce ci, których krewni zaginęli.

Ludzie powoli zaczęli podnosić ręce. Wszyscy, zdawało się, oprócz mamy i stryja. Żołnierz przygwoździł nas wzrokiem. Pot spłynął mi po plecach.

Nasz przyjazd do Ksach zdawał się istnym wybawieniem. Miasto rządziło się własnymi regułami, swoistą logiką, która nie obowiązywała w wiosce Poka i Mae. Zaczniemy od tego, że rankiem następnego dnia po przyjeździe dostaliśmy odzież, ryż oraz inne niezbędne rzeczy, które miały nam ułatwić życie w nowym miejscu. W kolejnych tygodniach, kiedy całe miasto stawiało się po miesięczny przydział, każdy otrzymywał puszkę ryżu na dzień. Dla uproszczenia dzieci i dorosłych traktowano tak samo, w myśl logiki, iż ciężko pracujący sześciolatek mógł zjeść więcej niż schorowana babcia jedząca jak ptaszek. Handel zamienny był zabroniony, dopuszczano jednak zwykłą wymianę prowiantu lub innych rzeczy między znajomymi i sąsiadami. W czasie wolnym mogliśmy hodować warzywa i łowić ryby, ale żywy inwentarz stanowił dobro wspólne. Pracę rozpoczynano godzinę po wschodzie słońca i kończono godzinę przed zachodem na dźwięk dzwonu. Dzieci od pięciu do jedenastu lat chodziły do szkoły rano lub po południu. Chodziłam więc i ja, czasami rano, czasami po południu, w zależności od nastroju, i choć nie opuściłam ani jednego dnia, przez ponad miesiąc uczyliśmy się tylko pieśni:

*Krew czerwona rosi ziemię,
Jakież dzielne nasze plemię!
Żołnierz, rolnik krew przelewa,
Żeby nie zabrakło chleba
W Demokratycznej Kampuczy!*

Nie nauczyliśmy się pisać ani czytać choćby jednego słowa; ja oczywiście umiałam, ale siedziałam cicho. Było jasne, że mamy się nie wychylać i nabrać wody w usta. Tak więc płynęliśmy z prądem, dopasowując się do miejscowego życia, co przyszło nam tym łatwiej, że Ksach stanowiło społeczność zwartą, a zarazem życzliwą dla innych, czego nie można było powiedzieć o Stung Khae. Ludzie odwiedzali się, jakbyśmy byli jedną wielką rodziną, wymieniali się ugotowanymi potrawami, pożyczali sobie sztucce oraz narzędzia i przekazywali ploteczki.

W tym duchu odwiedziła nas kiedyś Chae Bui, okrągłolica kobieta, żona towarzysza Kenga. Przyniosła kosz specjałów, „żeby was utuczyć”, i zasiadła na podłodze przy lampie naftowej, a jej pulchny cień przykrył pół kuchni. Ku mojemu rozczarowaniu zjawiała się bez swojej córki, no ale było dość późno i Mui pewnie spała. Sama leżałam już pod moskitierą, niby pogrążona we śnie, i obserwowałam w milczeniu, jak Chae Bui wręcza mamie wędzoną rybę, suszoną wołowinę, woreczek ryżu oraz nieduży bloczek trzciniowego cukru. Następnie wyjęła paczkę papierosów i podała stryjowi.

– Amerykańskie, jeden procent tytoniu, dziewięćdziesiąt dziewięć procent imperializmu. –

Zachichotała, aż zatrzęsł jej się okrągły brzuch.

Stryj podziękował i zdziwiony oglądał papierosy.

– Nie wiedziałem, że jeszcze takie istnieją...

Chae Bui wyjaśniła, że towarzysze Keng z przywódcą dystryktu właśnie powrócili z wyprawy do miasteczka opodal wietnamskiej granicy.

– Czasem to i owo przecieka.

Chwilę panowała cisza, po czym stryj zapytał:

– Wiesz może, dlaczego tu jeszcze jesteśmy?

– Pamiętacie dzień waszego przyjazdu, gdy przywódca dystryktu musiał nagle wyjść z zebrania?

Mama i stryj pokiwali głowami.

– Ponoć przywódca sąsiedniego dystryktu dowiedział się o waszym przyjeździe i zażądał, aby odesłano was tam, gdzie mieliście trafić. Nasz przywódca odmówił, argumentując, że po co tracić czas i wieść was na drugi koniec kraju, skoro możecie się tutaj przydać. Tamten wytknął mu opieszałość i brak „twardego stanowiska” i zagroził, że na niego doniesie. Nie powiedział tego wprost, ale dał do zrozumienia.

– Przecież jesteśmy nikim – zaproponował stryj, marszcząc brwi. – Po co się o nas kłócić?

– Tu nie chodzi o was, tylko o nich. Jest konflikt między oddanymi Sprawie a zwolennikami partii. Zdaje się, że przywódca dystryktu należy do garstki wiernych Sprawie, ideałom, które znalazły się u podstaw rewolucji.

– Bez ładu i składu. – Stryj potrząsnął głową. – Jak dzieci, które bawią się w papier, nożyce, kamień.

– Na pocieszenie powiem wam – dorzuciła Chae Bui – że przywieźli was tu na wasze szczęście. Battambang to paskudne miejsce, gdzie posyła się „zbędnych”, a was oznaczono jako... – Nie dokończyła.

– Właśnie tak – odezwała się mama. – Zbędnych.

W ciszy, która zapadła, słychać było tylko chrapanie Królowej Babki.

Po wyjściu Chae Bui stryj zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko. Podeszła mama; usta jej drżały w błękitnym świetle lampy.

– Mogę? – spytała, wytrząsając papierosa z paczki. Podniósł lampę, żeby jej przypalić, patrzył, jak się zaciąga. Odchyliła głowę i wydmuchała dym z wprawą, z której wynikało, że nie robi tego po raz pierwszy.

– Zabawne, czego życzy sobie człowiek przed śmiercią – wymamrotał stryj i odstawił lampę na podłogę. Przejechał ręką po potylicy, która już zarastała włosami. – Kiedy myślałem, że już po mnie, marzyłem o papierosie. – Zaśmiał się ironicznie.

Mama popatrzyła na niego bez słowa.

Odwrócił wzrok i mówił dalej:

– Żołnierze przyszli którejś nocy. Powiedzieli, że mam iść z nimi. Zapytałem po co. Wściekli się. Mówili, że jestem członkiem CIA. To byli młodzi analfabeci; nie wiedzieli, ile jest dwa razy dwa, a więc i co oznacza ten skrót. Ale tak kazano im powiedzieć. Jak chcą się do ciebie przyczepić, a nie mają o co, oskarżają cię o pracę dla CIA. Od czegoś takiego trudno się wykręcić.

Powiedzieli, że mam zostawić rodzinę. Dlaczego? – spytałem, bo gniew mnie zaślepił. Zagrozili, że zabiją ich na moich oczach. Więc poszedłem, dałem się wywlec.

Urwał i znów się zaciągnął. Mama czekała w milczeniu, trzymając papierosa, ale przestała palić.

– Zaprowadzili mnie do lasu, gdzie zobaczyłem chaty, klatki i wykopane doły. Może to było ich sekretne więzienie. Jakiś obóz wojskowy. Jakby bawili się w wojnę. A potem zaczęli mnie prostować. Mówili, że mam oczyścić umysł, pozbyć się wszystkich imperialistycznych myśli. Wspomnienia to choroba, powtarzali, a ja mam ich mnóstwo. Trzeba mnie wyleczyć. Tłukli mnie w czaszkę kokosem... Wielu tak zabili. Ale ja wytrzymałem. Jest zbyt silny, mówili między sobą. Za duży, niełatwo go złamać. Pewnie płynie w nim cudzoziemska krew. Czysty Khmer nie byłby taki rośły. Na pewno jestem synem amerykańskiej dziwki. Miałem się przyznać. Kto był moim ojcem, dziadkiem? Jak się nazywali? Kiedy milczałem, tak bili bambusowymi żerdziami, że pękała mi skóra na głowie. Żartowali, że szukają szyfrów CIA, tajnych informacji. Powtarzałem im, że nic nie wiem. I nie mam pojęcia, o czym mówią. Odpowiadali, że wyciągną to z kobiet i dzieci. Byli przekonani, że jesteśmy kimś ważnym. Mówili, że wrócą do wioski po moją rodzinę i wsadzą ją do klatki. Śmiali się, klepali mnie po plecach, że podsunąłem im tak świetny pomysł. Więc powiedziałem im, że mam w sobie cudzoziemską krew, pracuję dla CIA, wszystko, co chcieli usłyszeć, najbardziej niedorzeczne kłamstwa.

Kiedy myśleli, że mnie złamali, zabrali mnie z powrotem do wioski. Znalazłem pozostałych. Wisieli pod sufitem. Spuchnięci, czarni od much. Tata im wszystko wyśpiewała, oznajmili. Nasze nazwiska. Że jesteśmy książętami. Jedna grupa mnie przesłuchiwała, druga mordowała moją rodzinę. Działali niezależnie od siebie. To była tylko zabawa.

Oszczędzili jedynie matkę; była za stara, stwierdzili, że szkoda czasu. Dzień w dzień patrzyła na ich ciała. Nic dziwnego, że widzi tylko duchy, tylko z nimi rozmawia...

Ponieważ zostałem „wyprostowany”, darowali mi życie. Byłoby lepiej, gdyby mnie zabili. Chciałem się powiesić obok żony i synów. Pochowałem ich, a potem zarzuciłem sobie pętlę na szyję i przymknąłem oczy.

I pod powiekami zobaczyłem wszystkich: uśmiechniętych bliźniaków, ciebie, Raami i Radanę. Ajurawana. A potem usłyszałem swój głos, obietnicę złożoną twojemu mężowi, że będę się wami opiekował. Szykując się na śmierć, miałem nadzieję, że wy żyjecie. Może gdzieś walczyacie o

przetrawianie. Chwyciłem się tej nadziei, zawiązałem ją sobie na szyi. I pociągnęła mnie, przywróciła z powrotem do życia.

Po tamtym dniu zacząłem rozpytywać o ciebie i dziewczynki, opisując was napotkanym ludziom. Ciebie, utykającą Raami i śliczną Radanę, o, taką małą. Wypytywałem wszędzie, ale nikt was nie widział, nikt nic nie słyszał. Miesiąc później przyjechała ciężarówka mająca zabrać grupę ludzi do Battambang. Uznałem, że skoro nie ma o was żadnych wieści, może aż tam rzucił was los. Zgłosiłem się na ochotnika. Miejscowi patrzyli na mnie jak na idiotę. Próbowali ostrzegać: „Czy wiesz, na co się piszesz?“, ale było mi to obojętne, nie miałem nic do stracenia. Pozostało mi tylko wspomnienie o Indii i synach, o naszej rodzinie i jej strasznym końcu.

Dzień przed wyjazdem ogoliłem głowę. Na znak żałoby po nich. I po sobie, bo umarłem wraz z nimi, uduszony świadomością, że nie mogłem...

Ręce mu się zatrzęsły i upuścił papierosa na podłogę. Schylił się, aby go podnieść, lecz osunął się na kolana i go zgniótł. Skulony zasłaniał głowę, po czym dokończył łamiącym się głosem:

– Nie mogłem ich ocalić. Nawet kłamstwami. Nie mogłem. – Nie próbował ukryć płaczu.

Mama nawet nie drgnęła. Stała, patrząc na niego, roztrzęsionego u jej stóp. Zgniotła niedopałek o parapet i wyrzuciła za okno. Potem z wolna osunęła się na podłogę obok stryja.

Wiedziała, że więcej nie będą rozmawiać o stryjence i chłopcach. I o mojej siostrzyczce. I o papie. Chociaż tyle mogli zrobić dla zmarłych – pogrzebać ich pamięć.

Nie mogłam zasnąć. Przed oczami miałam muchy, sznury, poczerniałe twarze. W pewnej chwili wyszłam na schody i zwymiotowałam.

Dni i tygodnie mijały szybko, gdy całe miasto przystąpiło do budowy wałów przed nadejściem pory deszczowej. Poranki były przeważnie chłodne i słoneczne, popołudniami lało jak z cebra. Wieczory męczyły duchotą i upałem, a słońce rzucało okiem zza chmur, mazało na niebie pomarańczowe smugi i znikało za horyzontem.

Tamtego wieczora, jeszcze przed zmrokiem, niebo przybrało odcień jaskrawoniebieski i uzbroiło się w dwie tęcze, kusze Indry, jakby bóg wypowiedział wojnę. Mieszkańcy miasta, jak pokonani żołnierze, noga za nogą wracali do domów po całodziennej ciężkiej pracy. Mama podeszła do schodów i przysiadła na najniższym, cała usmarowana błotem. Stryj kucnął na ziemi obok. Poszłam na górę do naszej kuchni i przyniosłam miskę gotowanej wody z czajnika. Mama wzięła łyceczek, a stryj duszkiem wypił resztę.

– Dużo wałów dziś zbudowaliście? – spytałam, wyobrażając sobie przełęcz wznoszące się przez pola i równiny jak wielkie stonogi.

– Nie uwierzyłabyś, ile ziemi przerzuciliśmy – odparł stryj, ciężko dysząc. – Pomyślałby kto, że budujemy Wielki Mur. – Oddał mi miskę i powiedział do mamy: – Chodźmy nad rzekę, trzeba zmyć to błoto.

– Nigdzie się nie ruszę – oznajmiła mama.

– Dobrze, zostań. – Sięgnął po wiadro stojące nieopodal. – Przyniosę ci rzekę.

Mekong występował z brzegów. Mężczyźni z *kromami* wokół bioder i kobiety w sarongach podciągniętych pod pachy kąpali się we wzburzonej wodzie. Golutkie dzieci tarzały się po piasku, śliskie i błyszczące jak karpie, głucho na wielokrotne prośby matek, żeby się umyły. Piszczwały wniebogłosy, kiedy żaba wyskakiwała z trawy lub krab wypełzał z dziury w piasku. Stryj odstawił wiadra, zdjął koszulę i wskoczył do wody. Podpłynął do zatoczki, teraz prawie niewidocznej. Młócił rękami rozpędzoną wodę, jego głowa to pojawiała się, to znikwała.

Powędrowałam wzrokiem dalej, gdzie rzeka wydymała się jak płótno na wietrze. Minął mnie przemoczony pień, a za nim młode drzewko o nienaruszonych liściach i korzeniach. Dziecko w pogoni za starcem, pomyślałam. Papa mówił, że Mekong płynie przez wiele krajów, przynosi do nas historie aż z Chin i Tybetu. Pomyślałam, że jeśli Mekong sięga aż tak daleko, niosąc ze sobą echa i szepty z tamtych miejsc, to może dotrze aż na księżyc i zanieśnie papie mój głos. Co mu powiedzieć? Oczywiście same miłe rzeczy. Ani słowa o tym, co stryj mówił mamie.

Rozejrzałam się wokół. Jakiś chłopiec, cały oblepiony błotem, mył swojego bawoła albinosa, który stał transparentnie różowy jak obrane pomelo. Gdzie indziej Mui rwała listki mydła i wcierała we włosy, które pokryły się pianą. Niedaleko córki Chae Bui w czarnym kąpielowym sarongu, który jeszcze bardziej podkreślał jej jasną cerę, z uwagą szorowała ramiona i dekolt. Nagle z wody wynurzył się towarzysz Keng i je przestraszył. Kłapnął zębami, udając aligatora. Mui i Chae Bui z piskiem ochlapały go wodą. Przymknęłam oczy.

Muszę opowiedzieć mu wszystko, co widzę i słyszę teraz.

Kiedy znów otworzyłam oczy, stryj dopłynął do zatoczki. Zatrzymał się i pomachał do mnie. Wszyscy myśleli, że jest moim ojcem. „Żeby nas nie skojarzono z innymi – powiedziała mama. – Ale na osobności jesteśmy, kim jesteśmy, a on nadal jest twoim stryjem”. Z daleka wyglądał zupełnie jak papa.

Zdjęłam koszulę i weszłam do wody, a sarong wydał się wokół mnie jak meduza, którą widziałam kiedyś w morzu. Stryj zaczął płynąć z powrotem, jeszcze szybciej niż w tamtą stronę. Chyba się obawiał, że wejdę za daleko. Nie musiał się bać. Miałam swój rozum. Poza tym Pok nauczył mnie pływać.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie, a ja pomachałam mu na znak, że wszystko w porządku. Uspokojony płynął wolniej, prawa ręka, a potem lewa, potem znów prawa, lewa, prawa, lewa, malując serię małych tęczy nad głową. Wiedziałam, że to, co powiedział mamie, nie było przeznaczone dla moich uszu, więc udawałam, że nic nie wiem. Nigdy nie mówiłam o bliźniakach, nawet gdy mi ich brakowało, choć zastanawiałam się często, czy nauczyli się sadzić ryż, łapać ryby

i raki, szukać w zaroślach ptasich jaj – wszystkiego, czego nauczyłam się ja. Kiedyś mi się przyśnili, tylko oni, z opuchniętymi twarzami, otoczeni rojem much. Od tamtej pory postanowiłam nie myśleć o nich przed snem, a gdy wkradali się w moje myśli, przeganiałam ich obraz. Byłam ciekawa, czy są tam, gdzie Radana, i czy śmierć to miejsce, które można sobie wyobrazić, jak się chce, aby nie bać się tam iść.

Stryj wyszedł na brzeg. Woda zmyła z niego brud i błoto. Poszłam za nim. Nachylił się, żeby podnieść koszulę, i musnął szczecina na głowie mój bark. Przycisnęłam twarz do jego policzka i go objęłam. Zamarł zgarbiony, w pół gestu, zdziwiony tym nagłym przyplływem czułości. Potem delikatnie uścisnął palcami moją dłoń i zrozumiałam, że mogę go kochać jak ojca, a on może mi go zastąpić.

Mama schowała się za krzakiem w ogrodzie z dwoma wiaderkami wody i wzięła kąpiel. Z braku mydła i szamponu wyszorowała się na wpół zgniłą limonką, którą znaleźliśmy na ziemi. W końcu ścięła włosy, które teraz sięgały ledwo jej ramion. Rewolucjonistka z prawdziwego zdarzenia, pomyślałam. Długie ciążyły jej jak smutek, ale jego nie mogła skrócić. Pulsował życiem. Może ścięła włosy na znak żałoby. Minął ponad rok, odkąd mieszkaliśmy razem w świątyni w Rolork Meas, powiedział stryj. Sądząc po ulewach i stanie rzeki, nastał szczyt pory deszczowej, był lipiec lub sierpień i za dwa lub trzy miesiące, kiedy znów nadejdzie Pchum Ben, skończę dziewięć lat. Ale nadal będziemy opłakiwać najbliższych.

– Nie sięgnę – powiedziała, podając mi limonkę. – Pomożesz mi?

Zaczęłam myć jej plecy. Od całodziennego dźwigania koszy z ziemią skórę na prawym barku miała startą do krwi i pokrytą pęcherzami. Potarłam mocniej, chcąc z mamy zetrzeć cały smutek, wszystkie rany, również te niewidoczne. Wzdrygnęła się z bólu, owoc zapiekł podrażnioną skórę.

Później polala rozognione barki wodą. Patrzyłam na krople płynące wzdłuż kręgosłupa. Mogłam policzyć jej wszystkie kości, widziałam wypukłości i zagłębienia pod skórą. Góry, Mekong, Wielki Mur Chiński, pomyślałam; nosiła je wszystkie na swoich plecach. Teraz czułam bezmiar jej żalu. Czułam go w jej oddechu. W słowach, których nie mogła i nie chciała wymówić, we łzach, które nie popłyną, i we krwi. Przeszła miesiączkować; powiedziała o tym stryjowi w któryś wieczór, gdy myślała, że Królowa Babka i ja śpimy. „Nie umiałam zachować dziecka przy życiu, więc bogowie odebrali mi płodność”. „Nie ma żadnych bogów – odpowiedział stryj. – Gdyby to oni dawali życie, znalazłby jego wartość. Nie ma żadnych bogów. Został tylko obłęd”.

Wstała, polala stopy resztką wody i na chwilę zobaczyłam ją taką jak kiedyś, lekką jak motyl, tęczową jak bańka mydlana płynąca coraz wyżej ku niebu, niosąc odbicie drzew, gór, rzek, mojego i jej smutku, rozpaczy stryja...

Nie lubiła nic tłumaczyć szczegółowo, sama tak mówiła, a jednak to ona pierwsza pokazała mi tęczę, wskazując niebo jaśniejące po deszczu. „Patrz, kochanie, zjeżdżalnia!”.

...leciała coraz wyżej i wyżej, coraz bardziej nieuchwytna i przezroczysta, prawie niewidoczna, aż wreszcie znikła. A cały smutek stopniał i już go nie było.

Mui i ja przyszyliśmy do szkoły, gdzie zastałyśmy żołnierza rewolucji. Siedział na miejscu nauczycielki, z nogami na biurku i karabinem opartym o brzuch. Nie nosił sandałów i podeszwy stóp miał niemal równie czarne jak ubranie. Zawiesił na nas wzrok, żując źdźbło trawy jak znudzony wół. Rozpoznałam go po bliźnie w kształcie sierpa na prawym policzku. Mouk, tak na niego wołano. Był najważniejszym z miejscowych żołnierzy i rzadko go widywaliśmy, a jeśli już się zjawiał, budził powszechny strach.

– Gdzie towarzyszka nauczycielka? – spytała Mui, jak zwykle odważniejsza ode mnie.

– Nie ma jej – burknął Mouk z trawą w zębach. Blizna żuła wraz z nim, jakby pożerała mu twarz.

– Dokąd poszła?

– Donikąd.

– To czemu jej nie ma?

Nie odpowiedział. Wyjął źdźbło z ust i obrócił je między palcami.

– Dostaliśmy zadanie domowe – wtrąciła inna dziewczynka.

Mieliśmy się nauczyć słów pieśni „My, dzieci, kochamy Organizację”.

– Dam wam zadanie! – Poderwał się, waląc karabinem w biurko. – Zniszczcie to. Bezużyteczny śmieć! Bezużyteczny! Rozumiecie?

Skuliliśmy się na krzesłach. Wstrzymaliśmy oddech. W sali zapadła cisza jak makiem zasiał.

Oczywiście Mui nie wytrzymała.

– Nie, nie rozumiemy – oznajmiła.

– Głupie bachory! – burknął Mouk i kopnął krzesło. – Rewolucji nie da się nauczyć! Rewolucję trzeba wywalczyć! Nie myśleniem i gadaniem, tylko działaniem! – Podniósł krzesło i gruchnął nim o ścianę. – O tak! – Kopnął jeden ułamany kawałek i podeptał drugi. – I tak! Bezużyteczny śmieć! To krzesło jest do niczego! Teraz rozumiecie?

Pokiwaliśmy głowami.

– Zachować je to żaden zysk, zniszczyć to żadna strata! Jasne?

Znowu przytaknęliśmy.

– No to jazda stąd!

Na środku ulicy, tuż przed siedzibą władz miasta, mężczyźni wznosili wielki bambusowy podest. Żaden nie chciał zdradzić, czemu ma służyć. Oddział zasepionych żołnierzy pełnił straż. Podest wznosił się na wysokość około trzydziestu centymetrów nad ziemią, był zwieńczony łukiem ze splecionych liści palmowych i kwiatostanów areki. Po południu skończono budowę. Dowiedzieliśmy się, że będzie ślub, ale wokół panował nastrój żałobny. Na podeście zjawili się oblubieńcy

i oblubienice – cali w czerni. Stali pod łukiem, każda panna młoda ze swoim panem młodym, a pośrodku ujrzeliśmy naszą nauczycielkę z narzeczoną, żołnierzem rewolucji o kulach, bez jednej nogi, tylko z kikutem, który mu dyndał przy chodzeniu. Tłum oniemiał. Po chwili rozniosły się szepty:

- Ma spuchnięte i czerwone oczy.
- Pewnie płakała.
- A ty nie płakałabyś, gdybyś musiała wyjść za takiego?
- Dobrze, że nie mamy córki w wieku zdatnym do zamążpójścia...

Mouk wyszedł na podest i wskazując na jednonogiego żołnierza, zawołał:

– Chwała naszemu dzielnemu towarzyszowi, który poświęcił zdrowie rewolucji! – Zaczął głośno klaskać. Inni żołnierze mu zawtórowali: „Chwała!”. Mouk dalej mówił do jednonogiego, nie zwracając uwagi na nauczycielkę: – Organizacja wybrała dla ciebie piękną żonę, towarzyszu! Miejmy nadzieję, że jest ciębie warta!

– Chwała naszemu towarzyszowi! – huknęli pozostali żołnierze.

Mouk zwrócił się do pozostałych panów i panien młodych:

– Niech połączy was Organizacja!

Żołnierze krzyczeli i klaskali w dłonie. Wszyscy czuli się zmuszeni zrobić to samo.

I to był koniec uroczystości. Świeżo upieczeni małżonkowie zeszli z podestu i wmieszali się w tłum, ale nim ktokolwiek mógł im zadać jakieś pytanie lub pogratulować, Mouk znów się odezwał:

– Przyprawadźcie go!

Dał znak grupie żołnierzy stojących na tyłach, a oni odwrócili się w stronę tekowego domu i podali rozkaz dalej. „Przyprawadźcie go!”. Po chwili wstrząśniętym ludziom ukazał się przywódca dystryktu z opaską na oczach i związanymi rękami. Żołnierze pchnęli go na podest, bili po głowie i ramionach ciężkimi liśćmi palmowymi, aż padł na kolana. Mouk zadarł mu brodę lufą karabinu, a inny żołnierz zadarł opaskę z oczu.

– Patrz na nich! – rozkazał Mouk. Z podniecenia drgała mu blizna na policzku.

Przywódca dystryktu miał złamany nos. Krew ciekła mu z jednej dziurki, oczy miał podbite i spuchnięte, zdartą skórę między brwiami. Zmienił się nie do poznania.

– Oto twarz wroga! – krzyknął Mouk.

– ZABIĆ WROGA! – wrzasnęli chórem żołnierze. – ZNISZCZYĆ GO! ZNISZCZYĆ!
ZNISZCZYĆ!

Przywódca dystryktu coś odpowiedział, ale nic nie usłyszeliśmy. Ledwie mógł ruszać ustami. Spróbował jeszcze raz:

- Dlaczego?
- BO POPEŁNIŁEŚ ZBRODNIĘ! – ryknął Mouk.
- Jaką zbrodnię?

– ZDRADZIŁEŚ ORGANIZACJĘ!

– Jak? – Krew pociekła z drugiej dziurki. – Jak... zdradziłem... Organizację?

– Nie będziemy ci mówić, co zrobiłeś! Przyznaj się!

– Nie... popełniłem... żadnej... zbrodni.

– W TAKIM RAZIE JESTEŚ RÓWNIEŻ KŁAMCĄ! – Mouk napluł mu w twarz.

– ZACHOWAĆ CIĘ TO ŻADEN ZYSK, ZNISZCZYĆ TO ŻADNA STRATA! – wrzasnęli pozostali żołnierze.

Otoczyli przywódcę dystryktu. Było ich co najmniej dwudziestu na samym podeście, nie licząc tych wśród nas. Tłukli go kolbami karabinów, aż upadł. Mouk i jeszcze jeden żołnierz wzięli go pod rękę i zwlekli z podestu. Pozostali krzyczeli: ZABIĆ WROGA! ZABIĆ WROGA!

Nowi przywódcy jakby wyrosli spod ziemi. Pojawili się nagle, jak gdyby byli tu od początku, czekając na odpowiednią chwilę. Byli młodsi, cichsi, bliżsi Organizacji. Nosili identyczne maski. Nie sposób było określić, który jest najważniejszy. Kiedy się odzywali, mówili jednym głosem. W czasie zebrań siadali lub stali w rzędzie, patrzyli i słuchali, taksując ludzi nieruchomym wzrokiem. Gdy chcieli coś powiedzieć, szeptali do Mouka, a on mówił za nich.

– Macie wszystko ufarbować na czarno! – oświadczył na jednym zebraniu. – Nie tylko odzież, ale wszystkie wasze myśli i uczucia! Macie wytepić cały nierewolucyjny element! Niech nie zostanie po nim żaden ślad!

Wraz z nowymi przywódcami nastały nowe reguły. Już nie mogliśmy gotować i jeść w domu.

– Skoro pracujemy razem, musimy razem jeść! – oświadczył Mouk, a blizna drgała mu jak szalona. – Ojciec nie pozwala swojej rodzinie posilać się w oddzielnych kuchniach! – Naszym ojcem była Organizacja, a my stanowiliśmy jej rodzinę. Wszystko musieliśmy robić razem. I dzielić się ze sobą wszystkim – łyżkami i widelcami, garnkami i talerzami, myślami i uczuciami. W razie konieczności podzielilibyśmy się z braćmi i siostrami ostatnim ziarenkiem ryżu. – Mówimy „nie” prywatnej własności! – grzmiał Mouk. – Prywatna własność to zło kapitalizmu! Prywatna własność sprzyja chciwości i dzieli społeczność! Zniesiemy wszystkie formy własności prywatnej!

Po powrocie do willi pod sączyńcami wszyscy rzucili się chować swoje rzeczy. Upychali złote bransoletki w wysuszonych tykwach, szafiry i rubiny oblepiali gliną i ukrywali po kątach. Niektórzy wszywali biżuterię w odzież, inni połykali diamenty. Królowa Babka zażyczyła sobie, żebyśmy schowali ją.

– Powiedzcie im, że jeszcze nie jestem gotowa – jęczała. – Że nie pójdę bez moich dzieci!

– Komu mamy to powiedzieć? – spytałam. – Nikogo tu nie ma. Jesteśmy tylko my.

– Duchom, idą po mnie. Powiedzcie im, że nie jestem gotowa.

Na kuchennych schodach załomotały kroki. Mama znieruchomiała, przyciskając do piersi

zagłówek Radany. Stryj wyrwał go jej i rzucił do kosza pełnego odpadków na opał.

Ośmiu żołnierzy wmaszerowało do środka. Był z nimi Mouk. Na ich widok Królowa Babka zaczęła zawodzić:

– Idźcie sobie! Idźcie sobie!

– Każcie jej się zamknąć – warknął Mouk.

Mama i stryj milczeli.

– Myśli, że jesteście duchami – wyjaśniłam Moukowi i jego świcie.

– Wariatka?

– Tak.

– Niech się zamknie.

Mouk potoczył dokoła wzrokiem. Długo patrzył na mamę, aż stryj odruchowo zacisnął pięści. Wreszcie odwrócił się i z odrazą splunął przez okno.

– Nie traćmy czasu. Zatrzymajcie miskę, łyżkę i czajnik dla starej wariatki, wszystko inne idzie do wspólnej kuchni.

I poszli przeszukiwać resztę domu.

Przez następne parę dni Mouk i jego Tajna Gwardia – oddział uzbrojonych szpiegów – krążyli po domach i prowadzili selekcję. „Ty dasz radę uciągnąć wóz. Kategoria numer jeden! A ty nie zdołasz przepracować całego dnia w słońcu. Kategoria numer dwa!“. Mama i stryj trafili do pierwszej. Tego samego wieczora mama spakowała rzeczy. Rano mieli jechać gdzieś daleko budować wały. Błagałam, żeby mnie wzięli ze sobą, ale mama nie chciała o tym słyszeć.

– Tu będziesz bezpieczniejsza – oznajmiła. Miałam zostać z Królową Babką. Jak ona będzie się mną opiekować?

O świcie następnego ranka stryj podniósł mnie z maty. Zaspana dałam się nieść nad rzekę, jak co rano, ale nagle przypomniałam sobie, że to nasz ostatni raz. Przez drzwi wyszła mama, ciemna sylwetka w blasku słońca. Próbowałam się wyrwać, lecz stryj mnie nie puścił. Poczułam przyływ paniki i znowu spróbowałam go przekonać:

– Chcę budować z wami wał. Zabierz mnie ze sobą.

– Zostań z Królową Babką – szepnął i przytulił mnie mocniej. – Ona cię potrzebuje.

Odwróciłam się przez ramię w stronę kuchni, gdzie Królowa Babka leżała na macie, wiotka i stracona dla świata.

– Będiesz jej dzieckiem – ciągnął stryj, schodząc po schodach. – Zajmiesz moje miejsce.

Odpowiadaj, kiedy mnie zawoła.

Pomyślałam, że zostawiać matkę jest równie strasznie, jak być przez nią porzuconym. Na chwilę zapomniałam o własnym smutku, myśląc o tym, że takiego olbrzyma nikt nie będzie pocieszał jak mnie, małą dziewczynkę.

Stryj odpłynął gdzieś dalej, zostawił nas same, żebyśmy mogły się pożegnać. Nie rozumiałam tego. Rozstanie to rozstanie, co za różnica, jak się pożegnamy? Mama włożyła sarong kąpielowy, a ubranie na podróż położyła na skale wystającej z piasku jak skorupa wielkiego żółwia. Celowo rozbierałam się powoli, żeby pierwsza weszła do wody. Ale ona uklękła przede mną i zaczęła rozpinać mi bluzkę.

– Kiedy miałam cztery albo pięć lat – zaczęła, bawiąc się guzikiem – czyli byłam mała, bardzo mała, pokochałam chińską operę.

Z zapartym tchem czekałam na jedną z jej rzadkich opowieści.

– Ilekroć trupa przyjeżdżała do naszego dystryktu z nowym spektaklem i wystawiała po jednym odcinku w każdej wiosce, jeździłam za nią z miejsca na miejsce, błagając sąsiadów, krewnych i przyjaciół rodziny o dach nad głową i miskę strawy, żeby nic nie opuścić. Matka mi zabraniała, ale byłam upartą dziewczynką i zawsze stawiałam na swoim. Wracałam do domu po paru dniach, śpiewając tylko chińską operę. Kiedyś w przypływie złości nazwała mnie Niang Bundają, ganiąc mnie przy wszystkich i mówiąc to, co do znudzenia powtarzają córkom wszystkie matki: że kiedyś sama będę matką i zrozumieć, co to znaczy. Oczywiście znasz tę historię.

Znałam. Niang Bundaja, piękna, bogata dziewczyna zakochała się w służącym i z nim uciekła, po czym zgodnie z przewidywaniami matki została wdową bez środków do życia. Z dwojgiem dzieci postanowiła wrócić do domu, nawet pod groźbą gniewu matki. Ale w drodze napotkała rzekę. Prąd był silny, mogła przenieść tylko jedno dziecko naraz, więc najpierw wzięła starsze. Tymczasem zjawił się sęp i kołował nad jej głową; próbowała go odpędzić. Malec – myśląc, że matka go przyzywa do siebie – wszedł do rzeki i utonął, a sęp porwał starsze. Zawsze uważałam, że to głupia opowieść.

– Powiem ci jedno, Raami: matka nigdy nie decyduje, że jedno dziecko ma przeżyć, a drugie nie. Gdy urodziłam ciebie, a potem twoją siostrę, widziałam przed wami całe życie. Kiedyś wierzyłam, że będę żyć wiecznie, myśl o śmierci nawet nie powstała mi w głowie. Po czym któregoś dnia śmierć wzięła mnie z zaskoczenia. Złapała moje dziecko za rękę i wyrwała mi z objęć, a ja wykrwawiłam się do ostatniej kropli.

Zduśła szloch i brzmiało to jak odgłos rozrywanego jedwabiu, kartka z wierszem wydarta pod osłoną nocy. Gdybym miała notatnik i pióro papy, narysowałabym mapę wioski i znalazłaby się tam rzeka łez, ocean smutku bezdenny jak oczy mamy oraz most, wąski i delikatny jak grzbiet jej nosa, po którym można przejść bezpiecznie na drugą stronę.

– Nie chcę cię stracić, Raami. Dlatego proszę, byś czekała na mnie na tym brzegu. Mój wyjazd nie oznacza rozstania.

Po porannej kąpeli mama i stryj poszli po bagaż. Czekałam na nich na schodach. Po dolnym

schodku przemknęła jaszczurka. Przystanąła w pół drogi, popatrzyła na mnie, nadeła wole, jakby szydziła z mojej rozpacz. Pokazałam jej język. Uciekła.

Z kuchni dobiegł szmer. Przysunęłam się bliżej drzwi. Mama mówiła do Królowej Babki:

– Musimy wyjechać na jakiś czas, ale Raami zostaje. Będzie się tobą opiekować.

Zapadła cisza, po czym stryj odchrząknął.

– Matko – zaczął i zaraz się poprawił: – Mechas Mae – rzekł królewskim językiem, nie dbając o to, kto mógłby usłyszeć. – Ja, twój syn, kłaniam się przed tobą. – Wiedziałam, co robi: przyciskał czoło do stóp swej matki, oddając jej cześć. – Proszę cię o błogosławieństwo na podróż.

– Wróc do mnie – wymamrotała Królowa Babka, a ja nie byłam pewna, czy odpowiada stryjowi, czy duchom.

– Jeszcze się zobaczymy – zapewnił stryj. – Wkrótce.

Rozległo się szuranie, drewniana podłoga zaskrzypiała pod ich stopami. Znieruchomiałam jak wcześniej jaszczurka i napięłam szyję z zaciśniętym gardłem. Nie wiedziałam, czy czuję strach, czy smutek. Wiedziałam, że coś tracę.

Stryj wyszedł pierwszy. Zbiegł po schodach i kucnął przy mnie. Potem mama. Stryj wstał i zrobił jej miejsce. Ale ona stała i czułam na sobie jej wzrok, jakby chciała mnie zmusić do podniesienia głowy.

– Czekać na mnie... – wykrztusiła. Nie powiedziała już nic więcej.

Zbiegła po schodach, trzęsąc się, jakby przechodziła przez nią burza. Stryj ruszył za nią. Nie próbowałam ich zatrzymać.

Przypadła mi rola opiekunki. Bardzo się starałam, ale osiągałam tylko to, iż żyłyśmy po prostu z dnia na dzień. Obowiązki, o ironio, dawały sens mojemu istnieniu, poczucie celu. Z samego rana biegłam nad rzekę z wiadrem, szybko przemywałam twarz, po czym niosłam tyle wody, ile mogłam unieść w wiadrze, i wlewałam ją do małej kadzi przy kuchennych schodach. Biegałam tam i z powrotem, aż uzbierało się dosyć wody do prania naszych ubrań i umycia Królowej Babki. Potem nastawiałam czajnik i ruszałam na poszukiwanie okrągłych jak orzechy laskowe pestek longanu i nasion dzakfrutu wielkości paznokcia kciuka. Gotowałam z nich śniadanie. Owoce znalezione na ziemi należało zbierać do wspólnego kosza, a następnie zanosić do kantyny. Gdyby przyłapano mnie na jedzeniu jakiegoś owocu lub podkradaniu z kosza, nie dostałabym jednego albo dwóch posiłków. Ale głód dodawał mi odwagi i nie myślałam o konsekwencjach, więc kradzieże stały się moim, nomen omen, chlebem powszednim. Chyłkiem szłam na grządkę sąsiada, zrywałam melon i upchnąwszy go pod koszulą, pędziłam do naszej kuchni, gdzie karmiłam nim Królową Babkę, czasem rozdrabniając owoc zębami, jak robiła to mama. Innym razem z pola kukurydzy porywałam kolbę, łamałam na pół, żeby łatwiej było schować, a po powrocie do domu gotowałam w czajniku. Gdy brakowało na to czasu, wydłubywałam ziarna i surowymi karmiłam Królową Babkę. Resztę

zjadałam sama, żując nawet kolbę, wysysając ją do sucha i wypluwając resztę do ognia. Zdarzały się poranki, gdy głód rozzuchwalał mnie tak, że zrywałam owoc longana z najniższej gałęzi za domem i pochłaniałam od razu, obojętna na to, kto może mnie zobaczyć.

Tamtego ranka prócz pasikoników znalazłam kacze jajko w piasku nad rzeką. Oszalała ze szczęścia popędziłam do domu, rozpałam ogień i nastawiłam czajnik z jajkiem w środku. Czekać, aż się ugotuje, nadziałam pasikoniki na bambusową gałązkę i upiekłam nad ogniem. Owadów nie brakowało bez względu na porę roku. Wszędzie było ich pełno i do nikogo nie należały. Mogłam je piec i jeść, nie kryjąc się wcale.

Woda zabulgotała. Po paru minutach przechyliłam czajnik, wylałam nieco wrzącej wody i wydłubałam jajko patykiem. Kiedy ostygło, obrałam je i parujące zaniiosłam w koszuli Królowej Babce. Posadziłam ją i wręczyłam jej jajko. Ale ona chyba nie wiedziała, co to jest. Utkwiła w nim wzrok.

– Śniadanie – szepnęłam. – Jedz.

Spojrzała na mnie i się wzdrygnęła. Może przypomniała sobie czasy, gdy niczego nam nie brakowało, a każdy posiłek był ucztą.

– Musisz jeść – ponagliłam.

Zamrugła i jej oczy zasnuły się mgłą. Westchnęłam i zaczęłam ją karmić, odłamując najpierw skrawki sprężystego białka. Gdy dotarłam do pięknego, prawie szafranowego żółtka, zawahałam się, wyobrażając sobie jego aksamitny dotyk na moim języku.

Przełknęłam ślinę i przywołując się do porządku, wepchnęłam do ust pasikonika – w całości.

Kiedy skończyłyśmy jeść, przez miasteczko poniosło się echem bicie dzwonu. Wezwanie do pracy.

– Muszę iść – powiedziałam i położyłam Królową Babkę z powrotem na macie. – Wrócę po południu. Przyniosę ci jedzenie.

Tym razem chyba zrozumiała, bo kiwnęła głową. Pobiegłam.

Przy siedzibie władz miasta spotkałam się z kilkorgiem dzieci, których nie brano w pole. Były bardzo małe, żadne nie skończyło jeszcze sześciu lat, o ile ich rodzice nie kłamali. Starsze przydzielono do brygad i harowały z dorosłymi. Ominęło mnie to z powodu polio; moja ułomność po raz kolejny okazała się wybawieniem. Mogłam zostać z grupą albo iść sama. Dopóki pracowałam, to nie miało znaczenia.

Przydzielano nam różne zajęcia: rano zbieranie patyków i drewna na podpałkę, po południu – pnączy do tkania, a wieczorem młócenie liści palmowych na sznury. Tego ranka mieliśmy zbierać wilec, jak poinformował pilnujący nas żołnierz. Kuchnia potrzebowała więcej, żeby wszystkich wyżywić.

– Żeby wyżywić was wszystkich – podkreślił. – Im więcej zbierzecie, tym więcej dostaniecie do jedzenia, jasne?

Pokiwaliśmy głowami. Żołnierz sprowadził nas po skarpie i kazał się rozproszyć nad rzeką.

Podobnie jak owadów, wilca też było mnóstwo, nawet na pozornie suchym terenie, jeśli pod spodem nie brakowało wody. Znalazłam kępę w kraterze z deszczówką, zerwałam parę łodyg i upchnęłam w *kromie*, którą opasałam się jak chlebakiem. Mniejsze dzieci naśladowały mnie, obrywając roślinki w miejscach, gdzie były najbardziej kruche. Mała dziewczynka ze sterczącymi rudawymi włosami jadła kwiatki, kiedy żołnierz nie patrzył. Starszy brat, niewiele większy od niej, podszedł z liściem pełnym ślimaczków i ukradkiem wepchnął jej do ust. Przełknęłam łyżę na wspomnienie Radany. Odwróciłam się od nich i pracowałam dalej.

Widząc, że świetnie radzimy sobie bez niego, żołnierz położył się w cieniu drzewa, nasunął czapkę na oczy i przysnął, ukołyszany wietrzykiem od strony rzeki i narastającym skwarem.

Około południa znów rozległo się bicie dzwonu, wezwanie na pierwszy posiłek tego dnia. Poprawiliśmy napełnione wilcem *kromy* i co sił w nogach ruszyliśmy w tamtą stronę.

Jeden z pawilonów przy siedzibie władz miasta służył jako kantyna, od frontu stały bambusowe stoły i krzesła, od tyłu prowizoryczne piece z usmolonymi kotłami. Zrzuciliśmy nasze zbiory na stos i szybko ustawiliśmy się w kolejce. Każdy z nas dostał talerz ryżu rozmoczonego w błotnistym rosolu i rozgotowane warzywa. Znowu podano zupę z wilca, ale nikt nie grymasił. Alternatywą była pusta miska.

Zaniosłam swoją porcję do stołu dzieci. Co za szczęście! Pod kopcem rozmiękłych warzyw ujrzałam rybę wielkości dziecięcej dłoni! Z bijącym sercem podniosłam głowę. Pozostałe dzieci też ją zobaczyły i się oblizały, ale z mojej miny chyba jasno wynikało, żeby nie ważyły się jej tknąć.

Rozpaćkałam ryż i rozsmarowałam go po talerzu, aby porcja wyglądała na bardziej obfitą. Odsunęłam rybę na bok, zostawiając ją na koniec, i zaczęłam od ryżu. Czując, że inne dzieci nadal się gapią, przysunęłam talerz bliżej do piersi i otoczyłam ramieniem. Jadłam ze spojrzeniem wbitym w stół. Kiedy zrozumieli, że nie dostaną ani kawałka, szybko dokończyli posiłek i poszli zmyć talerze i łyżki. Ostatni miał sprzątać stoły i ławki, taka była zasada. Ale nic mnie to nie obchodziło, byle zjeść w spokoju. Zgarnęłam ostatnią porcję ryżu.

A teraz ryba! Nagle poczułam, że ktoś na mnie patrzy. Podniosłam wzrok. Kobieta przy sąsiednim stole wyglądała tak, jakby miała pod koszulą arbus. Patrzyła w mój talerz i przełykała ślinę, patrzyła i przełykała. Wcale mi się to nie spodobało.

– Będiesz to jadła? – spytała, gładząc się po wielkim brzuchu.

Nie odpowiedziałam.

Widząc, że zerkam na jej brzuch, dodała:

– Niech już się urodzi, wtedy dostanie swoją porcję. Teraz liczymy się jako jedna osoba, ale wszystko zjada on! – Uśmiechnęła się i łza spłynęła jej w kącik ust. Otarła ją szybko. – Wybacz. – Próbowała zatuszować to śmiechem.

Nadal się nie odzywałam.

– Jedz – powiedziała. – Nie powinnam patrzeć.

Moja żelazna wola osłabła, a żołądek jęknął rozdzierająco. Jej żołądek darł się wniebogłosy. Znałam ten dźwięk. Pamiętałam go aż za dobrze. Tak krzyczała Radana w przeddzień śmierci, domagając się mojego manioku.

– Jak tak można! Dorosła kobieta próbuje wyżebrać jedzenie od dziecka – mamrotała ciężarna.

Nie mogłam dłużej tego znieść. Wstałam i zostawiłam jej talerz, nienawidząc się za to z całego serca.

Kiedy wracałam do domu z porcją dla Królowej Babki, zrozumiałam, co mnie powstrzymało przed zatrzymaniem ryby dla siebie. Myśl, że jeśli głód jest silniejszy od śmierci, nie chcę, żeby się w kimkolwiek odrodził znowu.

Życie płynęło dalej, choć jedzenia było coraz mniej. Nadeszły żniwa i przydzielono mi funkcję stracha na wróble.

– Jesteś wystarczająco duża – oznajmił Mouk na którymś zebraniu. – Dasz sobie radę sama. Ile masz lat?

– N-nie wiem – wyjąkałam. Mało nie wypaliłam: „Przed rewolucją miałam siedem”.

Przygwoździł mnie wzrokiem.

– To ty, ta od ładnej matki – rzekł i blizna mu podskoczyła. – Gdzie ona jest?

– Wysłaliście ją i mojego ojca. Nie wiem, gdzie są.

Jego spojrzenie przebijało na wylot.

– Mogę już iść? – spytałam, oblewając się zimnym potem.

Machnął ręką, że tak.

Następnego ranka wstałam o świcie i podjechałam wozem na obrzeża miasta. Woźnica wysadził mnie przy małej chatce, zapowiedział, że wróci wieczorem, a następnie ruszył tam, gdzie grupa ludzi zbierała ryż, ciemne figurki na tle wielkiej połaci pola.

Przysiadłam na klepisku pośrodku chaty, jak duch opiekuńczy z widokiem na świat pełen obfitości. Ryż falował niby morze płynnego złota, śpiewał: „Długoziarnisty, krótkoziarnisty, również bardzo zdrowy, ryż o zapachu deszczów monsunowych”. Czarne sylwetki wznosiły się i pochylały, wznosiły i pochylały, sunąc coraz dalej.

– Wyglądają jak pasące się bawoły – mruknęłam do siebie.

Odpowiedział mi skrzek ze środka tarasu. Wstałam i wrzasnęłam:

– Jestem strachem na wróble! Sio, sio, uciekaj, głupia wrono! – Krzykiem dodawałam sobie odwagi. Z całej siły klasnęłam w ręce. – Powiedziałam, uciekaj, głupi ptaku!

Wrona znów zaskrzeczała, potem następna i jeszcze jedna. Miały przewagę liczebną.

– Są wszędzie! – jęknęłam. – I co teraz? – Sama sobie odpowiedziałam: – Biegnij za nimi. Przecież nie będziesz stała i tylko się darła.

Pobiegłam wzdłuż grobli, rzucałam patykami i kamieniami, darłam się jak opętana. Wrony skrzeczały i biły skrzydłami, jakbym to ja była intruzem. Biegałam tam i z powrotem. Jedno stado odfrunęło, pojawiała się drugie. Nie sposób było je odgonić. Nadlatywały chmarą.

Po jakimś czasie zrezygnowałam. Miałam dosyć! Niech sobie zeżrą ten ryż! Ja na pewno nie dostanę większej porcji, jeśli uda mi się je przepłoszyć.

Przysiadłam na grobli, żeby uspokoić oddech. Tuż pod moim nosem wrona bezczelnie dziobała ziarno.

– Złodziejka! – Rzuciłam w nią kamykiem. Poderwała się z wrzaskiem i przesiadła gdzie indziej. – Usmażę cię żywcem!

Powiał ciepły wietrzyk, ryż kołysał się i tańczył. Ucichło, wokół panował spokój. Przymknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że mam cały świat dla siebie...

Postanowiłam skorzystać z okazji. Wylazłam na środek jednego z tarasów, w miękkie, złociste łan sięgający mi do ramion. Rozejrzałam się, czy w pobliżu nie płacze się jakiś żołnierz lub członek Tajnej Gwardii. Czarne figurki w oddali wyglądały jak zapracowane owady.

– No dalej – szepnęłam do siebie. – Nikt cię nie zobaczy. Uszczknij sobie.

Ze spuszczoną głową zajadałam ryż prosto z kłosa. Wypluwałam łuski i żułam surowe ziarno. Były mączyste, ale słodkawe. Pomyślałam o mamie i stryju. Gdzie są teraz?

W moje rozmyślania wdarł się skrzek dochodzący gdzieś z wysoka. Odchyliłam głowę, spodziewając się kolejnej wrony. Ale na niebie, ponad samotną palmą nad groblą kołował sęp. Przypomniałam sobie Poka, który mówił, że sępy wyczuwają śmierć na długo przed czasem. Pomyślałam o Radanie i sępach kołujących nad skrzyżowanymi palmami Poka i Mae. Zastanawiałam się, po kogo przyleciał ten. Po mnie?

Nic mnie to nie obchodziło. Ryż bardzo mi smakował. Obserwowałam wielkiego ptaka, śledząc kolisty tor jego lotu. Pomyślałam o papie. Jak mógł umrzeć. Po raz pierwszy pozwoliłam sobie myśleć o nim w kontekście śmierci.

Nagle sęp zanurkował i przysiadł na palmie. Czułam na sobie jego wzrok. Ale się nie bałam. Wepchnęłam garść ziaren do ust. Wybierałam młode i niedojrzałe, lekko przypieczone w smaku jak zielone płatki ryżowe. Postanowiłam schować trochę dla Królowej Babki.

Jadłam, aż napęczniał mi brzuch, aż rozbolał mnie, jakbym zjadła worek kamieni. Jeśli ten sęp

przyleciał po mnie, pomyślałam, przynajmniej miałam pełny żołądek. Byłam gotowa.

Suchy, chłodny wiatr ucichł. Zebrano cały ryż; kto żywy i zdolny do pracy został przydzielony do budowania wałów i kopania rowów w ramach przygotowań do kolejnej pory deszczowej. Ryli ziemię wszyscy prócz takich jak Królowa Babka i ja, ułomnych i na swój sposób wybrakowanych. Odpadków, tak powiedział Mouk.

Nie potrzebowano mnie już w roli stracha na wróble. Wróciłam do swych obowiązków w mieście. Pracy dla rewolucji nie było końca. Zawsze znalazło się jakieś zajęcie – sadzenie warzyw, karmienie zwierząt, wyplatanie mat i koszyków. Przypominałam chodzący szkielet, ale powtarzano mi, że jestem już duża i mogę pracować jak dorośli. Rano zajmowałam się ogrodem komunalnym, podlewałam warzywa i pielęłam. Popołudniami chodziłam od domu do domu i liczyłam zwierzęta, tak aby każdy kurczak i każde jajko znalazły się na liście. Byłam tajną Tajną Gwardią, mówił Mouk, i moje główne zadanie polegało na donoszeniu mu o wszystkim. Gdy nie musiałam nikogo szpiegować, a zdarzało się to bardzo rzadko, chodziłam nad rzekę, gdzie ścinałam bambus i trzcinę. Czasem szłam z grupą, czasem jednak pozwalano mi włóczyć się samej. W takich wypadkach wymykałam się do domu, aby zajrzeć do Królowej Babki, sprawdzić, czy jeszcze się rusza i oddycha, chociaż przeczuwałam, że koniec jest bliski.

Młoda kobieta – sama ciężko chora, ale przydzielona do opieki nad babką w czasie mojej nieobecności – któregoś dnia oznajmiła, że Królowa Babka przestała jeść.

– Tylko leży. Jak mar...

Chciała powiedzieć „martwa”, ale ugryzła się w język.

Przewróciła Królową Babkę na bok, pokazując mi rozległe odleżyny na jej pośladkach i plecach. Smród gnijącego ciała się nasilił. Nie musiała mi pokazywać. Wiedziałam o tym rozkładzie, co wieczór kładłam się obok niego spać, więc przywykłam. Cuchnęło nim ubranie Królowej Babki, słomiana mata, na której leżała, poduszka i koc, cała kuchnia. Umiałam go nazwać – był to smród umierania. Ciało już się poddało, chociaż umysł walczył, żeby nie zgasnąć.

Młoda kobieta wstała.

– Zostawię was – powiedziała, kaszląc. Sama ledwo powłóczyła nogami.

– Babciu – zwróciłam się do nieruchomej twarzy.

Cisza. Nachyliłam się i wyszeptałam:

– Królowo Babko, to ja.

Dalej cisza. Spróbowałam jeszcze raz.

– Mechas Mae... to ja, Arun... twój syn. Jest ze mną Ajurawan. – Położyłam rękę na sercu. –

Tak, jest tutaj ze mną. Bezpieczny.

Rozchyliła powieki.

– Wiem – wymamrotała. – Widzę go.

– Przyszedł cię zabrać do domu.

Kościstą dłonią ujęła mój policzek. Przesunęła kciukiem po moich wargach, słonych i mokrych, i dopiero wtedy spostrzegłam, że płaczę. Moje łzy zmoczyły jej dłoń i – jakby czekała, aż wskażą jej drogę do domu – cofnęła rękę i przymknęła oczy.

Przesunęłam się na koniec maty i dotknęłam czołem jej stóp, jak uczyniłby mój ojciec, jak mnie nauczono, oddając pokłon życiu, które nam dało życie, okazując wdzięczność. Trzy razy. Za papę, za Radanę, za resztę naszej rodziny. I ostatni raz – za siebie. A potem wstałam i wyszłam.

Poszłam nad rzekę i zasnąłam na brzegu, przykryta liściem palmy. Kiedy się obudziłam, poranne niebo płonęło smugami czerwieni rozognionej jak rany na plecach Królowej Babki. Odeszła. Umarła w nocy, a nim wróciłam do domu, Mouk posłał żołnierzy, aby wyrzucili jej ciało gdzieś na polach ryżowych. Miała zasilić glebę, jak Radana.

Spodziewałam się jej śmierci, ale że umarła w ten sposób, bez wsparcia swoich dzieci, wzbudziło we mnie gniew na niesprawiedliwość losu i na tych, którzy przysporzyli jej cierpienia.

Następnego dnia stryj czekał na schodach do domu. Chora kobieta posłała mu wiadomość, żeby po mnie przyjechał. Nie musiałam mu mówić, co zaszło. Wiedział. Zobaczył śmierć Królowej Babki na długo przedtem, zanim nastąpiła.

Podwoziły nas wozy napotkane po drodze. Późnym popołudniem dotarliśmy do obozu pracy, odległego miejsca w głuszy. Przed nami wznosiło się nagie pasmo górskie wspierające niebo. Po długim, poszarpanym zboczu krążyły milczące czarne figurki jak mrówki budujące kopiec w przeczuciu wielkiej ulewy. U stóp zbocza roiło się ich jeszcze więcej, łopatom i motykami kopały ziemię. Pogrzeb, pomyślałam i zakręciło mi się w głowie. Ktoś umarł. Odwróciłam się do stryja.

– Kogo oni grzebią?

– Całą cywilizację – odparł stłumionym głosem. – Patrzysz na pogrzeb cywilizacji...

Zadzwoń mi w uszach i nie byłam pewna, czy go dobrze słyszę.

– Myślałam, że smoka – usłyszałam własne słowa. – Smoczego *Yiaka*.

– Oby – mruknął stryj. – W przeciwnym razie pogrzebiemy nas samych. – Podał mi rękę. – Chodź, mamy dużo roboty.

Żołnierze rewolucji pilnowali, czy nikt się nie miga od pracy. Wszędzie wznosiły się zasłony pyłu. Ludzie wokół nas mieli zasłonięte twarze i głowy. Nie mieliśmy czasu szukać mamy. Żołnierz podał stryjowi motykę, a mnie bangki, bambusowy koszyk w kształcie ślimaczej skorupy. Stryj gracował, ja wkładałam do kosza luźne bryły ziemi. Przychodzili robotnicy i wymieniali opróżnione koszyki na pełne. Nikt się nie odzywał. Odgłos metalu kruszącego wyschniętą ziemię niósł się echem

aż do nieba.

Nieba chorego. Nieba siniego od razów. Czerwonego i rozjuszonego, w odcieniu zgnilizny, umierania i śmierci, ostatniego tchnienia. Deszczu, który nie przyszedł, i tego, który nadszedł dawno temu.

Stryj kaszłał, posiniał na twarzy. Myślałam, że wypłuje język. Żołnierz spojrział na nas i stryj stłumił kaszel; wrócił do kopania, mechanicznie, jak gdyby jego ręce i głowa nie znały innej czynności.

Rozejrzałam się, wypatrując mamy, ale kłęby kurzu zasłaniały świat. Miałam piasek w oczach, a kiedy mrugałam, widziałam burzę piaskową. Gdy przełykałam, miałam na języku pustynię. Wysychały mi wnętrzności, ciało zamieniło się w pękniętą skorupę. Ziemia wokół pokryła się bliznami, liczne doły przywodziły na myśl rozkopane mogiły. Zakopujemy smoka, pomyślałam, lecz to ja konam pod słońcem. Kopię własny grób, grzebiemy nas samych.

Zadźwięczał dzwon niczym kanonada. Ludzie odłożyli narzędzia i ruszyli w stronę nietkniętego wzniesienia, gdzie na tle drzew stał rząd słomianych lepianek. Wyteżałam wzrok, aż bolały mnie oczy. Widziałam pożogę, fruwające iskry. Czy to chaty płoną, czy może ja? Nie byłam pewna. Ogień tańczył i skakał, lizał mnie po twarzy. Czy jestem na stosie pogrzebowym?

Stryj usiadł na ziemi. Obok nas sunęły czarne postacie. Wszędzie leżały porzucone kosze niczym wielkie muszle, całe morze martwych skorupiaków. Grabarze przerwali pracę... Motyki i szpadle krzyżowały się jak piszczele. Bryły ziemi i kamienie piętrzyły się w pagórki na podobieństwo kopców termitów. Moje myśli pełzały jak węże ślizgające się po nagiej ziemi. Jeden taki pagórek by wystarczył, by pochować Radanę... Była mała, kiedy umarła. Jeszcze mniejsza niż w chwili narodzin. Gdyby miała grób, wyglądałaby jak kopiec termita. Nie powstrzymałby Mekongu przed zalaniem pól ryżowych, ale mama nie tonęłaby we łzach. Tak zrobię. Przed śmiercią wykopię grób. Nie dla Smoczego *Yiaka*, ale dla smutku mamy.

Słońce stało tuż nade mną, siedziało mi na głowie. Wybuchnę lada chwila. Dzwon nadal dzwonił. Dzwonił, dzwonił, dzwonił...

Widziałam miliony gwiazd. Mrugały, mrugały, mrugały...

Podeszła do nas kobieta. Stryj coś powiedział, ale go nie rozumiałam. Głos dobiegał jakby spod dna Mekongu, gdzie mieszkał wąż *naga*. Czy to stryj jest węzem – Smoczym *Yakiem* zwanym Pogrzebaną Cywilizacją? Kiedyś był *Yakiem*, teraz kopał groby wielkości kopców termitów. Czemu wszystko jest takie małe? Kobieta stanęła przede mną. Nie miała twarzy, tylko oczy. Czarne księżycy na niebie białym jak ściana. Znałam te oczy. Zdjęła zakurzoną chustę, jakby odwiązywała bandaż z rany. Uśmiechnęła się do mnie i dopiero ją poznałam.

Gwiazdy przestały mrugać. Noc spotkała się z dniem. *Kroma* zasłoniła moje ciało i umarłam, zanim zdążyłam wznieść dla Radany kopiec termitów obok grobu *Yiaka*.

– Zemdlałaś na słońcu – powiedziała mama i dodała z wymuszonym uśmiechem: – Ale już jest dobrze. – Wierzchem dłoni dotknęła mojego czoła i karku.

Zdawało się, że zapadła noc, płonąła tylko pochodnia przy wejściu długiego baraku. Poczułam w gardle jej płomień. Plecy miałam mokre od potu, lecz ogarnął mnie chłód i czułam, jakby mój duch ulatywał gdzieś wysoko.

Mama przykryła mnie kocem. Wokół widziałam puste maty ze słomy. Uniesione moskitiery falowały w górze jak duchy zmykające w popłochu.

– Proszę. – Podała mi miskę z wodnistą zupą ryżową. – Postawi cię na nogi.

Usiadłam i wypiałam płyn, ale ryż zostawiłam. Nie byłam głodna, doskwierało mi tylko pragnienie. Oddałam mamie miskę, wytarłam nadgarstkiem usta i opadłam z powrotem na długą pryczę.

– Jeszcze ci zimno? – spytała i zmartwienie przemknęło jej po twarzy, a może to był tylko cień rzęs. Pogłaskała mnie po policzku. – Spróbuję zdobyć coś do jedzenia. Owoce, cukier. Mów, na co masz ochotę.

Nie mogłam wydobyć głosu.

– Prześpij się. – Opuściła moskitierę, wsuwając jej skraj pod matę. – Muszę wracać do pracy. Skinęłam głową.

Podeszła do wyjścia i obejrzała się przez ramię. W blasku pochodni jej cień urósł i rzucił się na mnie.

Udawałam, że śpię. Wyszła. Światło pochodni przygasło wraz z krokami. Odwróciłam się do ściany; od łóżka dzieliło ją wąskie przejście. Wiedziałam, że mama wybrała to miejsce, by móc wchodzić i wychodzić bez konieczności rozmawiania z innymi kobietami, a we śnie sama stawiać czoło ciemności. Spała tak od śmierci Radany, twarzą donikąd, wtulona w ścianę.

Z zewnątrz dobiegł hałas, buczenie i szum nocnych stworzeń. Zahukała sowa, druga jej odpowiedziała; snuły niekończące się historie wśród niekończącego się łoskotu motyk i jęku miażdżonej ziemi. Mówią, że hukanie sowy zapowiada śmierć. Lecz w Demokratycznej Kampuczy sowy huczały na okrągło, a gdy ktoś umierał, milkły jak ludzie, bały się odezwać i krzyknąć głośniej. Nauczyłam się nie bać nocnych stworzeń. Zwierzęta są inne niż ludzie. Zostaw je w spokoju, a nie zrobią ci krzywdy. Ludzie owszem, nawet bez przyczyny. Zranią cię bronią, słowami, kłamstwami i złamanymi obietnicami, a także smutkiem.

Świerszcze cykały do wtóru opowieści sów. Drzewa drgnęły, nadstawiając ucha. Czasem ziewał wiatr. W oddali narzędzia monotonnie rozbijały ziemię, a w pobliżu, tuż nad moją głową, szepty przemykały ukradkiem tam i z powrotem.

– Jak się czujesz?

– Tracę ją... może już straciłam.

– Wracaj do pracy. Ja do niej zajrzę.

Nocą nawet ściany mówiły ludzkim głosem.

Wszedł do baraku; widziałam, jak kuleje. Staął w nogach pryczy, tam gdzie ona przed chwilą.

Był cieniem w mroku.

– Nie śpisz? – spytał.

Pokręciłam głową i usiadłam pod moskitierą.

– Głodna?

– Nie, tylko chce mi się pić.

– Chodź.

Owinięta kocem podreptałam za nim. Księżyc był białą dziurą na czarnym niebie. Usiedliśmy obok siebie na wielkim korzeniu drzewa o liściach, które przypominały żółwie serca. Na wprost nas stał czajnik na trzech kamieniach, popiół pod spodem był jeszcze ciepły.

– Pożyczyliśmy z kuchni. – Stryj nalał wodę do bambusowego kubka i mi podał. – Komendant pozwala nam na zmianę do ciebie zaglądać. Jak się czujesz?

Milczałam ze wzrokiem utkwionym w grobie Smoczego *Yiaka*. Nocą zdawał się większy. Kładł się na wszystkim cieniem. Jaskrawopomarańczowe płomienie pochodni i ognisk przetykały kaleczony krajobraz, oświetlając rzesze czarnych postaci, które kopały ziemię i dźwigały kosze. Grabarze smoków, pomyślałam. Kopacze grobów. Góra, dół. Góra, dół. Wyglądali jak duchy. Duchy grzebiące duchy.

– Nie ma w tym logiki. – Stryj podążył za moim spojrzeniem.

Nazwał to Pogrzebaną Cywilizacją. Smoczy *Yiak* miał nazwę. Brakowało mu logiki, ale nazwę miał.

Chmury na chwilę zasłoniły księżyc i nagle wydało mi się, że widzę cień smoka zawieszony nad nami. Stryj popatrzył w górę.

– Niewielu nas zostanie w cieniu drzewa banianu.

– Wiem, prorocze słowa.

Po zniknięciu Om Bao papa mówił, że według przepowiedni Kambodżę ogarnie ciemność. Opustoszeją domy i drogi, przelana krew sięgnie podbrzusza słonia. Przetrwają tylko głusi, niemi i ślepi.

Stryj patrzył na mnie zdziwiony.

Jeśli chciał mnie pocieszyć, że nic nie mogłam zrobić, ponieważ Królowa Babka i inni nasi bliscy padli ofiarą przepowiedni, odpowiedziałabym mu, że nie ma czegoś takiego, jak klątwa czy przepowiednia. Ani świętego drzewa, pod którym nie spotkałoby nas nic złego. Istniało jedynie to

wielkie cmentarzysko, masowy grób, w którym wszyscy zginiemy. Ale nie mogłam znaleźć słów i powiedziałam tylko:

– Królowa Babka mówiła, że to nasza karma.

Nie doczekałam się odpowiedzi.

Zyliliśmy w pętli czasu. Noc przechodziła w dzień, a dzień w noc i nic się nie zmieniało, tywał się rozrastał. Był dwa razy dłuższy i szerszy niż w chwili mojego przyjazdu, pokryty łuską kamieni i skał oraz bryłami twardej, wyschniętej gliny. Gigantyczny kopiec wzniesiony ręką człowieka, bez roślin, nagi jak grób, potworny. Po bokach wykopano schody, aby łatwiej było się na niego wspiąć, lecz od wysokości kręciło się w głowie. Z góry roztaczał się widok na całą okolicę. Po jednej stronie na wzniesieniu stały baraki żeńskie, dalej parę krytych strzechą pawilonów komunalnych, jeszcze dalej baraki męskie, a na tyłach kuchnia i kwatery dla żołnierzy. W oddali, za łąką i zagajnikiem majaczył nieprzenikniony Nawiedzony Las. Po drugiej stronie niskie, wysuszone zarośla ciągnęły się aż po horyzont. Nigdzie nie widzieliśmy rzeki, nawet strumyka, a co dopiero żywiołu, który uzasadniałby tak ogromną tamę.

Pewnego ranka, jak co dzień, tuż po wschodzie słońca stawiałam się w rozległym kraterze wraz z pozostałymi dziećmi, które przypominały starców o rozdętych brzuchach i wychudzonych kończynach. Silniejsze z nas na czworakach kruszyły ziemię bambusowymi szpadlami, słabsze zbierały ją do koszy porzucanych przez kobiety i mężczyzn schodzących po wale. Ciąg ludzi sunących w obie strony zdawał się nie mieć końca. Mama zbliżała się do mnie, omijając kratery, gdzie mogłaby wymienić opróżnione kosze na pełne. Gdyby ją na tym przyłapano, za karę musiałaby pracować dłużej niż pozostali lub co gorsza nie dostałaby posiłku. Doszła do mojego krateru, opuściła puste kosze w dół, po czym ukradkiem podała mi *krotelonga* – wodnego owada podobnego do karalucha – i zarzuciwszy napełnione kosze na ramiona, ruszyła z powrotem pod górę. Udałam, że kaszlę; podniosłam rękę, jakbym chciała zasłonić usta, i połknęłam owada. Następnie chwyciłam oburącz łopatę i dalej kopałam. W chłodnej, wilgotnej ziemi pod kamieniem na pewno jest dużo *krotelongów*, pomyślałam. Zawsze coś się znajdzie. Nawet skorpion jest lepszy niż nic.

Parę metrów dalej stryj pracował w głębokim, wąskim rowie; jego ramiona wznosiły się i opadały, kiedy wbijał łopatę, po czym przerzucał ziemię ponad krawędzią. Na drugim końcu kuciała grupa chłopców, na tyle małych, aby zmieścić się w ciasnej przestrzeni. Poszerzali otwór, a ich kaszel i przyspieszone oddechy zlewały się z westchnieniem ziemi kruszonej wokół.

Komendant obozu krążył nieopodal i ryczał przez megafon:

– Organizacja potrzebuje was bardziej niż kiedykolwiek! Walczymy z Wietnamem. Wróg napiera na nasze granice, atakuje z każdej strony i próbuje nas okraść!

Był prawie łysy i gruby, co wyróżniało go na tle rzeszy szkieletów. Bez przerwy ruszał ustami, bo jak nie krzyczał, to jadł. Jego żona, równie tęga jak on, prowadziła kuchnię.

– Owszem, są komunistami jak my, ale to Wietnamczycy. Zatem są naszymi wrogami! Musimy się

broniec! Od środka wzmacniać nasz kraj! A jak mamy tego dokonać? Musimy wznieść góry, by powstrzymać Mekong przed zalaniem pól ryżowych.

Jaki Mekong? Jakie pola ryżowe? Odpływałam myślami. Doskwierał mi głód, *krotelong* tylko go zaostrzył. Wbiłam mocniej łopate.

– W całym kraju powstają zbiorniki, kanały i rowy, aby ryż można było sadzić przez cały rok! Demokratyczna Kampucza będzie ryżową potęgą! Musimy mieć więcej ryżu, bo nasi żołnierze go potrzebują!

Mój głód ustąpił miejsca pragnieniu. Otarłam pot z nosa i do sucha wylizałam dłoń. Była słona i oblepiona piaskiem.

– Nie ustaniemy w naszych zmaganiach! Rewolucja to ciągła walka! Miejcie oczy szeroko otwarte! Wróg nie śpi!

Spojrzałam w stronę baraków; w porannym pośpiechu zostawiłam menażkę przy pryczy.

– Jest wszędzie! Nie tylko u naszych wrót!

Kopanie niosło się echem od rowu do krateru, wprawiało mnie w drżenie.

– Ukrywa się między nami, śpi w naszych łóżkach, je z naszych talerzy!

Przymknęłam oczy i pozwoliłam ciału odpłynąć... skórze odpaść... kościom rozsypać się na kawałki i zamienić w pył... aż pozostały tylko pragnienie i głód.

– Musimy go dopaść i zniszczyć!

Wreszcie odkopałam wielki kamień i udało mi się go przesunąć. Nic. Nawet mrówek. Nawet jednego marnego robaka do zjedzenia. Ziemia wyschnięta, bez życia.

– Musimy go rozgnieść jak termita!

Wykopałam dziurę i zagrzebałam się w ziemi, jak ziarno w oczekiwaniu na deszcz.

– Nie będzie zmiłowania!

Przyszła mama, ale nie miała jedzenia, tylko uśmiech na policie.

– I nie będzie litości!

Odstawiła puste kosze, wzięła dwa napełnione ziemią i poszła w ślad za ciągiem ludzi przed nią, dużo wolniej, rozkołysana na boki.

– Udusimy go w kołysce!

Powtórzył to pięć razy. Miałam ochotę mu przyłożyć motyką. Wytchnienie nadeszło dopiero z dźwiękiem dzwonu.

Pozwalano nam chodzić do lasu za potrzebą albo nad strumień za barakiem, aby odświeżyć się w wodzie. Większość ludzi nie ruszała się ze stanowiska pracy. Wyjąwszy zew natury, nie było po co, uważano to za stratę energii. Stryj wyszedł z rowu i wskoczył do mojego krateru. W pewnym oddaleniu od nas komendant rozmawiał z mamą, która czasem opuszczała głowę i potakiwała. Pewnie przyłapał ją na chodzeniu okrężną drogą. Odprawił ją, tym razem jej darował. Spojrzała na

niego z wdzięcznością i pospieszyła do nas.

– Idę skorzystać z krzaka. – Podała mi rękę. – Chodź. – Nie rozumiałam, po co mnie ze sobą bierze, ale nie zdążyłam zaproponować, bo stryj pomógł mi wyjść.

– Idź z mamą – polecił i dorzucił pod jej adresem: – Zaraz przyjdę.

Nie musiał mówić nic więcej. Rozumiałam, że strażnicy nie mogli zobaczyć nas razem. Umocnienie więzi rodzinnych jest wbrew założeniom rewolucji, mówił komendant. Nawet mężowie i żony nie mogli przebywać pod jednym dachem. Rodziny spotykały się jedynie w czasie posiłków.

– Poczekamy na ciebie przy głazie – powiedziała mama.

Stryj kiwnął głową i poszliśmy.

Dotarliśmy na ustronie, gdzie strumień opływał wielki kamień i niknął pod baldachimem młodych bambusów. Mama podwinęła spodnie i ruszyła w bród w stronę głazu. Pochyliła się, wsadziła rękę pod wodę i po krótkich poszukiwaniach wyjęła dwie łydgi trzciny cukrowej, długie jak jej przedramiona. Zawróciła do mnie. Nagle coś trzasnęło. Odwróciwszy się, zobaczyłam spadającą gałąź. Serce biło mi jak oszalałe. Rozejrzałam się na wszystkie strony. Ani żywej duszy.

– Usiądź. – Mama pociągnęła mnie w dół i przycupnęliśmy pod osłoną ciernistego krzewu. Podała mi jedną łydżę. Od razu wgrzyłam się w nią, odrywając zębami pasek za paskiem. Komary brzęczały mi nad głową, pobudzone słodkim zapachem. Odłamałam kawałek i przeżułam, miażdżąc zębami, po czym wyssałam do końca i wyplułam. Trzasnęła kolejna gałąź i stryj wyłonił się z zarośli. Usiadł przy nas. Mama złamała drugą trzcinę i dała mu pół. Zawstydzony odwrócił wzrok.

– Bierz – zachęciła i wepchnęła mu trzcinę do ręki. – Nie ma większego upokorzenia niż głód.

– Nie pozwolę, żebyś ryzykowała życie... – mruknął.

– Co jest warte życie? – odburknęła i dodała, jakby chciała go uspokoić: – Ta świnia komendant ma tyle samo do stracenia co my. Jeśli nas złapią, powiem przy wszystkich żołnierzach i strażnikach, że dał się przekupić. Dałam mu twoją szpilkę do krawata. Nie wiedział, do czego służy... Nie próbowałam mu tłumaczyć. Grunt, że jest ze złota, powiedział. Tylko to się liczy dla jego żony.

Stryj milczał. Ugryzł trzcinę i jedliśmy w milczeniu. Szmer strumienia zagłuszał nasze chrupanie. Potem zebraliśmy wyplute resztki i wrzuciliśmy w bambusowe zarośla.

Ledwo zdążyliśmy na czas. Na ostatni dźwięk dzwonu mama pobiegła po drąg i koszyki, a stryj i ja pokonaliśmy wąską kładkę ponad przysłym zbiornikiem deszczówki. Minęli nas dwaj żołnierze; jeden udał, że kuleje na prawą, drugi, że na lewą nogę. Przedrzeźniali nas. Śmiali się jak szaleni. Durne zwierzęta.

Słońce świeciło jasno, kłuło w oczy. Coś załomotało wysoko jak kamyki rzucone o blaszany dach i z nieba sypnęło milionami srebrzystych strzałek, zatapiając je w naszej skórze. Spadł deszcz. Ludzie na wale przerwali pracę i zwrócili twarze ku niebu. Deszcz ustał tak niespodziewanie, jak nadszedł.

Lunął kolejny raz i znowu to samo. Niebo igrało z nami, a słońce nawet nie mrugnęło.

Trwało to dni i tygodnie; ulewy przychodziły i mijały, woda znikła w spękanej ziemi. *Pliang chmol*, męski deszcz, tak nazywali to miejscowi. Spadał nagle i momentalnie ustawał. Potem słońce paliło jak ogień, a powietrze ciążyło jak ołów. Męski deszcz to żaden powód do strachu, mówiono nam. Był tylko posłańcem, ostrzegał nas przed deszczem żeńskim.

– Żeńskim? – spytał ktoś. – Co to znaczy?

– Wypłakuje całą rzekę i ziemia staje pod wodą – oznajmiła kobieta z pobliskiej wioski.

– Kiedy nadejdzie?

– Gdy wszystko będzie martwe.

– Już czas! – oznajmił któregoś ranka komendant obozu z megafonem jak przedłużenie mięsistych warg. Zwołał zebranie na szczycie wału. – Czas pokazać naszą siłę! Tego pamiętnego dnia, siedemnastego kwietnia 1977 roku, w drugą rocznicę wyzwolenia znów pokażemy, na co nas stać! – Popatrzył w górę, jakby rzucał wyzwanie niebu. – Widzicie, cośmy zbudowali? Górę z niczego! Kto widział kiedyś rzecz tak niezwykłą? Patrzcie! Patrzcie na zielone pola ryżu przed wami!

Po jednej stronie stały nasze baraki, po drugiej rozciągały się suche zarośla i placki ziemi wypalanej słońcem. Nie widziałam żadnych pól.

– Zobaczcie je oczami wyobraźni! Jak tylko stanie nasz wał i zbiornik, od razu wszystko się zazieleni. Pola jak okiem sięgnąć!

Chrobotąło mi w skroniach, miałam zawroty głowy.

– W całej Demokratycznej Kampuczy nasi bracia i siostry budują wały i kopią rowy! Razem okiełznamy niebo, rzeki! Posadzimy ryż, gdzie chcemy! Nawet na skałach! Zyskamy go tyle, że będą nam zazdrościć inne narody, a Wietnamczycy dadzą nam spokój!

Czemu komendant nie mógł zniknąć jak męski deszcz? Marzyłam o drzewach, cieniu. Udawaj, że jedziesz na grzbiecie smoka, pomyślałam.

– Mając ryż, osiągniemy wszystko! Nic nas nie powstrzyma! Musimy się zjednoczyć i pokazać naszą rewolucyjną moc!

Oklaski i wiwaty. Czułam, jakby czaszka pękała mi na kawałki. Chciałam uciec, ale z trudem trzymałam się na nogach. I nie ruszyłam się z miejsca, w potrzasku między grobem a płonącym niebem, między Pogrzebaną Cywilizacją a kapryśnym deszczem, wśród aplauzu.

Dzień stawał się coraz gorętszy, a mój żołądek coraz bardziej pusty. Późnym popołudniem znów zaczęło padać. Żołnierze rewolucji i strażnicy wydali zwycięski okrzyk i wznieśli broń, jakby ulewa była ich zasługą, jakby wygrali batalię ze słońcem i żarem. Pozwolili nam na krótki odpoczynek. Wytknęłam język, żeby złapać kilka ciepłych kropel. Konik polny skakał przede mną, ale zabrakło mi siły, by go złapać. Oddech miałam płytki, jakby zostawał w nozdrzach, zamiast dotrzeć do płuc. Kiedy próbowałam odetchnąć głębiej, bolały mnie żebra, huczało mi w głowie, mgła zasnuwała

wzrok. Rozejrzałam się za mamą, ale nigdzie jej nie widziałam. Stryj został w rowie; nie chciało mu się wyjść, pragnął tylko przymknąć oczy, niech chłodne krople spadną na powieki.

Deszcz ustał i wróciliśmy do pracy. Skwar przybrał na sile, wszystko zwolniło tempa. Marzyłam o nadejściu wieczoru. Ale wieczór nie przyniósł ulgi, tylko miskę zupy ryżowej. Wypiłam ją duszkiem i wylizałam miskę do czysta. Mama podała mi swoją. Utkwiłam wzrok w wodnistej zupie, chcąc, a zarazem nie chcąc chcieć, zawstydzona własną zachłannością, a przy tym nie wiedząc, jak pozbyć się głodu. Mama zachęciła mnie gestem, odlepiła kosmyk, który przywarł mi do policzka, i wsunęła go za ucho. Wypiłam zupę z oczami wbitymi w ziemię.

– Jak się teraz czujesz? – spytała, kiedy skończyłam.

– Wciąż głodna.

Deszcz przyćmił jej spojrzenie; czułam, że jak mama mrugnie, deszcz mnie zatopi.

Upał się nie zmniejszył. Wszyscy ruszyli na wał, gdzie trochę wiało. Mama zaczęła reperować moją koszulę.

– Dajże spokój, towarzyszko Aano – odezwała się jedna z kobiet. – Rzadko mamy wolny wieczór. Szkoda oczu. – Wyciągnęła do mnie rękę, jakby chciała zachęcić mamę do wspólnego spaceru.

Zsunęłam się z łóżka, ale mama przygwoździła mnie wzrokiem.

– Jesteś mi potrzebna do nawlekania igły.

Odczekała, aż wszyscy pójdą, a następnie rzuciła koszulę, porwała zagłówek Radany i rozerwała go gołymi rękami. Ze środka wypadły dwa srebrne krążki, znajomo zabrzęczały dzwoneczki wysadzone diamentami. Bransoletki mojej siostry. Nie widziałam ich, odkąd opuściliśmy Phnom Penh. Ze słów komendanta wynikało, że mamy rok 1977. Nie wiem, co zaskoczyło mnie bardziej – że wieczna ciemność zyskała konkretną datę, miesiąc i rok, czy że znane mi dawniej życie i świat znikły całkowicie w ciągu tylko dwóch lat. Bransoletki w blasku pochodni lśniły i migotały jak świeżo wyklute maleńkie węże. Mama wsunęła je do kieszeni.

– Chodź. – Wzięła mnie za rękę.

Czekałyśmy w lesie za kuchnią. Drzewa i krzewy czekały z nami. Nie drgnęła nawet gałązka, nie zakołysał się jeden liść. Obok nas wznosiła się ciemna sterta gnijących obierków i ości. Owady jęczały nad nią, jakby się zleciały na pogrzeb. Naraz poruszyła się gałąź, trawa zaszeleściła. Żołnierz, pomyślałam, lub ktoś z komitetu kuchennego. Z ciemności wychynął cień z małym garnuszkiem z gliny. Podążył w naszą stronę. Chciałam uciec, ale mama mnie trzymała.

Była to żona komendanta. Wcisnęła garnek mamie, a mama podała jej bransoletki Radany. Kobieta obejrzała je rozczarowana. Spróbowała wepchnąć jedną na tłusty nadgarstek.

– Trochę małe, nie?

– Należały do dziecka – wyjaśniła mama.

Kobieta spojrzała na mnie.

– Do niej?

– Tak, dawno temu – skłamała mama – ale teraz są twoje.

Kobieta z zadowoleniem schowała je do kieszeni i znikła, zlewając się z mrokiem.

Mama przysunęła się bliżej i postawiła przede mną garnek ryżu.

– Były twoje.

Wpychałam garście ryżu do ust i przełykałam zlepione grudy, nie czując smaku. Mama obserwowała mnie z podbródkiem na kolanach, kołysząc się w przód i w tył.

– Najpierw należały do ciebie – podjęła. – Zamówiłam je po twoim urodzeniu. Miałaś je nosić, jak nauczysz się chodzić, żebym zawsze mogła cię znaleźć po brzęku dzwoneczków. Żebym cię nigdy nie zgubiła. Ale zachorowałaś i je schowałam. Potem... urodziła się twoja siostra i oddałam jej bransoletki, które należały do ciebie.

Przestałam jeść. Wstyd i poczucie winy nas przytłaczały. My żyłyśmy, a Radana, która nie zrobiła nic złego, umarła.

– To ostatnie błyskotki, które przywieźliśmy. Teraz... – Mama spróbowała się uśmiechnąć. – Trzeba będzie coś wymyślić, prawda?

Przełknęłam, ogarnęły mnie mdłości. Smród gnijących odpadów był porażający. Łączył się z zapachem ryżu.

– Zjadaj – ponagliła i rozejrzała się, jakby raptem ogarnął ją strach, że nas nakryją.

Dalej się napychałam, nie chcąc jej sprawić zawodu, chociaż ryż był wstrętny, mokry i lepki, jakby całe popołudnie kisił się w słońcu. A może zapomniałam, jak smakuje gotowany ryż. Mama nie spuszczała mnie z oka, zatopiona w rozmyślaniach.

Zabulgotało mi w brzuchu. Dawno tyle nie zjadłam. Owady wciąż buczały nad kopcem pogrzebowym.

Gdy skończyłam, mama rozbiła gliniany garnek o kamień i rzuciła w krzaki. Wytarłam ręce w liście.

Wróciłyśmy do baraku. W drzwiach przystanęłyśmy i popatrzyłyśmy w nocne niebo. Gwiazdy świeciły nad nami jak diamenty. Jak dzwoneczki z białego złota.

Następnego ranka przed pierwszym brzaskiem zajęłam miejsce obok stryja u stóp wału, w płytkim kraterze wraz z dziesięcioma lub dwunastoma innymi osobami. Smak zepsutego ryżu oblepiał mi usta, jelita wciąż mi się buntowały, ale nie zapytałam żołnierza, czy mogę iść do lasu. Wyrzuciłam z siebie wszystko wieczorem, na przemian wypróżniając się i wymiotując. Skurcze nie były gorsze od głodu szarpiącego wnętrzności, poza tym chodzenie po nierównej ziemi kosztowało

mnie za dużo wysiłku. Wszędzie ziały dziury i kratery, niektóre rozległe jak stawy, inne głębokie jak mogiły. Blask z pochodni umieszczonych w ziemi rzucał długie cienie, drżące jak duchy wyrwane z uśpienia. Łoskot szpadli huczał w powietrzu, niosąc się echem.

Gwiazdy wciąż mrugały na niebie. Próbowaliśmy wypatrzeć mamę w ciągu ludzi, którzy pieli się w górę i schodzili w dół, lecz nie sposób było nikogo rozpoznać. Wszystko tchnęło niewysłowionym smutkiem.

Usłyszałam, jak stryj wbija motykę w ziemię. Oddzielił bryłę i pchnął w moją stronę. Pokruszyłam ją na mniejsze kawałki i zgarnęłam do kosza. Nieopodal żołnierz oparł plecy o stertę ziemi i z czapką nasuniętą na twarz usiłował skraść parę minut snu.

Wreszcie nastał dzień, ale słońce weszło i zaraz znikło. Niebo zaczęło kaprysić, brzuch zwisał mu nisko jak moskitiera. Napłynęła wielka ciemna chmura, jej cień przesłonił cały obóz. W oddali horyzont zwinął się jak papier strawiony płomieniem i natarł w naszą stronę, niosąc kolejne chmury. Błysnęło, ale bez grzmotu. Kropla deszczu, ciężka i opasła, chlapnęła mi na rękę. Za nią druga i trzecia, a potem następne, jedna za drugą. Rozpryskiwały się na ziemi niczym pęcherze na zainfekowanej skórze.

Lunął deszcz tak gęsty, że zdawał się czarny jak smoła. Wszyscy z krzykiem rzucili się w stronę baraków. Ktoś na mnie wpadł; poślizgnęłam się i przewróciłam na ziemię. Stryj postawił mnie z powrotem na nogi.

– Gdzie mama?! – krzyknął.

– Nie wiem! – odwrzasnęłam.

Jednocześnie podnieśliśmy głowy. Na szczycie wału stała mała figurka targana wiatrem. Sama. Kołysała się pod naporem deszczu niczym żagiel łodzi w oku cyklonu. Nagle rozłożyła ramiona. Odwróciłam się do stryja.

– Deszcz żeński! – krzyknęłam. – W końcu nadszedł!

– Co? – odkrzyknął i przysunął się bliżej. – Nie słyszę!

– Deszcz żeński, mama go wita!

– Co?

Mogłam sobie krzyczeć. Huk był ogłuszający, jakby tysiące kobiet szlochały naraz. Błysnęło; ryknął grzmot. Woda spływała z nieba i wkrótce cały świat pod nią zginął.

Smocza mogiła rozmiękała. Błoto spływało po bokach tamy. Ulewa przychodziła za ulewą. My pracowaliśmy w przerwach między nimi, nieważne – dzień czy noc. Wykorzystywaliśmy każdą szansę. Był środek nocy, deszcz chwilowo zelżał, ale w powietrzu wisiał kolejny. Zagrzmiało, błysnęło. Komendant obozu maszerował tam i z powrotem po wale, drąc się do megafonu:

– Nie marnujmy czasu! Nie traćmy okazji, by wzmacniać rewolucję! Musimy bardziej przyłożyć się do pracy! Niech zaporą dowiedzie naszej siły! Niech będzie wyższa! Większa! Pracujmy, ile sił!

Niestraszne nam deszcz, burza i pioruny! Byłe naprzód!

Wyjrzałam z rowu i zobaczyłam nadchodzącą mamę. Nawet w białej poświacie księżycy twarz miała czerwoną i rozgorączkowaną, dziwnie szkliste oczy. Odstawiła puste kosze i podniosła dwa nowe. Z ugiętymi kolanami wsparła na barkach bambusowy drąg, wibrując jak naprężona gumka, która zaraz pęknie. Odwróciła się i znów ruszyła pod górę.

– SIŁA REWOLUCJI BIJE NA GŁOWĘ SIŁĘ NATURY! – zaryczał komendant obozu.

Księżyc zadrżał. Ktoś potknął się w drodze na dół. Padł na plecy i poleciał po stromym wzniesieniu za pustymi koszami. Nikt mu nie pomógł. Nikt nawet nie zauważył. Ludzie ciągle się przewracali. Wypadki były na porządku dziennym. Śmierć stanowiła normę.

– PODBIJEMY NIEBO! – krzyczał komendant. – NIC NAS NIE POWSTRZYMA!

Wszyscy pracowali dalej. Czułam, jakby miały mi odpaść ręce. Nieopodal małe, pięcioletnie i sześciolatnie dzieci wylewały z dołów wodę sięgającą im do pasa. Niektórych wcale nie było widać, tylko woda chlapała z garnków i wiader.

Zdrętwiałam z zimna. Nie obchodziło mnie, czy umrę, czy przeżyję. Marzyłam tylko o nadejściu dnia.

Wał się osunął. Nocą, kiedy pracowaliśmy. Zginęły cztery osoby, trzy dziewczynki i chłopiec. Byli w jednym z wąskich rowów, kiedy się zawalił. Stało się to błyskawicznie; nie widzieliśmy ich, nie wiedzieliśmy, że tam są. Deszcz przesłonił wszystko, zagłuszył wołanie o pomoc. Pasują w sam raz do tego rowu, stwierdzili strażnicy, każąc im tam pracować. Ani za duzi, ani za mali. Gdy wał runął, zapomnieliśmy o nich, pamiętaliśmy tylko o sobie. Potem stryj pobiegł z innymi, ale nie było już rowu, tylko zasypany grób.

Pomyślałam, że jeśli zmyjemy z nich błoto, wyczyścimy im twarze i nosy, może otworzą oczy i znów zaczną oddychać.

Lecz spoczywali nieruchomo na bambusowym stole, prawie przytuleni do siebie. Tak ich znaleziono, ściśniętych jak zajączki w norze. Stryj wraz z innymi mężczyznami wykopał ich i przyniósł do kantyny. Jedna dziewczynka wciąż trzymała wiadro. Stryj i mężczyźni próbowali rozewrzeć jej palce, ale były tak ściśnięte, że nie dali rady.

– Musimy ich pochować – powiedział stryj do tłumu, który zebrał się wokół. Oczy miał czerwone. Nabiegłe krwią. Zobaczyłam, że dygoczą mu ręce. Kopał jak szalony, dopóki ich nie znalazł. Teraz odwiązał *kromę*, którą nosił w pasie, i zasłonił ciała.

W ciszę wdarł się szloch. Zdławiony skowyt. Płacz był wbrew zasadom rewolucji.

Pochowaliśmy ich tam, gdzie zginęli, w podmokłym grobie, który sami wykopali. Opuszczono ciała do otwartego dołu. Na końcu dziewczynkę z wiadrem w zaciśniętej dłoni. To dzieci, pomyślałam. Małe dzieci odkładane do kołyski. Czemu mam je opłakiwać? Czemu mam być smutna?

„Smutna” to za małe słowo. Zanuciłam w duchu kołysankę: „Zaśnij, kochanie, jeszcze noc”...

Mama z rozplómięnią twarzą i szklistym wzrokiem stała obok mnie, zapatrzona w przestrzeń.

Wszyscy się cofnęli i mężczyźni wzięli się do zasypywania grobu. Deszcz przeszedł w mżawkę. Ziemia pogrążyła się w żalu. Niebo zagrzmiało zapowiedzią kolejnej ulewy.

Kiedy grób był zasypany, słońce przebiło się przez chmury i rozpromieniło triumfalnym uśmiechem. Uśmiechem rewolucji.

Jakiś czas później odnalazłam stryja. Siedział samotny nad grobem dzieci. Usiadłam obok niego.

– Rządzą z logiką dziecka w świecie, na którym nie ma już dzieci, Raami – rzekł cicho. – Sam ich pochowałem... – Miał głos miękki jak mżawka, która zaczęła siąpić na nowo. – Indię między chłopcami, Sotनावong po prawej, Satiyavong po lewej stronie. Tata na górze, twarzą w dół, jak kwoka czuwająca nad nimi. Pochowałem ich. W grobie, który wykopałem własnymi rękami. Nie dali rady, rozumiesz?

Tak, rozumiałam.

Był jak kolos, który pęka pod ciężarem własnych słów.

Słów jakże niepozornych.

„Nie dali rady”.

Niech nikt ani nic mnie nie złamie.

Znaleźliśmy go któregoś popołudnia, w baraku numer 5. Powiesił się na własnoręcznie uplecionym sznurze. Stracił wolę życia, skwitowali żołnierze. Ale to nieprawda. Jego wolę złamano. Zabił się, powiedzieli. Ale ja wiedziałam, że oni zabili go dużo wcześniej.

Deszcz żeński nadszedł ze zdwojoną siłą. Zamieniał dzień w noc i zjawiał się przystrojony gniewem jak klejnotami. Rzuczał się, chłostał i wył. Nocą, gdy nie było żołnierzy rewolucji, komendanta obozu, komitetu kuchennego ani pogrzebowego, kiedy oczy i uszy Organizacji straciły czujność, słyszałam go tak blisko, jakby tkwił pod moskitierą obok mnie. Czasem szlochał i zawodził na cały głos, krztusząc się własnymi łzami. Czasem płakał cicho, jakby w obawie, że jest obserwowany. Raz wyszeptał dziecięce imię: Rad'na? Dokąd biegniesz? Gdzie się ukrywasz? Odwrzasnęłam: Ona nie żyje! Na co zawył głośniejsz: Czemu tak mnie ranisz? Nie widziałam innego wyjścia, jak go pocieszyć. Przecież masz mnie. Jestem twoją świętą ziemią. Możesz wykopać dziurę w moim sercu i pogrzebać swój smutek. Będę twoim grobem. Tylko przestań płakać. Co mam robić? Wszyscy odeszli. Po co tak płaczesz? Nic nie sprowadzi ich z powrotem. Przestań natychmiast, bo ja też odejdę! Lecz on dalej płakał, głuchy na moje zaklęcia i groźby. Nie przestanie, dopóki nie powoła wszystkiego z powrotem do życia. Póki ziemia nie ożyje na nowo.

Rozumiałam deszcz żeński. Był deszczem mojej matki.

Nie było czasu na żałobę. Nie było czasu na rozpamiętywanie przeszłości. Znów przyszła pora sadzenia. Mamę posłano gdzie indziej do kopania rowów irygacyjnych, a mnie przydzielono do brygady młodzieżowej, która jeździła z miejsca na miejsce i sadiła ryż. Było nas około dwudziestu – same dziewczęta – i pracowałyśmy od wschodu do zachodu słońca. Spałyśmy w jednej chacie na skraju lasu i pól. Powiedziano nam, że szkoda marnować czas rodziców do opieki nad nami. Już nie jesteśmy dziećmi. Tamtego ranka na polu ryżowym przydzielono nam nowego strażnika. Chodził tam i z powrotem po wąskiej grobli. Czasem zawadzał o ziemię lufą karabinu. Czapka zasłaniała mu oczy, mięśnie twarzy grały na zaciśniętych zębach. Próbował wyglądać na starszego; nie wiedział, jak bardzo się go bałyśmy właśnie z powodu jego młodego wieku. Wokół mnie małe figurki schylały się i prostowały w rytmie, który potrafiłam wystukać we śnie. Przesuwałyśmy się powoli, wpychałyśmy w błoto siewki ryżu, tak by źdźbła były do połowy zanurzone w wodzie. Nikt nie śpiewał, nikt się nie odzywał, nikt nie podnosił głowy. Byłyśmy tylko ruchomymi figurkami – w górę i w dół, w górę i w dół. Nie umiałam już odróżnić żywych od umarłych. Nasz świat znajdował się gdzieś pomiędzy.

W oddali ciemniała dżungla, a przed nią wznosiła się samotna palma cukrowa, tak wysoka, że zdawała się dosięgać nieba. Popatrzyłam na grupę kołujących sępów. Nawoływały cicho do siebie, do ciszy w dole, a wiatr odpowiadał, wpychając mi w nozdrza swój oddech, smród gnijących zwłok.

Zerknęłam na naszą brygadzystkę. Była dzieckiem jak my wszyscy, ale z uwagi na jej pokrewieństwo z Moukiem drżałyśmy ze strachu. Przy niej znajdowałyśmy się pod lupą Organizacji. Podchwyciła mój wzrok.

– Sterczysz w miejscu – warknęła i rozejrzała się po pozostałych, badając ich reakcję. – Nie sądzicie, że powinniśmy ją ukarać?

Reszta w milczeniu zwiesiła głowy.

Nie rozumiałam źródła niechęci, którą mnie darzyła. To się nazywa kum. Jad. Ta niechęć nie miała przyczyny, lecz niosła wielkie konsekwencje. I podłoże miała głębokie. Widywałam ją nieraz – w zawistnym uśmiešku Grubej, gdy patrzyła na mamę, w bliźnie Mouka, gdy bił przywódcę dystryktu, a teraz w zawiści tej dziewczynki. Przybierała różne oblicza, młode i stare, i rozprzestrzeniała się jak zaraza, niezawodna i bezlitosna jak ugryzienie śmiernionośnego komara.

– Rusz się! – wrzasnęła brygadzystka.

Próbowałam przestawić nogę, ale utknęła mi w błocie. Szarpnęłam się, lecz zapadła jeszcze głębiej. Dziewczynki z mojej grupy przesuwali się coraz dalej i udawały, że nie widzą.

– Bezużyteczna kaleka.

Wymamrotałam coś pod nosem.

– Czego? – syknęła brygadzistka.

– Nie jestem kaleką.

– Więc może nie znasz swoich obowiązków.

– Znam.

– To do roboty!

– Odczep się. – Miałam tego dosyć. Z dnia na dzień gardziła mną coraz bardziej. Dzień w dzień

wynajdywała powód, żeby mnie dręczyć. To nie mogło trwać dalej. Nie wiedziałam, skąd mam na to siłę, ale spróbowałam: – Ty też niewiele robisz...

– Że co proszę? – wpadła mi w słowo, zaciskając zęby.

Nie odpowiedziałam. Pozostałe dziewczynki zamarły. A ja poczułam satysfakcję, że jednak to powiedziałam.

– Zgłoszę twoje lenistwo Organizacji! – wrzasnęła brygadzistka.

Wyprostowałam się i nagle wstrzymałam oddech. Strażnik wpychał mi lufę głęboko w pierś. Jeden ruch, a wystrzeli. Moje towarzyszki odwróciły wzrok. Zadrżały mi usta. Nie mogłam nad nimi zapanować. Nie mogłam zebrać myśli. Łzy wezbrały mi w oczach. Nie wiem dlaczego. Wcale się nie bałam. Dlaczego płakałam?

– Zastrzel ją! – rozkazała brygadzistka.

Przymknęłam oczy. „Kiedy ja znajdę się pod ziemią, ty polecisz”...

– Na co czekasz? Powiedziała: zastrzel ją!

Wrzask sprawił, że otworzyłam oczy. Strażnik opuścił broń i cofnął się o krok.

– Zabić ją to żadna strata, ale szkoda kulki – odparł ze śmiechem.

– Właśnie, jesteś tylko bezużyteczną kaleką! – krzyknęła, żeby wszyscy słyszeli. I syknęła do mnie: – Niedługo sama zdechniesz, a do tego czasu masz robić, co ci każe! Słyszałaś?

„Dla mnie, Raami. Dla twojego papy, poszybujesz”...

– Słyszałaś?! – Napluła mi w twarz.

Zamrugałam. Łzy płynęły mi po twarzy. Pewnie przygryzłam wargę, bo poczułam krew w ustach. Była ciepła, słona. Uspokoiła mnie, podobnie jak strużka moczu spływająca po nodze. Nikt nie patrzył na mnie i ja na nikogo nie patrzyłam. Wbiłam wzrok w błotnisty brzeg tarasu. Mały krab wylazł spod ziemi, z oczkami jak antenki. Sięgnęłam po niego, ale umknął.

„Tak, papa zostawił ci skrzydła”...

– Wracaj do pracy!

„...Ale to ja muszę nauczyć cię latać”.

Zewsząd nacierały głosy.

„Nie dali rady”...

– Czego tak sterczysz?

„Nie ma co się dziwić, że rozmawia tylko z duchami”.

Głosy duchów splatały się jak włókna pętli na mojej szyi. „Mówię ci to teraz... żebyś mogła żyć”.

Brygadzystka cofnęła się jak krab. Jeszcze jeden krok i następny, coraz dalej wstecz. Aż spowiła mnie cisza. I leżałam w głębi siebie, w jamie ciemnej jak grób.

Gdzie nie mogli mnie dosięgnąć.

Wszystkiemu przyświecało hasło Organizacji. „Zachować cię to żaden zysk, zabić to żadna strata”. Jak mogłam żyć? Skąd brać wiarę w nowy dzień, jeśli życie nic nie znaczy? Jak mieć nadzieję na przyszłość? W świecie bezsensownej śmierci nie widziałam celu, zatraciłam poczucie sensu. Jeśli była to nasza zbiorowa karma, czemu jeszcze żyłam? Byłam przecież tak niewinna jak ci, co umarli, i ponosiłam odpowiedzialność na równi z tymi, którzy przeżyli. Jak nazwać siłę, która pozwalała mi trwać? Każde odebrane życie dawało mi część siebie. Nie umiałam tego nazwać. Wiedziałam tylko, że muszę pamiętać. Pamiętać. Uczepiłam się tego słowa.

Po tamtym dniu na polu ryżowym przestałam się bać karabinów, bo opuścił mnie strach przed śmiercią. Brygadzystka dalej mi groziła, ale nigdy jej nie odpowiadałam. Cisza załęgła się w mojej krwi. Ogłuchłam. Stałam się niema. Myślałam tylko o tym, co w danej chwili mam do zrobienia. Na polu ryżowym sadziłam. Jedząc, skupiałam się na jedzeniu. We śnie nie myślałam o niczym. Z głodu traciłam siły. Często karano mnie za lenistwo. Pozbawiona ryżu, jadłam liście i owady znalezione w błocie. Kara przychodziła znienacka, lecz nigdy się nad nią nie zastanawiałam. Myśli i martwienie się na zapas nie miało sensu. Nie było o czym mówić, nie miałam nic do powiedzenia, więc przestałam mówić.

Ale widziałam. I słyszałam. W ciszy rozumiałam i zapamiętywałam.

Nadeszły żniwa, a wraz z nimi obietnice obfitości. Znowu najemy się do syta. Znałam ich kłamstwa. Będzie tylko można więcej kraść. Znowu mianowano mnie na stracha. Nauczyłam się wszywać kieszenie pod koszulę i w spodnie, napychałam je ryżem. O świcie zabierałam się wozem zaprzężonym w wołu i jechałam do tej samej chaty, gdzie ostatnio odpędzałam wrony. Nie było żadnego żołnierza ani strażnika w zasięgu wzroku. Świat znowu należał do mnie.

Słabłam z każdym dniem. Moje ciało znikało, a umysł obumierał. Skóra mi pozółkła jak stęchła kurkuma; miałam apetyt na węgiel i palone drewno. Czasem wyobrażałam sobie, że jestem *beysachem*, który przeszukuje krematorium, spragniony smaku własnych prochów. „Nie wytrzyma – mówili ludzie, gdy przechodziłam obok. – Umrze i nawet matka jej nie weźmie przed śmiercią za rękę. Biedactwo”. Ich słowa wytrącały mnie z mroku i pełzałam z powrotem do światła. I znowu

walczyłam, łapiąc się wszystkiego, żeby przeżyć. Skulona za kopcem termitów albo za pniem palmy zapalniczką ukradzioną z kuchni rozpałam małe ognisko i gotowałam ryż w pustych skorupach małży. Często jadłam go na surowo. Nigdy nie wiedziałam, kto patrzy. Oczy i uszy Organizacji były wszędzie. Nocą pozwalałam sobie na zbytek snu bez snów, co nie zawsze było jednak możliwe. Czasem budziły mnie głosy tych, którzy nie żyli od dawna lub niebawem mieli umrzeć. Słyszałam ich krzyki, błagania, strzały, a potem ciszę. Na kogo padło tym razem? – zastanawiałam się w ciemności z zaciśniętymi powiekami. Nie znałam ich imion – nie chciałam znać. Wmawiałam sobie, że ich nie mają. Nie znałam ich, ale ich krzyki, ich błagania – „Proszę, towarzysze, oszczędźcie moje dziecko!” – niosły się echem. W takich chwilach chciałam uciekać na oślep. Od głosów tych bezimiennych ofiar, od myśli, których nie mogłam wyrazić, od słów, które cisnęły mi się na usta.

Któregoś wieczora pod koniec żniw wyczułam pod moskitierą czyjąś obecność. Przygotowałam się na śmierć.

– To ja – powiedziała mama. Myślałam, że mam przywidzenia, ale odezwała się znowu, łapiąc mnie za rękę. – To ja, Raami. Przysłali mnie do młócenia ryżu. – Mój wzrok przywykł do mroku i ją zobaczyłam. Co oddała za powrót? Nie miała więcej kosztowności. Notes papy? Jego poezję? Ich miłość? Siebie? – Więcej się nie rozstaniemy, przyrzekam. – Mocno mnie objęła. – Już nigdy. – Nie wiem, dlaczego obiecywała mi cokolwiek. Jak mogła dotrzymać obietnicy?

Następnego dnia zadawała mi pytania, na które nie znałam odpowiedzi.

– Czemu nie mówisz? Dlaczego? – Łapała mnie za ramiona, zaglądała w twarz.

Milczałam, a mój głos wrzeszczał z grobu, w którym go schowałam.

– Wiatr rewolucji wieje za słabo! Trzeba podjąć stanowcze kroki, by oczyścić kraj! Musimy uwolnić Demokratyczną Kampuczę od zarazy! Oddzielić ziarna, a plewy podeptać! Spalić! Zetrzeć z powierzchni ziemi! Wyrwać jak chwasty, zanim będzie za późno!

Mouk stał na podeście z megafonem. Blizna w kształcie sierpa podrygiwała, nawet gdy milkł, aby potoczyć wzrokiem po zgromadzonych.

– Służący króla mieszkali kiedyś w pałacu, nauczyciele wciąż potrafią czytać i pisać, a szoferzy prowadzić samochody. Wróg pozostanie wrogiem! Trzeba go wytropić, pojmać i zniszczyć! Zniszczyć to, co się na nic nie przyda! Przyszedł czas na kolejną wojnę! Wojnę, by oczyścić nasz kraj! I siebie samych! Wyplenić zagraniczny element z naszej ojczyzny! Oddzielić skażonego Khmera od Khmera czystego! Wyeliminować tych, którzy wyglądają i zachowują się jak nasi wrogowie! Ludzi o wietnamskich twarzach, wietnamskich oczach i wietnamskich nazwiskach! Oddzielić ich od prawdziwych Khmerów! Tylko radykalne środki przyspieszą wiatr rewolucji!

Wróg zyskał twarz. Był nim każdy, kto wyglądał jak Wietnamczyk, zachowywał się jak Wietnamczyk. Nie wiedzieliśmy, kim są Wietnamczycy ani jak wyglądają, ale Mouk – który stał na czele Kamaphibalu – twierdził, że są wśród nas. Rozkazał żołnierzom przywlec żywy dowód swej

teorii. Był to ojciec Mui.

– Jestem Khmerem! – krzyknął towarzysz Keng.

– Tak, ale twoja żona jest wietnamską dziwką!

– Nie, wszyscy jesteśmy Khmerami...

Mouk uciszył go strzałem w usta. Zamknęłam oczy.

Kiedy je otworzyłam, towarzysza Kenga nie było, ale jego krew sączyła się z podestu na ziemię i nie mogłam oprzeć się myśli, że przypomina każdą inną, taka jest czerwona i lśniąca.

– Wietnamscy szpiedzy! – wrzasnął przez megafon Mouk. – Oto, co was czeka, kiedy was znajdziemy!

Następnego dnia obudziłam się jak zwykle przed świtem i poszłam do szopy. Z półmroku dobiegły szlochy zza drzew, od strony domu Mui.

– Cisza! – warknął ktoś. – Wsiadać do wozu!

Szloch zabrzmiał głośniej. Nie mogłam się ruszyć. Dalej stałam w szopie. Stałam jak skamieniała. Dopiero kiedy odjechali, poszłam do domu. Mama zastała mnie na schodach, słońce świeciło mi w twarz.

– Zapowiada się upalny dzień. – Usiadła obok mnie.

Nie odpowiedziałam.

– Cała drżysz. – Otoczyła mnie ramieniem. – Dlaczego?

Zaszczękałam zębami i też ją objęłam, wdzięczna za jej bliskość.

Siedziałyśmy w ciszy, tylko moje zęby szczękały.

– Jeszcze wcześniej – powiedziała w końcu. – Wejdz do domu.

Potrząsnęłam głową i się odsunęłam. Chciałam być sama. Rzuciła mi zdziwione spojrzenie. Odeszła. Siedziałam jak zaklęta, myśli rozbiegły mi się na wszystkie strony. Chciałam uciec jak najdalej stąd. Ale gdzie? Dokąd bym poszła?

Wreszcie nadjechał mój wóz. Wsiadłam i woźnica znów zawiózł mnie na pole, którego strzegłam przed wronami. Tu mogłam rozmawiać bez dźwięków, bez słów...

– Nie! – Krzyk przeszył powietrze; dochodził z dżungli. Znałam ich głosy, od razu je rozpoznałam. – Nie! Błagam, towarzysze, nie! – Ciocia Bui. – Mamo, co się dzieje? – Mui. Ruszyłam w ich stronę. – Proszę, nie róbcie tego! Błagam was!

– Kop! – rozkazał ten sam męski głos, który usłyszałam w szopie. – Mam najpierw zastrzelić dziewczynę? Kop, mówię!

Znieruchomiałam. Wyraźnie słyszałam szloch przerażonej Mui.

Ciocie Bui żołnierze nazwali Wietnamką. Ma zbyt jasną skórę, powiedzieli. Skośne oczy, wietnamskie. Dawniej tak miło się śmiała. Czy jej śmiech też jest wietnamski? Czemu ciocia Bui się

teraz nie śmieje?

– Jeszcze! Głębiej!

Odgłosy kopania wibrowały i niosły się echem. Przypadłam do ziemi cicha jak trusia. Czekałam. Nie wiedziałam, na co czekam. Nie dość zobaczyłam, usłyszałam? Czy śmierć zaostrzyła mi apetyt na więcej? Stępiła moje zmysły na przemoc, na śmierć przyjaciół? A może wstrząs sprawił, że wrosłam w ziemię? Nie umiałam tego wyjaśnić, ale przypomniałam sobie chwile, gdy ocierałam się o śmierć i przymykałam oczy lub odwracałam głowę. Nie mogłam już dłużej. Nie mogłam pozwolić, aby ludzie, których kochałam, samotnie stawiali jej czoło. Od tej pory, powiedziałam sobie, nie ruszę się z miejsca, będę przy nich, a ich dusze zobaczą, że zostałam do końca i wysłuchałam ich ostatnich słów, ostatniego tchnienia. I rozumiem, że stałam się świadkiem nie tylko ich śmierci, ale też ich walki o życie, woli przetrwania.

Podciągnęłam kolana pod brodę i oparłam na nich głowę, wmawiając sobie, że mój strach to nic w porównaniu z tym, co czują moi przyjaciele. Uciszyłam głosy w głowie. Uspokoiliam serce. Przygotowałam siebie – i ich.

Kij z hukiem trafił w czaszkę, raz, potem drugi, i zaległa cisza. Wrony zatrzepotały skrzydłami, wzbiły się znad pola ryżowego do nieba.

W Ksach zapanował niepokój. Gdzieś daleko słyhać było strzały. Mamy wojnę, szeptał mieszkańcy miasta. Kambodża i Wietnam wzięły się za łby. Z dnia na dzień coraz więcej ludzi wracało z obozów, w których nagle przerwano pracę. Napływali ciągłym strumieniem, bez strażników, żołnierzy i komendantów. Miejscowe władze nie kwestionowały ich powrotu, jakby nic ich to nie obchodziło. Mouk z większością żołnierzy pojechali walczyć; pozostali i Kamaphibal też sposobili się do wyjazdu, ale oni chcieli raczej ukryć się w dżungli. Nie da się uniknąć porażki, przyznawali posępnie. Ładowali zapasy – żywność, broń, amunicję. Wietnamczycy nas zabijają, jeśli zostaniemy, mówili i namawiali nas do wspólnego wyjazdu. My, Kambodżanie, musimy trzymać się razem, przekonywali, jakby zapomnieli, że byli naszymi oprawcami, jakbyśmy mogli im zaufać. Posłuchali tylko ich krewni i poplecznicy, reszta z nas postanowiła zostać i poczekać na rozwój sytuacji.

Po ich wyjeździe pospieszyliśmy do magazynów. Obyło się bez kłótni i przepychanek; tak niewielu nas zostało, zewsząd obserwowały nas oczy zmarłych. Każdy zabrał to, co znalazł, byle przetrwać dzień dłużej, a jeśli przetrwamy noc, wrócimy po nowy zapas. Przetrzęsając odzież żon Kamaphibalu, mama znalazła coś, co wyglądało jak zwitek zagranicznych pieniędzy. Szybko wepchnęła go pod koszulę. Zastanawiałam się, co z nimi robi; czasem naprawdę mnie zdumiewała. Napełniłam kieszenie ryżem, który odkryłam pod przewróconym kocem, wepchnęłam garść ziaren do ust i napiłam się soku z kadzi kiszonki. Za chwilę wszystko zwymiotowałam. Mama znalazła dla mnie zielonego banana i kazała mi zjeść powoli, żeby uspokoić żołądek. Odwykłam od takiej ilości jedzenia.

Po powrocie do willi pod sączyńcami po raz pierwszy od długiego czasu wszyscy rozmawiali swobodnie.

– Nic z tego nie rozumiem... jeden reżim komunistyczny przeciwko drugiemu? – spytała jedna z kobiet.

– Ci rewolucjoniści karmią się chaosem – odparł mężczyzna siedzący obok.

– Długo na to czekałem. Nareszcie – mruknął inny. Był z pochodzenia Chińczykiem i jego rodzina podzieliła los Chae Bui i Mui, stwierdzono, że są podobni do Wietnamczyków. On przeżył, bo odesłano go do ciężkiej pracy w dalekich kamieniołomach. – Trzy lata i osiem miesięcy – ciągnął. – Tyle trwał ten koszmar. W końcu widać światło w tunelu, a ja zostałem sam.

Utkwiłam wzrok w jego grdyce, jeżdżącej w górę i w dół jak gula smutku, której nie mógł połknąć ani wypluć. Pomyślałam o stryju. Mama odciągnęła mnie na bok.

W oddali ponad wierzchołkami drzew rozkwitła pomarańczowa poświata. Nikt nie zmrużył oka.

Walki trwały aż do rana. Smród prochu wypełnił powietrze, niebo huczało jak na deszcz. O świcie nadeszli Wietnamczycy. Słońce wstało nad Mekongiem, wyłoniło się powoli jak inny świat, idealnie okrągłe i płonące szkarłatem. Nadszedł konwój pojazdów wojskowych. Na brukowanej drodze zatrzymała się kolumna czołgów i furgonów, silniki szumiały zwycięsko.

– Ktoś?! Ktoś?! – krzyknął łamanym khmerskim wietnamski żołnierz, który stał na dachu ciężarówki.

Gapił się, oszołomiony naszym wyglądem.

– Ktoś żywy? – spytał, jakby wziął nas za duchy. – Ktoś jechać? Chodź!

Wskazał samochody. Kilka zmierzało do Kompong Thom, inne do Phnom Penh.

– Jesteście wolni – powiedział żołnierz. – Możecie wracać do domu.

Mama z płaczem ukryła twarz na mojej piersi. Płakali wszyscy wokół jak żeński deszcz.

– Już po wszystkim – powiedziała mama, ocierając łzy. – Możemy jechać. – Z kupki naszych rzeczy wyciągnęła notes papy i wydobyła spomiędzy kartek świstek złożony w łódkę wielkości jej kciuka. – Papa to nam zostawił. – Rozwinęła papier drżącymi rękami i przeczytała na głos:

Raami, szczerze ubolewam nad tym, że nie zdziałam nic więcej jako twój ojciec. Jeśli połamiesz skrzydła, kochanie, niech ta łódź cię poniesie. Nie przez wodę, ale przez ląd. Po jednej stronie jest granica między tutaj a nadzieją. Po drugiej piekło graniczy z piekłem. Na wschodzie rozciąga się ziemia, gdzie słońce płonie czerwono jak tutaj. Zachód to kraina złotych świątyń. Teraz znajdujesz się daleko od nadziei. Lecz jeśli gdzieś widnieje szczelina, wyłom w murze, idź tam i przejdź na drugą stronę. Kieruj się na zachód śladem gwiazd, aż wszędzie słońce...

Mama urwała i odchrząknęła.

– „To mapa”, rzekł, oddając mi rzeczy – wyjaśniła. – Zostawił nam mapę w fałdach swojego ubrania. Tysiące razy czytałam te słowa, Raami, zanim zrozumiałam, że to zaszyfrowana wiadomość dla ciebie i dla mnie. Powinnam odkryć sens w konturach tej papierowej łódeczki. „Wschód... gdzie słońce płonie na czerwono jak tutaj” – Wietnam. „Zachód... kraina złotych świątyń” – Tajlandia. „Kieruj się na zachód... aż wszędzie słońce” – nowy początek. Posłuchaj, Raami. – Ujęła moją twarz, kartka musnęła policzek. – Widzę, jak jedna czerwona flaga ustępuje miejsca kolejnej; jeden reżim za drugim, oba takie same. Nie możemy tu zostać. To nasza jedyna szansa. Nadarza się okazja, więc z niej skorzystajmy. – Urwała. – Zrobię, co się da, byle wywieźć cię stąd za wszelką cenę. Chciałabym wrócić do domu, Raami, lecz nikogo tam nie ma. Tylko duchy oczekują naszego powrotu. Proszę, ucisz głosy w swojej głowie i zostań ze mną, wysłuchaj mnie, choćby w milczeniu. Nieważne, co będzie dalej i czy mi się uda, ale już postanowiłam. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową. Tak, zostawimy tę ziemię i jej duchy. Lecz jeśli się nie uda, jeśli umrzemy po drodze, miałam zrozumieć, że umarłyśmy w drodze do życia. Walczyła o moje przetrwanie, przygotowując mnie na ewentualność śmierci. Ale ja to rozumiałam. Długo oswajałam się ze

śmiercią. Jeśli przeżyjemy, będzie to jak drugie narodziny.

Obróciła list w rękach.

– Reszta skierowana jest tylko do ciebie. – Przeniosła na mnie wzrok. – Mam przeczytać?

Potrząsnęłam głową.

– Dobrze. – Przez chwilę patrzyła mi w oczy. Wsunęła list do notesu i zobaczyłam, że jest tej samej wielkości co pozostałe kartki. – Pójdę po resztę rzeczy... ryżu starczy nam na jakiś czas. Byłam też... – Zawahała się. – Byłam też w domu Chae Bui. Powiedziała mi, gdzie ukryła złoto. Obiecałyśmy sobie, Raami, że jeśli któraś z nas przeżyje, zaopiekuje się dzieckiem drugiej. Mui nie ma. Ale... ale myślę, że Chae Bui pozwoliłaby mi je wziąć, żeby cię ratować, nawet jeśli to oznacza kradzież. Może ich duchy będą nas nawiedzać, ale jestem gotowa z tym żyć. – Umilkła, jakby czekała na odpowiedź, i po chwili dodała: – Zaraz wyjeżdżamy. – Wsunęła mi notes do ręki, wyprostowała się i rzuciła na odchodne: – Kiedyś papa mi powiedział, że jeszcze jest nadzieja. Miał rację. Nadzieja jest zawsze.

Nadzieja miała koła jak wojskowa ciężarówka. Promieniała jak wietnamski żołnierz uśmiechający się do nas z szoferki. Mama, ja i parę innych osób wskoczyliśmy do tyłu. Nadzieja niosła nas przez spalone pola, zbombardowane mosty, zryte pagórki i okaleczone lasy kauczukowe. Niosła nas na przekór śmierci dyszącej nam w kark. Zwłoki zaścielały drogi i ryżowe pola. Nietrudno było rozpoznać zabitych przez miny – tu ręka, tam noga, ciało rozrzucone po ziemi. Zamordowani leżeli w całości, mieli rany od noża na szyi albo dziury od kuli w głowie; od nich odwracaliśmy wzrok, bo otwarte oczy zabitych podążały za nami, kleiły się do twarzy. Zajechaliśmy do wioski zamieszkannej przez duchy. Kogut skakał wokół ludzi leżących przed wejściem do chaty, jakby sprawdzał, kto jeszcze żyje. W każdym domu to samo. Przy życiu pozostały jedynie zwierzęta. Kaczka kolebała się na boki i kwakała, jakby wołała o pomoc. Świnia chrumkała, ociążała z rozpacz. Krowa dreptała tam i z powrotem, po czym legła na ziemi obok właścicieli, jakby czuwała nad ich zwłokami. Wieść niosła, że Czerwoni Khmerzy wymordowali całą wioskę, bo ludzie nie chcieli iść z nimi do dżungli. Dziękowaliśmy opatrności.

– W Ksach przynajmniej dano nam wybór – rzucił ktoś.

Jechaliśmy dalej; trzymaliśmy się szerokich dróg i podążaliśmy śladami innych pojazdów, żeby uniknąć min.

O zmroku dotarliśmy do miasteczka. Mieszkańcy powitali nas zrazu ostrożnie, potem z widoczną ulgą. Niektórzy mieli szczęście, bo rozpoznali znajome twarze. Nie kryli wzruszenia. Dowiedzieliśmy się od miejscowych, że została ich tylko jedna trzecia. Garstka poszła do lasu z Czerwonymi Khmerami.

– A reszta? – spytał Wietnamczyk.

– Reszta została z nami – odpowiedział starzec, który mimo przeraźliwej chudości stał się opoką pozostałych. – Nie widać ich, ale są przy nas.

Mała dziewczynka, jego wnuczka, utkwiała we mnie wzrok. Odwzajemniłam spojrzenie. Dawno nie przeglądałam się w lustrze, ale rozpoznałam siebie w jej wynędzniałej twarzy. Wymieniłyśmy uśmiechy. Obie nic nie mówiłyśmy.

Tego samego wieczora rozbiliśmy obóz pod ich domem na palach, który przypominał mi chatę Poka i Mae. Mama podarowała starcowi i jego wnuczce puszkę ryżu z naszych zapasów. Oni dali nam wodę do picia i gujawy z ich drzewa. Starzec powiedział mamie, że rodzice dziewczynki znikli którejś nocy. Nadal czekał na ich powrót.

Następnego ranka przed świtem wsiedliśmy do ciężarówki i odjechaliśmy bez pożegnania z gospodarzami.

– Tak jest lepiej – powiedziała mama. – Wystarczy pożegnać.

Po paru dniach dotarliśmy do Kompong Thom. Kierowca oznajmił, że dalej nas nie zawiezie. Kazano nam czekać przy drodze.

Nadjechała kolejna ciężarówka i znów niosła nas nadzieja. Kolebała się wzdłuż strumienia Prek Prang, na małej brukowanej drodze usianej dziurami. Mijaliśmy osmalone ruiny, mknęliśmy przez płonące wioski i miasta. Ciężarówka dowiozła nas nad Zamaskowaną Rzekę, gdzie popłynęliśmy tratwą dla bydła do Citrus Soil, a potem do Blue Bamboo i miasteczka zwanego Chhlong, na cześć gongu odmierzającego upływ czasu. Zakołysał się wiatr. Miałyśmy nadzieję, że czas nie skończył się dla nas. Nie tutaj. Nie teraz.

W Siem Reap mama przekonała jakiegoś wieśniaka, by zabrał nas na wóz zaprzężony w woły. Ale jej piękny uśmiech i śpiewny głos nie poniosły nas daleko. Woźnica wysadził nas w wiosce o nazwie Banteay. Mama wyjęła rolkę zagranicznych pieniędzy spod paska sarongu i znalazła innego wieśniaka, dawnego kupca, który obiecał nas zawieźć do Samrongu, stamtąd ponoć łatwo przekroczyć granicę. Ostrzegł nas, że możemy nie dotrzeć do Tajlandii. Podejmujemy duże ryzyko. Słyszał o wielu, którzy w dżungli pomarli z głodu, przegrali walkę z malarią, spotkali tygrysa lub zwyczajnie padli z wyczerpania. Powinnyśmy trochę poczekać, aż w kraju się uspokoi. Mama stanowczo pokręciła głową. Wieśniak powiózł nas przez pola ryżowe Srov Thmey, a następnie lasy tekowe Phnum Chrung. W Samrongu życzył nam szczęśliwej drogi i przekazał człowiekowi, który stał na czele konwoju wozów zaprzężonych w woły, gotowych do przeprawy przez dżunglę do granicy. Mama zapłaciła złotym łańcuchem z zapasów Chae Bui. Dowódca konwoju znalazł nam miejsce na jednym z wozów z przodu. Wozów było sześć lub siedem, a nas co najmniej sześćdziesięcioro. Nadszedł zmierzch, najlepsza pora na wyjazd, gdyż mieliśmy podróżować nocą.

Po tygodniach podróży – głównie nocą pod gwiazdami, które wskazywały nam drogę –

dotarliśmy do miejsca, skąd musieliśmy ruszyć pieszo. Pokonaliśmy pasmo górskie, potem drugie, wciąż kierując się na zachód. Minął jeszcze tydzień lub dwa i wyszliśmy z gęstej dżungli na otwartą równinę. Stanęliśmy, aby odpocząć w cieniu drzew na szczycie wzgórza. Została nas połowa, gdyż część zmarła po drodze, a niektórych zostawiliśmy własnemu losowi, bo nie mieli siły iść dalej. Była noc, ale księżyc świecił tak jasno, że dobrze widzieliśmy równinę porośniętą trawą. Nie wiedziałam, gdzie kończy się jeden kraj i zaczyna drugi, ale nasz przewodnik powiedział, że przed nami leży Tajlandia. Radził, byśmy zdrzemnęli się przed świtem i zebrali siły. Wyruszymy jeszcze przed brzaskiem, przemykając jak cienie. Tajscy żołnierze patrolują granicę. Jeśli zostaniemy zauważeni, zastrzelą nas lub co gorsza każą wracać do dżungli. Niektórzy zastanawiali się, czemu nie idziemy po ciemku, ale przewodnik wyjaśnił, że w dzień mamy większe szanse. Jeżeli nas złapią, może nie odważą się rozstrzelać w dzień, na oczach ewentualnych świadków. Jeśli zaś zdołamy przejść na drugą stronę, łatwiej będzie znaleźć pomoc. Może spotkamy wieśniaków, którzy poruszeni naszym losem zatrudnią nas do sadzenia ryżu w wiosce. Moglibyśmy dzierżawić od nich ziemię. Lub iść na służbę. Takie cuda się zdarzają, dodał przewodnik. On radzi z wdzięcznością przyjąć jakąkolwiek pracę i jedzenie. Wszystko będzie lepsze od tego, co przeszliśmy. Ludzie przyznali mu rację i zaczęli szykować się do snu.

Mama rozłożyła dla nas dwie *kromy* na gołej ziemi pod jednym z drzew. Mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć i serce mało mi nie wyskoczyło z piersi, choć nie miałam siły kiwnąć palcem. Patrzyłam na niebo widoczne wśród gałęzi, szukając wzrokiem księżyca. Niedługo znajdziemy się na innej ziemi, pomyślałam. To będzie ostateczne rozstanie. Nie wiedziałyśmy, dokąd wywieziono papę, gdzie widziano go ostatnio. Jak miałam do niego wrócić – choćby w myślach – jeśli nie umiałam wyobrazić sobie ostatniego miejsca jego pobytu? Gdzie znajdował się jego grób? Czy w ogóle miał grób? Owładnęła mną panika. Bałam się, że mama przejrzy moje myśli. Jak śmiałyśmy marzyć o wolności, kiedy on był uwięziony tutaj? Jak śmiałyśmy go opuszczać? Łzy popłynęły mi z oczu.

Mama obrysowała palcami kontur mojej twarzy.

– Masz jego oczy, policzki, nos... – mówiła cicho, jakby chciała mnie pocieszyć, uciszyć drżenie mojego serca. Głos miała znużony, ale dźwięczny i kojący. – Rozpalił ognisko, otrzepał się z nas i skoczył w płomienie. Ale Indra go uratował, pochwycił jego ducha i zaniósł na księżyc. Od tej pory, powiedział mu Indra, świat będzie wiedział o twym szlachetnym uczynku.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, o co jej chodzi. Ale zaraz mnie olśniło.

– Długo nie mogłam patrzeć na pełnię, bo widziałam, że on tam drży – mówiła mama. – Ileż musiał wycierpieć za cenę naszego bezpieczeństwa. „Pójdę za tobą i starczy, że spojrzysz na niebo, żeby mnie znaleźć, gdziekolwiek będziesz”. Jak mógł ci tak powiedzieć? Jak mógł cię taką bajeczką oswajać z życiem bez niego? Gniew mnie zaślepił; nie sądziłam, że mu kiedykolwiek wybaczę.

Pamiętałam. Było to nocą przed jego wywiezieniem. Leżała plecami do nas.

– Gdybym wówczas rozumiała – podjęła tak spokojnie, jakby to papa ze mną rozmawiał – że ta wojna, ta rewolucja to owoc stuleci niesprawiedliwości, że spali wszystko na swojej drodze, powiedziałabym jej autorom, żołnierzom czy też bogom, że nie musieli poddawać go takiej próbie. Twój papa wskoczyłby za nas w ogień tysiąca rewolucji. I... z powodu swej dobrowolnej ofiary zasłużył na świat lepszy od tego, który zostawił. – Urwała z wahaniem. – Nigdy się nie dowiemy, jak wyglądały jego ostatnie chwile, jakie myśli błędziły mu wtedy po głowie ani jak odszedł... – Głos uwiązł jej w gardle. – Ale jestem pewna, że wytrwał w wierze, iż nawet bez niego przetrwamy ten koszmar, a życie, z całym jego okropieństwem, mimo wszystko warto przeżyć. I życzyłby sobie, aby jego córka przyjęła ten dar. Chyba właśnie to próbował ci przekazać.

Opowieść może prowadzić nas z powrotem do siebie, do straconej niewinności, i w cieniu, który rzuca na teraźniejszość, zaczynamy rozumieć to, co tylko przeczuwaliśmy w naszej naiwności – że choć wszystko inne obraca się w pył, miłość jest naszą jedyną wiecznością. Znajduje odzwierciedlenie w żalu i radości, w nagłej świadomości ojca, że nie będzie mógł mnie chronić, w jego determinacji, aby pozostawić cząstkę siebie. Jego miłość oświecili mi drogę, rzuci światło na mój świat skąpany w mroku. Wyrzył swoją sylwetkę we wspomnieniu nieba, abym powracała do niej w razie potrzeby.

Milczałam. Byłam niema już od długiego czasu. Nie odzyskałam głosu, by powiedzieć mamie, że rozumiem.

Zaśmiała się markotnie.

– Usłyszałam tę opowieść o księżycu i zającu od mojego ojca, kiedy został mnichem, podczas jednej z wizyt w klasztorze. Pewnie zna ją każde dziecko. Tę opowieść często słyszy się w klasztorach. Dopiero teraz wiem, że to historia stworzenia, którego niepozorna postać przeczyła szlachetnej naturze. Papa postąpił tak samo, strząsając nas z siebie, aby cierpieć w samotności.

„Jestem jedynym Sisowathem"... Mylnie wzięłam jego słowa i czyny za alienację, podczas gdy w istocie szukał swego odrodzenia, własnej wieczności w prawdopodobieństwie mojego przetrwania.

– Przeżyjemy, Raami – ciągnęła mama, wyczuwając to, czego nie mogłam wyrazić. – Jestem tego pewna. A papa... on mieszka w tobie. Jesteś nim. Wierzę też, że kiedyś odzyskasz mowę.

Załkałam. Nie były to słowa, ale środek wyrazu, głos mojej żałoby. Opłakiwałam ojca.

Mama przyciągnęła mnie bliżej. Leżałam tak, dopóki nie zasnęła. Potem wyjęłam z naszego węzełka notes papy i poszłam z nim tam, gdzie na polanie było najjaśniej. Na prawo ode mnie rzeka połyskiwała w dole jak droga, ruchomy szlak. Na atramentowej powierzchni mrugały światełka. Zawsze gdzieś jest światło, pomyślałam. Mrok tylko pogłębia jego blask.

Otworzyłam notes na ostatniej stronie, gdzie był schowany list. I tak jak ojciec w domu pisał przed świtem, podniosłam go do księżycy i przeczytałam fragment, do którego odczytania nie mogłam się zdobyć przy mamie:

Pamiętasz, Raami, jak zapytałaś mnie kiedyś, czym jest kółko na twoim barku? To znamię, odpowiedziałem. Ale ty nie byłaś przekonana. Stwierdziłaś, że to mapa. Nigdy nie zapytałam czego. Ale teraz już wiem. To szlak podróży, którą odbędziesz. Życie zatacza krąg i nieważne, jaki znój nas czeka, mam nadzieję, że któregoś dnia znajdziemy się w szczęśliwym punkcie wyjścia. Moim marzeniem jest towarzyszyć ci bez przerwy.

A więc nie przyśniło mi się, że widzę go w drzwiach, jak wrywa kartkę z notesu. Sądziłam, iż drze to, co napisał, niszczy dowód własnego istnienia. Znowu zaszlochałam, głośno i bez zahamowań. Dopuściłam do siebie myśl o jego ostatnich chwilach. Czy zamordowano go od razu? Czy może zabrano jak stryja do obozu na „reedukację”, gdzie bito go, głodzono i torturowano? A może, jak Radana, umarł na jakąś chorobę i jego ciało zgniło w lesie albo rzucono je na pole ryżowe. Pewnie znalazł w śmierci ulgę, a ja pocieszałam się myślą, że już nie cierpi.

Złożyłam papier tak jak on, w łódeczkę. Otarłam łzy i przeczytałam to, co napisał po wewnętrznej stronie okładki, bo gdzie indziej nie starczyło już miejsca:

*Pochowajcie mnie, a powrócę chmarą owadów
Nie pokłonię się waszym strzelbom ani waszej woli
Możecie deptać moje kości
A ja i tak nie pochylę przed wami głowy
I nie przestraszę się cienia, który rzucacie
na mój grób.*

Modlitwa pogrzebowa, którą napisał dla uspokojenia własnej duszy. Swoista litania, requiem, aby zebrać się na odwagę i stawić czoło śmierci. Spojrzałam na okrągły księżyc, jego puste, świetliste oblicze. Nie dostrzegłam twarzy wpatrzonej we mnie z uśmiechem. *Pochowajcie mnie, a powrócę...* Ponownie przeczytałam wiersz. I nagle zrozumiałam, co mam przed sobą. Zaklęcia. By powołać go z powrotem do świata żywych. Aż się zachwiałam. Tyle lat wierzyłam, że mieszka na księżycu, daleki i ulotny jak światło, a ukrywał się na tych kartkach, żywy i namacalny w formie wiersza, w rytmie i melodii słów.

Świtało. Podniosłam wzrok, oszołomiona swym odkryciem. Ujrzałam na dalekim brzegu pole lotosów. Każdy kwiat był odrodzeniem o brzasku.

Wprawdzie nie widziałam twarzy ojca, ale słyszałam głos i wiedziałam, że papa jest ze mną.

Zeszliśmy ze wzgórza i ruszyliśmy w dalszą drogę, idąc za rzeką. Niebawem przekroczyliśmy granicę i nawet nie wiedziałabym o tym, gdyby przewodnik nam nie powiedział. Ale jeszcze nie

byliśmy bezpieczni. I jakby na dowód tego rozległ się przeciągły terkot w powietrzu nad nami. Byłam pewna, że do nas strzelają. Wszyscy zastygli i podnieśli głowy. Na horyzoncie w oddali pojawił się czarny punkt. Punkt zamienił się w ważkę, a potem w helikopter, który, zanim zdążyliśmy uciec, wylądował przed nami z łoskotem do wtóru naszych serc. Wsiadł *barang* i w kłębach kurzu wznieconego przez śmigło zaczął coś mówić, przekrzykując hałas. Patrzyliśmy na niego jak zaczarowani. Gdy helikopter ucichł, mężczyzna odezwał się ponownie w języku, który brzmiał w moich uszach jak francuski. Gestykulował i rozglądał się za kimś, kto zrozumie jego słowa. Ku mojemu zdziwieniu mama zaczęła tłumaczyć, najpierw powoli, potem bardziej płynnie.

– Mówi, że są z ONZ, to taka organizacja. – Na dźwięk ostatniego słowa wybuchła chwilowa panika, ale mama dodała szybko: – Nie, nie, to inna organizacja. Szukają uchodźców, takich jak my. Słyszeli, co nas spotkało. Założyli obóz, do którego możemy iść. Wezwali ciężarówki, zawiozą nas, a teraz wezmą tylko rannych, starców i dzieci.

– *Yul?* Rozumiecie? – spytał *barang*; było to jedyne znane mu słowo po khmersku.

Pokiwaliśmy głowami. Patrzył na nas ze zgrozą. Powiedział mamie, że nie jesteśmy pierwszą grupą uchodźców, którą spotkał, a opowieści o naszym cierpieniu docierały zza granicy, ale wciąż nie przywykł do widoku tak wycieńczonych ludzi.

Mama, z uwagi na znajomość francuskiego, i ja z powodu polio miałyśmy polecieć pierwszym transportem. Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Świadomość, że nas znaleziono, i to w takiej głuszy, utwierdziła wszystkich w przekonaniu, że świat o nas nie zapomni.

Kiedy się wznosiliśmy w powietrze, ujrzałam, że rzeka, wzdłuż której szliśmy, w dali napotykała dwie inne. I przypomniałam sobie, jak Mekong, Bassac i Tonle Sap łączyły się w Phnom Penh. Chociaż nie wiedziałam, gdzie leży moje rodzinne miasto, moje myśli pofrunęły do wspomnienia ojca i mnie na galerii w Mango Corner, naszym letnim domku, rozmawiających o odwracaniu prądu i kolei losu. Przymknęłam oczy. „Moje opowieści miały przyprawić ci skrzydła, Raami, uchronić od pułapki – nazwiska, tytułu, ograniczeń własnego ciała, otaczającego cierpienia”... Leciłam naprawdę. Mogłam wskakiwać w słowa i opowieści, podróżować w czasie i przestrzeni. I jak papa stałam się Kinnarą, półptakiem, który może pomknąć z jednego świata w drugi. Mogłam się przeistaczać. Mogłam przekraczać granice.

Otworzyłam oczy, kiedy pilot pokazywał odległą wioskę w otoczeniu zielonych pól ryżowych. *Cambodge!* – wrzasnął, przekrzykując hałas. Wszyscy wybuchnęli płaczem. Bezpieczna w kakofonii dokoła powiedziałam na głos: „Papa”. Mama mnie usłyszała. Przycisnęła rękę do ust, jakby chciała się uciszyć, żeby lepiej mnie słyszeć. Ale nie musiałam mówić nic więcej, aby go zawołać i zabrać ze sobą. Papa! Powtarzałam to jak mantrę. Był to pierwszy krok do przerwania milczenia.

Nagle pilot zawrócił w przeciwną stronę i opuściliśmy tę ziemię, mama uczepona papierowej łódki i notesu z poezją, ja strumieni i gór, głosów i duchów, historii, od których nigdy się nie

uwolnię.

Przepowiednia ojca złożyła się na moją opowieść.

OD AUTORKI

Historia Raami jest w gruncie rzeczy moją własną. Miałam pięć lat, gdy siedemnastego kwietnia 1975 roku Czerwoni Khmerzy zajęli stolicę Kambodży, Phnom Penh, ustanawiając nowy rząd. Przez stulecia krajem rządili monarchowie uważani za *dewaradzów*, czyli pochodzących od bogów. Ostatnim, który nosił ten tytuł, był król Ang Duong. Jego synowie, król Sisowath i król Norodom, dali początek dwóm rywalizującym rodom współczesnej monarchii kambodżańskiej. Mój ojciec był prawnikiem króla Sisowatha, który rządził na początku dwudziestego wieku, gdy Kambodża znajdowała się pod protektoratem francuskim. Podobnie jak wielu jemu współczesnych, którzy kształcili się za granicą i nasiąkli ideami demokracji, należał do warstwy intelektualistów głęboko rozczarowanych zepsuciem i nierównością społeczną w Kambodży w latach po odzyskaniu niepodległości. W 1970 roku, gdy w wyniku przewrotu obalono monarchię i ustanowiono Republikę Khmerów, wielu moich rodaków miało nadzieję, że to początek świetlanej ery, że ustrój demokratyczny rozprawi się z bolączkami feudalizmu. Jednakże demokracja nie przyniosła stabilizacji w kraju, do którego docierały echa wojny w Wietnamie. Korupcja kwitła w najlepsze i w aurze narastających niepokojów na prowincji umacniała się marginalna dotąd grupa partyzancka o nazwie Khmer Rouge. Jej przywódcy, wywodzący się spośród intelektualistów jak mój ojciec, wyznawali podobne ideały, ale zabarwiali je skrajnym radykalizmem.

W latach 1975 –1979 Czerwoni Khmerzy realizowali swoją wizję utopijnego społeczeństwa. Ludzi przesiedlano, umieszczano w obozach pracy, głodzono i mordowano. Reżim eliminował „wrogów” – przeprowadzano masowe czystki wśród osób, których prawomyślność budziła wątpliwości władzy. Osłabiony własną polityką reżim obaliło w końcu wietnamskie wojsko w styczniu 1979 roku, nastął koniec rewolucyjnego eksperymentu. Nigdy nie poznamy dokładnej liczby ofiar, ale według szacunków badaczy wynosi ona od jednego do dwóch milionów, może obejmowała nawet jedną trzecią populacji.

Podobnie jak Raami, cierpiałam po zniknięciu ojca, po tym jak na wiecu wywołano go jako księcia, członka „wrogiej” klasy. Groza kolejnych lat umocniła mnie w pragnieniu przekazania ludziom, co stało się z nim, z moją rodziną i moim krajem. Postanowiłam napisać powieść, bym mogła tam, gdzie zawodzi pamięć, wesprzeć się wyobraźnią. Narracja obejmuje dzieje mojej rodziny osadzone w kontekście prawdziwych wydarzeń. Pozwoliłam sobie na pewne uogólnienia i skróty, poszczególne wydarzenia i postaci wyróżniłam, zmieniłam niektóre szczegóły dotyczące moich bliskich oraz ludzi, z którymi mieliśmy do czynienia. Nazwisko mojego ojca pozostało bez zmian. Był wykwalifikowanym pilotem, ale to „poezja lotu”, jak powtarzał mi w dzieciństwie, pozwalała mu się wznieść do nieba. Ojciec Raami nie tylko nosi nazwisko i tytuły mojego ojca – w tym czuły Mechas

Klah, czyli Tygrysi Książę – ale też ucieleśnia jego nadzieje i ideały oraz gorączkowe pragnienie, bym przeżyła koszmar rewolucji. Składa się ze wspomnień o człowieku, którego kochałam i Kocham do dziś.

Ta miłość pchała mnie do wielokrotnych poszukiwań. Współczesnej Kambodży daleko do raju mojego domu z dzieciństwa oraz świętej ziemi, za którą uchodziła w oczach ojca. Jest grobem ludzi, których wspomnienie do dziś pielęgnuję w sercu. W 2009 roku zaproszono mnie do pałacu Khemarin na pierwszą audiencję z Jego Królewską Mością królem Norodomem Sihamoni i zostałam oficjalnie przedstawiona rodzinie królewskiej jako Neak Ang Mechas Ksatrey Sisowath Ratner Ayuravann Vaddey. Z rękami złożonymi na piersi, przemawiając królewskim językiem, powiedziałam królowi, że przybywam jako córka Tygrysięgo Księcia, syna Jego Wysokości księcia Sisowatha Yamarotha, syna księcia Sisowatha Essaravonga, syna króla Sisowatha. Przyniosłam dar w postaci trzech ton ryżu dla biednych, w imieniu mojego ojca. Jego Wysokość książę Sisowath Ayuravann... Urwałam. Nie mogłam wydusić z siebie nic więcej. Znowu oniemiałam, tak jak w dzieciństwie. Przełknęłam łzy, które napłynęły wraz ze świadomością znaczenia tej wizyty i reprezentowania mojego ojca.

Pamiętam, jak kiedyś ojciec próbował wytłumaczyć mi, co znaczy pochodzić z królewskiego rodu. Miałam wtedy może cztery lata. Na miejskim bazarze ujrzeliśmy żebraka. Siedział po turecku na podartej szmacie, prócz której nie miał zupełnie nic. Był ślepy i gdy zadarł głowę, w bielmie na jego oczach odbijało się niebo, a gdy błagalnie wyciągał ręce do przechodniów, zdawał się zwracać do bogów. Jego gesty poruszyły mnie do głębi. Czemu bogowie nie mogli dać mu wzroku? Zaprażyłam mu coś dać. Kupiliśmy ryż owinięty w liść lotosu, a gdy miałam go wręczyć żebrakowi, ojciec powstrzymał mnie i przypomniał o zdjęciu sandałów. Nie rozumiałam. Buty się zdejmuję, tylko oddając cześć buddyjskim mnichom, okazując szacunek ich drodze duchowej. Wszyscy jesteśmy żebrakami, powiedział mój ojciec. Nieważne, jak jesteśmy ubrani – w gałgany, szafranową szatę czy jedwab. Wszyscy chcemy od życia tego samego. Ja urodziłam się księżniczką, ale ten żebrak, ten ślepiec, który pewnie przyszedł na świat w biedzie i bez wątplenia wiele wycierpiał, zaznał w życiu piękna, które pomaga mu trwać przy życiu. Zasługuje na największy szacunek. Jego życie jest warte tyle co nasze i wszystkich ludzi, nie możemy odmawiać mu godności. Nie pamiętam dokładnie słów ojca, ale choć byłam mała, rozumiałam, co chciał mi przekazać. I na przekór trudnym doświadczeniom życie nauczyło mnie, że duch ludzki, jak uniesione ręce żebraka, wzniesie się ponad chaos i zniszczenie jak ptak.

Chciałam opowiedzieć to królowi, by przybliżyć mu postać mojego ojca, lecz zabrakło czasu. Powiedziałam tylko, że nie wiem, jak ojciec umarł i jak wyglądały jego ostatnie chwile, i żałuję, iż nie może mi towarzyszyć w pałacu, gdzie bywał tak często. Mówiłam o nim, by nie został zapomniany.

Ja, jedyne ocalałe dziecko mojego Ojca, składam hołd Jego duchowi. Niniejsza opowieść

zrodziła się z potrzeby nadania głosu Jego pamięci oraz pamięci wszystkich, którzy zostali uciszeni.

V.R.

PODZIĘKOWANIA

Składam najserdeczniejsze wyrazy wdzięczności:

Mojej wydawczyni Trish Todd – za słowa krytyki i cierpliwe wsparcie. Swoimi pytaniami naprowadziła mnie na wspomnienia, które głęboko skrywałam w pamięci. Jonathanowi Karpowi i całemu zespołowi z Simon & Schuster za to, jak kibicowali tej książce.

Mojej agentce Emmie Sweeney – za spostrzegawczość i wnikliwą intuicję, którymi okrasiała komentarze na marginesach maszynopisu, oraz wytrwałość, z jaką szukała mu domu. Suzanne Rindell – za wyciągnięcie mnie z zasp!

Gillian Gaeta – za rady w samą porę.

Jane McDonnell, mojej ukochanej przyjaciółce i mentorce – za to, że dostrzegła we mnie materiał na pisarkę. Penny Edwards, mojej wiernej czytelniczce. Mojemu najlepszemu kumplowi Neilowi Hamiltonowi – za wiarę we mnie oraz liczne chwile objawienia. Najdroższej Marii Herminii Graterol, która zawsze widziała we mnie pisarkę.

Mojej rodzinie – za dar ich miłości. Siostron Leakhenie i Lyndzie, które są dla mnie wszystkim; E.K. Kongowi, naszemu ojcu; Ann-Mari, Mitchellowi i Julianie, którzy zawsze podsuwali mi wspaniałe książki; Ann-Mari Gemmill starszej i Henry'emu Gemmillowi (Mormorowi i Morfarowi); Melvinowi i Idzie Ratnerom – za ich wspaniałomyślność; oraz Joann i Patrickowi, którzy jeździli za mną po całym świecie, zjawiając się w chwilach, gdy potrzebowałam ich najbardziej.

Mojemu mężowi Blake'owi – za jego nieustające wsparcie, za to, że wziął na siebie ciężar pracy i opieki nad rodziną, by zapewnić mi warunki do pisania. Twoja miłość przekracza wszystkie granice i czuję, jakbyśmy podróżowali razem w niejednym życiu.

Mojej najmniejszej, ale najwierniejszej fance, naszej córce Annelise, za jej mądrość i cierpliwość, za to, jak opiekowała się mną, gdy byłam wyczerpana pisaniem. Jesteś reinkarnacją tylu marzeń i nadziei.

Mojej Matce, która dała mi życie, i to niejedno. Tobie zawdzięczam wszystko.

Tytuł oryginału

IN THE SHADOW OF THE BANYAN

Copyright © 2012 by Vaddey Ratner

All rights reserved

Projekt okładki

Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce

© Peter Zelei/Getty Images/Flash Press Media

Redaktor prowadzący

Katarzyna Rudzka

Redakcja

Agnieszka Rosłan

Korekta

Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-7839-932-2

www.proszynski.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com